

NORWESKA MISTRZYNI KRYMINAŁU

ANNE HOLT

ŚLEPA BOGINI



Prószyński i S-ka

ANNE HOLT

ŚLEPA BOGINI

Przełożyła
Iwona Zimnicka

Był martwy. Definitywnie. Nie miała żadnych wątpliwości. Później jednak nie potrafiła wytłumaczyć, skąd miała taką pewność. Może to z powodu pozycji, w jakiej leżał, może z powodu twarzy zagrzebanej w gnijących liściach albo psiej kupy tuż przy uchu... w końcu nawet najgorszy pijak, jeśli ma bodaj odrobinę szacunku dla siebie, nie kładzie się z nosem przy psiej kupie.

Delikatnie obróciła ciało. Przodu głowy po prostu nie było. Nie istniało nic, co pozwoliłoby rozpoznać osobę, stwierdzić jej tożsamość. Ale klatka piersiowa bez wątpienia należała do mężczyzny. Widniały w niej trzy dziury.

Kobieta szybko się odwróciła, bo targnął nią odruch wymiotny, ale jego wynikiem był tylko bolesny skurcz w żołądku i nieprzyjemny, kwaśny posmak w ustach. Puszczone zwłoki bezwładnie opadły z powrotem na brzuch. Zbyt późno się zorientowała, że przesunęła je akurat na tyle, by głowa trafiła w ekskrementy, które rozprysnęły się po mokrych ciemnoblonde włosach ofiary. Widząc to, zwymiotowała. Jakby drwiąc ze zmarłego, obryzgała go pomidorowoczerwoną zawartością żołądka, a niestrawione ziarenka groszku, który zjadła na obiad, ułożyły się na plecach zmarłego jak jadowicie zielone kropki.

Karen Borg poderwała się do biegu. Przywołała psa i wzięła go na smycz. Biegł przy niej zachwycony niespodziewaną zabawą, dopóki się nie zorientował, że jego pani zanosí się płaczem. Wtedy znienacka przyłączył się do żalobnego chóru przenikliwym popiskiwaním i wyciem.

Nie zwalniali, nie zatrzymywali się nawet na moment.

Poniedziałek, 28 września, z retrospekcją

Budynek policji w Oslo, Grønlandsleiret 44. Adres bez historycznych skojarzeń, inaczej niż Møllergata 19¹, a już na pewno niż Victoria terrasse². Adres Grønlandsleiret 44 przywoływał na myśl zmęczenie, szarość i nowoczesność, którym towarzyszyły nieprzyjemny posmak państwowej niewydolności i wewnętrznych sporów. Budynek był duży, lekko wygięty w łuk, zupełnie jakby nie potrafił się oprzeć uderzeniom wiatru. Wciśnięty był między dom Boży a więzienie, za plecami miał zniszczoną zabudowę niewielkich domków na Enerhaugen, a przed sobą najbardziej zanieczyszczoną i ruchliwą dzielnicę miasta, od której oddzielał go jedynie ogromny trawnik. Wejście było nieprzyjazne i odpychające, zdecydowanie za małe w stosunku do dwustumetrowej fasady, do tego ściśnięte i ustawione pod kątem, prawie schowane, jakby chciało utrudnić dostęp do wnętrza, a ucieczkę ze środka wprost uniemożliwić.

W poniedziałek o wpół do dziesiątej rano adwokat Karen Borg dotarła do drzwi wejściowych, pokonawszy pnącą się lekko pod górę, wybrukowaną ścieżkę, na tyle długą, że zdążyła poczuć pot na plecach. Doszła do wniosku, że pagórek usypano celowo - widać do Komendy Okręgowej Policji w Oslo wszyscy powinni wchodzić spoceni.

Całym ciałem napała na ciężkie, metalowe drzwi i weszła do holu. Gdyby miała więcej czasu, zwróciłaby pewnie uwagę na niewidzialną granicę biegnącą środkiem podłogi. Po słonecznej stronie tej ogromnej przestrzeni oczekiwali na czerwone dowody przynależności państwowej żądni wrażeń i podróży Norwegowie. Od strony północnej zaś, wciśnięci pod galerię, siedzieli ciemnoskórzy przybysze, zalęknieni, spoceni po godzinach oczekiwania na bezwzględnych urzędników

1 Møllergata 19 - w latach 1966-1978 główna siedziba policji w Oslo, w okresie II wojny światowej więziono tu przeciwników nazistowskich Niemiec. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

2 Victoria terrasse - podczas II wojny światowej siedziba gestapo i SD.

policyjnych do spraw cudzoziemców.

Ale Karen Borg była już trochę spóźniona, spojrzała więc tylko w górę, na galerie biegnące wzdłuż ścian. Po jednej stronie widoczne były szeregi niebieskich drzwi i niebieskie linoleum na podłodze, po drugiej, tej od południa, wszystko było w kolorze żółtym. W zachodniej ścianie dostrzegła wejścia prowadzące do bocznych korytarzy - czerwonego i zielonego. Otwarta przestrzeń holu wznosiła się na wysokość siedmiu pięter. Karen Borg doszła do wniosku, że był to dowód szczególnego marnotrawstwa, bo pokoje w związku z tym z pewnością musiały być malusieńkie. Szybko uznała, że najważniejsze obszary - czyli biuro komendanta okręgowego policji i kantyna - znajdują się na siódmym piętrze, a jeszcze wyżej, w przestrzeni niewidocznej z holu, mają swoją siedzibę, niczym bogowie na Olimpie, służby bezpieczeństwa.

Zupełnie jak w przedszkolu, pomyślała Karen Borg, przyglądając się kolorowym ścianom. Żeby wszyscy trafili na swoje miejsca.

Szła na trzecie piętro, do strefy niebieskiej. Trzy windy wyraźnie postanowiły zmusić ją do wejścia po schodach. Po czterech minutach wpatrywania się w świetlną kropkę nad drzwiami, która przesuwiała się w górę i w dół, ani razu nie zatrzymując się przy jedynce, Karen Borg ustąpiła - ruszyła na górę piechotą.

Bez trudu odnalazła drzwi pokoju o czterocyfrowym numerze. Niebieskie drzwi pokryte były resztkami naklejek, które ktoś kiedyś próbował zerwać. Myszka Miki i Kaczor Donald uparcie opierali się jednak eksterminacji i szczyrzyli do niej zęby, pozbawieni nóg i połowy twarzy. Już lepiej by to wyglądało, gdyby zostawiono ich w spokoju. Karen Borg zastukała, a słysząc głos ze środka, weszła.

Håkon Sand nie sprawiał wrażenia człowieka tryskającego energią. W pokoju pachniało wodą po goleniu, a na krześle, jedynym oprócz tego, na którym sam siedział, leżał wilgotny ręcznik. Karen zauważyła, że Håkon Sand ma mokre włosy.

Chwycił ręcznik, rzucił go w kąt i poprosił, by usiadła. Siedzenie było wilgotne, ale udało, że tego nie widzi.

Håkon Sand i Karen Borg byli starymi przyjaciółmi, chociaż teraz rzadko się widywali. Podczas przypadkowych spotkań na ulicy albo u wspólnych przyjaciół wymieniali tylko wytarte frazesy: „jak się masz”, „dawno się nie widzieliśmy” czy „któregoś dnia musimy się umówić na obiad”, i na tym się kończyło.

- Cieszę się, że przyszłaś.

Jego wygląd mówił jednak coś innego. Powitalny uśmiech był wystrzępiony i zwiędły po dwudziestu czterech godzinach w pracy.

- Facet nie chce nic mówić. Powtarza tylko, że masz być jego obrońcą.

Karen Borg zapaliła papierosa. Wbrew wszelkim ostrzeżeniom Głównego Urzędu ds. Zdrowia paliła papierosy marki Prince, zawierające maksymalne ilości nikotyny i substancji smolistych, pewnie dlatego nikt nigdy nie prosił jej o poczęstowanie papierosem.

- Więc musisz go przekonać, że to niemożliwe. Po pierwsze, jestem świadkiem w sprawie, ponieważ to ja znalazłam zwłoki. Po drugie, nie znam się na prawie karnym, nie zajmowałam się tym od dyplomu. Czyli od siedmiu lat.

- Od ośmiu - poprawił ją. - Od naszego dyplomu minęło już osiem lat. Ale na zakończenie miałaś jedną z trzech najlepszych ocen, i to na sto czternaście osób. Ja byłem piąty od końca.

To oczywiście więc, że będziesz się znać na prawie karnym, jeśli tylko zechcesz.

Wyraźnie był poirytowany, a to się udzielało. Nagle Karen znów poczuła się jak na studiach, takie właśnie napięcia się między nimi wtedy pojawiały. A powody zawsze były te same - jej niezmiennie wspaniałe wyniki i jego wyboista droga ku dyplomowi. Prawdę mówiąc, pewnie nigdy by go nie zdobył, gdyby nie ona. To ona go bez przerwy ciągnęła, prośbą i groźbą, jakby z takim brzemieniem na plecach jej sukces był łatwiejszy do udźwignięcia. Z jakiegoś powodu, którego nigdy nie sprecyzowali i o którym nigdy nie rozmawiali, oboje uważali, że to ona ma wobec niego dług wdzięczności, a nie odwrotnie. Później zawsze ją złościło to poczucie, że jest mu coś winna.

Dlaczego jednak przez całe studia trzymali się razem jak pa-
pużki nierozłączki, tego nie rozumiał nikt. Nigdy przecież nie
zostali kochankami, nie posunęli się dalej poza delikatne
obściskiwanie się po kilku kieliszkach, a mimo to tworzyli
niezwykłą parę przyjaciół, nierozłącznych, wiecznie się
kłócących, ale zawsze pełnych wzajemnej troski, dzięki czemu
stali się wręcz nietykalni i odporni na niezliczone pułapki
cyhające w okresie studiów.

-Jeśli chodzi o twój status świadka, to w tej chwili mam go
gdzieś. Najważniejsze, żeby facet zaczął mówić. A najwyraźniej
nie zacznie, dopóki nie zgodzisz się zostać jego obrońcą. Do
tego całego świadkowania wrócimy, jeśli ktoś się przyczepi, a
nim to się stanie, na pewno upłynie dużo czasu.

„To całe świadkowanie”. Håkon nigdy zbyt precyzyjnie nie
posługiwał się językiem prawniczym, teraz jednak Karen Borg
nie potrafiła tego tak gładko przełknąć. Håkon był w końcu
młodszym prokuratorem policji, a więc strażnikiem prawa i
porządku. Karen Borg bardzo chciała nadal wierzyć, że policja
traktuje prawo poważnie.

- Nie mogłabyś z nim przynajmniej porozmawiać?

- Pod jednym warunkiem. Wyjaśnisz mi, i to wiarygodnie,
skąd on wie, kim jestem.

- To akurat był faktycznie mój błąd.

Håkon uśmiechnął się z wyrazem takiej ulgi, jaką odczuwał
za każdym razem, gdy Karen wytłumaczyła mu coś, co
wcześniej dziesięć razy czytał bez zrozumienia. Potem przyniósł
z sekretariatu dwie filiżanki kawy i opowiedział historię o
młodym obywatelu Holandii, którego jedyny związek z życiem
gospodarczym - przynajmniej według wstępnych teorii policji -
polegał na szmuglowaniu narkotyków w Europie. Historia
wyjaśniała, w jaki sposób tenże Holender, który obecnie,
milcząc jak głaz, czekał na Karen Borg w najokropniejszej
oficynie Norwegii, czyli w areszcie Komendy Okręgowej Policji
w Oslo, dowiedział się, kim jest akurat Karen Borg - niezna-
na szerzej opinii publicznej, ale odnosząca wielkie sukcesy
trzydziestopięcioletnia prawniczka specjalizująca się w
sprawach gospodarczych.

- Brawo dwa-zero wzywa zero-jeden.

- Zero-jeden do Brawo dwa-zero. O co chodzi?

Policjant mówił cicho, jakby czekał na powierzenie mu w zaufaniu jakiejś tajemnicy. Tak jednak nie było. Miał właśnie dyżur w centrali operacyjnej, a głośne mówienie było tu tabu, stanowczość cnotą, a zwięzłość - koniecznością.

Umundurowani funkcjonariusze siedzieli w tym amfiteatralnie urządzonej pomieszczeniu niczym kury na grzędzie, wpatrzeni w wiszący na przeciwległej ścianie ogromny plan Oslo. W centrali usytuowanej w samym środku budynku policji nie było ani jednego okna, a mimo to noc i tak się tu wdzierała. Wszystko za sprawą łączności z wozami patrolowymi życzliwego numeru 002, służącego pomocą mniej lub bardziej potrzebującym mieszkańcom miasta.

- Na Bogstadveien na trotuarze siedzi mężczyzna. Nie można się z nim dogadać. Ma zakrwawione ubranie, ale nie widać, żeby był ranny. Żadnego dowodu tożsamości. Nie stawia oporu, ale zakłóca ruch. Przywozimy go.

- W porządku, Brawo dwa-zero. Zgłóście się, kiedy znów będziecie wyjeżdżać. Zero-jeden, bez odbioru.

Nieco ponad pół godziny później mężczyzna zabrany z ulicy stał już w izbie przyjęć. Ubranie rzeczywiście miał solidnie zakrwawione. Przeszukiwał go młodzieńki uczeń szkoły policyjnej, z gołymi jeszcze pagonami, bez jednej belki, która chroniłaby go przed taką właśnie brudną robotą. Chłopak był śmiertelnie przerażony, pewnie bał się krwi, być może zarażonej wirusem HIV. Dłońmi w rękawiczkach ściągnął z tamtego rozpiętą skórzaną kurtkę, pod którą był równie brudny T-shirt, pierwotnie biały. Krew poplamiała też dżinsy, chociaż i bez tego facet nie wyglądał na szczególnie zadbanego.

- Dane osobiste - poprosił dyżurny zmęczonym głosem, wyglądając ponad kontuarem.

Mężczyzna nie odpowiedział, tęsknie natomiast zerknął na paczkę papierosów, którą słuchacz szkoły policyjnej schował

już do papierowej torby razem z zabraną złotą obrączką i pękiem kluczy związanych nylonową żyłką. Jedyne uczucie, jakie malowało się na twarzy zatrzymanego, to było pragnienie zapalenia papierosa, ale i ono zniknęło, kiedy tylko chłopak oderwał oczy od torby i spojrzał na dyżurnego. Od policjanta dzieliła go solidna barierka umocowana do betonowej posadzki jakieś pół metra przed wysokim i szerokim drewnianym kontuarem, zza którego ledwie widać było nos i rzadkie siwe włosy funkcjonariusza.

- Twoje dane, człowieku! Jak się nazywasz? Kiedy się urodziłeś?

Nieznajomy uśmiechał się, ale nie była to drwina. Raczej łagodna sympatia dla zmęczonego policjanta, jak gdyby chłopak chciał przekazać, że jego milczenia nie należy traktować w kategoriach osobistych. Nie zamierzał nic mówić, więc dlaczego po prostu nie zamkną go w celi, żeby mieć to już za sobą? Uśmiech był wręcz przyjazny, chociaż milczący. Dyżurny źle go jednak zrozumiał.

- Zaprowadź go do celi! Czwórka jest wolna. Niech tu, do cholery, nie stoi i dłużej mnie nie prowokuje!

Chłopak nie protestował. Posłusznie poszedł do celi numer cztery. W korytarzu przed drzwiami do każdej z cel stały buty. Zniszczone obuwie przeróżnych rozmiarów, niczym wizytówki informujące, kto za drzwiami mieszka. Chłopak pewnie się domyślił, że ta reguła dotyczy również jego, w każdym razie bez ponaglania zrzucił adidas i ustawił je porządnie przy drzwiach.

Cela miała mniej więcej trzy metry na dwa i była totalnie przygnębiająca - jasnożółte, puste, bez najmniejszego nawet graffiti ściany i podłoga. Jedyнным plusem, jaki mógł przyznać temu pomieszczeniu, dalekiemu od hotelowego pokoju, było to, że gospodarze najwyraźniej nie oszczędzali prądu. Światło świeciło zbyt mocno, a temperatura musiała dochodzić co najmniej do dwudziestu pięciu stopni.

Tuż za drzwiami znajdował się kibel; to coś nie zasługiwało na określenie ubikacja czy toaleta. Było to wymurowane podwyższenie z dziurą pośrodku. Na ten widok chłopak poczuł,

jak żołądek mu się ściska, zapowiadając poważne zatwardzenie.

Brak jakichkolwiek napisów pozostawionych na ścianach przez wcześniejszych gości nie oznaczał, że miejsce to nie jest często odwiedzane. Wprawdzie chłopak też nie przyszedł tu prosto spod prysznic, to jednak rodzimy fetor - mieszanka szczyń i ekskrementów, potu i lęku, strachu i przekleństw - sprawił, że jego żołądek znów zaprotestował. Wszystko to musiało po prostu wsiąknąć w ściany, bo na pierwszy rzut oka w pomieszczeniu było naprawdę czysto. Prawdopodobnie splukiwano je codziennie.

Zza pleców dobiegł go szczeł ryglowanych drzwi, a potem głos mężczyzny z sąsiedniej celi:

- Cześć, jestem Robert. Jak ci na imię? Czego gliny od ciebie chcą?

Ale Robert też nie miał szczęścia. Po chwili i on musiał skapitulować, podobnie jak tamten policjant.

- Gnojek! - mruknął po kilku minutach, na tyle jednak głośno, by komunikat dotarł do adresata.

Na końcu celi znajdowało się poprzeczne podwyższenie. Przy dużej dawce dobrej woli dałoby się może nazwać je pryczą, ale nie miało materaca, nigdzie nie było też koca. No i dobrze, bezimienny aresztant już i tak się oblewał potem. Po chwili położył się, wtykając pod głowę zwiniętą skórzaną kurtkę, i natychmiast zasnął.

Kiedy w niedzielę, pięć po dziesiątej, młodszy prokurator policji³ Håkon Sand przyszedł do pracy, anonimowy więzień jeszcze spał. Håkon Sand nic o nim jednak nie wiedział. Miał kaca, a nie powinien. Był zły na siebie, ale co z tego? Mundurowa koszula i tak lepiała się do ciała. Idąc do pokoju prokuratorów, wsunął palec pod kołnierzyk, starając się zyskać chociaż trochę luzu. Mundur to niezłe gówno. Początkowo wszyscy byli nim zafascynowani, w domu stawali przed lustrem, wypinali się, gładzili palcami dystynkcje na pagonach,

3 W Norwegii prokuratura na szczeblu odpowiadającym polskiemu prokuraturom rejonowym jest połączona z policją, a prokuratorzy są jednocześnie funkcjonariuszami policji.

belkę, koronę i jedną gwiazdkę aplikanta. Gwiazdki z czasem mogły się rozmnożyć do dwóch lub trzech, pod warunkiem jednak, że zdoła się wytrzymać dostatecznie długo, by zdobyć stopień młodszego prokuratora lub prokuratora policji. Tymczasem uśmiechali się do odbicia w lustrze, mimowolnie prostowali plecy, stwierdzali, że włosy trzeba ostrzyć, czuli się czyści i zadbani, wystarczyło jednak kilka godzin spędzonych w pracy, a okazywało się, że w akrylowych ciuchach zaczynają cuchnąć, a sztywny kołnierzyk koszuli zostawia na szyi bolesną czerwoną smugę.

Dyżury prokuratorskie uważano za kompletne dno, wszyscy jednak chcieli je brać. Praca była z reguły nudna, a przez to nieznośnie męcząca, nie wolno było się nawet zdrzemnąć, chociaż zakaz ten zazwyczaj łamano. Tyle że dobrze płacono. Każdy prokurator z rocznym stażem miał mniej więcej jeden dyżur w miesiącu, co zapewniało dodatkowe pięćdziesiąt tysięcy rocznie. Było więc warto. Najważniejszą jednak wadą było to, że dyżur zaczynał się o trzeciej po południu, czyli po pełnym dniu pracy, a kiedy kończył się o ósmej następnego dnia rano, płynnie przechodził w zwykły, nowy dzień roboczy. W weekendy dyżury zostały podzielone na dwudziestoczwierogodzinne zmiany, przez co stawały się wyjątkowo lukratywne.

Poprzedniczka Sanda już się niecierpliwiła. Chociaż według regulaminu zmiana powinna nastąpić o dziewiątej, zgodnie z cichą umową ci, którzy rozpoczynali dyżur w niedzielę, mogli zjawić się godzinę później. Osoba schodząca z dyżuru zawsze wtedy przestępowała już z nogi na nogę, i tak też zachowywała się jasnowłosa aplikantka.

- Wszystko, co musisz wiedzieć, jest w dzienniku - oświadczyła.

- Kopie dokumentów tej sprawy zabójstwa z piątku wieczorem masz na biurku. Dużo dziś roboty. Już wypisałam czternaście propozycji dobrowolnego poddania się karze i dwa postanowienia z paragrafu jedenaste.

Niech to cholera! Mimo najszczerzych chęci Håkon Sand nie mógł zrozumieć, dlaczego to on ma być bardziej

kompetentną osobą do podejmowania decyzji o przejęciu opieki nad nieletnim niż ludzie z Urzędu Ochrony Praw Dziecka. A zawsze to właśnie policja musiała decydować, gdy sytuacja jakiegoś dzieciaka pogarszała się nagle poza godzinami pracy urzędu. Tyle że dwa postanowienia w sobotę to - statystycznie rzecz biorąc - ani jednego w niedzielę. Przynajmniej mógł mieć taką nadzieję.

- Poza tym w oficynie jest pełno. Zrób rundę od razu, jak tylko będziesz mógł - dodała blondynka.

Wziął od niej klucze i przypiął je sobie do paska. Zajrzał do podręcznej kasetki - zawierała to, co powinna. Liczba blankietów paszportowych też się zgadzała. Dziennik prowadzony był na bieżąco.

Formalności zostały zakończone. Håkon postanowił natychmiast zaliczyć rundę wlepiania grzywien. Nim wyszedł z pokoju, przejrzał jeszcze dokumenty leżące na biurku. O zabójstwie słyszał w wiadomościach z regionu Østlandet. Zmasakrowane zwłoki znaleziono nad rzeką Aker. Policja nie ma żadnych śladów. Frazes, pomyślał. Policja zawsze ma jakieś ślady, tyle że często okazują się zbyt słabe.

Teczki ze zdjęciami wykonanymi na miejscu zdarzenia naturalnie jeszcze nie dołączono. W zielonej okładce znalazło się jednak kilka fotografii wykonanych polaroidem. Były straszne. Håkon Sand do tej pory nie przyzwyczyił się do zdjęć martwych ludzi. A przecież w ciągu pięciu lat spędzonych w policji, przy czym trzy ostatnie lata w wydziale A 2.11, grupie do spraw przestępstw przeciwko życiu i zdrowiu, widział ich dość. Wszystkie podejrzane zgony zgłaszano policji, która umieszczała je w systemie komputerowym, oznaczając kodem POD. „Podejrzany zgon” to pojęcie dość szerokie. Håkon widział więc ludzi spalonych, utopionych, zatrutych spalinami, zakłutych nożem, zastrzelonych i uduszonych. A nawet takich, którzy żyli w całkowitej samotności, i w całkowitej samotności, niezauważeni przez nikogo, umierali. Dowiadywano się o tym dopiero wtedy, kiedy sąsiad z dołu poczuł nagle nieprzyjemny zapach w jadalni i zobaczył na suficie wykwyty wilgoci, po czym oburzony dzwonił na policję; nawet tych nieszczęśników

rejestrowano jako „POD” i honorowano w ten wątpliwy sposób, że ostatnie zdjęcia wykonywano im *post mortem*. Håkon Sand oglądał zwłoki zielone, zwłoki niebieskie, zwłoki czerwone, żółte i wielobarwne, a także pięknie różowe - zatrute tlenkiem węgla ciała, których dusze nie mogły już dłużej wytrzymać na tym świecie.

A mimo to zdjęcia z polaroida okazały się bardziej drastyczne niż większość, które oglądał do tej pory. Odrzucił je gwałtownym ruchem. I jakby chcąc o nich jak najszybciej zapomnieć, sięgnął po raport. Suche fakty spisane nieporadnym językiem. Håkon Sand ze złością zmarszczył brwi. Podobno wymagania stawiane kandydatom do Wyższej Szkoły Policyjnej były coraz surowsze, nie obejmowały jednak - jak widać - umiejętności wyrażania się na piśmie.

Jego uwagę przykuła końcówka raportu:

„Przy wskazywaniu miejsca zdarzenia obecna była świadek Karen Borg. Znalazła ciało podczas spaceru z psem. Zwłoki były obrzygane. Świadek Borg powiedziała, że to ona”.

Adres i tytuł zawodowy świadka potwierdziły, że chodzi o tę właśnie Karen. Håkon przeciągnął palcami przez włosy i stwierdził, że należało je rano umyć. Pomyślał chwilę i postanowił w tygodniu zadzwonić do Karen. Skoro na nim takie wrażenie zrobiły tylko zdjęcia, to zwłoki musiały być w naprawdę strasznym stanie. Tak, na pewno do niej zadzwoni.

Odłożył papiery na stół i zamknął teczkę. Na moment zatrzymał się na litanii nazwisk wypisanych na górze z lewej strony: Sand/ Kaldbakken/Wilhelmsen. A więc to jemu przydzielono sprawę. Kaldbakken był nadzorującym komisarzem, a Hanne Wilhelmsen miała kierować śledztwem.

Przyszła pora na grzywny.

W niedużej drewnianej kasetce znalazł gruby plik kart zatrzymania. Pełne obłożenie. Szybko przerzucił papiery. Głównie pijaństwo. Jeden damski bokser, jeden najwyraźniej chory psychicznie, który w ciągu dnia miał być przewieziony do szpitala Ullevål, i jeden poszukiwany złodziej; ci trzej ostatni posiedzą jeszcze, pijakami zajmie się po kolei. Cel karania ich grzywną pozostawał dla Håkona bardzo niejasny, większość

wypisanych mandatów i tak trafiała do najbliższego śmietnika, a nieliczne, które płacono, obciążały konto pomocy społecznej. Taki obieg publicznych pieniędzy przyczyniał się, oczywiście, do utrzymywania zatrudnienia na pewnym poziomie, ale trudno go raczej nazwać rozsądnym.

Wreszcie pozostała jedna karta zatrzymania. Bez nazwiska.

- Co to jest?

Odwrócił się do dyżurnego, otyłego pięćdziesięcioletniego mężczyzny, który z pewnością nie mógł liczyć na więcej niż trzy belki, jakie już zresztą miał na pagonach; cóż, w końcu przyznawano je za staż pracy, a nie za kwalifikacje. Håkon Sand już dawno się przekonał, że facet jest po prostu głupi.

- Jakiś idiota. Już siedział, kiedy przyszedłem na służbę. Podobno odmówił podania personaliów.

- A co zrobił?

- Nic. Rozsiadł się gdzieś na środku ulicy. Cały zakrwawiony. Możesz mu wlepić grzywnę za to, że nie chce podać nazwiska. I za zakłócanie porządku. I za to, że jest gnojkiem.

Po pięciu latach w policji Sand nauczył się, że czasami trzeba policzyć do dziesięciu. Teraz jednak musiał dojść aż do dwudziestu. Nie chciał konfliktu wyłącznie z powodu jakiegoś durnia w mundurze, który nie rozumie, że pozbawianie ludzi wolności to odpowiedzialność.

Idąc do celi numer cztery, Håkon Sand na wszelki wypadek zabrał ze sobą szefa aresztu. Okazało się, że mężczyzna bez nazwiska już nie spał. Patrzył na nich ze zrezygnowaną miną, wyraźnie powątpiewając w ich dobre zamiary. Wyraźnie sztywny i zdrętwiały usiadł na pryczy i wymówił pierwsze słowa, odkąd znalazł się w areszcie:

- Czy mógłbym dostać coś do picia?

Mówił po norwesku, ale jednocześnie jakby nie po norwesku. Håkon Sand nie potrafił stwierdzić, w czym rzecz, bo zdanie zostało sformułowane idealnie, a mimo to było w nim coś obcego. Czyżby znorweszczony Szwed?

Oczywiście dostał coś do picia; colę kupioną za własne pieniądze przez Håkona Sanda. Pozwolono mu nawet wziąć prysznic, dostał też czysty T-shirt i spodnie. Także przyniesione

z szafki Sanda. Specjalne traktowanie zatrzymanego wzbudziło niezadowolenie pracowników aresztu, ale Håkon Sand kazał po prostu zapakować zakrwawione łachy do torby i oświadczył:

- To ubranie to ważny materiał dowodowy!

Młody człowiek naprawdę nie chciał nic mówić. Wprawdzie dokuczliwe pragnienie po tylu godzinach spędzonych w gorącej celi rozwiązało mu język, ale zaraz się okazało, że potrzeba komunikowania się była bardzo tymczasowa. Kiedy zaspokoił pragnienie, znów zamilkł.

Niewielki pokój należący do Hanne Wilhelmsen był potwornie zagracony. Stała tu dwudrzwiowa szafa na dokumenty, trzy rzędy brzydkich aluminiowych półek wypełnionych segregatorami i biurko z dziwnie pochyłym blatem. Była to sprawka zakładowego lekarza, który wpadł kiedyś na pomysł zatrudnienia ergoterapeuty, a ten oświadczył, że pochyłe blaty są świetne na kręgosłup. Nikt jego wywodów nie rozumiał, a wkrótce nawet przekonali się, że konieczność nieustannego schylania się po rzeczy spadające z takiego blatu tylko pogłębia problemy z kręgosłupem. Poza tym w pokoju mieściły się już tylko dwa krzesła, a na jednym z nich siedział zatrzymany.

Uroczą Hanne Wilhelmsen niedawno awansowała na sierżanta. Po szkole policyjnej, którą ukończyła jako najlepsza na roku, dziesięć lat pracowała w Komendzie Okręgowej Policji w Oslo. O Hanne wszyscy mówili dobrze, co już samo w sobie było niezwykłym osiągnięciem w miejscu pracy, w którym dziesięć procent czasu poświęca się na mówienie źle o innych. Okazywała posłuszeństwo zwierzchnikom, a przecież nikt nie uważał jej za lizuskę, miała też odwagę wygłaszać własne opinie, była lojalna wobec systemu, chociaż od czasu do czasu zgłaszała propozycje ulepszeń, które na ogół okazywały się na tyle dobre, że je realizowano. Oprócz tego miała intuicję, jaką obdarzony jest zaledwie jeden na stu policjantów. Takie czucie w koniuszkach palców, które mówiło, kiedy podejrzanego trzeba kusić i prosić, a kiedy mu grozić i uderzyć pięścią w stół.

Hannę szanowano i podziwiano. Zaslugiwała na to, a jednak

nikt z pracujących w tym wielkim szarym budynku tak naprawdę jej nie znał. Zawsze brała udział w dorocznych świątecznych przyjęciach organizowanych przez wydział, w letnich zabawach, a od czasu do czasu przychodziła nawet na jakieś urodziny, świetnie tańczyła, rozmawiała o pracy i obdarzała wszystkich wokół promiennymi uśmiechami, ale zawsze wychodziła do domu dziesięć minut po pierwszej osobie opuszczającej imprezę. Ani za wcześnie, ani za późno. Nigdy się też nie upijała, w związku z czym nigdy się nie wygłupiała. Z nikim się nie przyjaźniła i nikt nigdy się do niej nie zbliżył. Hanne Wilhelmsen czuła się dobrze ze sobą i ze światem, ale wykopała głęboką fosę odgradzającą jej życie zawodowe od prywatnego.

Prawda była taka, że Hanne Wilhelmsen kochała inną kobietę i uważała, że upublicznienie tej wiadomości zniszczyłoby idealny obraz osoby, który przez tyle lat tworzyła. Jedno gwałtowne potrząśnięcie długimi ciemnobrązowymi włosami wystarczało, by uciąć wszelkie pytania na temat wąskiej obrączki na prawej dłoni, jedynej biżuterii, jaką nosiła. Obrączkę dostała od swojej partnerki, gdy jako dziewiętnastolatki zamieszkały razem. Owszem, krążyły różne plotki, zawsze krążą, ale Hannę była taka ładna, taka kobieca, a i lekarka, którą daleki znajomy znajomego trochę znał, a którą ktoś inny widział kilka razy z Hanne Wilhelmsen, też zachwycała niemal cukierkową urodą. Plotki nie mogły więc być prawdziwe. Poza tym Hanne Wilhelmsen, kiedy już musiała wkładać mundur, zawsze występowała w spódnicy; inne policjantki tego nie robiły, bo spodnie były zdecydowanie bardziej praktyczne. Szybko więc uznano, że plotki wynikały z czystej złośliwości.

I tak Hannę żyła swoim życiem, świadoma, że to, co nie zostanie potwierdzone, nigdy nie stanie się do końca prawdą. Najważniejsze dla niej było to, by zawsze, ale to zawsze dobrze wykonywać swoją pracę. Perfekcja otaczała ją jak tarcza obronna. Tego właśnie chciała. A ponieważ nie rozpychała się łokciami i nie miała ambicji wykraczających poza solidne wykonywanie obowiązków, to ani zazdrość, ani zawiść nie były

w stanie obalić otaczających ją obronnych murów.

Hannę uśmiechnęła się do Håkona Sanda.

- Nie wierzysz, że będę zadawać właściwe pytania?

- Przestań. Przecież wiem, że to twoja gra. Mam tylko wrażenie, że coś w tym jest. I tak jak mówiłem, jeśli nie jesteś temu za bardzo przeciwna, chętnie będę się przysłuchiwał. To nie jest wbrew regulaminowi - dodał szybko.

Znał jej potrzebę trzymania się ustalonych zasad i szanował ją za to. Obecność policyjnych prokuratorów podczas przesłuchania podejrzanego była rzeczą niezwykłą, ale dopuszczaną przez regulamin. Już wcześniej mu się to zdarzało, głównie dlatego, że chciał sprawdzić, jak to się odbywa w praktyce, chociaż czasami szczególnie angażował się w jakąś sprawę. Funkcjonariusze zazwyczaj nie mieli nic przeciwko jego obecności, wręcz więcej

- jeśli siedział cicho i nie mieszał się do przesłuchania, większości zdawało się to pochlebiać.

Jak na sygnał oboje odwrócili się do zatrzymanego. Hannę Wilhelmsen oparła na biurku prawy łokieć, a palce z długimi, pomalowanymi bezbarwnym lakierem paznokciami zaczęły biegać po klawiszach elektrycznej maszyny do pisania, która piętnaście lat temu była szczytem nowoczesności. Teraz jednak brakowało jej „e”, bo czcionka była już wytarta i w efekcie taśma zamiast litery zostawiała na papierze tylko niewielki kleks.

-Jeśli nadal będziesz milczał, będzie to trwało długo. - Głos Hannę brzmiał łagodnie, wręcz współczująco. — Mnie za to płacą, prokuratorowi Sandowi też, ty natomiast dalej będziesz siedział. Prędzej czy później pewnie cię wypuścimy, ale może coś zrobisz, żeby się to stało prędzej?

Młody człowiek pierwszy raz sprawiał wrażenie zdezorientowanego.

- Nazywam się Han van der Kerch - odezwał się po chwili. - Jestem Holendrem, w Norwegii przebywam legalnie. Studiuję.

A więc wyjaśniło się, skąd ten język norweski taki nienorweski. Håkon Sand przypomniał sobie idola swojej młodości, holenderskiego panczenistę Arda Schenka, także doskonale

mówiącego w tym języku, wróciło też wspomnienie starej, uwielbianej w dzieciństwie książki *Holender Jonas* Gabriela Scotta, która w dużym stopniu przyczyniła się do tego, że po latach, podczas międzynarodowych mistrzostw piłki nożnej zawsze kibicował pomarańczowym.

- Nic więcej nie powiem.

Znów zapadła cisza. Håkon Sand czekał na następny ruch Hanne Wilhelmsen.

- No tak, to twój wybór i twoje prawo. W takim razie posiedzimy tu długo. - Wkręciła kartkę do *maszyny*, jakby już teraz wiedziała, że będzie miała co zapisywać. - A na razie posłuchaj, jaką mamy teorię.

Odsunęła krzesło, aż rozległo się nieprzyjemne zgrzytnięcie. Zapropozowała Holendrowi papierosa, sama też zapaliła. Chłopak sprawiał wrażenie wdzięcznego. Håkon Sand był mniej zadowolony, odsunął się razem z krzesłem i otworzył drzwi, żeby zrobić przeciąg. Okno już było uchylone.

- W piątek wieczorem znaleźliśmy zwłoki - mówiła cicho Hanne Wilhelmsen. - Bardzo zmaltratowane. Ten człowiek prawdopodobnie nie chciał umierać, a już z pewnością nie w taki paskudny sposób. Strasznie krwawił. A ty, kiedy cię znaleźliśmy, cały byłeś zakrwawiony. Być może my, policjanci, nie jesteśmy zbyt bystrzy, ale z reguły potrafimy dodać dwa do dwóch. Na ogół wychodzi nam cztery. A teraz wydaje nam się, że właśnie tyle wyszło.

Sięgnęła po popielniczkę stojącą na półce za jej plecami. Była to pozbawiona gustu pamiątka gdzieś z południa Europy, faun z brązowego butelkowego szkła, wykrzywiony w złośliwym uśmiechu, z ogromnym sterczącym fallusem. Absolutnie nie w stylu Hanne Wilhelmsen, pomyślał Sand.

- Wobec tego powiem wprost. - Głos policjantki brzmiał teraz ostrzej. - Jutro dostaniemy wstępne wyniki analizy krwi znalezionej na twoim ubraniu. Jeśli okaże się, że pasuje ona do naszego przyjaciela bez twarzy, to będziemy mieć więcej niż dość, żeby cię aresztować. Potem zabierzemy się do przesłuchania. I będziemy to powtarzać. Może minie tydzień bez żadnej wiadomości od nas, ale znów się zjawimy, na

przykład kiedy będziesz już spał. Posiedzimy kilka godzin, ty nic nie będziesz mówił, więc cię odprowadzimy, i znów po ciebie przyjdziemy. To bardzo męczące. Dla nas oczywiście też, ale my się możemy zmieniać. Z tobą będzie gorzej.

Håkon Sand zaczął mieć wątpliwości, czy Hanne Wilhelmsen w pełni zasłużyła na swoją sławę rycerskiej obrończym regulaminu. Metody przesłuchania, jakie w tej chwili opisywała, zdecydowanie nie występowały w żadnym podręczniku. Miał też wątpliwości, czy wolno w taki sposób grozić zatrzymanemu.

- Masz prawo do adwokata, na koszt państwa - wtrącił się więc do rozmowy.

- Żadnego adwokata! - zaprotestował ostro młody człowiek. Ostatni raz zaciągnął się papierosem, zgasił go przesadnym gestem i powtórzył: - Nie chcę żadnego adwokata. Sam sobie najlepiej poradzę.

Pytające, niemal błagalne spojrzenie powędrowało w kierunku leżącej na stole paczki papierosów. Hanne Wilhelmsen podała mu papierosy i zapalki.

- I uważacie, że to ja. No tak, to może być prawda.

A więc podstawowe potrzeby chłopaka zostały wreszcie zaspokojone: prysznic, skromne śniadanie, coś do picia i dwa papierosy. Najwyraźniej też się już wygadał. Odchylił się do tyłu i znieruchomiał, wpatrzony gdzieś przed siebie nieobecny spojrzeniem.

- No tak. - Sierżant Wilhelmsen zachowywała się tak, jakby cały czas kontrolowała sytuację. - Wobec tego będę mówić dalej. - Zaczęła przeglądać kartki zebrane w bardzo cienkiej teczce z aktami. - Tak więc znaleźliśmy te mało przyjemnie wyglądające zwłoki. Zamordowany nie miał przy sobie żadnych dokumentów, ale nie miał też twarzy. Tyle że nasi chłopcy dobrze znają środowisko ludzi związanych z narkotykami. Wystarczyło im ubranie, ciało i włosy. Uważają też, że to zabójstwo z zemsty, a mnie się to wydaje nawet dość rozsądne. - Splotła palce i założyła ręce za głowę. Masując kark kciukami, patrzyła prosto w oczy Holendra. - Uważam, że zabiłeś tego faceta. Jutro, kiedy przyjdą wyniki badań z Instytutu Medycyny

Sądowej, zyskamy większą pewność. Ale technicy nie będą potrafili mi powiedzieć, dlaczego to zrobiłeś. Dlatego musisz mi pomóc.

Jej słowa pozostały bez echa. Chłopak nawet się nie skrzywił. Wciąż miał na twarzy ten obcy, nieco pogardliwy uśmiezek, zupełnie jakby uważał się za pana sytuacji. A przecież wcale tak nie było.

- Szczerze mówiąc, uważam, że mądrze byś postąpił, zaczynając mówić - ciągnęła niezrażona policjantka. - Może zrobiłeś to na własną rękę, a może na zlecenie. Może nawet zostałeś do tego zmuszony, a to by miało decydujące znaczenie dla twojej przyszłości.

Przerwała, zapaliła kolejnego papierosa i popatrzyła mężczyźnie prosto w oczy. Wciąż milczał. Hannę demonstracyjnie westchnęła i wyłączyła maszynę do pisania.

- Nie ode mnie zależy, jaką karę poniesiesz. Jeśli oczywiście jesteś winny. Ale na pewno byłoby dla ciebie lepiej, gdybym zeznając w sądzie, mogła wtrącić kilka miłych słów o woli współpracy.

Håkon Sand poczuł się nagle tak jak w dzieciństwie, kiedy podczas oglądania srodowego kryminału musiał nagle iść do ubikacji, ale bał się nawet o tym pomyśleć ze strachu, że ominie go coś ekscytującego.

- Gdzie go znaleźliście?

Pytanie Holendra całkowicie zaskoczyło Håkona. Po raz pierwszy dostrzegł też cień niepewności na twarzy policjantki.

- Tam, gdzie go zabiłeś.

- Odpowiedzcie na moje pytanie. Gdzie znaleźliście tego faceta?

I Håkon, i Hannę wahali się.

- Dobrze wiesz, że przy moście Hundremannsbrua nad rzeką Aker - powiedziała Hannę, nie spuszczać oka z młodego człowieka, by nie przeoczyć najdrobniejszego drgnienia w jego twarzy.

- Kto znalazł zwłoki? Kto zgłosił to policji?

Håkon Sand postanowił wykorzystać chwilę zawahania Hannę.

- Spacerowiczka. Adwokat. Tak naprawdę moja przyjaciółka. Mogę się tylko domyślać, co musiała przeżyć.

Hanne Wilhelmsen wpadła we wściekłość, ale Håkon Sand za późno zauważył ostrzegawczy ruch *jej* ręki. Teraz, pod groźnym spojrzeniem, mocno się zarumienił.

Van der Kerch wstał.

- Jednak chcę adwokata - oświadczył nagle. - Tę kobietę. Jeśli ją ściągniecie, przemyślę wszystko i może będę mówił. Jeśli nie, wybieram dziesięć lat w samotności w więzieniu Ullersmo.

Nie czekając na zgodę, podniósł się z krzesła i ruszył w stronę drzwi, gdzie grzecznie czekał na odprowadzenie do celi. Hannę Wilhelmsen poszła za nim, nie poświęcając już ani jednego spojrzenia wciąż czerwonemu jak burak prokuratorowi.

Kawa nie była zbyt dobra, choć świeżo zaparzona. Bezkofeina, jak wyjaśnił Håkon Sand. W ohydnej popielniczce leżało sześć niedopałków.

- Potem była na mnie okropnie wkurzona. Cóż, miała powód. Pewnie sporo czasu upłynie, zanim znów będę mógł uczestniczyć w przesłuchaniu. Ale facet się zaparł. Albo ty, albo nikt inny.

Pocierał skronie i czochrał włosy, które całkiem mu już wyschły.

- Poprosiłem Hanne, żeby przedstawiła chłopakowi wszystkie wady tego wyboru, ale podobno dalej się upiera. Wiem, wygłupiłem się. Ale trochę się zrehabilituję, jeśli zdołam cię namówić, żebyś mi pomogła.

Karen Borg westchnęła. Przez sześć lat nie robiła nic innego poza wyświadczaniem przysług Håkonowi Sandowi. Wiedziała, że i tym razem mu nie odmówi. Ale przynajmniej sprzeda się drogo.

- Nie obiecuję nic ponad to, że z nim porozmawiam - oświadczyła krótko, wstając.

Wyszli z pokoju. Ona przodem, on za nią. Jak za dawnych czasów.

Młody Holender, nalegając na rozmowę z Karen Borg, obiecywał złożenie wyjaśnień, teraz jednak wydawało się, że całkiem o tym zapomniał. Håkon wyszedł z pokoju, zostawiając ich samych.

Karen w milczeniu przyglądała się chłopakowi. Był dobrze zbudowany, miał ładną, chociaż dość zwyczajną twarz, ciemnoblonde włosy, teraz już dłuższe, ale fryzura nadal zachowała niezwykle elegancki i modny kształt. No i jego dłonie - delikatne, wręcz kobiece. Czyżby grał na fortepianie? To ręce kochanka, pomyślała nagle Karen Borg, absolutnie nie mając pojęcia, jak poradzić sobie z tą *sytuacją*. Przywykła do sal konferencyjnych i przestronnych jasnych biur bogato wyposażonych, umiała postępować z mężczyznami w drogich garniturach i krawatach, albo z kobietami noszącymi aktówki i pachnącymi perfumami Shalimar. Wiedziała wszystko o prawie akcyjnym i zakładaniu spółek, a zaledwie trzy tygodnie wcześniej zainkasowała honorarium w wysokości stu pięćdziesięciu tysięcy koron za sprawdzenie obszernego kontraktu dla jednego ze swoich największych klientów. Jej praca polegała głównie na czytaniu liczących pięćset stron umów, sprawdzaniu, czy ujęto w nich to, co obiecano, i wpisywaniu „OK” na okładce. Siedemdziesiąt pięć tysięcy za literę.

Słowa więźnia były najwyraźniej równie cenne.

- Prosiłeś o rozmowę ze mną - zaczęła. - Nie rozumiem jednak dlaczego. Może właśnie od tego zaczniemy.

Chłopak zmierzył ją wzrokiem, ale nadal milczał. Bujał się na krześle, w górę i w dół, w górę i w dół. Zdenerwowało to Karen.

- Nie jestem adwokatem, jakiego potrzebujesz. Znam kilku takich. Mogę zadzwonić w parę miejsc i w mgnieniu oka załatwić ci świetnego obrońcę.

-Nie!

Przednie nogi krzesła uderzyły o podłogę. Holender nachylił się i po raz pierwszy popatrzył Karen prosto w oczy. Powtórzył:

- Nie. Chcę ciebie. Nigdzie nie dzwoń.

W tym momencie Karen uświadomiła sobie, że oto siedzi sam na sam z mężczyzną, który prawdopodobnie jest mordercą. Od tamtego piątkowego wieczoru bez przerwy prześladowało ją wspomnienie pozbawionych twarzy zwłok. Wzięła się w garść. Jeszcze nigdy w tym kraju żaden klient nie zabił swego adwokata, a już na pewno nie w budynku policji. Powtórzyła to sobie w myślach trzy razy i trochę się uspokoiła. Papieros pomógł.

- No to odpowiedz mi wreszcie, czego ode mnie chcesz?

Wciąż milczenie.

- Dziś po południu odbędzie się posiedzenie sądu w twojej sprawie. Nie pójde tam, jeśli nie będę wiedziała, co zeznasz.

Groźba też nie pomogła, chociaż Karen odniosła wrażenie, że w jego oczach pojawił się cień zatroskania. Podjęła więc ostatnią próbę.

- Poza tym zaczyna mi się spieszyć.

I wymownie zerknęła na zegarek. Nad łękiem zaczęła górować irytacja. Narastała. Holender najwyraźniej to zauważył. Krzesło znów zaczęło się przechylać.

- Nie huśtaj się!

Nogi krzesła znów uderzyły o podłogę. Karen zdobyła minimalną przewagę.

- Nie pytam cię o prawdę - mówiła już spokojniejszym głosem.

- Chcę tylko wiedzieć, co zeznasz w sądzie. I muszę dowiedzieć się tego już teraz.

Doświadczenie Karen Borg w postępowaniu z kryminalistami, ale takimi bez śnieżnobiałych kołnierzyków i jedwabnych krawatów, ograniczało się do wrzasku za złodziejem, który odjeżdżał na jej nowiutkim rowerze. Ale w końcu oglądała kryminały w telewizji, a tam adwokat Matlock mówił właśnie: „Mnie nie chodzi o prawdę, chcę wiedzieć, co zeznasz w sądzie”. W jej ustach te słowa nie zabrzmiało może tak samo dobrze, ale chyba poskutkowały.

Upłynęła chwila, chłopak przestał się huśtać, za to szurał krzesłem po linoleum. Odgłos był ze wszech miar irytujący.

- To ja zabiłem tego człowieka, którego znalazłaś.

Karen Borg odczuła bardziej ulgę niż zdumienie. Wiedziała, że to on. Mówił prawdę. Podsunęła mu cukierka. Już wcześniej się zorientowała, że tak jak ona lubi palić z cukierkiem w ustach. Nabrała tego zwyczaju wiele lat temu, trochę wierząc, że mentol zabije nieprzyjemny zapach z ust, a kiedy zrozumiała, że wcale tak nie jest, zdążyła już to polubić.

-To ja zabiłem tego faceta - powtórzył, jakby chciał kogoś przekonać. Nie było to wcale konieczne. - Nie wiem, kto to jest. To znaczy, kto to był. To znaczy wiem, jak się nazywa i jak wygląda. Wyglądał. Ale go nie znałem. Znasz jakichś adwokatów karnistów?

- Oczywiście. - Uśmiechnęła się z ulgą, lecz chłopak nie odwzajemnił uśmiechu. - To znaczy znam i nie znam. Z żadnym się nie przyjaźnię, jeśli o to ci chodzi. Ale znajdziemy dla ciebie dobrego obrońcę. Cieszę się, że rozumiesz, czego potrzebujesz.

-Ja cię nie proszę o załatwienie nowego adwokata. Pytam, czy znasz jakichś, tak prywatnie.

- Nie. Chociaż tak. Paru moich kolegów ze studiów zajęło się sprawami karnymi, ale żaden z nich nie jest w pierwszej lidze. Przynajmniej na razie.

- Często się z nimi widzisz?

- Tylko sporadycznie, raczej przypadkiem.

To była prawda. Przykra prawda. Karen Borg nie miała już zbyt wielu przyjaciół. Jeden po drugim znikali z jej życia. Ścieżki ich życia z czasem całkiem zarosły, choć niekiedy się krzyżowały, a wtedy wypowiadali do siebie kilka uprzejmych zdań nad kuflem piwa wypijanego latem w kawiarnianym ogródku albo przed seansem kinowym w późny jesienny wieczór.

- To dobrze. Wobec tego chcę ciebie. Mogą mnie oskarżyć o to morderstwo, a ja się zgodzę na areszt. Ale musisz załatwić tylko jedno, żebyśmy siedział tutaj, w budynku policji. Niech mnie nie przenoszą do więzienia okręgowego.

Chłopak nie przestawał jej zaskakiwać.

Gazety co jakiś czas - słusznie zresztą - rozpisywały się o dramatycznych warunkach panujących w areszcie w budynku

policji. Cele, w których zatrzymani mieli przebywać najwyżej dwadzieścia cztery godziny, nawet na tak krótki pobyt się nie nadawały. A on tu właśnie chciał zostać. I to na wiele tygodni.

- Dlaczego?

Nachylił się. Czuła jego oddech, nieprzyjemny po kilku dniach bez szczoteczki do zębów, więc się odsunęła.

- Nikomu nie ufam. Muszę pomyśleć. Zastanowię się i za kilka dni znów możemy porozmawiać. Proszę, przyjdź do mnie za kilka dni.

Wyraźnie był bardzo poruszony, wręcz na granicy rozpacz, i Karen po raz pierwszy poczuła dla niego niemal współczucie.

Wstukala numer telefonu, który Håkon naskrobał jej na kartce.

- Skończyliśmy. Możesz po nas przyjść.

Karen Borg uniknęła stawiennictwa w Sądzie do spraw Przesłuchań i dobrze się stało. Wcześniej tylko raz była obecna na posiedzeniu dotyczącym tymczasowego aresztowania - było to w czasie studiów, kiedy ciągle jeszcze wierzyła, że będzie mogła wykorzystywać swoją wiedzę, by pomóc potrzebującym. Siedziała wówczas w sali numer siedemnaście, w ławce dla publiczności. Co pół godziny zapadała decyzja o tymczasowym aresztowaniu kolejnego podejrzanego; spośród jedenastu ludzi tylko jeden przekonał sędziego, że z całą pewnością nie popełnił przestępstwa. Wtedy jeszcze Karen z trudem rozpoznawała, kto jest obrońcą, a kto oskarżycielem, bo w przerwach uśmiechali się do siebie jak najlepsi kumple, częstowali papierosami i opowiadali anegdoty z sal sądowych, dopóki nieszczęsny zatrzymany nie zajął wyznaczonego miejsca, wtedy, niczym prawdziwi aktorzy, rozchodzili się na swoje strony, żeby stanąć do walki. Policja wygrała wtedy dziesięć rund, wszystko toczyło się szybko, wydawało się efektywne, a było bezwzględne. Mimo młodzieńczego zapału i chęci zajmowania się obroną musiała jednak przyznać, że postanowienia wydane przez sędziego przyjmowała bez szczególnej reakcji. Podejrzani, zapewniający o swej niewinności i wściekający się na sąd, wydawali jej się

niebezpieczni, brudni, niesympatyczni i mało przekonujący. Niektórzy płakali, wielu przeklinało. A jednak przyjacielska atmosfera, która powracała na salę sądową, kiedy tylko policjanci chwyтали aresztowanego pod pachy i wyprowadzali z sali sądowej, budziła jej oburzenie. Dwaj przeciwnicy, którzy zaledwie przed chwilą skakali sobie do oczu, odsądzając się nawzajem od czci i wiary, jakby nigdy nie wracali do niedopowiedzianych anegdot, a sędzia wychylał się w ich kierunku, żeby lepiej słyszeć, z uśmiechem kręcił głową i wtrącał zabawne uwagi, dopóki nie zjawił się kolejny nieszczęśnik. Karen Borg doszła wtedy do wniosku, że od sędziów należy trzymać się z daleka, a przyjaźnie zawierać wyłącznie poza salą sądową. Do sądów wciąż miała ten sam nabożny stosunek, dlatego cieszyła się, że w ciągu ośmiu lat pracowanych w kancelarii adwokackiej jej noga ani razu tam nie postąpiła. Udaowało jej się rozwiązywać wszystkie problemy, zanim dochodziło do rozprawy.

Aresztowanie Hana van der Kercha załatwiono w trybie administracyjnym. Podejrzany pisemnie wyraził zgodę na osiem tygodni aresztu z zakazem korespondencji i widzeń, a policja, nie kryjąc zresztą zdumienia, wyraziła zgodę na pozostawienie go w oficynie. Uznano go po prostu za dziwaka.

Karen Borg, którą ominęła więc wizyta w sądzie, wróciła do swojej kancelarii - piętnastu prawników, piętnaście ich sekretarek i dziesięciu aplikantów miało swoje biura na Aker Brygge. Piętro niżej początkowo był sklep z ekskluzywną odzieżą męską, trzykrotnie bankrutujący i zastąpiony teraz przez H&M, oraz McDonald, który zastąpił przytulny i drogi lunch bar. Tak więc towarzystwo nie było może najlepsze, ale sprzedaż lokalu oznaczałaby katastrofalną stratę, poza tym plusem było położenie w samym centrum miasta.

Na szklanych drzwiach widniał napis: Greverud & Co, od nazwiska starego Greveruda, który mimo osiemdziesięciu dwóch lat co piątek zaglądał do kancelarii. Założył firmę tuż po wojnie, bazując przede wszystkim na swoim udziale w procesach o zdradę stanu. W 1963 roku adwokatów było już pięciu, w efekcie bardzo długa nazwa - Greverud, Risbakk, Helgesen,

Farmøy & Nilsen - stała się zbyt męcząca dla sekretarki odbierającej telefony. W połowie lat osiemdziesiątych kupili część tego, co zdaniem wszystkich miało stać się świątynią kapitału w Oslo. Jako jedni z nielicznych zdołali tu przeżyć.

Właśnie w tej na wskroś solidnej firmie studentka Karen Borg dostała swoją ostatnią wakacyjną pracę. W Greverud & Co potrafiono docenić jej wysiłek i bystry umysł. Karen była czwartą dziewczyną, która kiedykolwiek tu próbowała, ale pierwszą, której się powiodło. Kiedy rok później zdobyła dyplom, zaproponowano jej zatrudnienie, ciekawych klientów i niemoralnie wysoką pensję. Nic dziwnego, że uległa pokusie.

I chyba nigdy tak naprawdę nie żałowała. Dała się wciągnąć w fascynujący świat kapitału, uczestniczyła w realnej grze w Monopol, i to w najciekawszym pod tym względem dziesięcioleciu. Okazała się tak dobra, że po rekordowo krótkim czasie, czyli po trzech latach, zaproponowano jej partnerstwo. Nie mogła odmówić. Propozycja jej pochlebila, ale czuła też, że zwyczajnie na nią zasłużyła. Teraz zarabiała półtora miliona koron rocznie i prawie już zapomniała, dlaczego kiedyś, dawno temu zdecydowała się na studiowanie prawa. A popularne wśród lewicujących studentów szale i swetry projektu Sigrun Berg ustąpiły miejsca zgrabnym garsonkom kupowanym na Bogstadveien i kosztującym fortunę.

Zadzwoił telefon. Karen wcisnęła przycisk głośnego mówienia. Wiedziała, że dzwoniący zwykle tego nie lubią, bo ich głos zniekształca wtedy echo, ona jednak uważała, że daje jej to pewną przewagę.

- Dzwoni adwokat Peter Strup - powiedziała sekretarka. - Jesteś teraz na spotkaniu czy może już wyszłaś do domu?

- Peter Strup? A czego on ode mnie chce?

Nie potrafiła ukryć zdumienia. Peter Strup był znany przede wszystkim jako przewodniczący Stowarzyszenia obrońców, osobliwej unii adwokatów specjalizujących się w prawie karnym, którzy czuli się zbyt dobrzy lub zbyt słabi, by być - jak inni - jedynie członkami Norweskiego Związku Adwokatów. Kilka lat wcześniej uznano go za najprzystojniejszego

mężczyznę w Norwegii, poza tym dał się poznać jako jeden z najbardziej wszechstronnych komentatorów niemal wszystkich dziedzin życia. Miał sześćdziesiąt kilka lat, wyglądał na czterdzieści i pokonywał trasę narciarskiego Biegu Birkebeinerów, mieszcząc się w czasie czołówki. Oprócz tego był podobno przyjacielem rodziny królewskiej, czego w sposób godny podziwu nigdy nie potwierdził w obecności jakiegokolwiek dziennikarza.

Karen Borg nigdy go nie poznała, nigdy też z nim nie rozmawiała, chociaż, oczywiście, często o nim czytała.

- Połącz mnie z nim - zdecydowała po chwili wahania.

- Słucham, tu Karen Borg - powiedziała bezbarwnym, niemal obojętnym tonem.

- Dzień dobry, mówi mecenas Peter Strup. Nie zajmę pani dużo czasu. Dowiedziałem się, że wyznaczono panią na obrońcę pewnego Holendra podejrzanego o zabójstwo nad rzeką Aker w piątkowy wieczór. Czy to prawda?

- Owszem, poniekąd się to zgadza.

- Poniekąd?

- Rzeczywiście zostałam wyznaczona, ale niewiele jak dotąd z nim rozmawiałam.

Odruchowo przerzucała leżące przed nią papiery. Nagle rozległ się czarujący śmiech Strupa.

- A od kiedy to zaczęliście pracować za czterysta dziewięćdziesiąt pięć koron za godzinę? Sądziłem, że wynagrodzenie według państwowych stawek nie pokryje nawet czynszu na Aker Brygge. Tak źle już wam się powodzi, że musi pani się wcinać w nasz rynek?

Karen Borg nie uznała tego za złośliwość. Jej stawka za godzinę często znacznie przekraczała dwa tysiące koron, wszystko naturalnie zależało od klienta. Roześmiała się.

- Zarabiamy tyle, że nam wystarcza. To przypadek, że mam bronić tego chłopaka.

- No tak, właśnie tak myślałem. Cóż, sam nie narzekam na brak roboty, ale zwrócił się do mnie jeden z jego kumpli, prosząc, bym mu pomógł. Ten kumpel to mój stary klient, a rozumie pani, my, obrońcy, musimy się opiekować naszymi

klientami, zwłaszcza tymi stałymi. - Znów się roześmiał. - Innymi słowy, chętnie przejmę to zlecenie, bo zakładam, że nieszczęśliwie pani na nim zależy.

Karen nie wiedziała, co odpowiedzieć. Pokusa zrzucenia całej tej sprawy na barki najlepszego karnisty w kraju była naprawdę wielka. Peter Strup z pewnością poradziłby sobie lepiej niż ona.

- Dziękuję, to bardzo miło z pana strony, ale chłopak się uparł, żebym to była ja, i w pewnym sensie obiecałam, że go nie zostawię. Oczywiście przekażę mu tę propozycję i zadzwonię, jeśli sprawa będzie aktualna.

- Dobrze, wobec tego tak się umówmy. Ale na pewno pani rozumie, że powinienem otrzymać tę wiadomość jak najszybciej. Muszę przecież się zapoznać ze sprawą, sprawdzić, co się da zrobić.

Pożegnali się.

Karen czuła się odrobinę dezorientowana. Wiedziała, że podkradanie sobie klientów, czy też - jak to wielu określało - rozsądna zmiana adwokata zdarza się dużo częściej wśród karnistów niż radców prawnych, to jednak dziwiło ją, że także i Peter Strup podobnie postępuje. Niedawno wymieniono jego nazwisko w pewnym reportażu mówiącym o przeciąganiu spraw karnych na miesiące, a nawet i lata, ponieważ najbardziej znani adwokaci mieli długie terminy. Chociaż z drugiej strony taka propozycja jest miła. Szczególnie że prosił go o to kolega van der Kercha. Ona trzymała wszystkich swoich klientów na dystans.

Była już czwarta. Zamknęła leżącą przed nią teczkę z aktami i postanowiła zakończyć dzień pracy. Oddając klucz w recepcji, zorientowała się, że wychodzi z kancelarii pierwsza. Wciąż jeszcze miewała wyrzuty sumienia, jeśli w jej rubryce „Będę jutro...” nie widniało co najmniej dziesięć nazwisk. Dziś jednak prędko odsunęła od siebie wszelkie wątpliwości, wyszła na deszcz i zdążyła *jeszcze złapać zatłoczony tramwaj do domu.*

- Dostałam sprawę karną - mruknęła między jednym a drugim kęsem ryby. Naturalnie mrożonej.

Karen pochodziła z Bergen i w Oslo nie jadła świeżych ryb.

Świeża ryba nie powinna być martwa dłużej niż dziesięć godzin, a w Oslo przedłużało się to do czterdziestu ośmiu godzin. Taka ryba smakowała zdaniem Karen jak gumka do ścierania. Woląла więc już dobrą mrożonkę.

- Raczej powinnam chyba powiedzieć, że mi ją wciśnięto - dodała, przełknąwszy kęs.

Nils uśmiechnął się.

- A ty się w ogóle na tym znasz? Przecież tyle razy się skarżyłaś, że zapomniałaś wszystko, czego się nauczyłaś, z wyjątkiem tych rzeczy, którymi się zajmowałaś w ciągu tych ośmiu lat - powiedział, wycierając usta wierzchem dłoni. Irytujący nawyk, z którym Karen walczyła przez sześć lat wspólnego mieszkania.

- Czy się znam? - Zdziwiło ją, że poczuła się urażona jego słowami, zwłaszcza że wcześniej sama podobnie myślała. - Oczywiście, że się na tym znam. Muszę tylko trochę to sobie odświeżyć. - Oparła się pokusie i nie dodała, że na ostatnim egzaminie z procesu karnego dostała przecież najwyższą ocenę.

Potem opowiedziała Nilsowi całą historię, chociaż - sama nie wiedziała dlaczego - pominęła telefoniczną rozmowę z mecenasem Strupem. Może dlatego, że na myśl o niej czuła się dziwnie nieprzyjemnie. Karen od dziecka nie lubiła mówić głośno o tym, co uważała za trudne. Takie rzeczy należało zachowywać dla siebie. Nawet Nils nie mógł przełamać tej bariery. Jedyną osobą, która kiedykolwiek miała taką szansę, był Håkon Sand. Kiedy jednak zniknął z jej życia, zdobyła wręcz mistrzostwo świata w porządkowaniu swoich spraw po cichu, a spraw innych za odpowiednie honorarium.

Skończyli jeść i Nils zabrał się do sprzątania ze stołu. Nie wydawał się zainteresowany jej opowieścią. Karen usiadła w fotelu i nasłuchiwała, jak Nils zmaga się ze zmywarką. Wkrótce rozległo się też bulgotanie ekspresu do kawy.

- Moim zdaniem on jest śmiertelnie wystraszony - zawołał nagle Nils z kuchni, po czym zajął do salonu i dodał: - Wydaje mi się, że cholernie się czegoś boi.

Genialne! Jakby to nie było oczywiste. Cały Nils. I ta jego zdolność mówienia oczywistości; tym zresztą czarował ją przez

wiele lat. Czasami wydawał się wręcz komiczny, jakby robił to celowo, ale ostatnio zrozumiała, że naprawdę wydaje mu się, iż dostrzega coś, czego inni nie zauważyli.

- Oczywiście, że się boi - mruknęła do siebie. - Tylko czego?

Nils przyniósł kawę.

- Najwyraźniej nie boi się policji - powiedziała, biorąc od niego filiżankę. - Chciał zostać złapany. Usiadł na środku ruchliwej ulicy i czekał na policjantów. Ale dlaczego nie chciał im nic powiedzieć, przyznać się, że to on zabił tego mężczyznę nad rzeką? Dlaczego boi się więzienia, skoro nie boi się policji? I dlaczego, na miłość boską, upiera się, żebym to ja go broniła?

Nils wzruszył ramionami i sięgnął po gazetę.

- *Z czasem* na pewno wszystkiego się dowiesz - stwierdził, wpatrując się w rysunkową historyjkę w gazecie.

Karen zamknęła oczy.

- Na pewno z czasem się dowiem - powtórzyła i ziewnęła, drapiąc psa za uchem.

Wtorek, 29 września

Karen Borg miała za sobą niespokojną noc. Nie było w tym zresztą nic niezwykłego. Zawsze wieczorem szybko morzył ją sen i w ciągu kilku minut zasypiała, ale problem polegał na tym, że się budziła. Na ogół około piątej rano. I nie była w stanie z powrotem zasnąć. W nocy wszystkie problemy wydawały się ogromne, nawet te, które w ciągu dnia pozostawały jedynie niemiłymi cieniami. Drobne nieprzyjemności, które w świetle dnia tak łatwo można było zminimalizować, odsunąć jako nieciekawe, niegroźne czy łatwo naprawialne, na granicy nocy i dnia zmieniały się w ogromne, przesłaniające wszystko upiory. W efekcie często niespokojnie kręciła się w łóżku do wpół do siódmej, kiedy to nagle zapadała w głęboki sen, z którego pół godziny później wyrывał ją budzik.

Tej nocy obudziła się już o drugiej, cała złana potem. Śniło jej się, że siedzi w samolocie bez podłogi, wszyscy pasażerowie bez pasów bezpieczeństwa balansują na zewnątrz, trzymając się tylko słabych uchwytów. Karen z każdą chwilą czuła się coraz bardziej wyczerpana. Samolot nagle zatoczył łuk i zaczął pikować ku ziemi. Ocknęła się w momencie, kiedy się rozbili.

Słyszała kiedyś opinię, że sny o katastrofie samolotowej są oznaką braku kontroli nad własnym życiem. Nie czuła wcale, by jej to dotyczyło.

Był przepiękny, słoneczny, jesienny dzień. Przez ostatni tydzień lało i nagle tej nocy temperatura podniosła się do piętnastu stopni, a rano słońce podjęło ostatni wysiłek, by przypomnieć ludziom, że lato skończyło się wcale nie tak dawno. Drzewa na Olaf Ryes plass były już żółtoczerwone, a światło słoneczne tak ostre, że nawet Pakistańczycy, wystawiający właśnie swe towary z małych kiosków i sklepów wprost na ulicę, wydawali się bladzi. Z Toftes gate dochodził warkot samochodów, ale powietrze wydawało się zdumiewająco świeże i czyste.

Kiedy Karen Borg przed pięciu laty została najmłodszą i

jedyną kobietą wspólniczką w Greverud & Co, ona i Nils długo zastanawiali się nad opuszczeniem Grunerløkka. Zdecydowanie było ich na to stać, zwłaszcza że od czasu, gdy jako studentka zdobyła tu trzydziestometrowe mieszkanie w nadającej się do wyburzenia kamienicy, Grunerløkka nie stała się tym, czym według planów miała być. Kamienicę ocaliło Towarzystwo Przyjaciół Oslo, ale ocalenie polegało wyłącznie na przeprowadzeniu fatalnego - łagodnie mówiąc - remontu za szalone wprost pieniądze. W efekcie czynsz w ciągu trzech lat wzrósł piętnastokrotnie, najubożsi musieli się wyprowadzić i gdyby nie to, że wierzyciele nic by nie zyskali na bankructwie wspólnoty, sprawy potoczyłyby się naprawdę źle. Karen udało się jednak w porę sprzedać mieszkanie i kupić nowe, na strychu w sąsiedniej kamienicy, która jakimś cudem uniknęła działań Towarzystwa Przyjaciół Oslo. Mieszkańcy sami podjęli się wykonać remont, będący częścią przyjętego przez radę miasta planu rewitalizacji całej dzielnicy.

Mimo to Karen i Nils rozważali przeprowadzkę, ale kilka lat temu, w pewien późny i cudowny sobotni wieczór przeanalizowali wszystko. Spisali wszystkie za i przeciw, jak gdyby przygotowywali się do obrony pracy magisterskiej. W końcu doszli do wniosku, że lepiej będzie poświęcić pieniądze na rozbudowę dotychczasowego mieszkania. Wsparli finanse wspólnoty, wykupując pozostałą część strychu, czyli prawie dwieście metrów kwadratowych.

Po ukończeniu prac remontowych mieszkanie zrobiło się naprawdę piękne i drogie. I nigdy nie żałowali swojej decyzji. Kiedy oboje, ze zdumiewającym spokojem, uświadomili sobie, że nie będą mieli dzieci - a świadomość ta narastała w milczeniu przez cztery czy pięć lat, odkąd zrezygnowali z antykoncepcji i nic się nie wydarzyło - zaczęli zapominać o wszystkich uprzedzeniach przyjaciół wobec zanieczyszczonego centrum Oslo. Mieli taras z jacuzzi i grillem, nie musieli pracować w ogródku, a do najbliższego kina mogli dojść piechotą. Chociaż uważali, że idiotyzmem jest wydawanie zbyt wielu pieniędzy na samochód, który będzie stał pod gołym niebem, kupili używanego forda sierrę, ale i tak głównie

korzystali z komunikacji miejskiej lub własnych nóg.

Karen Borg dorastała w Bergen, w dzielnicy Kalfaret. W tamtym okresie największy wpływ na nią wywarły wyrafinowane służby wywiadowcze gospodyń domowych, prawdziwych agentek wyglądających zza zasłonek, zawsze doskonale poinformowanych o każdym najdrobniejszym grzeszku sąsiadów, od nieumytej podłogi po pozamałżeńskie romanse. Teraz wystarczyły dwa dni parę razy do roku spędzone w rodzinnym domu, a już Karen ogarniało poczucie klaustrofobii, czego zresztą nie potrafiła sobie wytłumaczyć, tym bardziej że ona nigdy nie miała nic do ukrycia.

Dlatego pewnie Grunerløkka oznaczało dla Karen po prostu swobodę. Zostali więc tam i nie zamierzali tego zmieniać.

Zatrzymała się przed niewielkim kioskiem, którego drzwi wychodziły wprost na przystanek tramwajowy. Na osobnych stojakach leżały grube stosy tabletołów.

W oczy rzucił jej się nagłówek „Dagbladet”: *Brutalne zabójstwo narkomana ustrząsnęło policją*. Karen sięgnęła po egzemplarz, weszła do kiosku i czytając, rzuciła siedem koron na ladę. Nie patrząc na sprzedawcę, wyszła na ulicę. Akurat podjechał tramwaj. Nie odrywając oczu od tekstu, siadła na wolnym miejscu. Z pierwszej strony odsyłano czytelników na piątą. Pod zdjęciem ukazującym zwłoki, które sama znalazła niespełna cztery doby temu, zamieszczono tekst: *Brutalne zabójstwo niezidentyfikowanego dotychczas trzydziestoletniego mężczyzny to, zdaniem policji, porachunki w środowisku handlarzy narkotyków*.

Zgadzało się to z tym, co powiedział jej Håkon Sand.

Rozzłościła się. Håkon uprzedzał ją przecież, że nic z tego nie może się wydostać na zewnątrz. Całkiem niepotrzebnie. Dziennikarze i tak się dowiedzieli. Karen wyjątkowo nisko ceniła przedstawicieli tej profesji, ale jeszcze bardziej rozgniewały ją przecieki z policji.

Pomyślała o swoim kliencie. Czy dostawał w areszcie gazety? Nie, przecież zgodził się na zakaz korespondencji i widzeń, a to chyba oznaczało również brak dostępu do prasy, telewizji i radia. Ale pewności nie miała.

To go może jeszcze bardziej wystraszyć, pomyślała, zagłębiając się w artykule. Tramwaj, kołyszac się, sunął z szumem przez ulice w sposób charakterystyczny dla nowoczesnych tramwajów.

W tym samym czasie, w zupełnie innej części Oslo siedział mężczyzna zdjęty lękiem przed śmiercią.

Hans A. Olsen był równie zwyczajny jak nazwisko, które nosił. Lata picia i wieczne rozgoryczenie wyryły na jego twarzy charakterystyczne znaki, jego skóra była obwisła i szara, z głębokimi, wyraźnymi porami. Akurat w tej chwili Hans A. Olsen obficie się poccił i wyglądał na więcej niż swoje czterdzieści kilka lat.

Hans A. Olsen był adwokatem. Na początku studiów zapowiadał się obiecująco i dzięki temu zyskał wielu przyjaciół, ale później wszystko się zmieniło. Okres dorastania w surowym, pietystycznym środowisku w południowej części zachodniego rejonu Norwegii zakuł całą jego fantazję i radość życia w ciężkie ołowiane okowy. Po kilku miesiącach pobytu w stolicy wiara, w której został wychowany, spłynęła jakby z deszczem, tyle że młody chłopak nie miał czym jej zastąpić. Nigdy do końca nie uwolnił się od wizji mściwego Boga, z którym nie można się w żadnej sprawie ugodzić, i rozdarty między swoim prawdziwym „ja” a marzeniem o studiach, kobietach, winie i sukcesach akademickich zbyt szybko zaczął szukać pociechy wśród pokus wielkiego miasta. Koledzy ze studiów już wtedy twierdzili, że Hans A. Olsen nie wykorzystuje organów płciowych do czegoś innego niż sikanie. Była to prawda, chociaż nie do końca. Chłopak, niezbyt przystojny i pozbawiony czaru, szybko zrozumiał gorzką prawdę, że kobiety to nie jego działka i że seks można po prostu kupić. Często odwiedzał więc okolice ratusza i dzięki temu zdobył o wiele większe doświadczenie, niż przypisywali mu kumple ze studiów.

Pił dużo, a to uniemożliwiło mu zrobienie dyplomu z takim wynikiem, za jakim przemawiałyby jego początkowe zdolności. Skończył więc studia prawnicze z oceną średnią i dostał pracę

w Ministerstwie Rolnictwa. Pracował tam cztery lata, a po dwuletnim stażu asesora sędziowskiego w północnej Norwegii, do dziś wspominanym jako zło konieczne na drodze ku licencji adwokackiej i ciągle poszukiwanej wolności, rozpoczął własną praktykę.

Znalazł trzech innych adwokatów, z którymi się związał, i szybko dał się poznać jako dziwak, osoba trudna, wpadająca w kompletnie niekontrolowany gniew. Zaakceptowali go jednak, przede wszystkim dlatego, że w przeciwieństwie do innych zawsze był na bieżąco z czynszem i pozostałymi wspólnymi kosztami. Podejrzewali, że miało to raczej związek z jego minimalnymi wydatkami niż ze szczególną zdolnością zarabiania dużych pieniędzy. Tymczasem Hans A. Olsen był po prostu skąpy. Lubował się w szarych garniturach, których miał trzy, w tym dwa już sześćioletnie, co było wyraźnie widać, i na nic więcej nie wydawał pieniędzy. Niezupełnie, wydawał na jedno - na alkohol.

Przez krótki okres, ku zdziwieniu wszystkich, nagle rozkwitł. Zaskakujący zwrot w jego życiu objawiał się częstszym myciem głowy i używaniem dobrej wody po goleniu, która stłumiła nawet nieprzyjemny zapach ciała i równie przykrą woń w jego gabinecie. A pewnego ranka Hans A. Olsen pojawił się nawet w nowych, włoskich, zdaniem jego sekretarki, bardzo eleganckich butach. Za tą odmianą stała naturalnie kobieta, która zgodziła się wyjść za niego za mąż, i to po trzytygodniowej znajomości, czyli w praktyce około pięćdziesięciu półlitrowych szklankach piwa wypitego w Gamle Christiania.

Kobieta była brzydka jak grzech śmiertelny, lecz ci, którzy ją znali, mówili, że jest ciepła, miła i inteligentna. Była diakonisą. Nie okazało się to jednak później przeszkodą na krótkiej drodze ku rozwodowi i ostatecznemu zerwaniu.

Hans A. Olsen miał jednak pewną mocną stronę: kryminaliści byli nim zachwyceni. Walczył o swoich klientów jak mało kto, a ponieważ tak silnie z nimi współodczuwał, nienawidził też gliniarzy, i to bez wyjątku, i nigdy tego nie ukrywał. Jego nieokiełznana wściekłość wielokrotnie prowokowała policyjnych prawników, co często skutkowało

dłuższym pobytem jego klientów w areszcie.

Teraz jednak Hans A. Olsen śmiertelnie się bał. Stojący przed nim mężczyzna celował do niego z pistoletu, którego typu, z powodu ograniczonej znajomości broni, adwokat nie potrafił nawet określić. Ale broń wyglądała groźnie. Olsen obejrzał też w życiu dostatecznie wiele filmów, by rozpoznać tłumik.

- To było cholernie głupie z twojej strony, Hansa - odezwał się mężczyzna z pistoletem.

Hans A. Olsen nienawidził przezwiska Hansa⁴, chociaż było ono naturalną konsekwencją tego, że zawsze przedstawiał się z „A” przed nazwiskiem.

- Chciałem tylko z tobą o tym porozmawiać - pisnął adwokat wciśnięty w fotel.

- Mamy niezrywalną umowę, Hansa - oświadczył tamten przesadnie opanowanym głosem. - Nikt się nie wycofuje. Nikt nie donosi. Musimy być całkiem bezpieczni. Zawsze masz pamiętać, że nie chodzi tylko o nas. Wiesz, jakie jest ryzyko. Nigdy wcześniej nie miałaś zastrzeżeń, a to, co wczoraj powiedziałaś przez telefon, to były groźby, Hansa. My nie możemy akceptować gróźb. Załamię się jeden, polecą wszyscy. Na to nas nie stać, Hansa, chyba to rozumiesz.

- Mam papiery! Dokumenty!

To była ostatnia desperacka próba uczepienia się życia. Pomieszczenie wypełnił nagle ostry zapach odchodów i moczu.

- Nie masz żadnych papierów, Hansa. Obaj dobrze o tym wiemy. Ale na wszelki wypadek muszę przyjąć, że tak właśnie jest.

Strzał zabrzmiał jak krótki, zduszony kaszel. Kula trafiła Hansa A. Olsena w sam środek nosa, potem wbiła się głębiej i z tyłu głowy wyrwała krater wielkości rzepy. Czerwone i szare bryzgi poleciały na szydełkową serwetkę leżącą na oparciu fotela, a duże plamy pojawiły się nawet na ścianie odległej o metr.

Mężczyzna zdjął z prawej dłoni obcisłą gumową rękawiczkę, wyszedł z mieszkania i po prostu zniknął.

4 Hansa - nazwa browaru w Bergen.

Czwartek, 1 października

Zabójstwo mecenasa Hansa A. Olsena szeroko omawiano w prasie. Za życia nigdy nie trafił na pierwsze strony, chociaż usilnie się o to starał, jego zwłoki natomiast pokazano aż w sześciu gazetach, i to na pierwszych kolumnach. Byłby dumny. Koledzy wypowiadali się o nim z należnym szacunkiem, mimo że większość uważała go przecież za gnojka, w efekcie powstał obraz wysoce poważanego i cenionego rycerza sprawiedliwości. Wielu nawet znalazło powody, by krytykować policję, która po raz kolejny nie zdołała znaleźć żadnych śladów w tak poważnej sprawie. Większość raczej się zgadzała, że adwokata wyekspediował w zaświaty jakiś niezadowolony klient, a zważywszy, że było ich niewielu, pościg za przestępcą powinien być krótki i łatwy.

Sierżant Hanne Wilhelmsen nie wierzyła jednak w tę teorię. Czula potrzebę przewietrzenia kilku nieuporządkowanych myśli w towarzystwie prokuratora Håkona Sanda.

Znaleźli sobie miejsce w głębi kantyny, pod oknem, z którego roztaczał się fantastyczny widok na uboższe dzielnice Oslo. Wzięli po filiżance kawy i paczkę czekoladowych ciasteczek.

Hanne Wilhelmsen odezwała się pierwsza.

- Szczerze mówiąc, Håkon, uważam, że między tymi dwoma zabójstwami jest jakiś związek.

Nie wiedziała, jak zostanie przyjęty ten próbny strzał, była więc mocno spięta. Håkon Sand zanurzył w kawie czekoladowy krążek, włożył go do ust i starannie oblizal palce. Wyglądało to dość obrzydliwie. Spojrzał na siedzącą naprzeciwko kobietę.

- Przecież nie ma ani jednego elementu podobieństwa - westchnął z rezygnacją. - Różna broń, różny sposób działania, różne miejsce zdarzenia, bardzo różne osoby i różny czas. Będziesz miała problemy z taką teorią.

- Posłuchaj! Nie wpatruj się aż do oślepienia w różnice. Przyjrzyj się temu, co może łączyć te dwie sprawy.

Wyraźnie ogarniał ją zapał. Zaczęła na palcach wyliczać

argumenty.

- Po pierwsze, zabójstwa popełniono na przestrzeni pięciu dni.

- Nie zważała na lekko drwiący uśmiech Håkona ani na wymownie uniesione brwi. - Po drugie, na razie nie mamy żadnego wyjaśnienia dla żadnego z nich. Udało nam się jedynie zidentyfikować tego znad rzeki Aker. Ludvig Sandersen. Narkoman, i to od zawsze. Z kartoteką dłuższą od mojej ręki. Sześć tygodni temu wyszedł po ostatniej odsiadce. A wiesz, kto był jego adwokatem?

- Domyślam się, że nasz nieżyjący przyjaciel Olsen.

- Bingo! Tu przynajmniej masz coś w rodzaju związku. - Ciągnęła teraz już ciszej. - Sandersen był nie tylko klientem Olsena, ale był z nim też umówiony na spotkanie akurat tego dnia, kiedy zginął. Kalendarz Olsena jest u Heidi, to ona dostała tę sprawę. Ludvig Sandersen miał wyznaczone spotkanie o drugiej w zeszły piątek i zaplanowano je na dwie godziny. Czyli długa rozmowa. Jeśli oczywiście się odbyła. A tego nie wiemy. Przypuszczam, że jego sekretarka nam to wyjaśni.

Håkon Sand zjadł już większość ciasteczek, Hannę zdążyła schwycić zaledwie dwa krążki. Teraz, czekając na odpowiedź, uformowała ze złotego papierka bociana.

Nagle oboje zaczęli mówić równocześnie i zaraz przerwali ze śmiechem.

- Ty pierwsza - powiedział wreszcie Håkon Sand.

-Jest jeszcze jedna rzecz.

Hannę znów mówiła bardzo cicho, chociaż kantyna była prawie pusta.

- Nie zamierzam tego nigdzie zapisywać, w ogóle nikomu o tym nie wspomnę, tylko tobie. Jakiś czas temu przesłuchiwałam pewnego faceta w związku z gwałtem. Zwinęliśmy go na wszelki wypadek, bo był już wielokrotnie notowany i teraz ma zapewnioną wizytę u nas za każdym razem, gdy tylko mamy do czynienia z niewyjaśnioną sprawą o podłożu seksualnym. Szybko go z tej konkretnej sprawy wyeliminowaliśmy, ale on się czymś cholernie denerwował.

Wtedy nie potraktowałam tego poważnie, bo oni zawsze się denerwują jakimiś mniej lub bardziej ciemnymi sprawkami. Ale ten facet naprawdę się bał. Zanim się dowiedział, czego od niego chcemy, nieudolnie proponował nam układ. Powiedział coś - nie powtórzę jego słów dokładnie - że wie o pewnym adwokacie, który jest *odpowiedzialny* za handel narkotykami na dużą skalę. Wiesz, jacy są ci ludzie. Kłamią szybciej, niż popełniają przestępstwa, i nie unikają niczego, co może im pomóc wydostać się z opresji. Dlatego wtedy nie zwróciłam na to uwagi.

Hanne Wilhelmsen mówiła teraz tak cicho, że Håkon musiał nachylić się nad stołem i przekrzywić głowę, żeby cokolwiek usłyszeć. Dla kogoś z zewnątrz mogło to wyglądać jak randka.

- Obudziłam się dziś w nocy i nagle przypomniałam sobie tego faceta. Rano od razu odszukałam tamtą sprawę i sprawdziłam jego nazwisko. Zgadnij, kogo wpisano jako jego obrońcę?

- Olsena?

-Właśnie.

Zapatrzyli się w mglisty obraz miasta za oknem. Håkon Sand głęboko odetchnął parę razy i w zamyśleniu oblizywał przednie zęby. Uświadomiwszy sobie jednak, że to niewłaściwe zachowanie, gwałtownie zamknął usta.

- No to co mamy? - spytał, wyjmując czystą kartkę formatu A4.

- Mamy martwego narkomana - sprawca znany i ujęty, odmawia podania motywu.

Długopis skrobał po papierze.

- Został zabity tak starannie, że nie przeżyłby, nawet gdyby miał dziewięć żyć. Mamy też martwego adwokata, zabitego w bardziej wyrafinowany sposób. Wiemy, że ci dwaj się znali. Byli umówieni na spotkanie w dniu, w którym pierwszy z nich wyciągnął kopyta. Co więcej? - Kontynuował, nie czekając na odpowiedź: - Luźne, bardzo niewiarygodne plotki o handlu narkotykami, którym zajmuje się jakiś nieznany adwokat. Obrońcą faceta - źródła tych plotek - był znany nam już Olsen.

Sierżant Wilhelmsen zauważyła lekkie drganie w kąciku ust

Håkona Sanda, coś jakby skurcz.

- Możliwe, że na coś wpadłaś, Hanne. I to może być coś wielkiego. Ale co teraz robimy?

Po raz pierwszy podczas tej rozmowy Hanne Wilhelmsen odchyliła się na krzesło, potem wybiła kilka taktów palcami po stole.

- Otaczamy się największą tajemnicą - oświadczyła. - To najluźniejszy ślad, nad jakim kiedykolwiek na poważnie pracowałam. Będę cię na bieżąco informować, zgoda?

Patrol Zamętu był czarną owcą, a zarazem wielką dumą komendy. Ubrani w dzinsy, często długowłosi, a niekiedy wyraźnie zaniedbani policjanci, odkąd zaczęli służyć w tym patrolu, nigdy nie czuli się związani żadnym kodeksem, zwłaszcza w kwestii stroju. Czasami jednak gwizdali również na inne nakazy. Regularnie wzywał więc ich na dywanik szef działu kadr, a niekiedy nawet komendant okręgowa. Mówili „tak” i „oczywiście”, obiecywali poprawę, ale zaraz za drzwiami pokazywali środkowy palec. Bardzo niewiele posunęło się jednak na tyle daleko, że trzeba ich było przenieść, przynajmniej na jakiś czas, do zabójczo nudnej służby biurowej. Tak naprawdę to policja kochała tych swoich chłopaków w dzinsach; Patrol Zamętu działał bowiem skutecznie, pracował ciężko i od czasu do czasu stawał się przedmiotem podziwu i odwiedzin kolegów ze Szwecji i Danii, którzy przybywali z mglistymi tylko wyobrażeniami o ich pracy, a wyjeżdżali z bałwochwalczym uwielbieniem.

Jakiś tydzień temu, podczas wizyty policji sztokholmskiej, ekipa szwedzkiej telewizji dosłownie przykleiła się do nich na jeden wieczór. Dwaj chłopcy zabrali więc dziennikarzy do pewnej prostytutki, która zawsze miała gdzieś schowane kilka gramów tego czy owego. Wyważenie drzwi przyszło z łatwością, bo już po poprzednich odwiedzinach futryna ledwie się trzymała. Z nieodłącznym fotografem wpadli do ciemnego salonu. Na podłodze leżał mężczyzna w średnim wieku, ubrany w jaskrawoczerwoną sukienkę z wielkim dekoltem i z psią obrozą na szyi. Gdy tylko się zorientował, kim są goście,

wybuchnął spazmatycznym płaczem. Policjanci go pocieszali, zapewniając, że wcale nie o niego im chodzi. Kiedy jednak na regale wypełnionym nie książkami, tylko przeróżnymi ozdóbkami, odkryli cztery gramy haszyszu i dwie działki heroiny, zażądali od mężczyzny leżącego na podłodze dowodu tożsamości. Szlochając, wyciągnął portfel. Policjant mało nie pękł ze śmiechu

- okazało się, że mieli oto do czynienia z oficerem. W tej sytuacji przerażenie mężczyzny było w pełni zrozumiałe, bowiem tego rodzaju sytuacje policjanci musieli zgłaszać wielkim panom z ósmego piętra, czyli Policijnym Służbom Bezpieczeństwa. Jakie były dalsze losy mężczyzny, tego nikt z Patrołu Zamętu nie wiedział, ale telewizja szwedzka miała mnóstwo zabawy z nagraniami, których w imię przyzwoitości nigdy jednak nie wyemitowano.

Zadanie Patrołu Zamętu określała już sama nazwa - mieli wprowadzać zamęt w środowisku handlarzy narkotyków, udaremniając handel, ścigać zamieszane osoby, a tym samym ograniczać rekrutację nowych członków. Chłopcy z patrolu nie byli wywiadowcami w amerykańskim rozumieniu słowa, dlatego nie zależało im na tym, by nikt ich nie rozpoznał. Niechlujny wygląd miał pomóc lepszemu dogadywaniu się z ludźmi z tego środowiska niż uchodzeniu za kogoś innego. O podziemnym światku Oslo wiedzieli bardzo dużo. Problem polegał na tym, że zbyt rzadko mogli coś udowodnić, chociaż nawet i pod tym względem o głowę wyprzedzali większość innych wydziałów w komendzie.

Hanne Wilhelmsen, nim jeszcze doszła do drzwi ich pokoju, już słyszała głośne rozmowy i hałaśliwe śmiechy. Trzy razy mocno musiała zapukać, nim ktoś otworzył. Drzwi się uchyliły. Na jej widok piegowaty facet z nieprawdopodobnie przetłuszczonymi włosami i ogromną kulą snusu pod górną wargą uśmiechnął się wylewnie. Zauważyła, że tytoń już zaczął mu spływać między zębami.

- Cześć, Hanne. Po co przyszłaś?

Był promiennie życzliwy, ale drzwi wciąż pozostały jedynie uchylone.

Z uśmiechem napała na drzwi. Piegowaty niechętnie ją wpuścił.

W pokoju walały się resztki jedzenia, śmieci, papiery, gazety i półpornograficzne magazyny. W kącie polegiwał mężczyzna z ogoloną na łyso głową, odwróconym krzyżem w jednym uchu, w sztybletach i islandzkim swetrze, który z brudu prawdopodobnie byłby w stanie samodzielnie stać. Był to Billy T. Kończył szkołę policyjną razem z Hanną i był uważany za jednego z najskuteczniejszych i posiadających najpełniejszą wiedzę członków patrolu. Pogodny i życzliwy, łagodny jak baranek musiał w życiu radzić sobie z ogromnym apetytem na kobiety, który w połączeniu z godną pozazdroszczenia płodnością zapewnił mu czwórkę dzieci spłodzonych z czterema matkami. Nigdy z żadną z nich nie mieszkał, ale dzieci, samych synów, kochał ogromnie; dwóch malców dzieliła różnica zaledwie trzech miesięcy. Płaceniu alimentów towarzyszyło jedynie kilka ściszonych przekleństw w dniu wypłaty.

Hannę jego właśnie szukała. Dała krok nad jakimiś ciuchami i innymi przedmiotami blokującymi drogę. Billy T. opuścił magazyn motocyklowy, w którym się zaczytał, i popatrzył na nią z łagodnym zdziwieniem.

- Mógłbyś się ze mną przejść do mojego pokoju?

Billy T. kiwnął głową, rzucił na stół czasopismo, po które zaraz chciwie wyciągnęły się ręce następnego czytelnika, i zszedł razem z Hanną na trzecie piętro.

Hanne Wilhelmsen tak energicznie zerwała z tablicy kartkę, że pinezka upadła gdzieś na podłogę. Nawet się nią nie zainteresowała. Położyła kartkę przed Billym T.

- To spis adwokatów karnistów pracujących w Oslo plus kilku innych, którzy tylko od czasu do czasu biorą sprawy karne. W sumie trzydziestu, tak mniej więcej.

Billy T. przekrzywił okrągłą głowę i z zainteresowaniem wpatrywał się w kartkę.

- Co o nich myślisz? - spytała Hannę.

- Co o nich myślę? O co ci chodzi? - Przesunął palcem po

kartce. - Ten jest w porządku, ten okej, ten to gnojek, ona jest bardzo sensowna - zaczął. - To cię interesuje?

- Chyba raczej nie - mruknęła z wahaniem. - Którzy z nich mają najwięcej spraw narkotykowych? - spytała po chwili.

Billy T. sięgnął po długopis i bez wahania postawił krzyżyki przy sześciu nazwiskach. Hannę wzięła kartkę i długo się w nią wpatrywała. Nim znów się odezwała, wyjrzała przez okno.

- Czy kiedykolwiek słyszałeś jakieś plotki, że któryś z nich może być zamieszany w handel narkotykami?

Billy T. wcale nie wydawał się zdziwiony tym pytaniem.

- Pytasz poważnie, prawda? Cóż, słyszymy całe mnóstwo plotek, tyle że w zdecydowaną większość z nich nie można wierzyć. Ale tobie chyba chodzi o to, czy ja kogoś kiedykolwiek o coś podejrzewałem. Mam rację?

- Właśnie o to mi chodzi.

- No to powiem tak: czasami mamy powody, żeby się zastanawiać. W ciągu ostatnich dwóch lat istotnie coś się wydarzyło na rynku. Może zresztą w ciągu trzech. Coś trudnego do zdefiniowania, czego nie potrafimy określić. Pierwsze to odwieczny problem z narkotykami w więzieniu. Nie dajemy sobie z tym rady. Kontrole są coraz surowsze, ale to absolutnie w niczym nie pomaga. Na ulicy też coś się dzieje. Ceny spadają, a to oznacza dużą podaż. Czysta ekonomia, sama wiesz. Krążą jakieś plotki, ale wskazują w rozmaitych kierunkach. Jeśli więc pytasz, czy w związku z tym podejrzewam o coś któregoś z tych adwokatów, muszę ci odpowiedzieć, że nie.

- Ale jeśli spytam o twoje najgłębsze przemyślenia i intuicję, nie prosząc o żadne dowody, co wtedy powiesz?

Billy T. pogładził się po łysej głowie, sięgnął po kartkę i brudnym palcem wskazał jedno nazwisko. Potem palec przesunął się w dół arkusza i zatrzymał przy kolejnym nazwisku.

- Gdybym wiedział, że coś się dzieje, zacząłbym od tych dwóch - oświadczył. - Może z powodu plotek, a może dlatego, że ich nie lubię. Zrobisz z tym, co zechcesz. Tylko zapomnij, że ja ci to powiedziałem.

- Nigdy nic takiego od ciebie nie usłyszałam - oświadczyła Hannę. - Przecież tak tylko sobie ucieliśmy pogawędkę o

starych dobrych czasach.

Billy T. uśmiechnął się, kiwnął głową, a potem zabrał swoje dwumetrowe ciało z powrotem do bajzlu na piątym piętrze.

Piątek, 2 października

Nowe, niechciane zlecenie wywołało kolejne telefony. Tego dnia przed południem do Karen zadzwonił jakiś dziennikarz z „Dagbladet”; natrętnie uprzejmy i niesamowicie wścibski.

Karen nie miała żadnego doświadczenia w kontaktach z dziennikarzami, dlatego - ku własnemu zaskoczeniu - wręcz zaniemówiła i odpowiadała monosylabami. Dziennikarz najpierw wyraźnie chciał jej zaimponować wiedzą na temat sprawy, a rzeczywiście wiedział dużo, potem jednak zaczął wypytywać.

- Czy podejrzany powiedział, dlaczego zabił Sandersena?

-Nie.

- A mówił, skąd się znali?

-Nie.

- Czy policja ma jakąś teorię w tej sprawie?

- Nie wiem.

- Czy to prawda, że on nie chce żadnego innego adwokata oprócz pani?

- Podobno.

- A znała pani Hansę Olsena, tego zabitego adwokata?

W tym momencie Karen zdecydowanie oświadczyła, że nie ma nic więcej do dodania, uprzejmie podziękowała za rozmowę i odłożyła słuchawkę.

Hansę Olsena? Dlaczego o niego właśnie pytał? Czytała oiekające krwią szczegóły w codziennej prasie, ale tak naprawdę nie zwróciła uwagi na tę sprawę. Nie zainteresowała jej. Nie znała człowieka i nawet przez myśl jej nie przeszło, że mógłby mieć coś wspólnego z jej klientem. Cóż, sprawy wcale nie musiały być ze sobą w żaden sposób powiązane, dziennikarz mógł strzelać w ciemno, sama siebie uspokoiła. Zajrzała do poczty elektronicznej. Okazało się, że od rana próbowało się z nią skontaktować już dziewięć osób, a ich nazwiska wskazywały, że resztę dnia będzie musiała poświęcić swemu najważniejszemu klientowi - Norweskemu

Producentowi Ropy. Wyciągnęła dwa segregatory z jaskrawoczerwonym emblematem NPR, przyniosła filiżankę kawy i zabrała się do studiowania dokumentów. Jeśli skończy w porę, być może zdąży jeszcze przed wieczorem wpaść na komendę. Był już piątek, a ją dręczyły wyrzuty sumienia, że od tamtego pierwszego spotkania nie odwiedziła swego klienta. Postanowiła coś z tym zrobić, i to jeszcze przed weekendem.

Po tygodniowym pobycie w areszcie Han van der Kerch wcale nie stał się bardziej rozmowny. Zdążył się już zadomowić w celi. Dostał przesiąknięty moczem materac i filcowy koc. W jednym kącie przypominającego pryczę podwyższenia ustawił stos tanich książek w miękkich okładkach, codziennie fundowano mu prysznic, powoli też zaczął przyzwyczajać się do panującej tu wysokiej temperatury. Po każdym powrocie z przesłuchania albo spaceru natychmiast rozbierał się i siedział w samych slipach. Z pokoju w akademiku na Kringsjå przywieziono mu bieliznę na zmianę, przybory toaletowe, a na dodatek jeszcze nieduży przenośny odtwarzacz CD.

Kiedy zjawiała się Karen Borg, przyprowadzono go do pokoju na trzecim piętrze. Jej monolog tylko od czasu do czasu przerywany był jego mamrotaniem.

- Na początku tygodnia zadzwonił do mnie Peter Strup. Powiedział, że zna któregoś z twoich kolegów i że chciałby ci pomóc.

Żadnej reakcji, milczenie, może tylko mroczniejszy i bardziej gniewny cień w oczach.

- Znasz mecenasa Strupa? Wiesz, o jakim koledze mówił?

- Tak. Ale chcę tylko ciebie.

- Dobrze.

Karen ogarnęła rezygnacja. Po trwających kwadrans wysiłkach wyciągnięcia z chłopaka czegoś więcej była bliska załamania, nagle jednak Holender pochylił się na krzesło, oparł łokcie na kolanach, bezradnym gestem zakrył twarz dłońmi, potem podniósł wzrok i zaczął mówić:

- Rozumiem, że jesteś zdezorientowana. Sam nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. W zeszły piątek popełniłem największy

błąd w życiu. To było dokonane na zimno, w pełni świadomie okrutne zabójstwo. Dostałem za nie pieniądze. To znaczy obiecano mi, że je dostanę. Jak dotąd nie widziałem jeszcze tej forsy na oczy i pewnie przez ładnych parę lat nie będę aktywny na froncie wierzycieli. Od tygodnia tkwię w tej rozgrzanej celi i zastanawiam się, co mi przyszło do głowy.

Niespodzianie załamał się i wybuchnął płaczem. Karen kompletnie osłupiała. Chłopak, bo teraz wyglądał już całkiem jak nastolatek, zgiął się wpół z głową na kolanach, jakby ćwiczył zasady postępowania w przypadku katastrofy samolotowej, a plecy mu się trzęsły. Po kilku sekundach wyprostował się, żeby nabrać powietrza, i wtedy Karen zobaczyła jego pokrytą czerwonymi plamami twarz. Z nosa mu ciekło, odruchowo sięgnęła więc do torby i wyjęła ligninowe chusteczki. Chłopak wytarł nos i oczy, nadal jednak płakał. Nie miała pojęcia, jak pocieszyć zabójcę, który żałuje tego, co zrobił. Przysunęła krzesło bliżej chłopaka i ujęła go za rękę.

Siedzieli tak jakieś dziesięć minut, chociaż pewnie obojgu wydawało się, że minęła co najmniej godzina. Wreszcie chłopak zaczął oddychać spokojnie. Puściła wtedy jego rękę, bezszelestnie odsunęła krzesło, jakby chciała zatrzeć tę krótką chwilę poufałości i bliskości.

- Może teraz powiesz mi coś więcej? - odezwała się cicho, proponując mu kolejnego papierosa.

Sięgnął po niego drżącą ręką jak kiepski aktor, nie miała jednak wątpliwości, że nie udaje. Podała mu ogień.

- Nie mam pojęcia, co powiedzieć - wydusił wreszcie. - Zabiłem człowieka. Zrobiłem też mnóstwo innych złych rzeczy, ale nie chcę o tym mówić, bo skazą mnie na dożywocie. I nie wiem, jak mam mówić o jednym, żeby nie wspomnieć o tym drugim.

Karen poczuła się zagubiona. Zawsze była dyskretna i rozmowy z klientami zachowywała wyłącznie dla siebie. Inaczej nie miałyby zbyt wielu klientów. Do tej pory jednak wszystkie prowadzone przez nią sprawy dotyczyły pieniędzy, tajemnic przemysłowych i taktyki w życiu gospodarczym. Nigdy nie zwierzono jej się z czynów zdecydowanie podlegających pod kodeks karny i nie bardzo wiedziała, co może przemilczeć, nie

narażając się jednocześnie na konsekwencje. Zanim jednak sobie to do końca przemyślała, uspokoiła Holendra:

- To, co powiesz, pozostanie między nami. Jestem twoim adwokatem i mam obowiązek dochowania tajemnicy.

Po dwóch czy trzech westchnieniach mocno wydmuchał nos i zaczął opowiadać.

- Byłem członkiem czegoś w rodzaju gangu. Mówię „czegoś w rodzaju”, bo tak naprawdę niewiele o tym wiem. Znam jeszcze paru innych, którzy też w tym tkwią, ale to są ludzie działający na tym samym, najniższym poziomie w organizacji. Odbieramy i dostarczamy, od czasu do czasu trochę sprzedajemy. Człowiek, z którym ja się kontaktuję, handluje używanymi samochodami, jego firma mieści się na Sagene. Ale cała ta organizacja jest naprawdę wielka, tak mi się przynajmniej wydaje. Nigdy nie było problemów z pieniędzmi za robotę, którą wykonałem. Taki ktoś jak ja może często jeździć do Holandii, nie ma w tym nic podejrzanego. Poza tym za każdym razem odwiedzałem matkę. - Na jej wspomnienie znów się załamał. - Nigdy wcześniej nie miałem żadnych kontaktów z policją. Ani u siebie w kraju, ani tutaj - zaszlochał. - Niech to cholera! Ile będe siedział?

Karen Borg doskonale wiedziała, co grozi zabójcy, będącemu w dodatku kurierem narkotykowym, nic jednak nie powiedziała, lekko tylko wzruszyła ramionami.

- W sumie zrobiłem z dziesięć czy piętnaście kursów - ciągnął chłopak. - W zasadzie to niesamowicie prosta robota. Podawano mi adres w Amsterdamie, za każdym razem inny. Towar był już zapakowany. W gumki. Połykałem paczki, nie wiedząc, co w nich było. - Urwał na chwilę i zaraz się poprawił. - Wydawało mi się, że to heroina, chyba nawet o tym wiedziałem. Około stu gramów za każdym razem. To ponad dwa tysiące działek. Wszystko szło jak po maśle. Dostarczałem, dostawałem swoje dwadzieścia tysięcy i oczywiście pieniądze na pokrycie wydatków.

Wyjaśniał logicznie, chociaż głos jego zdradzał zdenerwowanie. Drżącymi palcami szarpał chusteczki i z niedowierzaniem wpatrywał się w swoje dłonie, zupełnie jakby nie mógł

uwierzyć, że to właśnie one zabiły człowieka.

- Na pewno jest w to wciągniętych wiele osób, chociaż ja wiem tylko o dwóch czy trzech. Ale to wszystko jest skomplikowane. Ten facet z Sagene z pewnością nie może ciągnąć tego sam. Nie jest dostatecznie bystry. Ale ja o nic nie pytałem, robiłem swoje, dostawałem pieniądze i trzymałem gębę na kłódkę. Dopiero dziesięć dni temu coś się zmieniło.

Karen Borg czuła się tak, jakby wpadła w pułapkę. Niespodzianie znalazła się w sytuacji, nad którą ani trochę nie miała kontroli. Jej mózg rejestrował otrzymywane informacje, a jednocześnie gorączkowo starał się znaleźć odpowiedź na pytanie, co powinna z nimi zrobić. Policzki ją paliły, pot spływał spod pach. Wiedziała, że zaraz usłyszy o Ludwigu Sandersenie, mężczyźnie, którego znalazła w zeszły piątek i który od tamtej pory nawiedzał ją nocami i zadręczał w ciągu dnia. Mocno zacisnęła ręce na podłokietnikach.

- W zeszły wtorek byłem u tego faceta od samochodów - ciągnął Han van der Kerch. Mówił teraz spokojniej i wreszcie przestał szarpać strzępki chusteczek. Po raz pierwszy tego dnia spojrzął Karen w oczy. - Od kilku miesięcy nie dostawałem żadnego zlecenia. Czekałem, że odezwą się w każdej chwili. Założyłem nawet u siebie w pokoju telefon, żeby nie być uzależnionym od wspólnego aparatu na korytarzu. Nigdy nie podnoszę słuchawki, dopóki nie zadzwoni cztery razy. Jeśli zadzwoni dwa razy, potem cichnie, a później znów dwa razy i znów cichnie, wiem, że mam się stawić następnego dnia o drugiej. Sprytne rozwiązanie. Nie została zarejestrowana ani jedna rozmowa między nami z mojego telefonu, a jednocześnie on ma ze mną kontakt. No więc pojechałem tam w zeszły wtorek. Ale tym razem nie było mowy o narkotykach. Podobno jakiś facet zaczął się stawiać, domagać się większych pieniędzy, naciskać na te grube ryby czy coś w tym rodzaju. Niewiele się dowiedziałem, jedynie to, że stanowi zagrożenie dla nas wszystkich. Przeraziłem się. - Han van der Kerch uśmiechnął się ironicznie. - Przez te dwa lata, odkąd się tym zajmuję, nigdy tak naprawdę nie pomyślałem, że mogą mnie złapać. A to, że ktoś w całym tym systemie może stanowić zagrożenie, nawet

nie przyszło mi do głowy. W pewnym sensie czułem się nietykalny. Dlatego, cholera, śmiertelnie się wystraszyłem, kiedy nagle zrozumiałem, że coś może pójść nie tak. W zasadzie to z tego strachu przyjąłem zlecenie. Miałem dostać dwieście tysięcy. Cholerna pokusa. Chodziło nie tylko o zlikwidowanie tego jednego faceta, ale i o to, by wszyscy inni w organizacji się przestraszyli. Dlatego zmasakrowałem mu twarz.

Znów zaczął płakać, choć już nie tak gwałtownie, a łzy nie przeszkadzały mu mówić. Robił tylko trochę dłuższe przerwy, ciężko oddychał, zaciągał się papierosem i momentami dłużej się zastanawiał.

- Ale kiedy już to zrobiłem, kompletnie oszalałem. Od razu zacząłem żałować i przez całą dobę krążyłem po mieście. Niewiele z tego pamiętam.

Karen ani razu mu nie przerwała, nie robiła też żadnych notatek. Ale dwa pytania zbyt mocno cisnęły jej się na usta.

- Dlaczego chciałeś, żebym to ja była twoim obrońcą? - spytała cicho. - I dlaczego nie chcesz, żeby cię przenieśli do więzienia?

Han van der Kerch długo patrzył na nią w milczeniu.

- Znalazłaś zwłoki, chociaż były dobrze ukryte.

- No tak, ale co z tego? Poza tym byłam z psem.

- Mówiłem już, że mało wiem o całej organizacji, ale coś tam się zawsze człowiekowi obije o uszy. Komuś się coś wyrwie, ktoś się przejęzyczy. Wydaje mi się, chociaż nie wiem tego na pewno, ale wydaje mi się, że siedzi w tym jakiś adwokat. Nie wiem kto. Nikomu nie mogę ufać. Ale tamtym zależało, żeby upłynęło trochę czasu, zanim ktoś znajdzie ciało. Im więcej czasu mija, tym ślady mniej gorące. A ty znalazłaś go zaledwie w kilka godzin po tym, jak go załatwiłem. To oznaczało, że nie możesz być w to wciągnięta.

- A więzienie?

- Wiem, że organizacja ma tam kontakty. Przypuszczam, że wśród więźniów, ale może również wśród pracowników. Najbezpieczniej jest pod bokiem cioci policji, chociaż cholernie tu gorąco.

Sprawiał wrażenie, jakby wygadanie się mu ulżyło. Z kolei

Karen czuła się ogromnie przygnębiona, zupełnie jakby brzemień, z którym od tygodnia zmagał się chłopak, przełożono nagle na jej barki.

I wtedy spytał, co zamierza zrobić. Odparła szczerze, że nie wie. Musi się zastanowić.

- Ale obiecałaś, że ta rozmowa zostanie między nami - przypomniał.

Nie odpowiedziała, tylko podniosła do góry dwa złączone palce. Potem wezwała strażnika i Holender wrócił do celi.

Chociaż był to piątek i minęła już szósta, Håkon Sand nadal był w pracy. Karen Borg doszła do wniosku, że widoczny na jego twarzy wyraz zmęczenia, który w poniedziałek przypisywała wyczerpującemu weekendowi, tak naprawdę towarzyszy mu na stałe. Zdziwiła się, że Håkon o tej porze jeszcze pracuje. Wiedziała, że w policji nie płacą za nadgodziny.

- Rzeczywiście, niedobrze jest tyle pracować - przyznał. - Ale gorzej budzić się w nocy z powodu tego, czego się nie zrobiło. W każdy piątek staram się dokończyć wszystko, dzięki temu weekendy mam przyjemniejsze.

W wielkim szarym budynku panowała cisza. Siedzieli w poczuciu niezwykłej bliskości. Nagle rozległo się wycie syreny policyjnej - to na dziedzińcu testowano radiowóz. Dźwięk urwał się równie nagle, jak się zaczął.

-I co? Powiedział coś?

Karen spodziewała się tego pytania, a mimo to czuła się kompletnie na nie nieprzygotowana.

- Nic szczególnego.

Jak dawniej jednak nie potrafiła go okłamywać. Czuła dreszcz na plecach. Miała tylko nadzieję, że na jej twarzy nie pojawi się zdradliwy rumieniec. Ale Håkon i tak ją przejrzał.

- Rozumiem, obowiązek dochowania tajemnicy. - Uśmiechnął się, wyciągnął ramiona do góry, splótł palce i założył ręce za głowę. Karen dostrzegła ciemne plamy potu pod pachami; ku jej zaskoczeniu nie wydały jej się odpychające, raczej naturalne po dzie- sięciogodzinnym dniu pracy.

-Ja to szanuję - ciągnął Håkon. - Sam też niewiele mogę ci

powiedzieć.

- Wydawało mi się, że obrońca ma prawo dostępu do informacji i wglądu w dokumenty.

- Nie wtedy, gdy naszym zdaniem mogłoby to zaszkodzić śledztwu. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej, jak gdyby go bawiło, że zawodowo znaleźli się po dwóch różnych stronach barykady. Wstał i przyniósł dwie filiżanki kawy. Była jeszcze gorsza niż w poniedziałek, Karen poprzestała więc na jednym łyku i krzywiąc się, odstawiła filiżankę.

- Ten zajzajer cię zabije - przestrzegła.

Håkon zignorował ostrzeżenie, twierdząc, że ma koński żołądek.

Sama nie wiedziała, dlaczego czuje się tak dobrze. To był niezwykły, ale o dziwo, przyjemny konflikt, jaki nigdy przedtem nie miał między nimi miejsca; Håkon nigdy wcześniej nie posiadał wiedzy, jakiej i ona by nie miała. Zauważyła błysk w jego oczach. Lekka siwizna na skroniach i niewielkie zakola sprawiały, że wyglądał nie tylko starzej, ale też zdecydowanie ciekawiej. Po prostu zrobił się bardzo przystojny.

- Wypiękniałeś, Håkon - wyrwało jej się.

Nawet się nie zaczerwienił, tylko popatrzył jej w oczy. Karen od razu pożałowała tych słów. Były niczym zrobienie luki w pancerzu, a na to - dawno już to rozumiała - nie mogła sobie pozwolić. Dla nikogo. Błyskawicznie więc zmieniła temat.

- No cóż, skoro nie możemy nic sobie powiedzieć, chyba rozejdziemy się do domów - stwierdziła. Wstała i sięgnęła po kurtkę od deszczu.

Poprosił, żeby jeszcze na moment usiadła. Usłuchała, ale kurtki nie zdjęła.

- Szczerze mówiąc, ta sprawa jest chyba poważniejsza, niż nam się wydawało. Pracujemy teraz nad kilkoma teoriami, na razie są bardzo ulotne i w zasadzie pozbawione wszelkich konkretów... Mogę ci tylko powiedzieć, że wiele wskazuje na handel narkotykami, i to na dużą skalę. Na razie trudno określić, do jakiego stopnia wmieszany jest w to twój klient. Ale i tak jest głęboko umoczony w to zabójstwo. Uważamy, że działał umyślnie. Nie mogę powiedzieć nic więcej, ale - wierz

mi - nie ze złej woli.

Po prostu zbyt mało wiemy. W tej sytuacji, kiedy nie mamy nic poza teoriami i spekulacjami, nawet wobec tak starej przyjaciółki jak ty muszę być ostrożny.

- Czy ma to jakiś związek z Hansem A. Olsenem?

Kompletnie go zaskoczyła. Siedział z otwartymi ustami i tylko się na nią gapił. Przez trzydzieści sekund panowało milczenie.

- Cholera, co ty o tym wiesz?

- Nic, ale rano zadzwonił do mnie pewien dziennikarz, jakiś Fredrick Myhre albo Myhrens czy coś takiego. Z „Dagbladet”. W pewnej chwili zapytał mnie, czy znałam tego zabitego adwokata. W samym środku pytań o mojego klienta. Wygląda na to, że dziennikarze znakomicie się orientują w tym, co się dzieje w policji. Pomyślałam więc, że spytam o to ciebie. Ale ja nic nie wiem. A powinnam?

- Do diabła! - Håkon wstał. - Słuchaj, pogadamy w przyszłym tygodniu.

Kiedy byli już przy drzwiach, Håkon wyciągnął rękę, żeby zgasić światło. Potem, bez najmniejszego ostrzeżenia nachylił się i pocałował Karen. Delikatnie, tak po chłopięcemu.

Przez kilka sekund patrzyli sobie w oczy, wreszcie Håkon zgasił światło, zamknął drzwi na klucz i bez słowa wyprowadził ją z wielkiego, prawie pustego budynku.

Był już weekend.

Poniedziałek, 5 października

Redaktor Fredrick Myhrens czuł się źle. Nerwowo poprawiał podwinięte rękawy marynarki, w końcu zaczął się bawić długopisem i w efekcie plastikowa rurka pękła, a na palcach pojawiły się niebieskie plamy wyciekającego tuszu. Rozejrzał się za czymś, czym mógłby je wytrzeć, ale musiał się zadowolić sztywną kartką wyrwaną z własnego notatnika. Tylko je rozmasał. Poza tym tusz poplamiał najelegantszy jego garnitur. Myhrens nie zauważył, że podwijanie rękawów marynarki dawno wyszło z mody, pewnie ze dwa lata temu, kiedy z telewizji zniknął serial „Miami Vice”. Siedząc teraz w pokoju Håkona Sanda, czuł się skrępowany i niespokojnie się wiercił na krześle.

Prokurator Sand zadzwonił do niego wcześniej rano, nim jeszcze ustąpiło poweekendowe zmęczenie alkoholowe. Grzecznie, chociaż bardzo stanowczo prosił go o jak najszybsze przybycie. Była dziesiąta rano i Fredrick Myhrens ciągle jeszcze miał mdłości.

Sand poczęstował go landrynką z drewnianej miseczki. Dziennikarz wziął cukierek do ust i od razu tego pożałował. Landrynka była duża i nie dawało się nad nią zapanować bez głośnego cmokania. Sand zrezygnował z landrynki, a Myhrens rozumiał teraz dlaczego. Trudno mówić z taką grudą w gębie.

- Rozumiem, że pracujesz nad naszymi zabójstwami - odezwał się wreszcie prokurator; w jego głosie słychać było ironię.

- Owszem, jestem reporterem kryminalnym - odparł Myhrens ostro i ze źle skrywaną dumą. W zapale, chcąc okazać jak największą pewność siebie, zdecydował się nawet wypluć landrynkę, szybko jednak ponownie wsunął ją do ust i po prostu połknął. Przez chwilę czuł powolną i bolesną wędrówkę cukierka do żołądka.

- Co na ten temat właściwie wiesz?

Dziennikarz nie miał pojęcia, co powinien odpowiedzieć. In-

stynkt nakazywał zachowanie ostrożności, ale chęć zatriumfowania nie pozwalała milczeć.

- Myślę, że to co i wy - oświadczył wreszcie, uznając, że jednym ruchem zabił dwie muchy. - A może jeszcze trochę więcej.

Håkon Sand westchnął.

- Posłuchaj. Wiem, że nie powiesz mi ani kto, ani jak. Wiem, że poczytujecie sobie za wątpliwy honor nie ujawniać źródeł. Wcale więc tego nie żądam. Ale proponuję ci umowę.

W oczach Myhrenga pojawił się błysk zainteresowania.

- Mogę potwierdzić, że istotnie na coś wpadłeś - podjął prokurator. - Podobno powiązałeś oba te zabójstwa, chociaż na razie jeszcze nic o tym nie napisałeś. To dobrze. Ujawnienie tego, łagodnie mówiąc, zaszkodziłoby śledztwu. Oczywiście mogę nakłonić panią komendant, żeby zadzwoniła do twojego naczelnego i przycisnęła was. Ale może nie będę musiał.

Dziennikarz wykazywał coraz większe zainteresowanie.

- Obiecuję, że jako pierwszy dowiesz się, co mamy, kiedy tylko będziemy mogli coś ujawnić. Ale to oznacza, że i ty niczego bez mojej zgody nie napiszesz. Więc jak, mogę mieć do ciebie zaufanie?

Fredrickowi Myhrengowi coraz bardziej podobała się ta rozmowa.

- To zależy - odparł z uśmiechem. - Muszę się dowiedzieć czegoś więcej.

- Dlaczego powiązałeś te zabójstwa ze sobą?

- A dlaczego wy to zrobiliście?

Håkon Sand ciężko westchnął. Wstał, odwrócił się do okna i znieruchomiał na pół minuty. Nagle znów się odwrócił.

- Teraz próbuję dotrzeć do ciebie dobrym słowem - powiedział głośno i twardo. - Ale mogę też zaciągnąć cię na przesłuchanie przed sądem. Mogę postawić ci zarzut ukrywania dowodów, które mają istotne znaczenie w sprawie karnej. Może nie zdołam wyciągnąć od ciebie żadnych informacji, ale jestem w stanie urządzić ci piekło. Czy tego chcesz?

Przemowa wywarła pewien skutek. Myhreng zaczął się wiercić na krześle, potem poprosił o powtórzenie zapewnienia,

że będzie pierwszym, który się dowie, kiedy coś się będzie działo. Usłyszał je.

- No dobrze. Tego dnia, kiedy zabito Sandersena, byłem w Gamie Christiania, w tej knajpie. Po południu, chyba około trzeciej. Siedział tam adwokat Olsen właśnie z Sandersenem. Zwróciłem na nich uwagę, ponieważ siedzieli sami. Olsen ma, to znaczy, przepraszam, miał klikę, z którą zwykle pił. Ci ludzie też tam wtedy byli, ale siedzieli przy innym stoliku. Wtedy się nad tym nie zastanawiałem, ale przypomniałem to sobie, kiedy te zabójstwa nastąpiły jedno po drugim. O czym rozmawiali, nie mam pojęcia. Ale to przecież jakiś wyjątkowy zbieg okoliczności! Nic więcej nie wiem. To znaczy domyślam się, ale pewności żadnej nie mam.

W pokoju zapadła cisza, którą mącił tylko szum ruchu ulicznego z Åkebergveien. Na parapecie przysiadła wrona i donośnie wygłaszała ostre oskarżenia. Håkon Sand nie zwracał na nie uwagi.

- Być może istnieje jakiś związek między tymi zabójstwami, ale nic pewnego nie wiemy. Na razie jedynie dwie osoby z komendy myślą tym torem. Rozmawiałeś o tym z kimś jeszcze?

Myhreng zaprzeczył; starał się zachować tę historię dla siebie, trochę wypytywał różnych ludzi, ale nikomu nie zdradził nic, co mogłoby wzbudzić jakieś podejrzenia. A wszystko, czego się dowiedział, słyszał już wcześniej. Wiedział o pociągu Hansy Olsena do alkoholu, o jego szczególnych związkach z klientami, o braku przyjaciół i rzeszach kumpli od kieliszka.

- A co robi policja?

- Na razie niewiele - odparł Håkon Sand. - Ale właśnie zaczynamy. Pogadamy pod koniec tygodnia. Ale jeśli nie dotrzymasz umowy, możesz być pewien, że cię dopadnę. Ani słowa na ten temat w gazecie. I sam do ciebie zadzwonię, kiedy będziemy wiedzieć coś więcej. Teraz możesz już iść.

Fredrick Myhreng czuł się w pełni usatysfakcjonowany. Wykonał dobrą robotę i budynek policji opuszczał z szerokim uśmiechem. Kac minął jak zdmuchnięty.

Pokój był duży i zdecydowanie za ciemny. Ciężkie brązowe

story z weluru obszyte taśmą z pomponikami kradły resztki światła, które bez nich miałyby szansę wpaść do tego mieszkania na parterze starej kamienicy. Wszystkie meble były z ciemnego drewna. Pewnie mahoń, pomyślała Hanne Wilhelmsen. Panował zaduch, a każdą rzecz pokrywała gruba warstwa kurzu. Aż tyle nie mogło się go pojawić w ciągu tygodnia, doszli więc do wniosku, że Hansa Olsen nie przejmował się zanadto utrzymaniem czystości. Za to panował tu pedantyczny porządek. Całą jedną ścianę pokrywał regał na książki, ciemnobrązowy, z zamykanymi szafkami na dole i oświetlonym barkiem z witrażowymi drzwiczkami w jednym końcu. Håkon Sand podszedł do regału. Gruby dywan głuszył jego kroki, słychać było jedynie cichy chrzęst butów. Na półkach nie dostrzegł niczego z literatury pięknej, za to uwagę jego zwrócił imponujący zbiór książek prawniczych. Przekrzywił głowę i zaczął czytać tytuły; niektóre dzieła na licytacji z pewnością osiągnęłyby cenę kilku tysięcy koron. Wyjął jedną z książek, pomacał przyjemną w dotyku skórzaną oprawę i wciągnął charakterystyczny zapach, który uniósł się, gdy zaczął przerzucać stronicę.

Hanne Wilhelmsen przysiadła na marmurowym blacie ogromnego biurka wspartego na lwich łapach i zapatrzyła się na skórzany fotel. Na oparciu leżała szydełkowa serwetka, pokryta ciemną, zakrzepłą krwią. Wydawało jej się, że wyczuwa jeszcze lekki charakterystyczny zapach, ale uznała to za przywidzenie. Na siedzeniu także dostrzegła paskudne plamy.

- Czego właściwie szukamy? - Pytanie Håkona, choć uzasadnione, pozostało bez odpowiedzi. - To ty jesteś śledczą, po co mnie tu przyciągnęłaś?

Znów nie doczekał się odpowiedzi. Hannę wstała, podeszła do okna i pomacała pod parapetem.

- *Technicy* sprawdzili całe mieszkanie - powiedziała wreszcie. - Ale oni szukali śladów dotyczących zabójstwa i być może pominęli to, *o co nam* chodzi. Mam wrażenie, że muszą tu być ukryte jakieś dokumenty. Gdzieś w tym mieszkaniu na pewno znajduje się coś, *co nam* powie, *czym ten facet* się zajmował. Naturalnie poza praktyką adwokacką. Konta

bankowe sprawdzono, przynajmniej te, o których wiemy. Nie ma w nich nic podejrzanego. - Obmacywała ściany, ciągnąc swój wywód: - Jeśli w tej naszej słabiutkiej teorii coś w ogóle jest, to facet musiał mieć pieniądze. Na pewno nie odważył się schować dokumentów w kancelarii. Tam się przecież przewija mnóstwo ludzi, cały czas ktoś wchodzi i wychodzi. Jeśli nie miał innej skrytki, musiał to coś trzymać tutaj.

Håkon poszedł w ślady Hannę i zaczął przesuwając palcami po przeciwległej ścianie. Czuł się idiotycznie, nie miał pojęcia, w jaki sposób może się objawić jakiś sekretny schowek. Sprawdzili cały pokój, ale efektem były tylko brudne palce.

- A może obejrzyć to, co oczywiste - zaproponował Håkon i zaczął otwierać szafki w regale.

W pierwszej nic nie znalazł, a kurz pokrywający półki świadczył o tym, że szafka od dawna stoi pusta. Następna była wypchana filmami pornograficznymi, starannie ułożonymi według kategorii. Hannę wyjęła jedną kasetę i otworzyła. W środku było to, co być powinno, sądząc przynajmniej po wydatnych biustach na etykiecie. Odłożyła film na miejsce i sięgnęła po następny.

- Bingo!

Na podłogę wypadł jakiś papier. Hannę podniosła starannie złożoną kartkę formatu A4. Na samej górze odręcznie napisano „skrzydła”, dalej następowały liczby rozdzielone myślnikami, zgrupowane po trzy: 2-17-4, 2-19-3, 7-29-32, 9-14-3... i tak dalej, aż do samego dołu.

Długo się w to wpatrywali.

- To musi być jakiś szyfr - oświadczył wreszcie Håkon Sand i zaraz ugryzł się w język.

- Naprawdę? - uśmiechnęła się ironicznie Hannę. Ostrożnie złożyła kartkę i schowała ją do plastikowej torebki z zamkiem strunowym. - Wobec tego spróbujemy go złamać - dodała, chowając znalezisko do przyniesionej walizeczki.

Adwokat Peter Strup był prawdziwie niespokojną duszą. Żył w tempie, które z uwagi na jego wiek kazałoby migać lampkom ostrzegawczym u wszystkich lekarzy, gdyby nie to, że

zachowywał imponującą formę fizyczną. Przez trzydzieści tygodni w roku występował w sądzie, ponadto uczestniczył w rozmaitych akcjach, programach telewizyjnych i debatach. W ciągu ostatnich pięciu lat wydał trzy książki - dwie o swoich brawurowych osiągnięciach na sali sądowej, a trzecią autobiograficzną. Wszystkie wydane zostały w odpowiednim czasie, to znaczy przed Bożym Narodzeniem, i dobrze się sprzedawały.

Teraz właśnie stał w windzie wiozącej go do kancelarii Karen Borg. Ubrany był w elegancki garnitur z ciemnej rdzawobrązowej wełnianej flaneli, a skarpetki idealnie pasowały do pasków na krawacie. Z zadowoleniem przejrzał się w ogromnym lustrze pokrywającym całą jedną ścianę windy, przygładził ręką włosy, poprawił kołnierzyk koszuli i trochę się zdenerwował, widząc na nim jakiś ciemniejszy ślad.

Kiedy drzwi windy otworzyły się i adwokat zrobił pierwszy krok na korytarz, zza wielkich przeszklonych drzwi z białymi cyframi, oznajmiającymi, że znalazł się na właściwym piętrze, wyłoniła się młoda kobieta. Dość ładna, jasnowłosa, ubrana w kostium niemal w takim samym kolorze i z tego samego materiału co jego garnitur. Na widok adwokata zatrzymała się zdumiona.

- Peter Strup?

- *Mrs. Borg, I presume*⁵ - powiedział, wyciągając rękę.

Kobieta po chwili wahania podała mu swoją.

- Wychodzi pani? - spytał, jakby to nie było oczywiste.

- Owszem, ale w prywatnej sprawie, więc zapraszam do mnie. Bo to ze mną chciał się pan spotkać, prawda?

Peter Strup potwierdził.

- Przyszedłem z powodu pani klienta - oznajmił, kiedy już usiadł w jednym z dwóch głębokich foteli stojących przy niedużym szklanym stoliku. - Naprawdę bardzo chętnie go przejmę. Czy już z nim pani rozmawiała?

- Tak. Ale on sobie tego nie życzy. Chce, żebym to ja go bronila. Mogę panu zaproponować filiżankę kawy?

- Nie, dziękuję. Nie będę pani zajmował aż tyle czasu - odparł

5 Pani Borg, jak przypuszczam

Peter Strup. - A czy wie pani, dlaczego tak mu na tym zależy?

- Nie, nie wiem - skłamała, zdumiona tym, jak łatwo jej przychodzi oszukiwanie tego człowieka. - Może po prostu chce, żeby to była kobieta? - uśmiechnęła się promiennie, a Peter Strup odpowiedział krótkim czarującym uśmiechem.

- Nie chciałbym pani urazić - zapewnił - ale z całym szacunkiem, czy pani w ogóle zna się na prawie karnym? Czy wie pani chociaż, co się dzieje na sali sądowej?

Karen porządnie się zirytowała. W ciągu ostatniego tygodnia drwili z niej koledzy w pracy, wyśmiewał się z niej Nils, a matka snobka czyniła jej wyrzuty, że podjęła się zwykłej sprawy karnej.

Miała już tego serdecznie dość. A zapłacić za to przyszło Peterowi Strupowi. Uderzyła dłońmi o blat stolika.

- Szczerze mówiąc, mam już dość wytykania mi braku kompetencji. Mam ośmioletnie doświadczenie prawnicze po dyplomie, który uzyskałam z celującym wynikiem. I - używając pańskich słów - z całym szacunkiem, ale w czym ma tkwić trudność obrony człowieka, który przyznał się do zabójstwa? Czy to nie zwykła rutyna, kilka pięknych słów o ciężkim dzieciństwie do wygłoszenia?

Karen nie przywykła do przechwalania się i zazwyczaj nie wpadała w złość, pewnie dlatego sprawiło jej to teraz wręcz przyjemność. Mecenass Strup wyraźnie się spłoszył.

- Ależ oczywiście, jestem pewien, że pani sobie poradzi - powiedział uspokajająco. - Nie zamierzałem pani urazić.

A wychodząc, odwrócił się i z uśmiechem dodał:

- Ale moja propozycja wciąż pozostaje aktualna!

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Karen czym prędzej wstukała numer do komendy policji i poprosiła o połączenie z prokuratorem Sandem.

- Cześć, mówi Karen.

Nie odpowiedział, a ona przez ułamek sekundy znów poczuła to dziwne napięcie, które pojawiło się między nimi przed weekendem i o którym zdążyła już właściwie zapomnieć. A może właśnie tego chciała.

- Co wiesz o Peterze Strupie?

Pytaniem tym zburzyła kruchy nastrój; dosłownie wyczuła zdumienie w głosie Håkona.

- O Peterze Strupie? To jeden z najlepszych karnistów w kraju, jeśli wręcz nie najlepszy. Działa od wieków, a prywatnie jest cholernie sympatycznym człowiekiem. Mądry, sławny, bez jednej rysy na lakierze. Od dwudziestu pięciu lat żonaty z tą samą kobietą, troje udanych dzieci i średniej wielkości willa na Nordstrand. Te ostatnie informacje mam z kolorowej prasy. A o co chodzi?

-

Karen Borg opowiedziała swoją historię. Mówiła spokojnie, nic nie dodawała, niczego nie opuszczała. A skończywszy, oświadczyła:

- Coś tu jest nie tak. To niemożliwe, żeby on po prostu szukał roboty. I jeszcze się fatygował do mnie, do kancelarii. Mógł przecież kolejny raz zadzwonić.

Zamyślony Håkon Sand nic nie mówił.

- Halo!

Ożywił się.

- Tak, tak, jestem. Ja też tego nie rozumiem. Może po prostu do ciebie zajrzał. Może akurat był gdzieś w pobliżu.

- Może i tak, ale w takim razie dziwne, że nie miał ze sobą żadnej teczki z dokumentami czy czegoś takiego.

Håkon podzielał jej zdziwienie, nic jednak nie powiedział. Absolutnie nic. Ale myślał tak intensywnie, że nie zdziwiłoby go, gdyby Karen to usłyszała.

Środa, 7 października

- To szyfr książkowy, przynajmniej tyle jest oczywiste.

Starszy pan, siedzący razem z Hanne Wilhelmsen i Håkonem Sandem w kantynie na siódmym piętrze, nie miał najmniejszych wątpliwości.

Był to bardzo przystojny mężczyzna, szczupły i wysoki. Włosy co prawda trochę mu się już przerzedziły, lecz wciąż było ich tyle, że można było mówić o imponującej siwej grzywie, starannie zaczesanej do tyłu i niedawno ostrzyżonej. Miał mocną wyrazistą twarz z prostym nosem, na którego czubku balansowały eleganckie okulary. Ubrany był w ciemnoczerwony sweter i stylowe niebieskie spodnie. Dłoń trzymająca kartkę nie drżała, a na prawym serdecznym palcu widniała niemal wrosnięta w ciało obrączka.

Gustaf Løvstrand był emerytowanym policjantem. Podczas wojny i w latach bezpośrednio po niej pracował w wywiadzie wojskowym, ale później zdecydował się na bliższą społeczeństwu karierę w policji, którą zakończył jako specjalny doradca Policyjnych Służb Bezpieczeństwa. Był na wskroś godnym zaufania człowiekiem, lubianym i szanowanym przez kolegów. Doświadczył też satysfakcji, widząc trójkę swoich dzieci w służbach związanych z policją. Uwielbiał swoją żonę i swoje róże, pełnymi rękami czerpał przyjemność z życia na emeryturze i zawsze chętnie pomagał każdemu, kto uważał, że wciąż może mieć on coś do zaoferowania.

- Łatwo stwierdzić, że to szyfr książkowy. Zobaczcie. - Położył kartkę na stole i wskazał na szereg liczb: 2-17-4, 2-19-3, 7-29-32, 9-14-3, 12-2-29, 13-11-29, 16-11-2. - Wręcz banalne - dodał z uśmiechem.

Jego rozmówcy wciąż nic nie rozumieli. W końcu Hannę odważyła się spytać:

- A co to jest szyfr książkowy i dlaczego to takie oczywiste, że właśnie z nim mamy do czynienia?

Løvstrand przez chwilę się jej przyglądał, a potem wskazał na

najwyższą linijkę.

- Trzy liczby w każdej grupie. To numer strony, wiersza i litery. Jak widzicie, jedynie między pierwszymi liczbami w każdej grupie istnieje jakiś logiczny związek. Jest albo taka sama jak poprzednia pierwsza liczba, albo wyższa: 2, 2, 7, 9, 12, 13, 16 i tak dalej. Najwyższą liczbą w grupie drugiej jest 43, a rzadko się zdarza, żeby książka miała więcej niż czterdzieści kilka wierszy na stronie. Jeśli ma się w ręku tę właściwą książkę, rebus daje się rozwiązać natychmiast.

Dodał jeszcze, że to robota amatorów, bo te książkowe szyfry zazwyczaj łatwo rozpoznać.

- Za to niezwykle trudno odczytać. Przecież trzeba wiedzieć, o jaką książkę chodzi. A jeśli i tytuł jest zaszyfrowany, to trzeba mieć naprawdę dużo szczęścia, żeby na to wpaść. Kiedy mi dałaś kopię tej kartki, wybrałem się do Biblioteki Deichmana. Komputer znalazł ponad tysiąc dwieście książek, w których tytule jest słowo „skrzydła”. Powodzenia! Poza tym słowo to także może być elementem szyfru, więc daleko się nie zajdzie. Cóż, bez właściwej książki nie ma szans na odczytanie wiadomości.

Złożył kartkę i podał ją Hanne, która siedziała z przygnębioną miną. Nie chciał zatrzymywać tego papieru, mimo że była to kopia. Lata w tajnych służbach zrobiły swoje.

- Ale ponieważ ten szyfr sam w sobie jest taki banalny, szukałbym czegoś, co jest oczywiste. Rozejrzyjcie się za książką gdzieś w pobliżu, może się o nią dosłownie potkniecie. Dobra policyjna robota to często efekt przypadku. Powodzenia!

Siedzieli bez słowa.

- Postaraj się spojrzeć na to jaśniej, Håkon - odezwała się wreszcie Hanne. - Wiemy przynajmniej, że na coś wpadliśmy. Adwokat Olsen raczej nie zapisywał swoich wystąpień szyfrem, czyli próbował coś ukryć.

- Ale co? - westchnął Håkon. - Raz jeszcze przeanalizujmy to, co mamy.

Zabrało im to sporo czasu, ale po godzinie oboje byli już w znacznie lepszych humorach. Możliwość natknięcia się na właściwą książkę wcale nie była tak mała. Poza tym zyskali

potwierdzenie, że adwokat Olsen naprawdę spotkał się ze swoim klientem tego dnia, na który byli umówieni. Spotkanie wprawdzie nie odbyło się w kancelarii i trochę ich dziwił fakt, że wybrali na nie sobie miejsce publiczne, takie jak Gamle Christiania.

- To może świadczyć, że w spotkaniu nie było nic zdrożnego
 - zauważył Håkon z nieco ponurą miną.
 - *You never know*⁶. - Hanne zaczęła szykować się do wyjścia.
 - Dlaczego tak często mówisz po angielsku?
 - Bo mam fioła na punkcie Ameryki. - Uśmiechnęła się lekko zażenowana. - Wiem, że to paskudny nawyk.
- Dopili kawę i rozeszli się do swoich zajęć.

Późnym popołudniem, w lasach Nordmarka na konarze zwalonego drzewa siedzieli dwaj mężczyźni. Starszy, dla ochrony przed wilgocią, podłożył sobie pod siedzenie plastikową torbę. Jesień weszła w najbardziej typową dla siebie fazę, kiedy to w powietrzu wiszą krople mżawki przechodzące w mgłę. Widoczność była marna, ale w końcu nie przyszli tu napawać się widokami. Jeden z nich rzucił kamień do gładkiego jak lustro leśnego jeziora. W milczeniu obserwowali pięknie rozchodzące się kręgi. Po chwili woda na powrót znieruchomiała.

- I co, system teraz pęknie?

Pytanie zadał młodszy z mężczyzn, trzydziestokilkuletni, a w jego głosie dawało się wychwycić pełen napięcia niepokój. Wyraźnie się bał, chociaż starał się udawać rozluźnionego.

- Nie, nie pęknie - uspokoił go starszy. - System jest solidnie zbudowany. Odcięliśmy tylko jedną gałąź. Trochę jej szkoda, bo przynosiła niezłe dochody, ale to było konieczne. Za duże ryzyko.

Rzucił do wody kolejny kamień, tym razem mocniej, jak gdyby chciał podkreślić swoje słowa.

- Ale szczerze mówiąc - ośmielił się młodszy - do tej pory system był bezpieczny i pewny. Nigdy nie podejmowaliśmy zbyt dużego ryzyka i policja nawet się do nas nie zbliżyła. Dwa

6 Nigdy nie wiadomo.

zabójstwa potraktują poważniej niż to, co do tej pory robiliśmy. Olsen był taki cheiwy. Nie rozumiem, dlaczego nie mogliśmy zatkać mu gęby forsą. Cholera, na samą myśl o tym pot mnie oblewa!

Starszy wstał i stanął przed młodszym. Rozejrzył się, upewniając, że są sami. Mgła zaczęła gęstnieć, widoczność była nie większa niż na dwadzieścia-trzydzieści metrów, w takim promieniu nie zauważył nikogo.

- Posłuchaj, co ci powiem - syknął. - Zawsze zdawaliśmy sobie sprawę z ryzyka. Ale koniecznych jest jeszcze kilka operacji, żeby związek między zmniejszoną podażą narkotyków i tymi dwoma zabójstwami nie stał się zbyt oczywisty. Wycofamy się, kiedy zabawa będzie jeszcze trwała, ale to wymaga od ciebie zachowania trzeźwości umysłu i przetrzymania pierwszych dwóch-trzech miesięcy. To ty masz odpowiednie kontakty. Jest jednak pewien mały problem, który może nas przerosnąć. Han van der Kerch. Ile on wie?

- W zasadzie nic. Wie tylko o Rogerze z Sagene. Oprócz tego nie powinien wiedzieć nic więcej. Ale tkwi w systemie już od kilku lat, więc pewnie to i owo do niego dotarło. Wykluczone, żeby wiedział coś o mnie. Nie byłem takim kompletnym idiotą jak Hansa, który wtajemniczył we wszystko jednego z chłopców na posyłki. Poprzestawałem na zaszyfrowanych pisemnych wiadomościach.

- Ale on mimo wszystko może stać się problemem - stwierdził starszy. -I to twoim problemem. - Umilkł znacząco, nie spuszczać wzroku z młodszego. Postawę miał groźną, jedną nogę oparł na pniu drzewa, drugą postawił tuż przy stopach młodszego. - A poza tym musisz pamiętać o jednym. Teraz, kiedy Hansa przeniósł się na tamten świat, nikt oprócz ciebie nie wie o mnie. Żaden z chłopaków w systemie nie ma pojęcia o moim istnieniu, tylko ty. Dlatego stałeś się bardzo czułym punktem, przyjacielu.

To była bezpośrednia, wcale niezawołowana groźba. Młodszy podniósł się i stanął tak, że od twarzy starszego dzieliło go zaledwie kilka centymetrów.

- I nawzajem - powiedział zimno.

Niedziela, 11 października

W najbardziej romantycznych chwilach Hanne Wilhelmsen powtarzała sobie w duchu, że ma taki sam stosunek do policji jak rybak do morza - była z nią połączona nierozdzielnie i innej sytuacji nie potrafiła sobie wyobrazić. Kiedy mając dwadzieścia lat, wybrała Wyższą Szkołę Policyjną, zerwała tym samym z akademickimi tradycjami rodziny. Odrzuciła drogę rodziców profesorów i swoje na wskroś mieszczańskie pochodzenie. Jej wybór spotkał się z głuchym milczeniem rodziny, wyjąwszy może dwa nerwowe chrząknięcia matki podczas pewnego niedzielnego obiadu. Ale w rzeczywistości przyjęli to ze spokojem. Teraz Hannę stała się dla nich swego rodzaju maskotką; to ona podczas świątecznych spotkań miała do opowiedzenia najciekawsze historie, była dla rodziny swoistym alibi poświadczającym ich bliski związek z realiami życia.

Ona jednak przede wszystkim kochała swoją pracę. Choć jednocześnie się jej bała. Zaczęła już odczuwać, co powoli dzieje się z duszą, która na co dzień musi obcować z zabójstwami, gwałtami, pobiciami i przemocą. Zło oblepiało ją jak mokre prześcieradło. Nabrała zwyczaju wchodzenia pod prysznic zaraz po powrocie z pracy, ale czasami miała wrażenie, że i tak na odległość czuć od niej śmiercią, tak jak rybak zawsze pachnie wodą i rybami. I tak jak rybak, od pokoleń wypatrujący oznak pływających w pobliżu ryb, w taki sam sposób podświadomość Hanne Wilhelmsen pracowała nad wszystkimi przydzielonymi jej sprawami jednocześnie. Nie było dla niej informacji, z której nie mogło nic wyniknąć. Niebezpieczeństwo kryło się jednak w nadmiarze pracy. Przestępczość w Oslo rozwijała się szybciej, niż do policji wpływały dodatkowe pieniądze z budżetu państwa.

Hannę zawsze starała się pracować nad nie więcej niż dziesięcioma sprawami jednocześnie, chociaż wielokrotnie zasadę tę musiała łamać. Na biurku gromadziły się niezliczone zielone

teczki wypchane papierami. Nawet w szczególnie pracowitym okresie, który na szczęście miała już za sobą, starała się znaleźć czas na przejrzenie dokumentów, by do jak największej ilości teczek móc przykleić kartkę formatu A5 z napisem: „Zalecane umorzenie”. Z poczuciem niedoskonałości i święcie przekonana o winie podejrzanego, przytłoczona wyrzutami sumienia szła po niezbędną pieczętą od policyjnego prawnika - kod 058: „Umorzenie z braku dowodów”. Kolejny przestępca uchodził wolno, ona miała o jedną sprawę mniej i pozostawała jej tylko nadzieja, że mimo wszystko właściwie określiła priorytety. Odpowiedzialność była tym cięższa, że nigdy nie napotkała sprzeciwu prokuratorów. Ufali jej. Z obowiązku pobieżnie tylko przeglądali dokumenty, po czym postępowali zgodnie z jej zaleceniem. Hanne Wilhelmsen wiedziała, że stosy akt w zielonych teczkach i dla nich są koszmarem.

Była niedziela, a ona miała przed sobą dwadzieścia jeden teczek. Po posortowaniu ich według paragrafów ogarnęło ją poczucie niezdolności do działania. Po chwili jednak zdołała się otrząsnąć. Żadna ze spraw nie nadawała się jeszcze do archiwum. Jedenaście kwalifikowało się pod paragraf 228/229 - naruszenie nietykalności cielesnej i uszkodzenie ciała.

Trzy godziny później w siedmiu sprawach zaproponowała dobrowolne poddanie się karze - chodziło o mniej lub bardziej poważną przemoc ze strony pijanych gości w restauracjach i agresywnych ochroniarzy. W dwóch, przy odrobinie dobrej woli, można było uznać śledztwo za zakończone, chociaż bez wątplenia przydałoby się jeszcze przesłuchanie kilku świadków. Postanowiła jednak zaufać, że sąd będzie w stanie rozpoznać prawdziwego przestępcę, i zaproponowała wniesienie aktu oskarżenia.

Niedziela była dobrym dniem do pracy. Żadnych telefonów, żadnych zebrań, zaledwie kilka osób, z którymi trzeba było zamienić parę uprzejmych słów, wyrazić wzajemny podziw, że chce im się poświęcać czas wolny na pracę bez wynagrodzenia i jakiegokolwiek wdzięczności ze strony przełożonych za to, że poniedziałek będzie nieco łatwiejszy.

Słyszając głosy z podwórza, Hanne Wilhelmsen wyjrzała za

okno i ujrzała gromadę fotografów prasowych. Przypomniała sobie, że komendę miał odwiedzić minister sprawiedliwości. „Dlaczego w niedzielę?”, spytał szef wydziału z kwaśną miną, kiedy z sekretariatu komendant okręgowej przyszło polecenie przygotowania wizyty. W odpowiedzi usłyszał, że to nie jego sprawa. Hanne Wilhelmsen podejrzewała, że wybór dnia miał związek z brakiem wielkich nagłówków w poniedziałkowych gazetach, odkąd pojawiły się niedzielne wydania, które zaanektowały wszystkie największe sprawy. Poniedziałkowe dzienniki stały się cieńsze i dzięki temu łatwiej dawało się coś do nich wcisnąć. Wizyta ministra sprawiedliwości była efektem niezliczonych artykułów na temat złych warunków w areszcie, a jednocześnie okazją do spotkania z komendant okręgową w związku z niepokojącym wzrostem przemocy na ulicach. Gazety z lubością nazywały to zjawisko „przemocą niespropokowaną”, co po zapoznaniu się z aktami sprawy zazwyczaj okazywało się nietrafnym określeniem.

Hannę osiągnęła poziom dwunastu nierozstrzygniętych spraw. Zbliżała się do ustalonej przez siebie granicy i humor trochę jej się poprawił. Wyciągnęła najgrubszą teczkę.

Nie znaleźli jeszcze odpowiedzi na pytanie, dlaczego Ludvig Sandersen w taki właśnie sposób przeniósł się na drugi świat, przez niektórych z uporem nazywany lepszym. Hannę – przynajmniej z uwagi na niego - miała nadzieję, że to ona się myli, a Sandersen siedzi teraz w białej szacie na chmurze i ma w zasięgu ręki nieograniczone zapasy szarobiałego proszku, przez który jego życie na ziemi stało się takie nędzne.

Sprawa Sandersena nie została jeszcze oficjalnie powiązana z zabójstwem adwokata Olsena. Hannę rozważała to z Håkonem Sandem w piątek. Czuli, że mają już dostatecznie dużo, by zaproponować połączenie tych spraw, ale Håkon się sprzeciwił. Zdecydował, że jeszcze trochę zaczekają. Hannę jednak uważała, że nadszedł czas, by obu tym sprawom przyglądać się jednocześnie. Odsunęła stos papierów i zaczęła grzebać w torebce, szukając kluczy pasujących również do pokoiów wszystkich innych śledczych. Sprawa leżała u Heidi Rørvik, dwa pokoje dalej w tym samym korytarzu.

Wychodząc od siebie, nie zauważyła nikogo. W gmachu panowała cisza, taka jak powinna panować w niedzielne popołudnie. Miała już otworzyć drzwi do pokoju Heidi, kiedy bardziej wyczuła, niż usłyszała za sobą jakieś kroki. Odwróciła się, niestety za późno. Cios z wielką siłą trafił ją w skroń. W głowie eksplodowało jej światło. Nim upadła, zdążyła jeszcze zobaczyć krew. W jednym momencie straciła wszystkie siły, dlatego nie zdołała nawet zamortyzować upadku rękami i w głowie znów huknęło, gdy lewa strona czoła uderzyła o posadzkę. Tego jednak Hanne Wilhelmsen już nie poczuła. Nim straciła przytomność, zdążyła jeszcze uświadomić sobie, że oto życie się skończyło. Potem zapadła ciemność, która oszczędziła jej bólu.

Ocknęła się, czując mdłości. Leżała na brzuchu, z głową dziwnie i boleśnie skreconą. Odruch wymiotny był bardzo silny, na chwilę nawet zagłuszył wrażenie, że głowa jej zaraz pęknie. Wszystko ją bolało. Delikatnie obmacując palcami, wyczuła dwie wielkie krwawiące rany, jedną na czole, drugą nad prawym uchem, i z lekkim zdumieniem stwierdziła, że wcale nie są bardziej dokuczliwe niż ten intensywny, oślepiający ból, który pochodził z jakiegoś innego miejsca, gdzieś z głębi głowy. Przez kilka minut walczyła z mdłościami, ale ostatecznie musiała im ulec. Instynktownie zdobyła się na wysiłek i uniosła na rękach, by nie zakrztusić się wymiocinami. Potem poczuła się odrobinę lepiej.

Wytarła czoło, ale krew dalej ściekała jej do oka, utrudniając widzenie. Spróbowała wstać. Niebieski korytarz nie przestawał wokół niej wirować, musiała więc realizować tę sztukę w kilku etapach. W końcu stanęła na nogi. Oparła się o ścianę, usiłując zrozumieć, co się wydarzyło. Niczego jednak nie pamiętała. Ogarnęła ją panika. Nie wiedziała, dlaczego się tu znalazła, chociaż miała świadomość, że jest w budynku policji. Ale gdzie byli inni? Chwiejąc się na nogach, weszła do własnego pokoju i brudząc telefon krwią, wybrała numer do domu. Musiała próbować kilka razy, bo nie mogła trafić we właściwe klawisze. Światło wpadające przez okno bardzo jej dokuczało. Za oczami

ktoś jakby walił młotkiem.

- Cecilie, musisz po mnie przyjechać. Jestem chora.

Wypuściła słuchawkę z ręki i znów zemdląła.

Otaczała ją przyjemna ciemność. Głowa wciąż bolała, ale tam, gdzie wcześniej były krwawiące rany, teraz wyczuwała miękki bandaż. Łóżko było metalowe, a kiedy obmacywała opatrunki, zorientowała się, że w rękę ma wbity wenflon.

Hanne Wilhelmsen leżała w szpitalu, a na brzegu jej łóżka siedziała Cecilie.

- Na pewno bardzo cię teraz boli - powiedziała Cecilie, ujmując jej drugą rękę. Uśmiechała się. - Okropnie się wystraszyłam, kiedy cię tam wreszcie znalazłam. Ale teraz wszystko już w porządku.

Osobiście obejrzałam zdjęcia rentgenowskie, nigdzie nie widać śladu złamania. Masz silny wstrząs mózgu. Rany wyglądały niedobrze, ale są już zszyte.

Hanne Wilhelmsen zaczęła płakać.

-Ja nic nie pamiętam, Cecilie.

- To tylko taka drobna amnezja. Krótkotrwała utrata pamięci

- stwierdziła Cecilie z uśmiechem. - To normalne. Nie martw się. Zostaniesz tu kilka dni, a potem czekają cię dwa cudowne tygodnie zwolnienia. Będę się tobą opiekować.

Płacz nie ustawał. Cecilie pochyliła się nad Hanne i bardzo, ale to bardzo ostrożnie przyłożyła twarz do zabandażowanej głowy, tak że jej usta znalazły się tuż przy uchu Hanne.

- A ta blizna na czole będzie bardzo seksowna - szepnęła. - Naprawdę bardzo.

Poniedziałek, 12 października

- Cholera, to niemożliwe! - Håkon Sand przeklinał tylko wtedy, kiedy był naprawdę wściekły. - Do diabła, nawet w pracy nie możemy być bezpieczni! I to w dodatku w jakąś pieprzoną niedzielę!

Wypluwał oskarżenia o nieudolność - tylko czyją? - stojąc na środku pokoju i tupiąc nogą w rytm wyrzucanych przez siebie słów.

-Jaki, do stu piorunów, jest sens zamykania drzwi na klucz i instalowania systemów bezpieczeństwa, skoro w każdej chwili każdy może nas zaatakować?

Szef wydziału A 2.11, pięćdziesięciokilkuletni stoik, słuchał i przyglądał się temu wybuchowi, nie zmieniając wyrazu twarzy. Nie odezwał się, dopóki prokurator nie przestał wrzeszczeć.

- Nie ma sensu kogokolwiek obwiniać. Nie jesteśmy fortecą i wcale nie chcemy nią być. W budynku, w którym pracuje blisko dwa tysiące osób, każdy może się przylepić do pracownika, który wchodzi wejściem dla personelu od podwórza. Wystarczy tylko skoordynować kroki, można się ukryć za drzewem koło kościoła i wejść zaraz za kimś, kto ma kartę wstępu. Sam z całą pewnością przytrzymałeś drzwi komuś, kto siedł za tobą, a nie miałeś pojęcia, co to za osoba.

Håkon Sand nie odpowiedział, co szef wydziału słusznie odczytał jako potwierdzenie.

- Poza tym, przynajmniej teoretycznie, można się ukryć w budynku, kiedy jest otwarty. Choćby w jakiejś toalecie. Zamiast więc szukać odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób, powinniśmy raczej spytać dlaczego.

- To jest, do jasnej cholery, oczywiste! - Håkon Sand znów zaczął krzyczeć. - To przez tę sprawę, do diabła! Przez tę sprawę! Z pokoju Hannę zginęły akta! Niby żadna tragedia, bo mamy kopie, ale widać komuś najwyraźniej zależało na tym, żeby sprawdzić, ile wiemy. - Urwał i spojrział na zegarek. Wściekłość zmieniła się w lekkie poirytowanie. - Muszę lecieć.

Komendantka wezwała mnie na dziewiątą. Wyświadczyć mi przysługę. Zadzwonić do szpitala i spytać, czy można Hanne odwiedzić. I zostawić mi wiadomość w sekretariacie.

Bogini Sprawiedliwości wyglądała wspaniale. Wznosiła się na wysokość trzydziestu pięciu centymetrów nad blatem biurka, a spatynowany brąz świadczył o jej sędziwym wieku. Opaska na oczach była prawie zupełnie zielona, miecz w prawej ręce czerwony, ale szalki wagi miały całkiem błyszczące dno. Håkon Sand wiedział, że to prawdziwa waga, bo kołysała się lekko poruszona powiewem powietrza. Nie mógł się powstrzymać i delikatnie dotknął rzeźby.

- Wspaniała, prawda? - Siedząca za ogromnym biurkiem kobieta w mundurze raczej stwierdziła fakt, niż spytała. - Dostałam ją w zeszłym tygodniu od ojca na urodziny. Przez lata stała u niego w gabinecie, od dziecka ją podziwiałam. Kupił ją mój pradziadek w Stanach Zjednoczonych pod koniec lat dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku. Może jest nawet cenna, z całą jednak pewnością przepiękna.

Była pierwszą kobietą na stanowisku komendanta okręgowego policji. Poprzedni komendant, potężny mężczyzna z Bergen, kontrowersyjny i pozostający w stałych konfliktach z pracownikami, miał niezwykłą osobowość i umiejętność działania. Po siedmiu latach pracy odchodził z instytucji o wiele lepiej zorganizowanej niż ta, którą obejmował. Tyle że drogo go to kosztowało. I on, i jego rodzina odetchnęli z ulgą, kiedy mógł wreszcie przejść na emeryturę, nieco przed czasem, ale z honorem.

Zajmująca teraz fotel szefa czterdziestopięcioletnia kobieta to był całkiem inny kaliber. Håkon Sand jej nie znosił. Nie znalazł większej intrygantki niż ona. Do przejęcia stołka komendanta dążyła, odkąd zaczęła pracować w komendzie. Trzymała się blisko właściwych ludzi, chodziła na właściwe przyjęcia, popijała drinki z właściwymi osobami na wszystkich spotkaniach prokuratury. No i jej mąż pracował w Ministerstwie Sprawiedliwości, co z pewnością jej nie zaszkodziło.

Trzeba jednak przyznać, że była niezaprzeczalnie dobra w swojej robocie. Gdyby stary komendant tak się nie pospieszył z odejściem, z pewnością miałyby międzylądowanie jako prokurator okręgowy. I Håkon Sand nie wiedział, co by było gorsze.

Przedstawił sprawozdanie najzwięźlejš, jak umiał. Po kilku sekundach namysłu doszedł jednak do wniosku, że niesłusznie by postąpił, nie wyjawiając zwierzchnicze nieoficjalnego powiązania obu zabójstw. Ku jego irytacji pani komendant wszystko w lot zrozumiała, zadała kilka uzasadnionych pytań, pokiwała głową, słuchając jego wniosków, a na koniec wyraziła uznanie za pracę, jaką dotychczas wykonał. Poprosiła też o informowanie na bieżąco, najlepiej na piśmie. Na koniec dodała:

- Tylko nie spekuluj za dużo, Håkon. Załatwiał te sprawy po kolei. Zabójstwo Sandersena jest w zasadzie gotowe. Zebrane dowody wystarczą do skazania. Nie szukaj duchów tam, gdzie ich nie ma. W zasadzie możesz to potraktować jak rozkaz.

- Ściśle rzecz ujmując, to w kwestiach dotyczących śledztwa moim zwierzchnikiem jest prokurator okręgowy - odparował.

W odpowiedzi pozwoliła mu po prostu odejść.

Wstając, spytał jeszcze:

- Dlaczego ona ma zasłonięte oczy? - Wskazał na Boginię Sprawiedliwości stojącą na olbrzymim blacie w towarzystwie jedynie dwóch aparatów telefonicznych.

- Żeby nie ulegać wpływom żadnej ze stron. Ma się kierować ślepą sprawiedliwością.

- Ale z zasłoniętymi oczami trudno coś zobaczyć - stwierdził Håkon, nie doczekał się jednak dalszych wyjaśnień. Król, którego portret w złotej ramce wisiał na ścianie poza panią komendant, wydawał się z nim zgadzać. Håkon Sand postanowił przyjąć niezgłębiony uśmiech monarchy za akceptację, wstał i opuścił gabinet na siódmym piętrze. Był teraz bardziej zirytowany niż wtedy, kiedy tu przyszedł.

Hanne Wilhelmsen ucieszyła się na jego widok. Nawet z opatrunkiem nad okiem i z ogoloną połową głowy była bardzo

ładna. Oczy błyszczące w bladej twarzy wydawały się jeszcze większe niż zwykle. Po raz pierwszy, odkąd się dowiedział o napadzie, uświadomił sobie, że naprawdę bardzo się o nią martwił. Bał się ją uściskać. Może przestraszyły go bandaże, ale po głębszym namyśle stwierdził, że to i tak nie byłoby naturalne. Hannę nigdy nie zachęcała do poufałości, mimo że zawodowo darzyła go zaufaniem. Najwyraźniej jednak ucieszyła się, że przyszedł. Nie bardzo wiedział, co zrobić z bukietem kwiatów, więc po prostu położył go na podłodze. Potem przysunął sobie do łóżka krzesło.

- Czuję się dobrze - oznajmiła Hannę, nim zdążył zapytać. - Wracam do pracy, kiedy tylko mnie wypuszczą. Poza wszystkim mamy ostateczny dowód na to, że wpadliśmy na ślad czegoś naprawdę poważnego.

Z wisielczym humorem nie było jej do twarzy. Håkon zauważył, że musiało coś ją zaboлеć, kiedy próbowała się uśmiechnąć.

- Nigdzie nie wrócisz, dopóki całkiem nie wydobrzejesz. To rozkaz. - Zaczął się uśmiechać, ale zrezygnował, bo to mogło również ją sprowokować do bolesnego uśmiechu. Cała jej szczeka zaczynała już przybierać sinoniebieską barwę.

- Oryginały akt zniknęły z twojego pokoju. Czy było w nich coś, czego nie skopiowaliśmy?

- Niestety - powiedziała cicho. - Zrobiłam sobie notatkę na własny użytek. Wiem, co w niej było, więc tak naprawdę to żadna strata, ale nie powinna wpaść komuś obcemu w ręce.

Håkon poczuł, że robi mu się gorąco. Z doświadczenia wiedział, że w takiej sytuacji na policzkach pojawiają mu się nietwarzowe rumieńce.

- Boję się, że teraz Karen Borg może się stać bardzo interesująca dla napastnika. Rozmawialiśmy przecież o tym, że ona z pewnością wie więcej, niż nam mówi. Zapisałam sobie na ten temat kilka słów. Sporo też zanotowałam na temat powiązań między tymi dwiema sprawami. - Popatrzyła na niego z grymasem i delikatnie dotknęła głowy. - Nie najlepiej się stało, prawda?

Håkon Sand się z nią zgadzał. Rzeczywiście, nie najlepiej.

Fredrick Myhrens był niezwykle wymagający, tyle że miał rację, twierdząc, że dotrzymał swojej części umowy. Teraz siedział jak pilny uczeń i notował wszystko, co mógł mu powiedzieć Håkon Sand. Jako pierwszy miał szansę przekazać czytelnikom podejrzenia policji, że nie mają do czynienia z dwoma przypadkowymi zabójstwami, lecz że jest to podwójne zabójstwo powiązane z przerzutem narkotyków i być może przestępczością zorganizowaną, a sama myśl o tym sprawiła, że oblał się potem, a okrągłe okulary w drucianych oprawkach stale zsuwały mu się z nosa. Z zapalem notował każde słowo, aż tusz wyciekał z długopisu. Håkon Sand pomyślał, że chłopak, który tak brutalnie traktuje przybory do pisania, powinien na wszelki wypadek nosić sztormiak. W ramach zadośćuczynienia za zniszczony długopis zaproponował dziennikarzowi ołówek.

- No dobrze, ale jak widzisz możliwości wyjaśnienia tej sprawy?

- spytał Myhrens, wysłuchawszy poddanego ostrej cenzurze, lecz mimo to niezwykle interesującego referatu prokuratora policji. Cały nos miał niebieski od nieustannego poprawiania okularów. Håkon Sand zastanawiał się, czy powinien zwrócić mu uwagę na jego mało elegancki wygląd, doszedł jednak do wniosku, że dziennikarzowi przyda się lekka kompromitacja, stwierdził więc tylko:

- My zawsze wierzymy w możliwość rozwiązania sprawy. Ale to może potrwać. Mamy nad czym pracować. To możesz zacytować.

Były to ostatnie słowa, jakie Fredrick Myhrens zdołał tego dnia wyciągnąć od Håkona Sanda. Ale i tak był ogromnie zadowolony.

Wtorek, 13 października

Tytuł artykułu był dramatyczny - *Dwa zabójstwa mafii*, a do tego redakcja sięgnęła po wykorzystane już wcześniej zdjęcia zwłok Ludviga Sandersena i zmontowała je z wyszukaną w archiwum fotografią Hansy Olsena. Zdjęcie musiało zostać zrobione ponad dziesięć lat wcześniej, było nieostre i ewidentnie stanowiło powiększenie fragmentu fotografii kilku osób.

Håkon Sand przeczytał czołówkę i dwie pełne kolumny w środku, które gazeta poświęciła sprawie, i ledwie się w tym rozpoznał. Na samej górze każdej ze stron biegł czarny pasek z białym napisem: *Sprawa mafii*. Prokurator zaczął zgrzytać zębami, zirytowany wszystkimi tymi przesadnymi określeniami, ale po powtórny przeczytaniu całego materiału stwierdził, że Myhreng w zasadzie nie napisał nieprawdy. Fakty były naciągane, spekulacje szyte grubymi nićmi i tak dobrze zakamuflowane, że w zasadzie można je było uznać za opis rzeczywistości. Ale słowa prokuratora policji zostały zacytowane dokładnie, nie miał więc się na co skarżyć.

- No, no, mogło być gorzej - stwierdził, przekazując gazetę Karen Borg, która w jego w pokoju zadomowiła się już na tyle, że sama poszła po kawę do sekretariatu.

- Najwyższa pora, żebyś mi trochę opowiedziała o swoim kliencie - oświadczył. - Facet ciągle siedzi w samych gaciach i nie chce nic mówić. A skoro wiemy już tak dużo, to w ramach przyzwoitości możesz nam teraz pomóc.

Przyglądali się sobie. Karen pochwyciła spojrzenie Håkona i przytrzymała je tak długo, aż wszystko oprócz jej szarozielonych oczu rozpląnęło się we mgle. Widział drobniutkie brązowe plamki w tęczówce, w prawym oku więcej niż w lewym, i nie mógł mrugnąć ze strachu, że kiedy znów uniesie powieki, okaże się, że spuścił wzrok. Niech to wszyscy diabli, nigdy wcześniej nie zwyciężył w tej grze! Zawsze to ona dłużej się w niego wpa-trywała, kiedy zażenowany spuszczał oczy, przegrany, ten

gorszy z nich dwojga.

Tym razem jednak to Karen uległa. Widział, jak oczy jej wilgotnieją, jak mruga i kieruje spojrzenie w bok, jak na jej lewym policzku zaczyna wykwitać rumieniec. Ujął ją za obie ręce.

- Całkiem po prostu trochę się boję - wyznał szczerze. - Niewiele wiemy o tej bandzie czy mafii, jak ją ochrzciły gazety. Pewne jest tylko jedno - to nie są dzieci ze szkółki niedzielnej. „Dagbladet” prawdopodobnie ma rację, twierdząc, że są gotowi iść po trupach, byle tylko ochronić swoje interesy. Mamy powody przypuszczać, że wiedzą, że ty coś o tym wiesz. A przynajmniej podejrzewają.

I opowiedział jej o sporządzonej przez Hanne Wilhelmsen notatce, która wyparowała z pokoju. Na Karen wyraźnie zrobiło to ogromne wrażenie. Wyglądała tak, jakby szukała ochrony, i to u niego, u Håkona, którego osłaniała i nad którym górowała przez cały okres studiów.

- Nie mamy żadnych szans na to, by cię chronić, jeśli nie powiesz nam, co wiesz.

Zorientował się, że zbyt mocno ścisną jej dłonie, więc je puścił.

- Han van der Kerch coś niecoś mi powiedział. Niewiele. Nie chce, żeby to się rozeszło dalej. Ale jedną rzecz wolno mi wam przekazać. Nie wiem, ile to jest warte. - Wzięła się w garść. Ramiona wróciły na swoje miejsce, a kostium znów na niej leżał, jak powinien. - Odbierai pieniądze za dostawę. Kiedy przeliczał banknoty, zauważył, że na jednym coś naskrobano długopisem. Numer telefonu. Samego numeru nie zapamiętał, ale były przy nim trzy litery. Miał wrażenie, że to inicjały, bo między nimi były kropki. Zapamiętał je, bo tworzyły słowo J.U.L.⁷

-Jul?

- Tak. Z kropkami po każdej literze. Roześmiał się i powiedział facetowi, który dał mu pieniądze, że nie chce zniszczonych banknotów. Tamten ze złością wyrwał mu banknot z ręki.

- Zastanawiałaś się nad tym, co to może znaczyć?

- Owszem.

⁷ Jul(norw.) - Boże Narodzenie.

Zapadła cisza i znów wrócili do starego, znanego im wzorca zachowań.

- I co wymyśliłaś, Karen? - spytał Håkon cicho.

- Wymyśliłam, że w Oslo jest jeden adwokat, który ma takie inicjały. Tylko jeden. Sprawdziłam na liście członków Norweskiego Związku Adwokatów.

-Jørgen Ulf Lavik.

Studiowali z Lavikiem, który już wtedy był dość popularną postacią. Utalentowany, lubiany i mocno politycznie zaangażowany. Håkon podejrzewał nawet Karen o to, że się w nim podkochuje, czemu ona zawsze kategorycznie zaprzeczała; Lavik był zdecydowanie konserwatywny, Karen zaś zasiadała w wydziałowej radzie Frontu Socjalistycznego. W tamtych czasach takie bariery były wręcz nie do pokonania. Karen wielokrotnie nazywała swego kolegę ze studiów reakcyjnym dupkiem, i to i przy nim, i przy innych. Jedynie ze dwa razy nawiązali bliższe porozumienie, między innymi zajmowali się tą samą sprawą pod koniec studiów. Lavik został nawet zaproszony do domku letniskowego jej rodziców w Ula na wyjazd planowany jako seminarium polityczne, który jednak rozwinął się w zwyczajną studencką imprezę. Karen wcale przez to nie polubiła Lavika bardziej.

- Nic z tego nie rozumiem, ale w gazecie sugerują, że adwokaci mogli zorganizować jakiś gang. Nie wyobrażam sobie Jørgena Lavika w roli szefa gangu, ale przyjmij tę informację za tyle, ile jest warta.

Dla Håkona Sanda warta była całkiem sporo. A wartość jeszcze wzrosła, kiedy Karen moment później dodała:

- Pewnie sam byś się tego dowiedział, ale oszczędzę ci kłopotu. Jørgen zaczął swoją karierę od aplikacji u jednej z gwiazd. Zgadniesz u kogo?

- U Petera Strupa - odparł Håkon i twarz rozjaśniła mu się w ogromnym uśmiechu.

Zanim Karen Borg wyszła tego popołudnia z budynku policji, wypożyczono jej radiotelefon. Uznała, że przypomina staroświeckie walkie-talkie, większy i bardziej niezgrabny niż telefon komórkowy. Żeby nawiązać kontakt z centralą operacyjną

policji, miała przekręcić gałkę - urządzenie zaczynało wtedy trzeszczeć i szumieć, jak na amerykańskim filmie kryminalnym - później wcisnąć inny guzik i już. Ona nazywała się BB Zero-cztery, centrala operacyjna - Zero-jeden.

- Noś to stale przy sobie - przykazał Håkon. - I nie wahaj się użyć. Centrala jest powiadomiona. W razie czego policja będzie u ciebie w ciągu pięciu minut.

- Pięć minut potrafi się czasami bardzo dłużyć - stwierdziła cicho Karen.

Czwartek, 15 października

Kiedyś, dawno, dawno temu flirtowała z nim bez zahamowań. Nie była wtedy komendantką okręgową policji, tylko młodszym prokuratorem w Wydziale do spraw Wykroczeń, i to świeżo na stanowisku. Pojechali do Hiszpanii zebrać dowody w sprawie przemytu alkoholu; była to jej pierwsza zagraniczna podróż służbowa. Mężczyzna, który siedział teraz przed nią w gościnnym fotelu, występował wtedy w roli obrońcy. Zebranie dowodów trwało trzy godziny, wyjazd trzy dni. Było dużo dobrego jedzenia, a jeszcze więcej dobrych trunków. On uosabiał wszystko, co podziwiała. Znacznie od niej starszy, doskonale obeznany w świecie, z pieniędzmi, odnoszący sukcesy. Teraz zajmował stanowisko sekretarza stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości. Też nie najgorzej. Podczas tamtego wyjazdu przed dziesięcioma laty nie posunęli się dalej niż do pocałunków, dotyków i uścisków, ale to nie był jej wybór. Dlatego teraz czuła się odrobinę zakłopotana.

- Filiżankę kawy? Herbaty?

Poprosił o kawę, ale odmówił papierosa.

- Rzuciłem - uśmiechnął się rozbrajająco.

Poczuła, że wilgotnieją jej dłonie, i pożałowała, że nie wyjęła wcześniej jakichś dokumentów, które mogłaby teraz przerzucać. Nie wiedziała, co zrobić z rękami, kręciła się niespokojnie w wielkim fotelu.

- Gratuluję awansu na komendanta okręgowego. Nieźle.

- To było całkiem nieoczekiwane - skłamała.

Tak naprawdę poproszono ją, by ubiegała się o to stanowisko. To znaczy stary komendant o to poprosił. Dla nikogo nie było więc zaskoczeniem, że je dostała.

Sekretarz stanu spojrział na zegarek i przystąpił do rzeczy.

- Ministra martwi ta sprawa z adwokatami - oświadczył. - Nawet bardzo. Co się właściwie dzieje?

Przed laty nawet nie próbowała ukrywać, że ten mężczyzna ją interesuje, dziś także jej się podobał, a tytuł sekretarza stanu

wcale jej w tym nie hamował. Ale była po koniuszki palców profesjonalistką i potrafiła nad sobą zapanować.

- To trudna sprawa i na razie bardzo niejasna - odparła wymijająco. - Niewiele mogę dodać do tego, co już napisano w gazetach. Część z tego, niestety, na pewno jest prawdą.

Mężczyzna poprawił jedwabny krawat. Chrząknął znacząco, by jej przypomnieć, że jako najbliższy polityczny podwładny ministra ma prawo wiedzieć więcej niż tylko to, co ujawniono w bardziej lub mniej - raczej to ostatnie - godnych zaufania tabloidach. W niczym mu to jednak nie pomogło.

- Śledztwo znajduje się w bardzo wczesnej fazie. Policja nie jest przygotowana do udzielania jakichkolwiek dalszych wyjaśnień. Gdyby w trakcie postępowania ujawniono coś, o czym, naszym zdaniem, polityczne kierownictwo ministerstwa powinno się dowiedzieć, oczywiście, natychmiast się do ciebie odezwę. To mogę obiecać.

Więcej nic z niej nie wyciągnie. Miał już dostatecznie dużo lat, by to zrozumieć, więc nawet nie próbował. Kiedy wychodził z gabinetu, zauważyła wreszcie dodatkowe kilogramy, przez które jego pośladki nie wydawały się już tak atrakcyjne jak dawniej. Kiedy drzwi się zamknęły, uśmiechnęła się, bardzo z siebie zadowolona. Bez względu na obszerne dolne partie, mężczyzna wciąż pozostał bardzo atrakcyjny. Z pewnością nadarzą się kolejne okazje. Kiedy więc dostrzegła na blacie biurka siwy włos, szybko go podniosła i zaraz porozumiała się z sekretarką przez interkom.

- Zamów mi wizytę u fryzjera - przykazała. - Najszybciej, jak się da, dobrze?

Han van der Kerch zaczynał tracić poczucie czasu. Wprawdzie o określonej godzinie gaszono światło, by aresztanci wiedzieli, że jest noc, a niejadalne, opakowane w plastik posiłki podawano punktualnie, co pomagało dzielić życie na kawałeczki składające się w dobę, ale bez widoku słońca czy deszczu, bez wiatru i chłodu, w dodatku mając zbyt wiele czasu, którego nie można było poświęcić na nic innego niż sen, młody Holender zapadł w apatyczny stan niebytu.

Pewnej nocy, kiedy pięć godzin przespanych w ciągu dnia kazało mu przeżywać nieznośnie dłużące się godziny przy wtórze gorzkiego płaczu chłopca z sąsiedniej celi i dobiegających z głębi korytarza przeraźliwych krzyków Marokańczyka z silnymi symptomami odstawienia, poczuł, że traci rozum. Zaczął się modlić do Boga, w którego nie wierzył od czasów szkółki niedzielnej. Błagał go o to, by nadszedł wreszcie dzień z silnym światłem na suficie. Bóg najwyraźniej o nim zapomniał, tak jak Han van der Kerch zapomniał o Bogu, bo poranek nie chciał przyjść. W rozpaczony chłopak rzucił o ścianę zegarek, który po kilku dniach wreszcie mu oddano. Od tej pory nie mógł nawet obserwować nieznośnej wędrówki czasu ku przyszłości całkowicie pozbawionej treści.

Biuściasta kobieta w okularach, która pchała wózek z posiłkami dla więźniów, od czasu do czasu podtykała mu kawałek czekolady. Za każdym razem czuł się tak, jakby to była Wigilia. Łamał czekoladę na maleńkie kawałeczki, kładł po jednym na języku i czekał, aż się roztopi. Bardzo schudł. Przez trzy tygodnie aresztu stracił siedem kilo. Nie było mu z tym do twarzy, ale miało to niewielkie znaczenie.

Poza tym się bał. Lęk, który pojawił się niczym szybko rosnący kaktus w brzuchu, kiedy tak stał pochylony nad zmasakrowanymi zwłokami Ludwiga Sandersena, rozprzestrzenił się na całe ciało. Zaczęły mu się trząść ręce, rozlewał wszystko, co pił. W początkowym okresie był w stanie skupić się na książkach, które mu pożyczano, ale z czasem także i zdolność koncentracji zaczęła zawodzić. Litery podskakiwały i tańczyły na stronie. Dostał tabletki, to znaczy dostali je strażnicy i wydzielali mu po jednej według wskazówek lekarza. Maleńkie jasnoniebieskie pigułki zażywane wieczorem pomagały mu wsiąść do pociągu zmierzającego do krainy snów. Trzy razy dziennie pigułki były większe i białe, te pozwalały odetchnąć, gdy kaktus na chwilę chował kolce. Ale świadomość, że wkrótce znów się pojawią, świeżo naostrzone i większe, była niemal równie straszna. Han van der Kerch tracił kontrolę nad swoim życiem.

Wydawało mu się, że jest dzień. Nie mógł tego wiedzieć na

pewno, ale światło było zapalone i dochodziło do niego wiele dźwięków. Niedawno podano posiłek, chociaż nie potrafił określić, czy to był lunch, obiad, a może kolacja? Nie, na kolację za wcześnie, za dużo hałasu.

W pierwszej chwili nie zrozumiał, co to jest. Kiedy złożona kartka wpadła przez kratę, minęło dość dużo czasu, zanim go to zdziwiło. Śledził ją wzrokiem. Była nieduża, lekka i potrzebowała całej wieczności na to, by dotrzeć do podłogi. Wirowała w powietrzu jak motyl, z boku na bok, wolno opadając ku betonowi. Uśmiechnął się, ten ruch go rozbawił. Czuł, że i tak go nie dotyczy.

Kartka leżała. Han van der Kerch jej nie ruszał. Podniósł wzrok, by znów wbić go w pionowe kreski, przez które widział to, co się dzieje na korytarzu. Przed chwilą dostał jedną z białych pigułek i czuł się lepiej niż przed godziną. Po pewnym czasie spróbował wstać. Zakręciło mu się w głowie, a od tak długiego leżenia w tej samej pozycji zdrętwiały mu ręce i nogi. Czuł w nich nieprzyjemne mrowienie. Z trudem przeszedł kilka kroków dzielących go od drzwi. Nachylił się i podniósł kartkę, nie patrząc jednak na nią.

Parę minut zajęło mu znalezienie właściwej pozycji do siedzenia, w której ciało zanadto by nie protestowało. Kartka miała wielkość widokówki dwukrotnie złożonej. Rozprostował ją.

Wiadomość była najwyraźniej przeznaczona dla niego. Grubym flamastrem ktoś napisał kilka słów drukowanymi literami: *Milczenie jest złotem, mowa śmiercią*. Brzmiało to tak bardzo melodramatycznie, że aż zaczął się śmiać. A śmiech brzmiał przenikliwie i głośno, że się przestraszył i ucichł. I wtedy strach całkowicie nim zawładnął. Skoro przez kraty mogła trafić kartka, mogła też trafić i kula.

Znów wybuchnął śmiechem, tak samo głośnym i przenikliwym. Śmiech echem odbił się od murów, wrócił do niego, otoczył go w dzikim tańcu, nim wreszcie wydostał się przez kraty, zabierając ze sobą resztki rozumu z głowy Holendra.

Piątek, 16 października

- Dwie osoby zabite i dwie w szpitalu. A jedyne, co mamy, to jakieś inicjały i niejasne podejrzenia.

Żółte liście klonu przeżyły swoją pierwszą mroźną noc i dookoła rozlegał się taki dźwięk, jakby brodzili w szeleszczących nowością banknotach. Tu i ówdzie widniały plamy świeżego śniegu, pierwszego, jaki się utrzymał tak blisko centrum. Dotarli do szczytu St. Hanshaugen. W dole leżało miasto jesienno blade i zmarznięte. Wydawało się równie zaskoczone nagłym chłodem jak kierowcy na Geitemyrsveien, co rusz wpadający na siebie na zeszywniałych letnich oponach. Niebo wisiało nisko. Przed upadkiem na ziemię podtrzymywały je kościelne wieże, te wysokie, na Uranienborg i kilka niższych, bliżej St. Hanshaugen.

Hanne Wilhelmsen wypisano ze szpitala, ale nie bardzo nadawała się jeszcze do spacerów po lesie. Nie powinna też męczyć swego obitego mózgu problemami, ale Håkon Sand nie zdołał oprzeć się pokusie, kiedy zadzwoniła, proponując mu spacer. Wciąż była blada, zasiniona broda zmieniła barwę na bladzieloną, a ogromne bandaże zastąpiono wielkim płatem plastra. Włosy miała całkowicie asymetryczne, co zdumiało Håkona. Sądził, że raczej zetnie je wszystkie na krótko, by wprowadzić stan harmonii z tą częścią, która została ogolona na łyso. Kiedy się spotkali, z zażenowaniem kryjąc radość ze spotkania, natychmiast mu zapowiedziała, że nie zamierza składać w ofierze reszty długich włosów, mimo że bez wątpienia wygląda trochę dziwnie.

- Jedna osoba w szpitalu - poprawiła. - Ja przecież już jestem na nogach.

- No tak, miałaś więcej szczęścia niż nasz Holender. Kompletnie odjechał. Lekarz mówi, że to psychoza retroaktywna czy jakoś tak. Dla mnie on po prostu zwariował. Leży na oddziale psychiatrycznym w szpitalu Ullevål. W każdym razie mało prawdopodobne, że od czegoś takiego zrobi

się bardziej rozmowny. Chwilowo tylko coś belkocze, zwinięty w pozycji płodu. Śmiertelnie się boi wszystkiego i wszystkich.

- To właściwie trochę dziwne - zamyśliła się Hanne i przysiadła na ławce. Poklepała miejsce obok siebie, Håkon usłuchał. - Dziwi mnie, że dopiero po ponad trzech tygodniach tak mu odbiło. Owszem, wiemy, jak jest w oficynie. To nie wakacyjny pobyt, ale stale się zdarza, że ktoś tam siedzi za długo. Słyszałeś wcześniej, żeby ktoś od tego oszalał?

- Nie, ale on pewnie miał lepsze powody, żeby się bać. Cudzoziemiec, czuł się samotny i w ogóle.

- Mimo wszystko...

Håkon nauczył się słuchać Hanne. Sam nie starał się zgłębić *stanu psychicznego Hana van der Kercha*, jedynie z rezygnacją potraktował go jako kolejne zamykające się drzwi w śledztwie, które i tak właściwie stało w miejscu.

- Czy ktoś mógł to wywołać? Czy on mógł być na coś narażony w celi?

Håkon nie odpowiedział, Hanne też się nie odzywała. Ogarnęło go to dziwnie przyjemne uczucie, które zawsze pojawiało się w obecności Hanne. Zupełnie inne niż w towarzystwie znajomych kobiet. Jakaś forma koleżeństwa, kumpłowskiej wspólnoty i głęboka świadomość, że się nawzajem lubią i szanują. Nagle pomyślał, że powinni się bardziej zaprzyjaźnić, ale zaraz odrzucił ten pomysł. Intuicja podpowiadała mu, że to Hanne musi podjąć inicjatywę, jeśli mają być dla siebie kimś więcej niż tylko kolegami z pracy. Kiedy tak siedział na lodowatej ławce na szczycie St. Hanshau- gen w październikowy dzień, był bardziej niż zadowolony z faktu, że gra w jednej drużynie z tą kobietą, tak mu bliską, a zarazem tak daleką. Taką zdolną i tak ważną dla pracy, którą starał się wykonywać. Miał nadzieję, że Hanne nigdzie się nie spieszy.

- Znalaziono coś interesującego w celi?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Co, na miłość boską, miałyby to być?

- Ale szukano czegoś?

Nie wiedział. Teraz dopiero zaczynał rozumieć, dlaczego tak

bardzo odczuwał brak Hanne w pracy. Nie miał takiego doświadczenia w bezpośrednim kierowaniu śledztwem. Chociaż formalnie był odpowiedzialny za wszystkie sprawy, pod którymi się podpisywał, to jednak rzadko policyjni prawnicy brali w śledztwach tak bezpośredni udział jak on teraz.

- Akurat to mi umknęło - przyznał.

- Jeszcze nie jest za późno - pocieszyła go. - Jeszcze możesz to zbadać.

Pozwolił dodać sobie otuchy i żeby trochę poprawić blaknący wizerunek faceta sprawnie kierującego śledztwem, opowiedział Hanne o swoich poszukiwaniach związanych z osobą Jørgena Ulfa Lavika.

Lavik odniósł spory sukces, i to w dość krótkim czasie. Po dwóch latach u Petera Strupa rozpoczął, wraz z dwoma innymi świeżo upieczonymi adwokatami w tym samym co on wieku, własną praktykę. Zajmowali się wieloma dziedzinami, a w przypadku Lavika około pięćdziesięciu procent stanowiły sprawy karne. Na drugą połowę składały się sprawy gospodarcze średniej wielkości. Dorobił się też żony numer dwa, a z nią szybko trojga dzieci. Rodzina mieszkała w stosunkowo skromnym szeregowcu, w średnio eleganckiej dzielnicy miasta. Wydatki na pierwszy rzut oka nie przekraczały tego, na co człowieka z pozycją Lavika może być stać: dwa samochody - roczne volvo i siedmioletnia toyota żony

- żadnego domku letniskowego ani łodzi. Żona nie pracowała, co z pewnością było konieczne przy trzech chłopcach w wieku jednego roku, dwóch i pięciu lat.

- To brzmi jak charakterystyka bardzo przeciętnego adwokata z Oslo - stwierdziła Hanne Wilhelmsen z rezygnacją. - *Tell me something I don 't know*⁸.

Håkonowi wydała się zmęczona, białe obłoczki oddechu wydobywały się z jej ust jeden po drugim, choć już od dłuższej chwili siedzieli na ławce. Wstał, otrząsał nieistniejący śnieg i wyciągnął rękę, by pomóc jej się podnieść. Ujęła ją, chociaż nie było to konieczne.

8 Powiedz mi coś, czego bym nie wiedziała.

- Przyjrzyj się bliżej tym jego sprawom gospodarczym - powiedziała. -I zrób listę wszystkich jego klientów w sprawach karnych z ostatnich dwóch lat. Założę się, że coś znajdziemy. A poza tym

- dodała - połącz wreszcie te sprawy. Obie są moje, prowadziłam przecież tę pierwszą.

Wyglądała na prawie szczęśliwą.

Poniedziałek, 19 października

Od brutalnej napaści na Hanne Wilhelmsen minęło zaledwie osiem dni, powinna więc być na zwolnieniu jeszcze co najmniej przez tydzień. Po namyśle stwierdziła, że to całkiem rozsądne, wciąż dokuczał jej lekki ból głowy, czuła się słabo i przy każdym większym wysiłku miewała ataki mdłości. Wszystkich innych, łącznie z Cecilie, zapewniała, że jest w doskonałej formie, tylko trochę zmęczona, i zgodziła się na pięćdziesiąt procent zwolnienia przez tydzień.

Kiedy pojawiła się wreszcie w pokoju zebrzań pełniącym też funkcję wydziałowej stołówki, powitały ją oklaski. Poczowała się wręcz zawstydzona. Mimo to uśmiechnęła się i zaczęła ścisnąć wszystkie wyciągające się do niej dłonie. Oczywiście padło kilka komentarzy na temat jej fryzury, ale odparła je, jak zwykle żartując. Wszyscy się śmiali. Wciąż była oblepiona plastrami, a dół twarzy mienił się odcieniami żółci i zieleni. To ją uchroniło przed uściskami, przynajmniej dopóki na salę nie wszedł szef wydziału, który na nic nie zważając, złapał ją za ramiona i mocno przytulił.

- Dzielna dziewczyna - szepnął jej do ucha. - Cholera, Hanne, aleś nas wystraszyła!

Musiała powtórzyć zapewnienia, że dobrze się już czuje, i obiecała szefowi bezpośrednie sprawozdanie, którego w swoim mniemaniu mógł się domagać. Ustalili miejsce i czas, a komisarz Kaldbakken postanowił, że też się do nich przyłączy.

Nagle w drzwiach stanął Billy T. Mimo szerokiego uśmiechu budził powszechne przerażenie.

- Nokaut w pierwszej rundzie, Hanne? Myślałem, że lepiej potrafisz się bronić - stwierdził z udawanym rozczarowaniem w głosie; w końcu sam uczył ją samoobrony. - Zamierzasz tu siedzieć cały dzień i słuchać pochwał? A może znajdziesz kilka minut na robotę?

Znalazła. Na jej biurku królował ogromny bukiet kwiatów. Piękny. Za to wazon był paskudny, a poza tym za mały i kiedy

ostrożnie go chwyciła, żeby przenieść na parapet, zwyczajnie się przechylił i Hannę wypuściła go z rąk na podłogę. Kwiaty się rozsypały, a woda rozlała. Billy T. ryknął śmiechem.

- Tak się w komendzie kończą wszelkie próby okazania życzliwości - stwierdził. Odepchnął Hannę na bok, olbrzymią łapą zgarnął kwiaty, a wodę usiłował rozchlapać butami pod ścianę. Niewiele mu z tego przyszło, w końcu usiadł, a kwiaty cisnął w kąt.

- Wydaje mi się, że mam coś dla ciebie - oświadczył i z tylnej kieszeni spodni wyciągnął dwie złożone kartki, zaokrąglone od kształtu pośladek jak zużyty męski portfel. Najwyraźniej nosił je w tym miejscu już od dłuższego czasu.

- Zatrzymanie rzeczy. W pewnym mieszkaniu w zeszłym tygodniu. Stały klient. Mieliśmy szczęście. Dwadzieścia gramów heroiny, cztery kokainy. Cholerny fart, bo do tej pory zwijaliśmy go wyłącznie za drobiazgi. Teraz siedzi tu, u nas, i ze strachu szczeka zębami. - Wyciągnął rękę w kierunku okna, najwyraźniej chcąc wskazać oficynę. -I posiedzi aż do rozprawy, a to się może trochę przeciągnąć - dodał z satysfakcją.

Wyjęte z kieszeni kartki przypominały tamtą z szyfrem znalezioną w pudełku z filmem pornograficznym u adwokata Olsena. Same liczby, zgrupowane po trzy. Obie kartki napisano odręcznie, a na samej górze widniały tytuły. Na jednej „Borneo”, na drugiej „Afryka”.

- Facet ćwierka jak skowronek, ale uparcie twierdzi, że nie wie, co to znaczy. Przycisnęliśmy go, dostarczył mnóstwo pożytecznych informacji, tak naprawdę więcej, niż musiał. Dlatego gotów byłbym uwierzyć, że może jednak naprawdę nie wie, co znaczą te liczby.

Siedzieli wpatrzeni w kartki, jak gdyby chowało się w nich coś, co mogłoby wyskoczyć, gdyby tylko wpatrywali się w nie dostatecznie długo.

- Powiedział, skąd je ma?

- Tak. Twierdzi, że natknął się na nie przypadkiem i zachował jako zabezpieczenie. Więcej nie daje się z niego wyciągnąć. Nie chce też powiedzieć, co to był za przypadek.

Hanne Wilhelmsen zwróciła uwagę na dziwny w dotyku papier. Jakby pokryty osadem, na którym odznaczało się kilka odcisków palców w kolorze bladego fioletu.

- Już kazałem zbadać odciski na tych kartkach. Nic ciekawego - stwierdził Billy T. Sięgnął po kartki, wyszedł z pokoju i po dwóch minutach wrócił. Podał Hanne dwie kopie, jeszcze ciepłe. - Oryginały zatrzymam. Dostaniesz je, jeśli będziesz ich potrzebowała.

- Dziękuję, Billy T.

Wdzięczność była szczera, mimo że uśmiech zmęczony.

Przede wszystkim dowiedział się, że jest świadkiem, a nie podejrzanym. Nie robiło mu to żadnej różnicy, bo i tak pozostawał podejrzanym, i to mocno, we własnej sprawie. Następnie, na wyraźne jego życzenie zaserwowano mu coca-colę, a przed opuszczeniem celi pozwolono wziąć prysznic. Hanne Wilhelmsen, życzliwa i otwarta, zdołała między wierszami zasugerować, że podejrzanemu w jednej sprawie może być łatwiej, jeśli okaże się dobrym świadkiem w drugiej. Niezbyt go to zainteresowało. Gadali o nieistotnych rzeczach. Jakaś odmiana po nudnej celi zawsze jest mile widziana, sprawiał wręcz wrażenie, że się dobrze bawi. W przeciwieństwie do Hanne Wilhelmsen. Ból głowy się wzmógł, a szwy ciągnęły za każdym razem, gdy się krzywiła.

- Dostanę za to kilka lat. Dobrze wiem.

Był chyba pewniejszy siebie, niż to sugerował Billy T.

- Chyba muszę ci to powtórzyć. Nie interesuje mnie twoja sprawa. Niech sobie pozostanie twoją. Chcę porozmawiać o tych dwóch dokumentach, które u ciebie znalezione.

- O dokumentach? To nie były dokumenty, no wiesz. To tylko kartki z liczbami. Dokumenty to mają stemple i podpisy, no wiesz.

Wypił colę i poprosił o kolejną. Hanne Wilhelmsen wcisnęła guzik interkomu i zamówiła.

- *Room service*!. To mi się podoba. Tam, gdzie siedzę, nie ma takiej obsługi, no wiesz.

- Te dokumenty czy, jak wolisz, kartki - spróbowała Hanne

jeszcze raz, ale znów jej przerwał.

- Nie mam pojęcia. Naprawdę. Znalazłem je kiedyś i zachowałem jako zabezpieczenie. W mojej branży nigdy dość ostrożności, no wiesz.

- Zabezpieczenie, ale przed czym?

- Po prostu zabezpieczenie. Przed niczym specjalnym. Ktoś ci spuścił lanie, czy co?

- Nie, taka się już urodziłam.

Po trzech godzinach pracy Hannę zaczęła rozumieć, dlaczego lekarz tak nalegał na dalsze zwolnienie. A Cecilie ostrzegała ją przed bólami głowy i mdłościami, straszyla, że taki stan może się zmienić w chroniczny, jeśli nie będzie się oszczędzać. Hannę Wilhelmsen zaczęła się obawiać, że partnerka miała rację. Delikatnie potarła skroń bez plastra.

- Nie mogę nic powiedzieć, no wiesz.

Nagle trochę spuścił z tonu. Koścista postać lekko zadrżała i rozlał colę.

- Abstynencja, no wiesz. Muszę się przenieść do więzienia okręgowego. Tam jest dosyć narkotyków. Mogłabyś to załatwić?

Hanne Wilhelmsen przyjrzała mu się uważnie. Chudy jak szczapa, błądy jak upiór, rzadka bródka nie zakrywała w pełni wszystkich pryszczki. Facet miał wyjątkowo paskudną cerę jak na mężczyznę, który już dawno przekroczył trzydziestkę. Kiedyś jednak musiał być przystojny. Prawdopodobnie był też ślicznym dzieckiem. Wyobrazila go sobie jako pięciolatka z jasnymi lokami, na wizytę u fotografa ubranego w marynarską bluzkę. W uszach ciągle jej brzmiał pogardliwy ton policyjnych prawników, narzekających na wszystkie te bzdury wygłaszane przez obrońców: trudne dzieciństwo, zawód sprawiony przez społeczeństwo, ojcowie zapijający się na śmierć, matki pijące nieco mniej i utrzymujące się przy życiu akurat na tyle, by zapobiec przejęciu opieki nad dzieckiem przez kogoś rozsądnego, przynajmniej do chwili, gdy dzieciak w wieku trzynastu lat stawał się kompletnie nie do opanowania i na nic nie zdawała się jakakolwiek pomoc urzędów ani innych życzliwych dusz. To przecież nie mogło się dobrze skończyć. Hanne Wilhelmsen

wiedziała, że obrońcy mają rację, że człowiek nie staje się łajdakiem bez powodu. Oni wszyscy mieli straszne życie. Ten facet prawdopodobnie również. A on jakby czytał w jej myślach, bo nagle jęknął cienkim głosem:

- Miałem straszne życie, no wiesz. Cholernie ciężki los.

- Tak, tak, wiem - odparła słabym głosem. - Ale nic ci na to teraz nie poradzę. No wiesz. Ale może uda mi się załatwić ci dzisiaj przeniesienie, jeśli powiesz, skąd masz te dokumenty.

Przynęta najwyraźniej była kusząca. Widziała, że facet liczy niewidzialne guziki. Jeśli w ogóle umiał liczyć.

- Znalazłem je. Więcej nie mogę powiedzieć. Mam wrażenie, że wiem, kto jest ich właścicielem. To paskudni ludzie, no wiesz. Znajdą cię wszędzie. Wydaje mi się, że te papiery to ciągle niezłe zabezpieczenie, no wiesz. Zaczekam raczej na swoją kolejkę w oficynie. Jestem już wysoko na liście. Przecież siedzę od pięciu dni.

Hanne Wilhelmsen nie miała siły dłużej się z nim użerać. Kazała mu dopić colę, usłuchał. Pił jeszcze przez całą drogę, aż do celi. Przy drzwiach oddał jej butelkę.

- Słyszałem o tobie, no wiesz. Mówią, że jesteś równa babka. Dzięki za colę!

Tego samego dnia przeniesiono go do więzienia okręgowego. Hanne Wilhelmsen nie była aż tak zmęczona, by przed pójściem do domu nie pociągnąć za kilka sznurków. Wprawdzie nie potrafiła z rękawa wytrząsnąć miejsca w przepełnionym więzieniu, ale miała pewien wpływ na priorytety. Chudzielec był uszczęśliwiony, kiedy jeszcze tego samego dnia rozgościł się w celi z oknem, w której stało coś, co można było uznać za łóżko.

Odwiedził go też adwokat. Prawnik w garniturze i dręczony objawami odstawienia mężczyzna siedzieli sami w pokoju, do którego prowadziło wejście z innej sali, gdzie najwięksi szczęściarze spotykali się z rodziną albo z przyjaciółmi.

Adwokat przerzucał dokumenty. Otwarty nesesor leżał na stole, a wieko dzieliło ich jak tarcza. Prawnik sprawiał wrażenie bardziej zdenerwowanego niż więzień, który jednak nie był w

stanie tego zauważyć. Adwokat zamknął pokrywę nesesera i wyjął chusteczkę do nosa. Rozłożył ją i podsunął klientowi zawartość.

To było błogosławieństwo. Wszystko, czego zmęczony życiem mężczyzna potrzebował, by osiągnąć kilka godzin zasłużonego odurzenia. Sięgnął, ale na próżno. Adwokat błyskawicznie przyciągnął rękę do siebie.

- Co powiedziałeś?

- Nic. Przecież mnie znasz. Nie mówię więcej, niż muszę, no wiesz.

- Miałeś coś w mieszkaniu, co mogłoby naprowadzić policję? W ogóle coś miałeś?

- Nie, nie, nic. Tylko towar. Fatalnie się złożyło, no wiesz, że przyszli akurat tuż przed odbiorem. To nie moja wina.

Gdyby mózg mężczyzny nie był tak otępiały po dwudziestu latach zażywania sztucznych stymulantów, zapewne odpowiedziałby inaczej. Gdyby szansa na ratunek zamknięta w walizeczce adwokata nie osłabiła tej odrobiny przytomności umysłu, do jakiej wciąż jeszcze mógł się przyznawać, może powiedziałby, że ma w ręku kompromitujące materiały. Papiery, które znalazł na podłodze po wizycie w innym pokoju odwiedzin, po innym zatrzymaniu. Gdyby był przy zdrowych zmysłach, prawdopodobnie zrozumiałby, że jeśli dokumenty miały być jego polisą ubezpieczeniową, powinien przyznać się do ich posiadania. Może nawet powinien wymyślić jakąś historię, na przykład o tym, że ktoś powie wszystko policji, gdyby coś mu się stało. W każdym razie może coś by z tego miał. Może ocaliłoby mu to życie, a może nie. Ale był zbyt otępiały.

- No to dalej trzymaj gębę na kłódkę - skwitował adwokat i pozwolił więźniowi poczęstować się zawartością chusteczki.

Znajdował się tam również cylinder wielkości etui do cygara. Coraz bardziej trzęsącymi się rękami narkoman spakował cały sprzęt do tego niedużego pudełeczka, potem bez cienia wstydu spuścił spodnie i lekko się krzywiąc, wcisnął pojemnik do odbytu.

- Przed wpuszczeniem do celi mnie przeszukają, ale po roz-

mojemu z adwokatem nie będą mi zaglądać w tyłek - zaśmiał się zadowolony.

Pięć godzin później znaleziono go martwego. Zbyt duża działka posłała go w objęcia śmierci ze szczęśliwym uśmiechem na ustach. Sprzęt leżał na podłodze, a w niedużym kawałeczku plastikowej folii znajdowały się drobinki heroiny. W mokrej jesiennej trawie pod oknem celi walał się nieduży, przypominający etui na cygaro pojemniczek. Nikt go jednak nie szukał i miał tam leżeć wystawiony na deszcz i śnieg jeszcze przez półtora roku, aż wreszcie przypadkowo podniósł go dozorca.

Stara matka narkomana dowiedziała się o śmierci syna dopiero dwa dni później. Uroniła kilka gorzkich łez i na pociechę wypila całą butelkę *eau de vie*. Cierpiała, kiedy chłopiec przyszedł na świat, przepłakała całe jego życie. Teraz bolała nad jego odejściem. Oprócz niej nikt, absolutnie nikt, nie zatęsknił za Jacobem Frøstrupem.

Poprzednim razem starszy mężczyzna sprawiał wrażenie groźnego, za to teraz był najzwyczajniej wściekły. Spotkali się tak jak ostatnio koło parkingu w głębi Maridalen. Zaparkowali samochody po przeciwnych stronach placu, co wyglądało dość dziwnie, ponieważ na tym sporym obszarze stały jeszcze tylko trzy inne pojazdy, wszystkie równo obok siebie. Osobno weszli do lasu, starszy w odpowiednim ubraniu, tak jak poprzednio, młodszy za to zmarznięty, w garniturze i czarnych pantoflach.

- Co ty sobie, do cholery, myślisz, przychodząc tak ubrany? - warknął starszy, kiedy już dotarli kilkaset metrów w głąb, między drzewa. - Chcesz zwrócić na siebie uwagę?

- Uspokój się, nikt mnie nie widział.

Młodszy dzwonił zębami. Ciemne włosy miał mokre, garnitur na ramionach przemoczony. Przypominał Drakulę, a wrażenie to potęgowały jeszcze ostre kły, widoczne nawet po zamknięciu ust, bo wargi ściągały mu się z zimna.

Gdzieś w pobliżu zawarczał traktor. Natychmiast ukryli się za drzewami. Ale takie środki bezpieczeństwa były całkiem zbęd-

ne, ponieważ znajdowali się w *odległości* co najmniej stu metrów od leśnej drogi. Warkot silnika zaraz zresztą ucichł.

- Mamy jasną politykę, która nakazuje w ogóle się nie widywać - podjął ze złością starszy. - A zmusiłeś mnie do spotkania już drugi raz w ciągu krótkiego czasu. Całkowicie straciłeś kontrolę?

Pytanie było retoryczne. Tamten sprawiał wrażenie kompletnie wyprowadzonego z równowagi. Jego żaloszny wygląd podkreślały jeszcze drogi garnitur i modna fryzura. I jedno, i drugie było zresztą w coraz gorszym stanie. Nie odpowiedział.

- Weź się w garść, człowieku!

Starszy w niepohamowanej złości złapał za poję marynarki młodszego i zaczął nim potrząsać jak szmacianą lalką. Tamten nawet się nie opierał.

- Posłuchaj mnie! - Mężczyzna nagle zmienił taktykę. Zaczął mówić wolno i wyraźnie jak do dziecka: - Kończymy interes. Gwizdźmy na te dwa-trzy miesiące, o których wcześniej mówiłem. Zwijamy się, słyszysz? Ale musisz mi powiedzieć, na czym stoimy. Ten twój ptaszek w więzieniu coś o nas wie?

- Tak. Wie o mnie. O tobie oczywiście nie.

Pedagogiczny ton zniknął jak zdmuchnięty i starszy mężczyzna prawie wrzasnął:

- Co, do cholery jasnej, miałeś na myśli, mówiąc wtedy, że nie byłeś taki durny jak Hansa? Twierdziłeś, że nie masz kontaktu z chłopakami na posyłki.

- Kłamałem - odparł tamten apatycznie. - Jak, do diabła, miałem ich rekrutować? Zaopatrywałem ich w narkotyki w więzieniu. Niedużo, tyle żeby dało się pociągać za sznurki. Za narkotykami pobiegną jak psy za suką.

Starszy uniósł pięść do ciosu, ale zrobił to nieco zbyt wolno, by mógł tym zaskoczyć. Młodszy, przerażony cofnął się o krok, zaplątał w liście i upadł do tyłu. Nie wstawał. Starszy z pogardą trącił czubkiem buta jego nogę.

- Załatwisz to - rozkazał.

-Już załatwiłem. - Z gnijących liści dobiegł pisk. - Już to załatwiłem.

Piątek, 23 października

Nie czuł się samotny, co najwyżej trochę osamotniony. Za towarzystwo wystarczał mu damski głos z wiadomości o osiemnastej. Fotel odziedziczył po babci, a ponieważ był wygodny, zaczął go używać, mimo że babcia, siedząc właśnie na nim, spotkała się ze swoim Zbawicielem. Na jednym podłokietniku wciąż widniały dwie plamki krwi z rany na głowie; prawdopodobnie uderzyła nią o półkę na książki, gdy zawiodło ją serce. Nie dało się ich usunąć, jak gdyby babcia nawet z zaświatów podtrzymywała swoje prawo własności. Håkon Sand uważał jednak, że to miłe. Babcia za życia była uparta jak osioł, a wyblakłe resztki krwi na jasnoniebieskim welurowym obiciu przypominały mu ją, kobietę, która samodzielnie wygrała wojnę, zajmowała się wszystkimi słabymi i potrzebującymi pomocy, była bohaterką jego dzieciństwa i namówiła go na studia prawnicze, mimo, łagodnie mówiąc, jego słabej głowy do książek.

Mieszkanie było urządzone bez gustu, bez konsekwencji czy jakiegokolwiek próby zachowania jednorodności stylu. Kolory zgrzytały na siebie zębami, ale - paradoksalnie - wyczuwało się tu przyjazną atmosferę domowego ciepła. Wszystkie przedmioty miały własne historie. Niektóre dostał w spadku, inne były kupione na pchlim targu, a komplet wypoczynkowy i stół z krzesłami pochodził wprost z Ikei. Dom kawalera, ale czystszy niż zazwyczaj i bardziej uporządkowany. Håkon Sand jako jedyny syn sprzątaczkę wcześniej nauczył się fachu. Zresztą lubił prace domowe.

Prokurator krajowy zareagował gwałtownym wybuchem przeciwko sposobowi, w jaki prasa traktowała sprawy karne. Prowadząca miała problemy z zapanowaniem nad uczestnikami debaty, ale Håkon Sand siedział z zamkniętymi oczami, nie wykazując zbyt wielkiego zainteresowania. Prasy i tak nie da się utemperować, pomyślał, i już zasypiał, kiedy zadzwonił telefon.

To była Karen Borg. Håkon słyszał w słuchawce echo szumu we własnych uszach. Kilka razy spróbował przełknąć ślinę, nic to jednak nie dało. W ustach miał sucho, jakby był na kacu.

Przywitali się, ale dalej zejść nie potrafili. Idiotycznie było milczeć do słuchawki, w końcu Håkon chrząknął, by wypełnić czymś głuchą pustkę.

- Siedzę tu sama - odezwała się wreszcie Karen. - Jak sądzisz, mógłbyś do mnie wpaść? Trochę się boję - dodała, żeby usprawiedliwić zaproszenie.

-A Nils?

- Wyjechał na kurs. Ugotowałabym coś dobrego. Mam trochę wina. Możemy porozmawiać o tej sprawie. I o dawnych czasach.

Håkon był gotów rozmawiać z nią o czymkolwiek. Nagle był szczęśliwy, pełen oczekiwań, chociaż śmiertelnie wystraszony. Po długim prysznicu i dwudziestominutowej podróży taksówką dotarł na Grunerløkka, do mieszkania, którego nigdy w życiu nie widział.

Ale ómy bijące skrzydłami pod jego koszulą prędko musiały się uspokoić. Karen nie była szczególnie otwarta, nawet go nie uściskała na powitanie. Obdarzyła go tylko jednym z tych swoich odmierzonych uśmiechów, których dostał już w życiu aż za dużo. Prędko znaleźli właściwy ton rozmowy i Håkonowi puls trochę zwolnił.

Håkon Sand zdążył się już przyzwyczać do rozczarowań.

Kolacja okazała się niezbyt smaczna; sam poradziłby sobie o wiele lepiej. Kotlety z jagnięciny okazały się za bardzo wysmażone, w sosie było zbyt dużo białego wina i smak alkoholu zbyt ostro przebijał. Za to czerwone wino w kieliszkach było naprawdę wyśmienite. Długo rozmawiali o drobiazgach, o dawnych kolegach ze studiów... zachowywali czujność. Rozmowa toczyła się gładko, ale wyłącznie po wytyczonej wąskiej ścieżce. A o jej kierunku decydowała Karen.

- Doszliście właściwie do czegoś jeszcze?

Deser kompletnie się nie udał. Sorbet cytrynowy nie chciał się trzymać dłużej niż przez trzydzieści sekund. Håkon starał się łagodzić sytuację i jadł zimną, cytrynową zupę z uśmiechem

i udawanym apetytem.

- Sporo się domyślamy, ale od udowodnienia czegokolwiek dzieli nas lata świetlne. Teraz się nudzimy. Mnóstwo gównianej rutynowej roboty. Zbieramy wszystko, co może mieć w ogóle jakąkolwiek wartość, a potem, przyświecając sobie latarką, sprawdzamy, czy coś z tego da się wykorzystać. Na razie nie mamy nic na Jørgena Lavika, ale liczymy, że za kilka dni będziemy wiedzieć więcej o jego życiu.

Karen przerwała mu, unosząc kieliszek. Håkon wypił trochę za duży łyk i zakrztusił się. Czerwone wino poplamilo obrus. Zrozpaczony sięgnął po solniczkę, żeby naprawić szkodę, ale Karen złapała go za rękę i patrząc mu w oczy, powiedziała spokojnie:

- Zostaw to, Håkon. Zajmę się tym jutro. Raczej opowiadaj.

Odstawił więc solniczkę i jeszcze parę razy przeprosił, nim w końcu podjął temat:

- Gdybyś ty wiedziała, jakie to nudne! Dziewięćdziesiąt pięć procent w śledztwie dotyczącym zabójstwa to zmarnowany czas. Drobiazgowe sprawdzanie każdego szczegółu. Mnie na szczęście cała ta praktyczna dłubanina omija, ale i tak muszę to wszystko przeczytać. Na razie przesłuchaliśmy dwudziestu dwóch świadków. Dwudziestu dwóch! Żaden nie wniósł nic nowego. Ta odrobina śladów, jakie mamy, nic nam nie mówi. Kula, która uśmierciła Hansę Olsena, pochodzi z broni, której u nas w kraju nawet nie ma w sprzedaży. Utknęliśmy w miejscu. Wydaje nam się, że widzimy gdzieś jakiś schemat, ale nie możemy znaleźć wspólnego mianownika, tego maleńkiego kawałeczka, który by nam pozwolił posunąć się dalej.

Palcem wskazującym usiłował wetrzeć sól w obrus, z nadzieją, że babcina rada okaże się dzięki temu skuteczniejsza.

- A może całkowicie się mylimy - dodał w końcu z rezygnacją.

- Już nam się wydawało, że coś mamy, kiedy się okazało, że tego dnia, gdy twój klient całkiem odjechał, Lavik przebywał w areszcie. Już byłem w siódmym niebie, ale dyżurny z aresztu ze szczegółami zapamiętał tę wizytę i zaklina się, że Lavik nie rozmawiał z nikim oprócz swojego klienta. Strażnik nie odstępował go na krok, tak jak wszystkich innych

odwiedzających.

Håkon Sand nie chciał rozmawiać o sprawie. Był piątek, on miał za sobą długi i męczący tydzień, a teraz wino zaczęło uderzać mu do głowy. Trochę się rozluźnił, ciepło rozchodzące się z brzucha spowolniło mu ruchy. Sięgnął po talerz Karen, starannie przerzucił z niego resztki na swój własny, ułożył sztucce na jednym i już miał wstać, żeby wynieść naczynia do kuchni.

Właśnie wtedy się to wydarzyło. Karen podniosła się szybko, okrążyła olbrzymi sosnowy stół, zawadzając biodrem o krawędź, co w oczywisty sposób musiało sprawić jej ból. Ona jednak na to nie zważała. Usiadła Håkonowi na kolanach. Milczał bezradnie. Dłonie ciążyły mu jak ołów. Nie wiedział, co z nimi zrobić.

Ze strachu zakręciły mu się łyzy w oczach, a wystraszył się jeszcze bardziej, kiedy Karen delikatnie zdjęła mu okulary. Zaskoczony zaczął mrugać, aż po lewym policzku popłynęła mu łza. Nieduża i tylko jedna, ale Karen ją zauważyła. Dłonią dotknęła policzka i starta łzę kciukiem.

Przyłożyła wargi do jego ust i długo go całowała. To było coś zupełnie innego niż tamto przelotne muśnięcie u Håkona w biurze. Pocałunek był pełen obietnic, pożądania i tęsknoty. Taki, o jakim Håkon Sand wielokrotnie fantazjował, za którym tęsknił i już dawno pogodził się, że nigdy nie będzie niczym innym aniżeli słodkim marzeniem. To był pocałunek z jego snów. Zupełnie inny niż wszystkie te, które zgromadził w ciągu piętnastu lat kawalerskiego życia. To była nagroda za to, że kochał ją i tylko ją, odkąd się poznali na wykładzie czternaście lat temu. Czternaście lat! Pamiętał to spotkanie lepiej niż wczorajszy lunch. Przyszedł do audytorium w Budynku Zachodnim pięć minut spóźniony i znalazł miejsce tuż przed śliczną, jasnowłosą dziewczyną. Rozkładając krzeselko, paskudnie przyciął nim palce u stóp dziewczyny; nie zauważył, że opierała o nie nogi. Dziewczyna zaczęła krzyczeć, Håkon, jękając się, przeproszał, a wszystkiemu temu towarzyszyły śmiechy i okrzyki siedzących obok. Ale kiedy spojrział na swoją ofiarę, natychmiast się zakochał i z tego stanu nie zdołał się już

nigdy wyzwolić. Ale też nigdy się do tego nie przyznał. Jego cierpliwe czekanie było bolesne i smutne, zwłaszcza że obserwował kolejnych kochanków Karen, którzy przychodzili i odchodzili. Rezygnacja kazała mu dojść do wniosku, że kobiety to coś takiego, czego można się nabawić na miesiąc lub dwa, dopóki zabawy w łóżku są jako tako przyjemne. Nic więcej nie mogło z tego wynikać. Przynajmniej z żadną inną.

Kilka długich sekund siedział bez ruchu, potem jednak jego dłonie przestały już być tak bezradne, przestały ciążyć i zaczęły delikatnie przesuwając się po jej plecach. Lekko rozsunął nogi, by Karen mogła usiąść wygodniej.

Kochali się przez wiele godzin. Z poczuciem niezwyklej bliskości i zażyłości, jak dwoje starych przyjaciół związanych wieloletnią wspólną historią. Nigdy wcześniej tak się nie dotykali. Przypominało to wędrówkę po dobrze znanej okolicy, tyle że po wielu latach. Znajomą i nieznaną zarazem. Wszystko niby było na swoim miejscu, chociaż światło było inne, a okolica tak naprawdę niezbadana.

Szeptali do siebie słodkie słowa, czuli się jakby wyjęci z rzeczywistości. Gdzieś w oddali zazgrzytał tramwaj, hałas zakłócił pełen napięcia nastrój w salonie, wchłonął jutrzejszy dzień i zniknął w oddali jak stary przyjaciel, który życzy im wszystkiego najlepszego. Karen i Håkon znów zostali sami. Ona zdezorientowana, zmęczona i szczęśliwa, on tylko i wyłącznie uradowany.

Hanne Wilhelmsen spędzała piątkowy wieczór zupełnie inaczej. Razem z Billym T. siedziała w stojącym na poboczu przy króciutkiej ulicy na Grefsenkollen nieoznakowanym radiowozie ze zgaszonymi światłami. Uliczka była wąska, dlatego, nie chcąc zakłócać niewielkiego na szczęście ruchu w późny weekendowy wieczór, zaparkowali jak najgłębiej i w efekcie samochód stał krzywo. Już po chwili kręgosłup Hanne zaprotestował przeciwko siedzeniu z jednym poślądkiem o kilka centymetrów niżej niż drugi. Próbowwała się wyprostować, ale bez powodzenia.

- Weź to. - Billy T. sięgnął na tylne siedzenie po kurtkę. -

Podłóż ją sobie pod pódłupek.

Pomogło, przynajmniej na razie. Jedli kanapki przyniesione przez Hanne - sześć dla Billy'ego T., dwie dla niej.

- Niezły piknik! - Billy T. głośno wyraził zachwyt i nalał sobie kawy z termosu.

- Miły piątkowy wieczór - uśmiechnęła się Hanne, mając usta wypchane jedzeniem.

Tkwili tu już od trzech godzin, trzeci zresztą wieczór z rzędu. Dom Lavika był brązowy i nieciekawy, ale z okien zasłoniętych kolorowymi firankami sączył się miękki, ciepły blask. Na razie wysiadanie w zimnym samochodzie nie przyniosło żadnych rezultatów, obserwowani zachowywali się w sposób nudnie normalny. Niebieskawa poświata telewizora migotała w oknach salonu od dobranocki do końca wieczornych wiadomości. W dwóch pokojach na piętrze światło gasło około ósmej; przypuszczalnie były to pokoje dzieci. Lavikowie za to kładli się spać późno, światła gasły dopiero około północy. Jedynie raz ktoś stanął w drzwiach wyjściowych, ale była to najprawdopodobniej pani Lavik wynosząca śmieci. Trudno było ją dostrzec wyraźnie, ale policjanci odnieśli wrażenie, że to zgrabna kobieta, szczupła i elegancko ubrana, nawet jeśli spędzała wieczór w domu.

Nudzili się więc. W samochodach służbowych nie wolno było instalować ani radia, ani odtwarzacza płyt, a radio policyjne, nadające wyłącznie informacje o mniej lub bardziej poważnych kryminalnych zdarzeniach w stolicy, nie zapewniało szczególnej rozrywki. Ale oni mieli cierpliwość.

Zaczął padać śnieg. Wkrótce duże płatki przysypały całe auto. Billy T. na chwilę uruchomił wycieraczki, żeby mogli cokolwiek widzieć.

- No, nareszcie dobranoć - powiedział, wskazując na dom. W pokojach kolejno gasły światła. W jednym z okien na piętrze świeciło się jeszcze przez kilka minut, ale wkrótce już tylko latarnia nad drzwiami wejściowymi umożliwiała dostrzeżenie konturów budynku.

- Nareszcie się przekonamy, czy nasz przyjaciel Jørgen ma w piątkowy wieczór coś więcej do roboty niż tylko wygrzewanie

się pod kołdrą - westchnęła Hanne, bez szczególnej jednak nadziei w głosie.

Minęła godzina. Śnieg wciąż padał, powoli i bezgłośnie. W pewnej chwili Hanne zasugerowała, że może jednak powinni zrezygnować, ale Billy T. prychnął pogardliwie. Pierwszy raz kogoś śledziła? Oświadczył, że posiedzą jeszcze ze dwie godziny.

I właśnie wtedy ktoś wyszedł z domu. Oboje byli już tak seni, że niemal to przegapili. Mężczyzna, kuląc się przed chłodem, długo się mocował z zamkiem, potem truchtem ruszył w stronę garażu. Drzwi się otworzyły, zanim do niego dotarł. Automatyczne, stwierdzili policjanci.

Volvo było granatowe, ale bez trudu można było je dostrzec w światłach samochodów i latarni. Na wszelki wypadek Billy T. utrzymywał odpowiedni dystans.

- To szaleństwo śledzić go tylko jednym autem - mruknął po chwili. - Paranoja. Powinniśmy być co najmniej w dwie jednostki.

- Budżet - przypomniała Hanne. - A Lavik nie przywykł do polowania, przecież nawet się nie ogląda.

Jechali w stronę skrzyżowania Storo. Żółte światła uliczne przypominały oczy Cyclopa, wodzące kierowców na zatracenie. W poprzek Store Ringvei stały dwa rozbite samochody, jeden miał poważnie skasowany przód. Oni nie mogli się jednak tym zająć, kierowali się dalej w stronę Sandaker.

- Zatrzymał się - powiedziała nagle głośno Hanne.

Volvo stało przy budce telefonicznej na Torshov. Lavik wyraźnie miał problemy z otwarciem drzwi do budki, widać zawiasy zamarzły. Zdołał je wreszcie pokonać i wślizgnął się do środka. Billy T. spokojnie pojechał dalej. Skręcił za pierwszy róg, zawrócił z porządnym poślizgiem i zaparkował w odległości ponad pięćdziesięciu metrów od tamtego. Lavik stał odwrócony plecami do policjantów, kryjąc twarz w podniesionym kołnierzu.

- Aha. Rozmowa z budki telefonicznej. W piątek w nocy. Zdaje się, że mamy rację - stwierdził Billy T. z nieskrywaną satysfakcją.

- Przecież może mieć kochankę. - Hannę dołała kroplę dziegciu do beczki miodu, ale nie zdołała stłumić zachwytu kolegi.

- Kochankę, do której dzwoni z budki o drugiej w nocy? Na pewno nie - oświadczył z głębokim przekonaniem.

Rozmowa trwała dłuższą chwilę. Na ulicy było prawie pusto, tylko jakiś pijany nocny wędrowiec zataczał się po śniegu, który pokrył już wszystko, przynosząc w październiku atmosferę Bożego Narodzenia.

Mężczyzna w budce nagle rzucił słuchawkę, wskoczył do auta i pomknął w dół Vogts gate.

Ruszyli za nim. Kolejny przystanek również ich zaskoczył. W jednej z bocznych ulic na Grunerløkka volvo wręcz wpadło na wolne miejsce parkingowe; policjanci zatrzymali się sto metrów dalej.

Jørgen Lavik wyskoczył z wozu, pobiegł, skręcił za róg i zniknął im z oczu. Hannę i Billy T. popatrzyli na siebie w milczeniu i wysiedli z samochodu. Billy T. szepnął, że będą udawać parę zakochanych, i mocno przytuleni ruszyli w stronę tamtej uliczki. Było ślisko, Hannę musiała kilka razy mocno podtrzymać Billy'ego T., żeby nie upadł; jego buty miały skórzane podeszwy.

Kiedy wyszli zza rogu, zobaczyli ich. Lavik stał z jakimś mężczyzną, dyskutowali cicho, ale gwałtowne ruchy rąk zdradzały charakter rozmowy. To z pewnością nie była przyjacielska pogawędka. Policjantów dzieliło jednak od nich sto metrów. Sto długich metrów.

- Bierzemy ich - szepnął Billy T., podniecony jak angielski seter, który zwietrzył kuropatkę.

- Nie! - syknęła Hannę. - Oszalałeś? Na jakiej podstawie? W końcu nie ma zakazu nocnych rozmów.

- Na jakiej podstawie? A co to, do cholery, jest podstawa? Przecież codziennie zatrzymujemy ludzi tylko dlatego, że instynkt tak nam podpowiada!

Hannę poczuła gwałtowne drgnięcie ciała kolegi i z całej siły przytrzymała go za kurtkę. Tamci już ich zauważyli. Policjanci znaleźli się tak blisko, że słyszeli głosy mężczyzn, choć jeszcze

nie byli w stanie rozróżnić słów. Na widok zbliżającej się pary Lavik zareagował wygładzeniem klap, jakby nic się nie stało, po czym powoli, ale zdecydowanym krokiem zawrócił do samochodu. Hannę i Billy T. zwarli się w gorącym uścisku, nasłuchując kroków mężczyzny zmierzającego do ciemnego volvo. Drugi mężczyzna nie ruszał się z miejsca. Nagle Billy T. wyrwał się z objęć Hannę i skoczył w jego stronę. Lavik tymczasem okrążył już róg po przeciwnej stronie ulicy i zniknął im z oczu. Nieznajomy rzucił się do ucieczki, a zdezorientowana Hannę dosłownie wrosła w ziemię.

Billy T. był w dobrej formie i bez trudu doganiał ściganą zwierzynę. Po jakichś pięćdziesięciu metrach nieznajomy skoczył do bramy, usiłując ją zamknąć. Billy T. dotarł dosłownie na sekundę przed jej zatrzaśnięciem. Uciekającego nigdzie nie było jednak widać.

Billy T. wbiegł na ogrodzone tylne podwórze, niezbyt wielkie, może dziesięć metrów na dziesięć, z trzech stron otoczone wysokim murem. Z jednej była to tylna ściana garażu czy komórki^ bo do szczytu muru przylegał skośny blaszany dach. W rogu znajdował się obwiedziony murem klomb, a spod śniegu wystawały żaloszne szczątki bujnych niegdyś kwiatów. W głębi stała domowej roboty pergola, po której właśnie wspinał się uciekający. Wystarczyło dziesięć kroków, by Billy T. złapał go za but. Tamten mocno wierzgnął, obcasem trafiając policjanta w czoło. Billy T. jednak nie puścił, tylko drugą ręką próbował chwycić za spodnie powyżej buta. Nie miał szczęścia. Kiedy już prawie zaciskał palce, tamten uwolnił się gwałtownym szarpnięciem i Billy T. został z butem w ręku. Za moment rozległ się huk - uciekinier wylądował na ziemi po przeciwnej stronie muru. Billy'emu T. pokonanie muru zajęło trzy sekundy, ale tamten dobrze wykorzystał ten czas i już wbiegał do kolejnej bramy, tym razem prowadzącej na ulicę. Gdy dotarł do łukowatego otworu w murze, odwrócił się. W ręku trzymał broń wycelowaną prosto w Billy'ego T.

- Policja! - ryknął Billy T. - Policja!

Gwałtownie zahamował, ale skórzane podeszwy tego nie usłyszały, tylko dalej sunęły do przodu. Olbrzym zrobił pięć czy

sześć tanecznych kroków, próbując złapać równowagę, a długie jak skrzydła wiatraka ręce zdawały się przy tym dyrygować jakąś ogromną orkiestrą. Wreszcie Billy T. runął na ziemię i jedynie warstwa świeżego śniegu uchroniła go od solidnych potłuczeń. Nic jednak nie uchroniło jego dumy. Kiedy usłyszał trzask zamykanej bramy, zaklął głośno.

Otrzepywał się ze śniegu, kiedy Hanneę przeskoczyła mur za jego plecami.

- Szalencie!- powiedziała z podziwem i wyrzutem jednocześnie.

- Pod jakim pretekstem byś zatrzymał tego faceta, gdybyś go złapał?

- Za nielegalne posiadanie broni - mruknął, potem oczyścił z resztek śniegu swoje trofeum - wielki, męski, skórzany but w rozmiarze czterdzieści cztery - i z kwaśną miną zarządził odwrót.

Poniedziałek, 26 października

W sekretariacie na półce z korespondencją leżał cały plik żółtych samoprzylepnych karteczek. Hanne Wilhelmsen nienawidziła wiadomości zostawianych telefonicznie. Była zbyt obowiązkowa, by je wyrzucić, ale dobrze wiedziała, że co najmniej połowa z jedenastu dzwoniących osób nie miała nic ważnego do przekazania. Najbardziej dokuczliwym elementem służby była konieczność odpowiadania na pytania ludzi: zniecierpliwionych ofiar gwałtu, które nie mogły zrozumieć, dlaczego śledztwo musi ciągnąć się ponad pół roku, skoro sprawca jest znany, agresywnych obrońców domagających się decyzji prokuratorskich i świadków uważających się za bardziej cennych, niż uznawała to policja.

Dwie kartki były od tej samej osoby. „Proszę zadzwonić do P Askhaug, Ullevål” i numer telefonu. Hannę wykręciła numer i przedstawiła się.

- Dobrze, że pani dzwoni - zaszczębiotała kobieta na drugim końcu linii. - Jestem pielęgniarką na oddziale psychiatrycznym. Mieliśmy tu pacjenta, aresztanta. Chyba Holendra, z tego co wiem. Powiedziano mi, że to pani zajmuje się tą sprawą. Czy to się zgadza?

Zgadzało się.

- W chwili przyjęcia wykazywał oznaki psychozy i przez kilka dni był na neuroleptykach, nim w końcu zaczęliśmy dostrzegać pewną poprawę - tłumaczyła pielęgniarka. - Wreszcie udało nam się zaprowadzić coś w rodzaju porządku w jego życiu psychicznym, ale nie wiemy, na jak długo. Przez pierwsze dwa dni musieliśmy chłopcu zakładać pieluchę, inaczej byłby zbyt dużym obciążeniem.

W miękkim głosie z wyraźnym akcentem z południa pojawił się przepraszający ton, jak gdyby to sama pielęgniarka była odpowiedzialna za żałosne braki personelu w resorcie zdrowia.

- Zwykle to salowe zmieniają pieluchy, ale on miał obstrukcję przez półtorej doby, odkąd się tu znalazł. Akurat przypadł mi

wtedy nocny dyżur. My też zajmujemy się pacjentami, kiedy jest taka potrzeba. Zmieniłam mu więc pieluchę, chociaż to właściwie należy do salowych. Rozumie pani?

Hannę rozumiała.

- Zauważyłam w odchodach jakąś białą niestrawioną grudkę. Z ciekawości ją wyjęłam. Oczywiście używamy gumowych rękawiczek. - W słuchawce rozbrzmiał cichy śmiech.

- No i? - Hannę zaczynała się niecierpliwić.

- To była kartka, wielkości pocztówki, zgnieciona w kulkę, ale pismo ciągle dało się odczytać, nawet po opłukaniu. Uznałam, że może was to zainteresować, dlatego zadzwoniłam. Na wszelki wypadek.

Hanne Wilhelmsen gorąco ją pochwaliła, mając nadzieję, że pielęgniarka wreszcie dojdzie do sedna.

W końcu dowiedziała się, co było napisane na kartce.

- Będę u pani za kwadrans - oświadczyła natychmiast. - Najpóźniej za dwadzieścia minut.

Wreszcie zdecydowano się urządzić centrum dowodzenia. Nazwa brzmiała może zbyt pretensjonalnie, ale wystarczyło wejść do środka, żeby to docenić. Po rozdzieleniu pomieszczeń w wydziale A 2.11 zostało dwadzieścia metrów kwadratowych w głębi korytarza od północno-zachodniej strony. Pomieszczenie nie nadawało się do użytku na stałe, ale przy bardziej skomplikowanych sprawach stawało się właśnie centrum dowodzenia - gromadzono tu, w jednym miejscu, zarówno akta, jak i ludzi. Takie rozwiązanie było w miarę praktyczne. Dwa telefony, po jednym na każdym z dwóch ustawionych naprzeciwko siebie pod oknem biurek, a na nich tacki z obgryzionymi ołówkami, gumkami i tanimi długopisami. Ściany pokrywały półki. Puste; przypominały wszystkim o tym, jak niewiele mają. Stara kopiarka w sąsiednim pomieszczeniu szumiała denerwująco i monotonnie.

Zebrań prowadził komisarz Kaldbakken. Był chudy i mówił dialektem, do tego połowa słów znikwała w niewyraźnym mamrotaniu. Niewiele to szkodziło. Wszyscy obecni zdążyli się do niego przyzwyczaić i czego nie usłyszeli, tego się domyślili.

Zresztą nie mówił dużo.

Sierżant Hanne Wilhelmsen omówiła wszystko, co zdołali zebrać, oddzielała fakty od domysłów, rzeczywistość od plotek. Niestety, przeważały domysły i plotki. Mimo to robiły pewne wrażenie. Konkretnych śladów zgromadzili mało i nie mogli nimi nikomu zaimponować.

- Moim zdaniem trzeba zatrzymać adwokata Lavika - oświadczył młody funkcjonariusz, piegowaty, z zadartym nosem. - Postawić wszystko na jedną kartę. Na pewno pęknie.

W pokoju zapadła nieprzyjemna cisza. Do rudowłosego młodzika dotarło, że się wygłupił, i ze wstydu zaczął obgryzać paznokcie.

- Co na to powiesz, Håkon? Co właściwie możemy zrobić?

To była Hanne. Wyglądała już lepiej, bo ugięła się i obcięła włosy na krótko. Zrozumiała chyba, że asymetryczna fryzura, którą zachowała przez ponad tydzień, była po prostu komiczna.

Håkon Sand sprawiał wrażenie nieobecnego duchem, ale po chwili wziął się w garść.

- Gdyby udało nam się nakłonić Lavika do złożenia dobrowolnych zeznań, to możliwe, że posunęlibyśmy się o krok dalej. Problem w tym, że przesłuchanie należałoby jakoś uzasadnić. Wiemy przecież... - urwał, i zaczął od nowa: - Uważamy przecież, że jest winien. To prawda, za dużo tu zbiegów okoliczności: spotkanie w środku nocy z uzbrojonym mężczyzną, inicjały na banknocie, wizyta w areszcie akurat tego dnia, kiedy kartka z ostrzeżeniem doprowadziła Hana van der Kercha do obłądu. I jeszcze jeden fakt: Lavik widział się z Jacobem Frøstrupem zaledwie na kilka godzin przed rozstaniem się tego nieszczęśnika ze światem.

- To akurat w zasadzie nic nie znaczy - oświadczyła Hanne.

- Wszyscy wiemy, że więzienia są pełne narkotyków, że strażnicy mogą swobodnie wchodzić do więzienia i wychodzić bez żadnej kontroli, wchodzić do cel, kiedy tylko chcą... To właściwie niewiarygodne - stwierdziła po chwili namysłu. - Pracownicy domu towarowego Steen og Strøm muszą się godzić na przeszukanie, mające ukrócić kradzieże w sklepie, natomiast pracownicy więzienia nie godzą się na kontrolę

mającą zapobiec przemytowi narkotyków do więzień.

- Związki zawodowe - mruknął Kaldbakken.

- Poza tym strach Hana van der Kercha przed więzieniem też może mieć jakiś związek ze sprawą. Może podejrzewa kogoś ze strażników - ciągnęła Hanne, nie wdając się w dyskusje na temat związków zawodowych. - Wydaje mi się nieprawdopodobne, żeby Lavik ryzykował przyłapanie z aktówką pełną narkotyków. Śmierć Frøstrupa to raczej dowód na to, że lęk van der Kercha przed więzieniem jest uzasadniony. Za to ta kartka to dzieło Lavika, tego jestem pewna - oświadczyła, kładąc na biurku plastikową torebkę z niestrawionym kawałkiem papieru.

Pismo było niewyraźne, ale nikt nie miał problemów z odczytaniem przesłania.

- To wygląda na jakiś kiepski żart - ośmielił się znów odezwać rudy chłopak. - Miejsce takich kartek jest raczej w telewizyjnych kryminałach, a nie tu, u nas - prychnął, ale nikt mu nie zawtórował.

- Czy ludzie naprawdę mogą oszaleć przez taką wiadomość?

- spytał z niedowierzaniem Kaldbakken. W ciągu trzydziestu lat pracy z niczym podobnym się nie zetknął.

- Jego w każdym razie wystraszyła do szaleństwa - odparła Hanne Wilhelmsen. - Na pewno już wcześniej nie czuł się zbyt dobrze, a ta kartka mogła być kroplą, która przepełniła dzban. Już z nim zresztą lepiej, wrócił za kratki. Lepiej to może za dużo powiedziane... Ciągłe siedzi w kącie i nie chce mówić. Z tego, co wiem, Karen Borg też nie jest w stanie nawiązać z nim kontaktu. Moim zdaniem powinien pozostać w szpitalu, ale szpital odsyła pacjentów do więzienia, kiedy tylko sobie przypomną, jak się nazywają.

- A może jakby nigdy nic poprosić Lavika o rozmowę - zaproponował Håkon Sand. - Zaryzykować, że nie odmówi, i przekonać się, co nam z tego przyjdzie? To może głupie posunięcie, ale z drugiej strony, czy ktoś ma lepszą propozycję?

- A co z Peterem Strupem?

Po raz pierwszy odezwał się szef wydziału. Odpowiedziała mu Hanne:

- Na niego na razie nic nie mamy. Na mojej liście jest tylko wielkim znakiem zapytania.

- Ale nie zapominajcie o nim tak całkiem - nakazał szef i zakończył zebranie, podejmując decyzję: - Sprowadźcie Lavika, tylko, na miłość boską, powitajcie go dobrym słowem. Niepotrzebna nam cała sfora adwokatów na karku, przynajmniej na razie. W tym czasie ty... - wskazał na chłopaka z zadartym nosem, a potem przesunął palec dalej - ...ty i ty zajmiecie się całą gównianą robotą. Przyjdziecie do mnie, a ja wam wyznaczę zadania. Dużo rzeczy trzeba sprawdzić. Chcę wiedzieć wszystko o tych dwóch adwokatach. Co lubią jeść na obiad i jakich dezodorantów używają, znać ich poglądy polityczne i historie z kobietami. Przede wszystkim szukajcie powiązań.

I od razu zabrał młodego chłopaka i dwóch jego równoletków, którzy mieli jednak dość oleju w głowie, by nie odzywać się podczas zebrania; jak widać, niewiele im to jednak pomogło, bo jako najmłodszy musieli wykonać najnudniejszą robotę.

Hanne Wilhelmsen i Håkon Sand wyszli z pokoju ostatni. Hanne ze zdziwieniem zauważyła, że prokurator mimo beznadziejnego stanu śledztwa sprawia wrażenie wesołego i zadowolonego.

- Rzeczywiście, mam się świetnie - odparł na jej życzliwe pytanie. - Czuję się naprawdę cholernie dobrze!

Håkon Sand kłócił się, walcząc o zgodę na obecność przy przesłuchaniu. Sierżant Wilhelmsen była nastawiona zdecydowanie negatywnie; wpadka podczas przesłuchania Hana van der Kercha nie poszła w zapomnienie.

- Znam tego faceta - argumentował Håkon. - Przy mnie poczuje się swobodniej. Nie masz pojęcia, jak dobrzy prawnicy traktują tych złych. Może nabrać przesadnej śmiałości.

W końcu Hannę ustąpiła, zażądała jednak od niego złożenia solennej obietnicy, że będzie milczący jak grób. Odezwać się mógł wyłącznie na jej znak, ale miał się ograniczyć do banałów i ogólnych komentarzy, nie wspominać o niczym znaczącym

dla sprawy.

- No to będziemy udawać dobrego gliniarza i złego - zdecydowała w końcu z uśmiechem. To ona miała być twardzielem, dla Håkona natomiast przewidziała życzliwe poklepywanie po ramieniu.

- Tylko nie bądź za twarda - ostrzegł prokurator. - Bo ryzykujemy, że on po prostu wstanie i wyjdzie. Nie mamy podstaw go zatrzymać.

Stawił się dobrowolnie. Bez aktówki, ale ubrany stylowo i stosownie do swego zawodu: w garniturze i eleganckich butach. Zbyt eleganckich na błoto zalegające na ulicach Oslo. Miał przemoczone nogi, na jasnej skórze pantofli widniał kilkucentymetrowy biały osad, a tweedowy płaszcz był mokry na ramionach. Håkon Sand zdążył zauważyć na podszewce metkę ekskluzywnej firmy. Lavik zaczął się rozglądać za wieszakiem, a kiedy nie znalazł, przewiesił płaszcz przez oparcie krzesła. Z pogodną miną okazywał życzliwość bez śladu zdenerwowania.

- Bardzo jestem ciekawy, o co chodzi - oświadczył z uśmiechem, odgarniając z czoła gęste włosy, które zaraz znów opadły.

- Czyżbym był o coś podejrzewany? - spytał, uśmiechając się jeszcze szerzej.

- Na razie nie - odparła Hannę.

Håkon Sand uważał, że Hannę poczyna sobie zbyt śmiało, ale zgodnie z umową postanowił się nie odzywać. Ani on, ani Hannę nie mieli zamiaru robić żadnych notatek. Oboje dobrze wiedzieli, że przesłuchiwany często zacina się na widok magnetofonu czy choćby długopisu i kartki.

- Sprawdzamy rozmaite teorie związane z kilkoma sprawami, nad którymi się trochę męczymy - przyznała Hanne. - I mamy wrażenie, że może pan nam nieco pomóc. Chcemy tylko zadać kilka pytań. W każdej chwili może pan stąd wyjść.

Informowanie mecenasa o tym fackie było całkiem zbyteczne.

- Mam tego pełną świadomość - oświadczył wciąż uśmiechnięty, ale w jego głosie pobrzmiwał już inny ton. - Zostanę, dopóki nie uznam, że powinienem, okej?

- Okej - odezwał się Håkon, licząc, że to mieści się w umowie. Czuł po prostu potrzebę powiedzenia czegoś, co stłumiłoby poczucie, że jest tu zbyt cichy. Wcale jednak nie poczuł się lepiej.

- Znał pan Hansa A. Olsena? Tego zamordowanego adwokata?

- Hanne od razu przystąpiła do rzeczy. Mecenas Lavik najwyraźniej się jednak tego spodziewał.

- Nie, tak bym nie powiedział - odparł spokojnie, nie za szybko, ale bez zbędnego wahania. - Nie znałem go, chociaż kilka razy z nim rozmawiałem. Działaliśmy na tym samym rynku, to znaczy jako obrońcy. Kilka razy z pewnością natknąłem się na niego w sądzie i być może na spotkaniu Stowarzyszenia Obrońców, ale tak naprawdę się nie znaleźliśmy.

- Co pan myśli o tym zabójstwie?

- O zabójstwie Hansy Olsena?

-Tak.

- Co myślę...

Wahanie było naturalne. Adwokat sprawiał wrażenie skupionego, jakby chciał spełnić ich oczekiwania.

- Szczerze mówiąc, niewiele się nad tym zastanawiałem! Uznałem, że mógł to zrobić jakiś niezadowolony klient. Chyba właśnie takie wyjaśnienie krąży w naszym środowisku.

- A co z Jacobem Frøstrupem?

I Hanne, i Håkon twierdzili później, że w tym momencie wyczuli u adwokata cień niepewności. Tego wrażenia jednak nie potrafili skonkretyzować, dlatego w końcu przyznali, iż prawdopodobnie było raczej przejawem ich nadziei aniżeli trzeźwego osądu.

- Przykro mi, że Jacob tak skończył. Miał straszne życie, od samych narodzin zresztą. Od lat był moim klientem, ale nigdy nie złapano go na czymś bardzo poważnym. Nie rozumiem, dlaczego tym razem miałby się w coś podobnego zaplątać. Z tego, co wiem, i tak niewiele życia mu zostało, bo od trzech lat chorował na AIDS.

Mówiąc, patrzył przez okno. Była to jedyna dająca się zauważyć zmiana, jaka w nim zaszła od początku rozmowy. Uświadomiwszy ją sobie, spojrzał na sierżant Wilhelmsen.

- Słyszałem, że umarł tego samego dnia, kiedy się z nim widziałem. Przykro mi. Sprawiał wrażenie naprawdę przygnębitego. Mówił o skończeniu ze sobą, o tym, że nie ma już siły dalej żyć z bólem, upokorzeniem i jeszcze na dodatek z tą nową sprawą. Próbowiałem dodać mu otuchy, pocieszałem, prosiłem, żeby wytrzymał. Ale muszę przyznać, że wiadomość o jego śmierci nie była dla mnie zupełną niespodzianką.

Adwokat Lavik ze współczuciem pokręcił głową, potem otrzepał ramiona z łupieżu, którego wcale tam nie było; włosy miał gęste i błyszczące, a skórę głowy zdrowszą, niż mógł się nią pochwalić Håkon Sand. Prokurator poczuł się trafiony, spojrzał na własną czarną marynarkę i czym prędzej strzepnął z niej widoczne na odległość białe pyłki. Adwokat posłał mu współczujący i bezgranicznie pogardliwy uśmiech.

- Mówił, dlaczego miał w domu tak dużą partię narkotyków?

- Co za pytanie! - odparł z wyrzutem Lavik. — Mimo że mój klient nie żyje, uważam za wysoce niestosowne przekazywanie policji treści naszej rozmowy.

Policjanci przyjęli jego argument w milczeniu.

Hanne Wilhelmsen spięła się w sobie, żeby zagrać ostatnią kartę. Przeciągnęła ręką po wygolonej skroni. W pokoju było tak cicho, że wydało jej się, iż szelest wywołany przesuwaniem palców po krótkiej szczecinie musieli usłyszeć również mężczyźni.

- Dlaczego spotkał się pan z pewnym mężczyzną na Grunerløkka o trzeciej w nocy w piątek?

Jej głos zabrzmiał ostro, jakby usiłowała nadać słowom jeszcze bardziej dramatyczne brzmienie, ale i tu Lavik okazał się przygotowany.

- To był jeden z moich klientów. Wpadł w niezłe tarapaty, potrzebował natychmiastowej pomocy. Policja na razie nie jest zaangażowana w tę sprawę, ale on się boi. Musiałem mu po prostu udzielić kilku rad.

Uśmiechał się rozbrajająco, jakby nie było dla niego rzeczą ani trochę niezwykłą wstawanie z łóżka w środku nocy i wyruszenie do uboższej dzielnicy miasta na spotkanie z klientem. Wyras jego twarzy mówił wręcz, że tak właśnie

wygląda jego codzienność. A właściwie conocność.

Hannę nachyliła się do niego i palcami lewej ręki uderzyła o blat biurka.

- I chce pan, żebym ja w to uwierzyła? - powiedziała cicho. - Naprawdę chce pan, żebym w to uwierzyła?

- Dla mnie nie ma znaczenia, w co pani wierzy, a w co nie - odparł Lavik i znów się uśmiechnął. - Najważniejsze, że mówię prawdę. Jeżeli pani uważa, że jest inaczej, może pani próbować to udowodnić.

-I to właśnie zamierzam zrobić - oświadczyła Hanne Wilhelmsen. - Może pan już iść. Tym razem.

Lavik włożył płaszcz, uprzejmie podziękował, pożegnał się i delikatnie zamknął za sobą drzwi.

- Aleś się nagadał! - Hannę ze złością zwróciła się do kolegi.

- Twoja obecność rzeczywiście miała wielki sens!

Od czasu pobicia łatwo wpadała w irytację, dlatego Håkon postanowił nie reagować. Gniew Hannę wzbudziła łatwość, z jaką Lavik poradził sobie z przesłuchaniem. Håkon miał tego świadomość, więc tylko się uśmiechnął.

- Lepiej powiedzieć za mało niż za dużo - rzucił jeszcze na swoją obronę. - Poza tym wiemy teraz jedno. Właściciel tego buta musiał rozmawiać z Lavikiem po tamtym nocnym incydencie, dlatego nasz mecenas świetnie się do tego przygotował. A dlaczego nie powiedziałaś nic o tej kartce?

- Bo chcę ją mieć w zanadrzu - odparła w zamyśleniu. - Idę do domu. Muszę się położyć. Głowa mnie boli.

- Oni nic nie wiedzą!

Promieniał z zadowolenia, a w jego głosie starszy mężczyzna wyczuwał radość. Zamartwiał się o młodszego, który podczas ostatniego spotkania w Maridalen sprawiał wrażenie człowieka znajdującego się na skraju załamania nerwowego. Konfrontacja z policją mogła mieć katastrofalne skutki. Teraz jednak Lavik wykazywał niewzruszoną pewnością. Policja o niczym nie wie. Oszepecona policjantka i głupkowaty kolega ze studiów to para nieudaczników niemających żadnego asa w rękawie. Oczywiście ten incydent w piątkową noc to nieprzyjemna

historia, ale policja kupiła jego wyjaśnienie, tego był pewien. Zwyczajnie, czuł się szczęśliwy.

- Mogę się założyć, że nic nie wiedzą - powtórzył. - A skoro Frøstrup nie żyje, van der Kerch zwariował, a policja nie ma nic, to jesteśmy bezpieczni!

- Zapominasz o pewnym elemencie - powiedział tamten. - Zapominasz o Karen Borg. Nie mamy pojęcia, ile ona wie, ale musi coś wiedzieć. Przynajmniej policjanci tak uważają. Jeśli nie mają nic, jak twierdzisz, to znaczy, że Karen Borg jeszcze nic im nie wyjawiała. Ale nie wiadomo, jak długo zachowa to dla siebie.

Lavik nie wiedział, co powiedzieć, i jego iście dziecięcy zachwył nieco przygąś.

- Mogą się mylić - zaczął słabym głosem. - Policja może się mylić. Może ta kobieta w ogóle nic nie wie. Karen Borg i ten prokurator w okresie studiów byli jak papużki nierozłączki. Założę się, że gdyby miała coś do przekazania, już dawno by mu o tym powiedziała. Właściwie jestem tego całkiem pewien.

Znów się rozjaśnił, ale starszy wciąż nie był przekonany.

- Karen Borg to jednak problem - oświadczył dobitnie. - Jest i pozostanie problemem.

Na kilka sekund zapadła cisza, w końcu starszy postawił kropkę nad „i”.

- Nigdy więcej do mnie nie dzwoń. Ani z budki, ani z komórki. Po prostu nie dzwoń. Korzystaj ze zwykłej metody. Będę sprawdzał co drugi dzień.

Rzucił słuchawką, aż Lavik na drugim końcu drgnął. Z gwałtowną siłą odezwał się wrzód żołądka. Adwokat sięgnął więc do kieszeni po saszetkę balancidu, zębami zrobił w niej otwór i gorączkowo wyssał zawartość. Na wargach pozostał biały osad, który miał mu towarzyszyć do końca dnia; po dziesięciu sekundach Lavik poczuł się zdecydowanie lepiej. Rozejrzał się dokoła i wyszedł z budki. Jednak radość z sukcesu odniesionego na policji zgasła, przygarbiony wrócił do biura.

Czwartek, 29 października

Chciwość, myślał. Chciwość jest największym wrogiem przestępcy. Kluczem do sukcesu jest umiar.

Był kąsający mróz, a wysoko w górach śnieg leżał już od kilku tygodni. Po paru przerażających poślizgach, które zniosły go na przeciwny pas ruchu w Dokka, zmienił opony na zimowe. Mimo to miał problemy z pokonaniem ostatniego, stromego, kilometrowego odcinka leśnej drogi prowadzącej do domku letniskowego. W końcu musiał się poddać i wjechał tyłem. Po raz pierwszy miał takie j problemy, a przecież domek stanowił własność rodziny od ponad j dwudziestu lat. Nie wiedział, co mu spłatało przykrego figla, śnieg czy nerwy. Na niewielkim parkingu nie stał ani jeden samochód, a w ciemności ledwie widział zarysy czterech sąsiednich domków. Nigdzie nie było widać najmniejszego nawet światła. Dwieście metrów dzielących go od drzwi zdołał pokonać na śnieżnych rakietach | tylko dlatego, że świecił księżyc. Dłonie miał zlodowaciałe i dwa razy ! upuścił klucz w zaspę, nim w końcu udało mu się otworzyć.

Wewnątrz panował zaduch i pachniało pleśnią. Zamknął za sobą; drzwi na klucz, chociaż wiedział, że to zbędne. W wilgotnym powietrzu knot lampy naftowej długo nie chciał się zapalić. Po kilkun próbach zrobiło się jednak jasno, chociaż pod sufit uniosły się liczne strzępki sadzy. Powiesił latarkę na haku w suficie, zdjął kurtkę i wciągnął przez głowę gruby islandzki sweter.

Po godzinie doprowadził wszystko do porządku. Piecyk na naftę był w kłótliwym nastroju, musiał więc z niego zrezygnować na rzecz starego, dobrego kominka. W domku nie zrobiło się jeszcze ciepło, szczególnie że wietrzył przez pół godziny, ale ogień palił się mocno, a komin najwyraźniej to wytrzymał. Kuchenka gazowa działała jak należy, przygotował więc sobie filiżankę kawy. Postanowił się wstrzymać z załatwieniem swojej ważnej sprawy aż do chwili, gdy w domku porządnie się

nagrzeje. Zapowiadała się robota w wodzie i chłodzie. W koszyku leżał stos komiksów z lat sześćdziesiątych, sięgnął po kilka i zaczął je przeglądać zdrętwiałymi palcami. Czytał je sto razy wcześniej, ale wciąż doskonale zabijały czas. Niepokój mimo to go nie opuszczał.

Nadeszła północ. Ubrał się, wyjął ze schowka nieprzemakalny kombinezon od Helly Hansena, a stare ochronne buty, zwędzone z armii trzydzieści lat temu, wciąż dobrze leżały na nodze. Okrągłutki księżyc wisiał jeszcze na południowym niebie, więc latarka była na razie zbędna. Przez ramię przerzucił zwój liny, a do ręki wziął aluminiową szuflę. Rakiety śnieżne zostawił pod ścianą domku; czterdzieści metrów dzielących go od studni mógł przebyć bez nich, nawet w głębokim śniegu.

Budka studzienna wystawała spod śniegu niczym drogowskaz. Ostrzegano ich przed czerpaniem stąd wody, ale nigdy im nie zaszkodziła. Zawsze była świeża, słodka, o wyrazistym smaku pór roku. Cztery grube kolki związane na jednym końcu tworzyły coś w rodzaju uproszczonego szkieletu lapońskiego namiotu. Ze wszystkich czterech stron przybito do nich płyty ze sklejki wycięte w kształt litery A, z otworem w jednej ściance. Proste drzwiczki zamykały się na niedużą kłódkę. Otwór pierwotnie był nieduży, ot, taki na wiadro, lecz cztery lata temu mężczyzna go powiększył i teraz mógł się weń - z trudem, to prawda - ale wcisnąć do budki. Rodzina uznała to za niepotrzebne, chociaż wodę czerpało się teraz bez wątplenia lżej.

Niemal kwadrans zabrało mu odrzucenie śniegu na tyle, by drzwiczki dały się otworzyć. Spocił się i ciężko dyszał. Pozostawił je otwarte na oścież, dla bezpieczeństwa przysypał śniegiem, potem kucnął i wsunął się do środka. Podstawa budki miała powierzchnię niewiele większą niż metr kwadratowy, a elementy szkieletu nachylały się tak ostro, że nie można się było wyprostować. Po krótkich zmaganiach udało mu się skierować snop światła na powierzchnię wody. W studni było ciemno i cicho. Kiedy tak stał zgięty w niewygodnej pozycji, odezwała się dawna kontuzja barku. Aż jęknął. Wreszcie

skierował wąski snop światła na niewielki występ, pięćdziesiąt centymetrów niżej, tuż nad powierzchnią wody. Na próbę postawił na nim stopę i zorientował się, że półka jest śliska jak mydło. Spodziewał się tego. Kilka razy uderzył w nią butem i wreszcie noga jakoś zdołała się utrzymać. Podobne ćwiczenie powtórzył po przeciwnej stronie i w końcu stanął wyprostowany, na szeroko rozstawionych nogach, ale w miarę bezpiecznie. Zdjął rękawice i odłożył je na poprzeczną belkę, którą miał przed sobą, następnie zabrał się do podwijania rękawów kombinezonu. Sprawilo mu to trudność, bo kombinezon był gruby, a palce już zdążyły mu zmarznąć. W końcu się poddał. Przykucnął i prawą rękę zanurzył w lodowatej wodzie, lewą przytrzymując się zaczepu do wiadra. Ręka, zanurzona do połowy ramienia, już po paru sekundach zdrętwiała. Poczul, że serce bije mu mocniej, a w piersi coś go ściska. Palce bezskutecznie obszukiwały ścianę studni. Zaklął i wyjął rękę. Spuszczenie rękawa trochę pomogło, pocierał materiałem skórę, chuchając na zmrożoną dłoń. Po kilku minutach odważył się na kolejną próbę.

Teraz miał więcej szczęścia. Już po kilku sekundach zaciskał palce na luźnym kamieniu. Wyciągnął go ostrożnie i wyjął z wody. Spoczone plecy, zlodowaciała ręka i ciężko walące serce usiłowały go nakłonić do rezygnacji z dalszych działań. Zaciśnął jednak zęby i znów zanurzył rękę w wodzie. Tym razem wiedział już, gdzie szukać, i zaraz wymacał przedmiot wielkości niedużej, ale grubej teczki z rączką na jednym końcu. Upewnił się, czy dostatecznie mocno ją trzyma, po czym delikatnie wyciągnął ze schowka.

Kiedy teczka, a właściwie spora skrzynka, dotarła do powierzchni wody, zdrętwiałe palce nie były w stanie więcej wytrzymać. Puścił skrzynkę. Potem kilka razy rozpaczliwie machnął ręką, usiłując ją złapać, ale za mocno się przechylił i lewa stopa ześlizgnęła się z występu. Mężczyzna zniknął pod wodą mniej więcej jednocześnie ze skrzynką.

Nic nie widział. Uszy, usta i nos zalała mu woda. Kombinezon natychmiast nasiąkł, mężczyzna czuł, jak ubranie i buty ściągają go na dno. Wpadł w szal. Bał się nie o siebie,

tylko o skrzynkę. Z niebywałą zręcznością uchwycił ją, niesamowitym wysiłkiem wyciągnął się ku drzwiczkom znajdującym się pół metra wyżej i rzucił skrzynkę na śnieg. Teraz bał się już tylko o siebie. Próbował się wynurzyć, ale ruchy miał ociężałe, a ręce i nogi nie słuchały wydawanych im poleceń. W końcu jednak udało mu się uchwycić zaczepu do wiadra i w duchu pomodlił się, by bolce wbite w cienką ścianę ze sklejki wytrzymały. Podciągnął się dostatecznie wysoko, by jedną ręką chwycić za brzeg otworu drzwiowego. I dopiero wtedy odważył się puścić zaczep. Minutę później stał w blasku księżycy ociekający wodą i z trudem łapał powietrze. Protesty serca się wzmogły, mężczyzna złapał się za pierś. Ból stał się nie do zniesienia. Nie zamknął drzwi do budki studziennej, tylko chwycił skrzynkę i z trudem poczłapał do domku.

Zrzucił z siebie ubranie i nagi stanął przed kominkiem. Miał ochotę wpełznąć do samego środka, lecz tylko skulił się na szerokim występie w odległości zaledwie dwudziestu centymetrów od płomieni. Dopiero po chwili uzmysłowił sobie, że powinien okryć się kołdrą. Była wilgotna i zimna, ale wiedział, że teraz już nie umrze z zimna. Szpony zaciskające się w piersi wreszcie puściły, chociaż skóra nadal zdawała się płonąć. Zęby dzwoniły jak opętane, co uznał za dobry znak. W domku było już co najmniej piętnaście stopni ciepła, a po półgodzinie zdołał na tyle dojść do siebie, żeby się ubrać w stary dres, sweter, wełniane skarpety i filcowe kapcie. Zaparzył też jeszcze jedną filiżankę kawy, potem usiadł i otworzył skrzynkę. Była metalowa, w gumowej osłonie i miała wodoszczelny zamek.

Wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Dwadzieścia trzy kartki zapisane szyfrem, spięty w broszurę dokument liczący dziewięć stron i lista siedemnastu nazwisk. Papiery leżały w plastikowej torebce, stanowiącej zbędne zabezpieczenie, bo skrzynka okazała się idealnie szczelna. Wyjął torebkę. Pod nią leżało siedem paczek banknotów, w każdej po dwieście tysięcy. Milion czterysta tysięcy koron.

Wiedziony nagłym impulsem, wyjął ćwierć z jednej paczki, resztę zostawił. Starannie zamknął skrzynkę i odstawił ją na podłogę.

Papiery były całkiem suche. Mężczyzna przejrzał najpierw listę z nazwiskami, po czym wsunął ją w ogień. Trzymał ją, dopóki płomień nie zaczęły mu lizać wciąż zdętwiałych palców. Potem zaczął przerzucać dziewięciostronicowy dokument.

To była prosta organizacja, a on sam czuł się jak tajemniczy ojciec chrzestny. Starannie wybrał swoich dwóch współpracowników

- Hansę Olsena z uwagi na jego zamiłowanie do kryminalistów, wyraźną sympatię do pieniędzy i niejednoznaczny stosunek do prawa, oraz Jørgena Lavika, który pozornie był przeciwieństwem Olsena. Był zdolny, odnosił sukcesy, trzeźwo myślał i miał lodowate serce. Histeryczne zachowanie młodego człowieka w ostatnim okresie pokazało jednak, że stary się pomylił.

Wcześniej mężczyzna działał wolniutko, krok po kroku, z niezwykłą ostrożnością, jakby próbował uwieść dziewczęcę. Jakaś dwuznaczna uwaga tu, kilka dwuznacznych słów tam. W końcu zdobył ich obydwu. Nigdy, w żadnym momencie osobiście i bezpośrednio nie angażował się w pracę. Był mózgiem i posiadał kapitał początkowy, znał wszystkie nazwiska, planował każde posunięcie. Dzięki niezliczonym zleceniom obrony przestępców wiedział, gdzie kryją się pułapki. Chciwość. To chciwość ich wykańczała. Przemyt narkotyków był łatwy. Wiedział, skąd je brać, jakim kontaktom można ufać. Liczni klienci, kręcąc głową, zdradzali mu swoje drobne błędy, a on tylko się upewniał, że ich źródłem zawsze była przesadna chciwość. Cała rzecz polegała na ograniczeniu każdej operacji. Nie wolno przeciągać struny. Lepszy jest równy strumień ograniczonego zysku niż pokuszenie się na wielki skok.

Problem nie tkwił w imporcie. To rozprowadzenie na rynku stanowiło ryzyko. W środowisku pełnym donosicieli, otępiałych klientów i chciwych dilerów należało stąpać ostrożnie. Właśnie dlatego nigdy nie kontaktował się bezpośrednio z ludźmi stojącymi najniżej w systemie.

Zaledwie dwa razy powinęła im się noga. Kurierom się nie upiekło, ale akcja była zbyt mała, by policja domyśliła się

istnienia większej organizacji. Chłopcy umieli trzymać języki za zębami. Dostali wyroki i przyjęli je po męsku, a z nimi przemyconą obietnicę znaczącego bonusu, który będzie na nich czekał, kiedy po niezbyt długim czasie opuszczą więzienie Ullersmo; najdłuższy wyrok skazywał na cztery lata. Kurierzy wiedzieli, że będąc za kratami, też nieźle zarabiają. A gdyby nawet któryś postanowił sypnąć, też nie miałby zbyt wiele do powiedzenia. Tak przynajmniej mężczyzna sądził jeszcze niedawno, nie zdając sobie sprawy z tego, że dwaj następcy tronu działali, wykraczając poza swój mandat.

Udało mu się zgarnąć znaczące sumy. Oprócz legalnej i całkiem sporej rocznej pensji zarabiał naprawdę dużo. Część z tych pieniędzy ostrożnie wydawał, ale nigdy w sposób, który nie dałby się wytłumaczyć udokumentowanymi dochodami. Pieniądze w studni stanowiły jego własność. Poza tym podobną kwotę umieścił na koncie w banku szwajcarskim. Ale największa część zysku trafiła na konto, którym nie on dysponował. Mógł wpłacać pieniądze, ale nie mógł ich wypłacać. To konto służyło Celowi. I był z tego dumny. Radość, że może przyczynić się do osiągnięcia Celu, skutecznie zatarła towarzyszącą mu przez całe życie umiejętność odróżniania dobra od zła, przestępstwa od praworządności. Został wybrany i postępował słusznie. Los, który przez tyle lat osłaniał organizowane przez niego akcje, stał po jego stronie. Nieliczne błędy były wliczone w koszty, a ostatnie wydarzenia stanowiły jedynie ostrzeżenie rzucone przez ten sam los, który nakazywał zaprzestanie działalności. A to oznaczało, że zadanie zostało wykonane. Mężczyzna uważał los za swego dobrego przyjaciela i słuchał wysyłanych przezeń sygnałów. Zarobił wiele milionów. Teraz powinien go zastąpić ktoś inny.

Bonusy dla dwóch nieszczęsnych kurierów nieco nadwerężyły kapitał, ale było warto. Jedynie dwaj koledzy po fachu wiedzieli, kim on jest, ale Olsen nie żyje, a Lavik trzyma język za zębami. Przynajmniej na razie. Z czasem zajmie się i nim. Jego plan uwzględniał wszystkie ewentualne problemy.

Hansa Olsen stał się jego pierwszą ofiarą w czasach pokoju, a poradził sobie z tym zdumiewająco łatwo. Ta śmierć była ko-

nieczna i w zasadzie nie różniła się od tamtego razu, kiedy dwaj niemieccy żołnierze leżeli przed nim w śniegu z krwawymi dziurami w mundurach. Miał wówczas siedemnaście lat i zmierzał do Szwecji. Huk strzału ciągle jeszcze dudnił mu w uszach, gdy obmacywał kieszenie Niemców w poszukiwaniu wartościowych przedmiotów i później, gdy przepełniony narodowym szczęściem przedzierał się przez głęboki śnieg ku Szwecji i ku wolności. Działo się to tuż przed Bożym Narodzeniem w roku 1944, a on miał już świadomość, że jest w zwycięskiej drużynie. Zlikwidował dwóch wrogów i nie czuł z tego powodu nawet cienia żalu.

Zabójstwo Hansa A. Olsena również nie wywołało w nim poczucia winy. Było wszak koniecznością. Ogarnęło go swoiste podniecenie, radość wymieszana z poczuciem zwycięstwa, jak po udanej wyprawie na jabłka do sadu sąsiada przed pięćdziesięcioma laty. Broń była stara, niezarejestrowana, kupiona od dawno nieżyjącego klienta.

Skończył czytać dokument. Zwinął go, mocno skręcił, potem cisnął w ogień. Dwadzieścia trzy kartki z zaszyfrowanymi informacjami spotkał ten sam los. Dziesięć minut później w żadnym miejscu na świecie nie istniały dokumenty, które mogłyby go powiązać z jakąkolwiek nielegalną działalnością. Nie było podpisów, odręcznych notatek, odcisków palców. Nie było najmniejszych dowodów.

Wstrząsnął nim dreszcz, poszedł więc do schowka po suche ubranie. Umieszczenie skrzynki z powrotem w skrytce w studni okazało się łatwiejsze niż jej wyjęcie. Fusy od kawy też trafiły do kominka. Potem przebrał się w rzeczy, w których przyjechał, mokre ubranie powiesił w szopie i zamknął domek. Dochodziła druga. Zdążył więc wrócić do miasta dostatecznie wcześniej, by wyświeżony stawić się w pracy. Był wprawdzie zziębnięty i niewyspany, ale najwyraźniej brała go jakaś choroba. Tak przynajmniej stwierdziła sekretarka.

Wtorek, 3 listopada

Fredrick Myhreng był w świetnej formie. Hans A. Olsen za życia zapewnił mu dwie niezłe trzyszpaltówki w zamian za parę piw w Gamie Christiania. Facet latał za dziennikarzami jak mały chłopiec szukający pustych butelek, a mimo to Myhreng wołał go nieżyjącego. Redaktor naczelny obdarzył go pełnym zaufaniem i zwolnił ze wszystkich innych obowiązków, żeby Fredrick mógł skoncentrować się na sprawie mafii, koledzy zaś zachęcająco kiwali głowami, rozumiejąc, że młody dziennikarz wreszcie chyba znalazł odpowiednią dla siebie niszę. „Kontakty, no wiecie, kontakty”, uśmiechał się, gdy ktoś próbował go pytać.

Zapalił papierosa, którego dym mieszał się ze spalinami snującymi się ponad asfaltem. Oparty o słup latami z podniesionym kołnierzem kożuszonej kurtki czuł się niemal jak James Dean. Zaciągnął się i maleńki kawałeczek tytoniu razem z dymem wleciał mu aż do tchawicy. Fredrick zaczął gwałtownie kaszleć, do oczu napłynęły mu łzy, okulary zaszczyły parą i nic już nie widział. I tak oto James Dean zniknął.

Po drugiej stronie ruchliwej ulicy znajdowała się kancelaria Jørgena Ulfa Lavika. Olbrzymia mosiężna tablica informowała, że kancelaria Lavik, Sætre & Villesen mieści się na trzecim piętrze kamienicy z przełomu wieków. Centralne położenie, dosłownie rzut kamieniem od budynku sądu. Rozwiązanie ze wszech miar praktyczne.

Lavik był interesujący. Myhreng zdążył już wyeliminować całkiem sporą grupkę adwokatów - trochę podzwonił, poprzeglądał stare protokoły ze skarbówki, odwiedził kilka popularnych knajp, pogadał z ludźmi. Zaczynał od dwudziestu nazwisk na liście, teraz zostało ich pięć. Sortowanie nie było łatwe. Kierował się głównie instynktem. Lavik od początku się wyróżniał. W końcu trafił na czoło listy. Do tego podkreślony grubą kreską. Wydawał podejrzenie mało. Może po prostu był oszczędny, ale i w oszczędzaniu należy zachować umiar. Dom i

samochody mogłyby należeć do starszego referenta z trzydziestą pierwszą grupą zaszerogowania, a nie adwokata tej miary. Nie miał też domku letniskowego ani łodzi. Mimo że zeznania podatkowe z ostatnich lat świadczyły o tym, że interes kręci się znakomicie. Dużo zarobił na projekcie budowania hoteli w Bangkoku, w który wciąż był zaangażowany i który zapowiadał się jako niezwykle dobra inwestycja dla norweskich klientów, skutkowało też kolejnymi projektami zagranicznymi, w większości przynoszącymi niezłe zyski zarówno inwestorom, jak i samemu Lavikowi.

Poza tym jako obrońca odnosił całkiem spore sukcesy. Na rynku plotek zajmował średnią pozycję. Statystyka uniewinnień była dość przekonująca i z trudem znalazłoby się kogoś, kto źle by się o nim wyrażał.

Myhrens nie był obdarzony wyjątkową inteligencją, ale wystarczająco bystry, by to pojąć. Poza tym potrafił wykazać się sprytem i miał intuicję. Przeszedł też niezłą szkołę u pewnego starego wyjadacza, redaktora z lokalnej gazety, i wiedział, że dziennikarstwo śledcze to w głównej mierze niewypały i ciężka praca.

- Prawda zawsze jest dobrze ukryta, Fredricku, zawsze dobrze ukryta - pouczał go stary wyga. - Trzeba przetrząść mnóstwo gówna, zanim się ją odnajdzie. Ciepło się ubieraj, nigdy nie poddawaj i starannie się myj, kiedy już skończysz.

Rozmowa z adwokatem Lavikiem nie mogła zaszkodzić. Lepiej się jednak wcześniej nie umawiać, tylko przyjść z zaskoczenia.

Fredrick Myhrens zgasił papierosa, splunął i zygzakiem przebiegł na drugą stronę ulicy między trąbiącymi samochodami i ciężarówką na jałowym biegu. Kobieta w recepcji okazała się zaskakująco brzydka i stara, przypominała bibliotekarkę z pewnego amerykańskiego filmu dla młodzieży. A przecież recepcjonistki powinny być piękne i życzliwe. Wszystkie, tylko nie ta. Kiedy potknął się o próg i dosłownie wpadł do poczekalni, zrobiła taką minę, jakby chciała go uciszyć. O dziwo, jednak się uśmiechnęła. Zęby miała nienaturalnie równe i szarawe, bez wątpienia sztuczna szczęka.

- Ten próg jest za wysoki - powiedziała przepraszającym tonem.

- Mówiłam to już tyle razy. Cud, że do tej pory nic tak naprawdę złego się nie stało. Czym mogę panu służyć?

Myhreng uśmiechnął się swoim specjalnym uśmiechem przeznaczonym dla starszych pań. Ta natychmiast go przejrzała, ściągnęła surowo usta, wokół których pojawiło się mnóstwo zmarszczek przypominających maleńkie, ale złośliwe strzały

- Chciałbym mówić z mecenasem Lavikiem - oświadczył Fredrick Myhreng, nie rezygnując z nieudanego uśmiechu.

Kobieta zjrzała do kalendarza, ale nie znalazła zapisanego spotkania.

- Nie był pan umówiony?

- Nie, ale sprawa jest dość ważna.

Fredrick Myhreng wyjaśnił, kim jest, a wtedy usta kobiety ściągnęły się jeszcze mocniej. Bez słowa dotknęła dwóch przycisków w telefonie i przekazała jego prośbę, prawdopodobnie bezpośrednio adresatowi.

Minęła chwila, zanim odłożyła słuchawkę. Potem wykonała dziwaczny gest dłonią, wskazując kanapę. Powiedziała, że mecenas Lavik go przyjmie, ale może upłynąć kilka minut, nim będzie wolny.

Minęło pół godziny.

Gabinet Lavika był jasny i przestronny. Na ścianach wisiały jedynie trzy obrazy, a na podłodze błyszczał parkiet. Zwracała też uwagę nieprzyjemna akustyka, może więcej ozdób na ścianach trochę by temu zaradziło? W jednym rogu królowała olbrzymia szafa ze szlachetnego drewna, obok stał niewielki sejf. Na biurku panował niesłychany porządek, krzesło dla klienta było wygodne, ale Myhreng wiedział, że zostało kupione w sklepie A-møbler i kosztowało znacznie mniej, niż na to wyglądało; sam miał takie. Na półce stało niewiele książek; prawdopodobnie w kancelarii była osobna biblioteka.

Przedstawił się jeszcze raz. Adwokat sprawiał wrażenie zaciekawionego, a kropelki potu nad górną wargą pojawiły się z pewnością dlatego, że termostat nie działał. Myhrengowi też

było gorąco i lekko odciągnął od ciała wełniany sweter.

- Czy chodzi o wywiad? - spytał niezwykle uprzejmie adwokat.

- Nie. Chciałbym raczej trochę się rozeznac.

- W czym?

- W pana powiązaniach z Hansą Olsenem i tą sprawą narkotykową, w którą, jak sądzi policja, jest pan zamieszany.

Gotów byłby się założyć, że jego słowa zrobiły na Laviku wrażenie. Na szyję wypełził mu ledwie widoczny rumieniec, a dolną wargą ściągnął kropelki potu znad górnej.

- Moje powiązania? - Uśmiechnął się, ale niezbyt szczerze.

- Owszem, pańskie.

- Przecież ja nie miałem nic wspólnego z Olsenem. To on był zamieszany w jakąś sprawę narkotykową? Zamieszany? Po przeczytaniu pańskiej gazety odniosłem wrażenie, że stał się ofiarą przestępców mających związek z narkotykami, a nie że sam był w coś zamieszany...

- Na razie nic innego nie możemy podać do wiadomości, ale mamy swoje teorie. Policja, jak sądzę, również.

Lavik wyraźnie zdążył już wziąć się w garść. Znowu się uśmiechnął, tym razem nieco serdeczniej.

- No cóż, to będzie olbrzymia kłapa, jeśli napisze pan o mnie w tym kontekście. Prawie nie znałem tego człowieka. Oczywiście czasami go widywałem. Ale w żaden sposób nie mogę powiedzieć, że go znałem. To zresztą tragiczna śmierć. Miał dzieci?

- Nie, nie miał. Co pan robi z pieniędzmi, Lavik?

- Z pieniędzmi?

Zdumienie wydawało się całkiem szczerze.

- No tak. Zarabia pan całkiem nieźle, nawet jeśli pan był grzecznym chłopcem i podał władzom podatkowym prawdziwe informacje. Jeden koma cztery miliona w zeszłym roku. Gdzie one są?

- To nie pańska sprawa! Doprawdy, mam całkowicie czyste sumienie. A to, gdzie inwestuję legalnie zarobione środki, to nie pański interes!

Urwał. Jego życzliwość się wyczerpała. Zerknął na zegarek i

oświadczył, że musi się przygotować do następnego spotkania.

- Przecież ja mam jeszcze mnóstwo pytań, Lavik - zaprotestował dziennikarz.

- Ale ja już nie mam więcej odpowiedzi - odparował zdecydowanie Lavik, wstał i wyciągniętą ręką wskazał wyjście.

- Mogę przyjść któregoś innego dnia, kiedy będzie pan miał więcej czasu? - nie ustępował Myhreng, idąc przez pokój.

- Niech pan raczej zadzwoni. Jestem bardzo zajęty - zakończył adwokat i zamknął za nim drzwi.

Fredrick Myhreng został sam z sekretarką. Widać zaraziła się od swego pracodawcy chłodem i najchętniej chyba by odmówiła, kiedy Myhreng spytał, czy mógłby skorzystać z toalety. Przyzwoitość jednak kazała jej powiedzieć „bardzo proszę”.

Już wchodząc do kancelarii, Fredrick zauważył w korytarzu matowe okienko w odległości pięćdziesięciu centymetrów od głównych drzwi, a kiedy siedział w recepcji, doszedł do wniosku, że za nim musi mieścić się toaleta. Nie była to do końca prawda. Za drzwiami z porcelanowym serduszkciem znajdowało się jeszcze pośrednie pomieszczenie z umywalką, do samej toalety natomiast prowadziły wahadłowe drzwi.

Pohałasował nimi trochę, lecz nie wszedł do środka. Wyjął z kieszeni gruby szwajcarski scyzoryk, który miał trzy ostrza i śrubokręt, więc poluzowanie sześciu śrub w futrynie mocujących matowe okienko nie sprawiło Fredrickowi Myhrengowi najmniejszych trudności. Dostatecznie dobrze znał się na stolarce, żeby się uśmiechnąć, kiedy stwierdził, że okno rzeczywiście jest przyśrubowane. Powinno być zaklinowane, inaczej mogło się wypaczyć. Dopilnował, by śruby lekko się trzymały, po czym wszedł do toalety i spuścił wodę. Umył ręce i szeroko uśmiechnął się do sekretarki, która nawet nie odpowiedziała mu „do widzenia”. Nie wziął sobie tego do serca.

Był późny wieczór. Pieskie zimno, ale Fredrick Myhreng nie tęsknił za ciepłem. Denerwował się. Przedpołudniowa zuchwałość ustąpiła miejsca pełnemu wahania namysłowi. W

Wyższej Szkole Dziennikarstwa nie uczył się o włamaniach i innych nielegalnych wybrykach, raczej przeciwnie. Nie wiedział nawet, od czego zacząć.

Sądząc po nazwach i nazwiskach przy dzwonekch, w kamienicy były biura na trzech poziomach i mieszkania na dwóch górnych. Na filmach włamywacz zwykle dzwonił do wszystkich, mówiąc „*J~H, it's Joe*” z nadzieją, że ktoś zna jakiegoś Joe i otworzy drzwi, ale tutaj raczej by to nie zadziało. Drzwi wejściowe były zamknięte na amen. Wybrał więc drugie pod względem skuteczności rozwiązanie - spod skórzanej kurtki wyciągnął łom.

Rzecz okazała się nadzwyczaj prosta. Po dwóch podważeniach drzwi ustąpiły. Nawet nie zgrzytnęły, kiedy uchylił je zaledwie na tyle, by móc się wemknąć. W bramie po lewej stronie znajdowały się następne drzwi i Fredrick Myhreng spodziewał się kolejnej przeszkody, ale przed zaatakowaniem łomem na wszelki wypadek po prostu ujął za klamkę. Ktoś musiał chyba zapomnieć o dokładnym zatrzaśnięciu drzwi, bo od razu się otworzyły. Nastąpiło to tak nieoczekiwanie, że Fredrick mimowolnie zrobił krok do tyłu, stąpnął w powietrze i jęknął głośno, kiedy klapnął na ziemię. Nie popsulo mu to jednak radości.

Pokonał schody dwa razy szybciej niż przed kilkoma godzinami. Przy matowym okienku stanął, żeby uspokoić oddech i upewnić się, czy nikt przypadkiem go nie odkrył. Słyszał tylko szum w uszach, więc po chwili wyciągnął niewielki plastikowy pojemniczek z plasteliną. Delikatnie ugniół miękką masę i przylepił ją do szyby, kciukiem dociskając do kantów. Nie wiedział, jak mocno może naciskać, żeby przypadkiem okno nie wypadło, ale po pewnym czasie uznał, że wystarczy, i powtórzył całą operację, przylepiając kolejną grudkę nieco niżej. Kiedy i ta dobrze przylgnęła, uchwycił za nie i mocno pchnął. Okno ani drgnęło.

Zaczął się pocić. Kurtka utrudniała mu ruchy, więc po drugiej nieudanej próbie po prostu się rozebrał. Przy trzeciej próbie, kiedy napał całym ciałem, poczuł, że śruby ustępują. Na szczęście okno poluzowało się od dołu. Przytrzymał ramię,

jednocześnie dając krok ponad parapetem, i znalazł się w niewielkim pomieszczeniu. Okno po wyjściu było równie całe jak wcześniej. Sięgnął jeszcze po kurtkę, po czym odlepił plastelinę i wstawił okno z powrotem. Ostrożnie otworzył drzwi do recepcji. Nie był na tyle głupi, by nie przewidzieć alarmu, ale uznał, że nie może być zbyt wyrafinowany. Nad oknem zauważył nieduże pudełko z czerwoną lampką, położył się więc na brzuchu i przeczołgał do drzwi gabinetu Lavika. Latarka zatknięta za pasek na plecach kłuła go nieprzyjemnie w kręgosłup. Drzwi były otwarte. Omiótł światłem przestrzeń w poszukiwaniu podobnego urządzenia alarmowego jak w recepcji, ale nic takiego nie dostrzegł. W każdym razie latarka nie zdołała go oświetlić. Za progiem zaryzykował i wstał.

Oczywiście nie wiedział, czego szuka. Wcześniej się nad tym nie zastanawiał, a teraz czuł się idiotycznie, stojąc w tym gabinecie i popełniając swoje pierwsze w życiu przestępstwo, w dodatku nie wiadomo po co. Sejf okazał się zamknięty i raczej nie było w tym nic podejrzanego. Szafka otwarta, powyciągał więc szuflady, znalazł w nich sporo kartonowych teczek. Wszystkie miały w jednym rogu niedużą wypustkę z nazwiskiem wypisanym fantazyjnym, ale czytelnym charakterem pisma. Nazwiska nic mu nie powiedziały.

Szuflady biurka zawierały to, czego mógł się spodziewać: żółte karteczki samoprzylepne, różowe markery, mnóstwo długopisów, dwa ołówki. Wszystko to leżało na tacy z przegródkami, pod spodem zaś było miejsce na dokumenty. Fredrick uniósł tackę, ale papiery okazały się mało interesujące. Zimowy katalog biura podróży Star Tour, blok formatu A4 z gotowymi formularzami rachunków za zlecenie, poza tym jeszcze zwykły brulion w kratkę. Odłożył tackę na miejsce i zamknął szufladę. Pod biurkiem stała duża szafka na kółkach, również zamknięta na klucz.

Palcami w rękawiczkach obmacał spód biurka, gładki i wypolerowany - żadnego oporu. Rozczarowany odwrócił się do szafy - archiwum stojącej w kącie. Podeszedł do niej, nachylił się i także obmacał ją od dołu. Nic. Ułożył się płasko na podłodze i wodząc światłem latarki, systematycznie sprawdzał spód szafy.

O mały włos, a przeoczyłby ten klucz. Z całą pewnością dlatego, że nie spodziewał się cokolwiek tu znaleźć. Snop światła już zdążył popęznąć dalej, kiedy mózg zarejestrował ujrany wcześniej obraz. Zaskoczony Fredrick wypuścił latarkę z ręki. Ułożyła się tak, że wciąż mógł widzieć tę niewielką ciemną plamkę. Zerwał ją i wstał. Uliczne latarnie rzucały do pomieszczenia blade światło, wystarczające jednak, by natychmiast mógł stwierdzić, co to jest. Kluczyk. Bardzo nieduży, przymocowany do spodu szafki taśmą klejącą.

Fredrick Myhreng nie posiadał się z radości. Już miał schować kluczyk, kiedy wpadł na znacznie lepszy pomysł. Z pojemniczka w kieszeni wyjął kawałek plasteliny, ogrzał go o policzek i uformował z niego dwa nieduże owalne, płaskie kawałki. Długo i mocno przyciskał klucz do pierwszego, musiał zdjąć rękawiczki, żeby go poluzować, nie niszcząc przy tym odcisku. To samo powtórzył z drugą stroną, a na koniec zrobił jeszcze odcisk grubości kluczyka.

Taśma nadawała się do powtórnego użytku i chyba zdołał umieścić kluczyk mniej więcej w tym samym miejscu, z którego go zdjął. Włożył kurtkę i pełną na brzuchu, wycofał się tą samą drogą, którą przyszedł. Udało mu się umocować okienko od wewnątrz, nie zostawiając widocznych śladów śrubokręta. Przetarł dłonią ramy, żeby usunąć ewentualne drzazgi, i stanąwszy w drzwiach do recepcji, wziął głęboki oddech, szykując się do wielkiego skoku. Policzył od dziesięciu w dół i na zero puścił się jak rakieta do głównych drzwi. Otworzył je, zamknął za sobą i był już w połowie schodów, kiedy usłyszał przenikliwy dźwięk alarmu. Nim ktokolwiek w wielkiej kamienicy zdążył włożyć kapcie, był już daleko.

Będą się mieli nad czym głowić, pomyślał triumfalnie. Żadnych oznak włamania, niczego nie zabrano, niczego nie ruszono. Jedynie niezamknięte na klucz drzwi wejściowe.

Fredrick Myhreng zawsze był z siebie zadowolony, a teraz przeszedł już wszelkie granice. Nucił pod nosem i podskakiwał jak dziecko po udanym psikusie. Uśmiechnięty od ucha do ucha, zdążył jeszcze na ostatni tramwaj do domu.

Piątek, 6 listopada

Zagładanie do nieszczęsnego klienta w każde piątkowe popołudnie stało się dla Karen zwyczajem. Chłopak nic nie mówił, ale w dziwny sposób sprawiał wrażenie, że ceni sobie te odwiedziny. Skulony i wychudzony, wciąż miał takie samo puste spojrzenie, ale Karen wydawało się, że na jej widok na jego twarzy pojawia się cień uśmiechu. Mimo że Han van der Kerch, gdy był jeszcze zdolny wyrazić swoje życzenia, tak ostro sprzeciwił się przeniesieniu do więzienia, siedział teraz w Więzieniu Okręgowym Oslo na oddziale B, Bawaria. Karen Borg pozwalano odwiedzać go w celi, bo przeprowadzanie go do pokoju widzeń nie miało sensu. Tu było jaśniej, a strażnicy sprawiali wrażenie sympatycznych i na tyle troskliwych, na ile pozwalała im na to ilość pracy. Podczas każdego widzenia przekręcano za nią klucz w zamku, a ona znajdowała dziwne zadowolenie w poczuciu, że jest zamknięta. Podobne zadowolenie, które w dzieciństwie zapędzało ją do komórki pod schodami w domu na Kalfaret, ilekroć świat sprzysięgał się przeciwko niej. Wizyty w więzieniu stały się chwilami kontemplacji. Siedziała przed milczącym chłopakiem, słuchała, jak dyżurny na korytarzu hałasuje wózkami, wsłuchiwała się w echo wulgarnych okrzyków i śmiechów, w ciężkie podzwanianie kluczy, kiedy za drzwiami przechodził strażnik.

Dziś van der Kerch nie był tak strasznie blady, poza tym śledził wzrokiem każdy jej ruch, dopóki nie przysiadła obok niego na prycy. A kiedy ujęła go za rękę, poczuła, że ją uścisnął, ledwie zauważalnie, ale nie miała wątpliwości. Z rodzącym się optymizmem nachyliła się i odgarnęła mu włosy z czoła. Były już za długie i natychmiast z powrotem opadły. Gładziła go po głowie. Widać sprawiało mu to przyjemność, bo zamknął oczy i przysunął się bliżej. Siedzieli tak przez kilka długich minut.

- Roger - wymamrotał nagle głosem grubym, jakby zardzewiałym od tak długiego nieużywania.

Karen Borg nawet nie drgnęła. Nie przerywała pieszczoty, o

nic nie pytała.

- Roger - powtórzył Holender, tym razem nieco głośniej. - Ten facet z Sagene od używanych samochodów. Roger.

Zasnął. Zaczął oddychać równo, ciężiej napierając na jej ciało. Karen ostrożnie wstała, ułożyła go wygodniej i pocałowała w czoło. Nie mogła się powstrzymać.

- Roger z Sagene - powtórzyła sobie, lekko zastukała w drzwi i po chwili strażnik ją wypuścił.

- Nic. Absolutnie nic.

Prokurator policji Håkon Sand ścisnął w rękę gruby plik papierów i z całej siły uderzył nim w biurko. Kartki wysypały się z okładki.

- Cholera! - warknął i nachylił się, by uporządkować bałagan.

Hanne Wilhelmsen pomagała mu na czworakach. W pewnym momencie popatrzyli na siebie.

- Nigdy się do tego nie przyzwyczaję. Nigdy! - oświadczył głośno.

- Do czego?

- Że tak często wiemy o czymś, co jest nie w porządku, że ktoś zrobił coś złego, wiemy, kto to zrobił, i wiemy co, wiemy tak cholernie dużo, ale czy potrafimy to udowodnić? O, nie. Siedzimy jak jakieś eunuchy, sparaliżowani, a wszystko sprzysięga się przeciwko nam. Wiemy to i wiemy tamto, ale gdybyśmy się odważyli wystąpić do sądu z tym, co mamy, pierwszy lepszy obrońca rozebrałby to na kawałeczki i wykrzesał z siebie naturalne wyjaśnienie każdej naszej poszlaki. Rozgrzebałby wszystko tak, że w końcu powstałaby z tych kawałeczków mętna zawiesina niejasnych faktów, w dostatecznym stopniu pozwalająca wzbudzić uzasadnione wątpliwości sądu. Pstryk i ptaszek jest wolny, a ochrona prawna obywatela zwyciężyła. Którego obywatela? Z pewnością nie mnie. Ochrona prawna stała się cholernie skutecznym narzędziem przyjaznym tylko winnym. Oznacza to, że powinniśmy wsadzać za kratki jak najmniej osób. To przecież żadna ochrona! A co z wszystkimi tymi osobami, które zostały zabite, zgwałcone, molestowane w dzieciństwie, obrabowane i

okradzione? Niech to wszyscy diabli! Powinienem raczej być szeryfem na Dzikim Zachodzie. Oni po prostu działali. Wieszali winnego na najbliższym drzewie. Przetnęli kark bandytom. Gwiazda i kapelusz kowbojski zapewniały o wiele lepszą ochronę prawną dla większości ludzi niż siedem lat studiów prawniczych i dziesięciu głupich członków ławy przysięgłych. Inkwizycja, to było coś! Sędzia, oskarżyciel i obrońca w jednej i tej samej osobie. Tam się przynajmniej coś działo, a nie gadano tylko o ochronie prawnej łotrów i bandytów.

- Wcale tak nie myślisz, Håkon - powiedziała Hanne spokojnie, zbierając z podłogi ostatnie kartki. Musiała niemal się położyć płasko na brzuchu, żeby dosięgnąć zeznań, które wsunęły się pod szafkę z szufladami. - Wcale tak nie uważasz - powtórzyła stłumionym głosem spod biurka.

- Może nie do końca, ale prawie.

Oboje czuli frustrację. Było późne piątkowe popołudnie. Za dużo było tych późnych popołudni, tyle że Hanne radziła sobie z tym lepiej niż Håkon. Zabrali się do sortowania dokumentów i układania ich w prawidłowej kolejności.

- Podsumuj, co mamy - powiedział, kiedy już się z tym uporali.

Nie zajęło to dużo czasu. Håkon znał wszystkie nieliczne dowody rzeczowe, a taktyczna faza śledztwa utknęła w miejscu. Przesłuchano łącznie czterdziestu dwóch świadków. Żaden nie powiedział nic, co mogłoby rzucić nowe światło na sprawę. Nikt nawet nie wspomniał o czymś, co można by uznać za warte dalszego zbadania.

- To śledzenie Lavika coś dało?

Prokurator odsunął papiery na bok, wyciągnął ciepłe piwo i zdjął kapsel, uderzając butelką o krawędź biurka. Z drewna odłupała się drzazga, a z szyki maleńki kawałeczek szkła.

- Przecież jest weekend - powiedział, napotkawszy spojrzenie Hanne, i przyłożył butelkę do ust. Ciepła zawartość mocno się zapieniła, musiał więc gwałtownie pochylić się do przodu i rozsunąć uda, żeby się nie oblać. Potem wytarł usta, czekając na odpowiedź.

- Komenda nie ma takich zasobów, żeby mieć go pod

obserwacją na okrągło przez całą dobę, więc to wszystko kwestia szczęścia. Nie ma sensu śledzić go, skoro to nie przynosi żadnych efektów i tylko jeszcze bardziej nas frustruje.

- A co ze sprawami biznesowymi Lavika?

- Zorientowanie się w tym wymaga ogromnej roboty. Zajmował się jakimiś projektami hotelowymi na Dalekim Wschodzie, w Bangkoku. To niedaleko od rynków heroiny. Ale inwestorzy, dla których pracował, są dostatecznie poważni, a hotele naprawdę stoją, więc przynajmniej zlecenie nie było żadnym oszustwem. Zresztą, jeśli zdołasz zdobyć odpowiednie na to środki, chętnie polecę do Tajlandii i przyjrzę się temu z bliska. - Ściągnęła brwi w grymasie w oczywisty sposób mówiącym, jaka jest jej opinia o takiej budżetowej ekstrawagancji.

Na dworze było już ciemno, a zmęczenie, jakie odczuwali, w połączeniu z zapachem piwa sprawiło, że w niewielkim pokoiku zrobiło się wręcz przytulnie, niemal jak w domu.

- Więc nie jesteś teraz na służbie? - spytała.

Håkon zrozumiał, o co jej chodzi, uśmiechnął się, kręcąc przecząco głową, i podał jej butelkę piwa. Błat biurka jęknął, ale tym razem szyjka pozostała cała. Hannę wzięła piwo, ale nagle odstawiła butelkę i bez słowa wyszła. Dwie minuty później męczyła się nad pionowym ustawieniem dwóch świec na biurku Håkona. Zgasiła światło, a Håkon przesunął biurkową lampę bliżej ściany, tak by rzucała na pokój jedynie słaby blask.

-Jeśli ktoś nas teraz zaskoczy, nie obejdzie się bez plotek - zauważyła Hannę.

Pokiwał głową.

- Z korzyścią dla mnie. - Uśmiechnął się.

Stuknęli się butelkami, trochę za mocno.

- To był świetny pomysł, ale czy tak wolno?

- O wpół do siódmej w piątek mogę robić w swoim pokoju, co mi się żywnie podoba. Nikt mi nie płaci za siedzenie tutaj, a do domu wrócę kolejką. Tam zresztą też nikt na mnie nie czeka. A na ciebie?

Zadał pytanie z pełną zyczliwością. To była nieprzemyślana, płynąca z dobrego serca próba odcięcia kuponów od tego nie-

zwykłego nastroju, i przecież wcale nie posunął się za daleko, a jednak Hannę zeszytywniała. Usiadła na krześle prosto i odstawiła butelkę. Håkon natychmiast zauważył zmianę, jaka w niej zaszła, i ogromnie pożałował pytania.

- A co z Peterem Strupem? - odezwał się po chwili przykrego milczenia.

- Nie przyglądaliśmy mu się zbyt uważnie, chociaż może powinniśmy. Tylko nie bardzo wiem, o co zahaczyć. Bardziej mnie interesuje to, co może wiedzieć Karen Borg.

Nawet w migotliwym blasku świec dostrzegła rumieniec na twarzy Håkona. Prokurator zdjął okulary w geście, który miał odwrócić uwagę od jego twarzy, i zaczął przecierać szkła dolnym brzegiem bawełnianej bluzy.

- Ona wie więcej, niż chce powiedzieć. To oczywiste. Prawdopodobnie ma to związek z jakimiś innymi jeszcze przestępstwami van der Kercha. Zatrzymaliśmy go za zabójstwo. Badania są zakończone, a wyniki wystarczą, żeby go skazać. Ale jeśli nasze teorie są słuszne, to może on po szyję tkwić w przemyśle narkotyków. Informacja o tym nie wpłynęłaby korzystnie na wymiar kary za umyślne zabójstwo. Karen ma obowiązek dochowania tajemnicy, a to kobieta z zasadami, możesz mi wierzyć. Znam ją cholernie dobrze. A przynajmniej znałem.

- W każdym razie wygląda na to, że ta moja notatka nie spowodowała żadnych przykrych dla niej konsekwencji - stwierdziła Hanna. - Nie zauważyła nic niezwykłego czy niepokojącego?

- Nie.

Nie był wcale tego tak pewien. Nie rozmawiał z Karen od dwóch tygodni. Owszem, próbował. Wprawdzie pocałunkiem zmusiła go wtedy do złożenia obietnicy, że nie będzie do niej dzwonił, ale obietnicę tę złamał dokładnie dwa dni po tym, jak potykając się, schodził o świcie schodami z poddasza. W poniedziałek rano usiłował dodzwonić się do jej kancelarii, ale pogoniła go uprzejma recepcjonistka, oświadczając, że Karen Borg jest zajęta i że oczywiście przekaże wiadomość o jego telefonie. Od tamtej pory dołożyła jeszcze cztery takie

wiadomości, ale na żadną nie było odpowiedzi. Håkon pogodził się ze znanym sobie poczuciem rezygnacji, lecz mimo wszystko za każdym razem, kiedy dzwonił telefon, a on podnosił słuchawkę, mając nadzieję, że to ona, odczuwał rozczarowanie. Widać Karen dalej trwała przy swojej decyzji nierozmawiania z nim co najmniej przez miesiąc. Zostały jeszcze dwa tygodnie.

- Nie - powtórzył jednak. - Niczego nadzwyczajnego nie zauważała.

Świece rozlały się na biurku w dwa wielkie krążki. Håkon niepotrzebnie osłonił płomień ręką i zdmuchnął je, potem wstał i zapalił górne światło.

- Koniec przygrywki do imprezy. Dalej będziemy się bawić już oddzielnie.

Sobota, 7 listopada

Wprawdzie zima przyszła zbyt wcześnie i ostro wymachiwała szabelką, to jednak musiała ustąpić normalnej wilgotnej jesieni. Szczątki po wstępnych potyczkach przez kilka dni leżały na zbrą- zowiej trawie w postaci szarobiałych plam, ale teraz wszystkie już zniknęły. Deszcz temperaturą różnił się od śniegu zaledwie o trzy czy cztery stopnie, ale był o wiele bardziej nieprzyjemny. Asphalt, który przed kilkoma dniami migotał w mroku jakby wysadzany milionami czarnych diamentów, teraz rozciągnął się płasko niczym zaśliniony potwór i pochłaniał wszelkie światło w momencie, gdy tylko docierało do ziemi.

Hanne i Cecilie wracały do domu po całkiem udanej imprezie. Cecilie trochę za dużo wypila i zalotnie próbowała wziąć Hannę za rękę. Szły tak kilka metrów od latarni do latarni, ale kiedy dotarły do kręgu światła, Hannę puściła przyjaciółkę.

- Tchórz! - roześmiała się Cecilie.

Hanne tylko się uśmiechnęła, wsuwając dłonie głęboko w rękawy kurtki, żeby w ten sposób ochronić się przed kolejnymi próbami intymności.

- Zaraz będziemy w domu - stwierdziła.

Miały już mokre włosy, Cecilie skarżyła się, że nic nie widzi przez zaparowane okulary.

- Zrób sobie szkła kontaktowe.

- Przecież nie zrobię ich teraz, a to teraz właśnie nic nie widzę. Pozwól przynajmniej, że wezmę cię pod rękę, bo inaczej się przewrócę, złamię kręgosłup, a ty zostaniesz sama na świecie.

Hannę pozwoliła. Nie chciała zostać sama na świecie.

Przed nimi rozciągał się pogrążony w ciemności park. Obie bały się ciemności, ale idąc na skróty, mogły nadrobić pięć minut. Zaryzykowały więc.

- Ty naprawdę jesteś bardzo zabawna, Hannę. Bardzo zabawna

- paplała Cecilie, jak gdyby dźwięk ludzkiego głosu był w stanie przepędzić wszelkie mroczne moce wałęsające się w późny jesienny wieczór. - Pękam ze śmiechu, kiedy słyszę te twoje dowcipy. Opowiedz ten o Teatrze Narodowym w Gryllefjord. Za każdym razem mnie śmieszy i jest taki długi. Opowiadaj!

Hannę zaczęła opowiadać. Kiedy jednak doszła do drugiej wizyty Teatru Narodowego w domu ludowym w Gryllefjord, gwałtownie przystanąła. Zatrzymała Cecilie agresywnym machnięciem ręki i wciągnęła ją za wielki, gruby klon. Cecilie źle to zrozumiała i nadstawiła usta do pocałunku.

- Przestań, Cecilie! Uspokój się i bądź cicho!

Wysunęła się z objęć partnerki, przycisnęła do pnia i ostrożnie wychyliła.

Dwaj mężczyźni byli na tyle nieostrożni, że zatrzymali się pod jedną z dwóch latarni. Kobiety stały w odległości trzydziestu metrów od nich i nie mogły usłyszeć, o czym tamci rozmawiali. Hannę Wilhelmsen widziała jedynie plecy jednego z nich; stał z rękami w kieszeniach i na zmianę stukał jedną nogą o drugą. Mogło to świadczyć o tym, że tkwią w tym miejscu już od pewnego czasu. Mijały długie minuty. Mężczyźni stali zajęci przyciszoną rozmową, a kobiety schowane za pniem drzewa. Cecilie wreszcie zrozumiała powagę sytuacji i pogodziła się z tym, że na wyjaśnienie dziwnego zachowania Hannę będzie musiała jeszcze poczekać.

Mężczyzna stojący do nich tyłem miał całkiem zwyczajne ubranie - dżinsy wsunięte w wykrzywione śniegowce i dżinsową kurtkę podbitą sztucznym futrem. Włosy obcięte miał krótko, prawie na jeża.

Natomiast ten, którego twarz Hanne Wilhelmsen dobrze widziała, był w jasnobezowym płaszczu i z gołą głową. Niewiele się odzywał, ale sprawiał wrażenie wsłuchanego w potok słów tamtego. Po kilku minutach wziął od niego niedużą, cienką teczkę, szybko przejrzał schowane w niej papiery i chyba zadał jakieś pytanie dotyczące ich treści. Kilka razy pokazał na dokumenty, obracając je tak, by obaj mogli spoglądać w nie jednocześnie. W końcu złożył je wzdłuż i z pewnym trudem

wsunął do wewnętrznej kieszeni płaszcza.

Światło padało na nich z góry, oświetlając niczym słońce w zenicie. W jego blasku twarz mężczyzny miała karykaturalne, niemal demoniczne rysy. Ale to nie miało znaczenia. Hanne Wilhelmsen i tak go poznała. Kiedy mężczyźni podali sobie ręce i rozeszli się w różne strony, Hanne odkleiła się wreszcie od pnia klonu i odwróciła do swojej partnerki.

- Wiem, kim był ten facet - oznajmiła z satysfakcją.

Mężczyzna w płaszczu biegł lekkim truchtem w stronę samochodu zaparkowanego po drugiej stronie parku.

- To Peter Strup - oświadczyła. - Mecenas Peter Strup.

Poniedziałek, 9 listopada

Obrazy wisiały na ścianach jeden przy drugim. Mimo że niemal pożerały się nawzajem, sprawiało to miłe wrażenie. Rozpoznawała niektóre podpisy. Uznani artyści. W pewien zakrapiany wieczór zaproponowała właścicielowi okrągłą sumkę za niemal metrowy obraz przedstawiający Olaf Ryes plass. Namalowany farbą wodną, ale nie akwarelą, nałożoną na szary papier, który nie wchłonął kolorów, ostrymi pociągnięciami pędzla, gwałtownie. Tętnił miejskim życiem. W tle rysowała się kamienica, w której Karen mieszkała. Obraz nie był jednak na sprzedaż.

Stoliki ustawiono zbyt gęsto, co ją irytowało. Nie da się prowadzić poufnej rozmowy, kiedy sąsiedni stolik stoi zaledwie o centymetry dalej. W poniedziałek nie było tu tłoczno, przeciwnie, w lokalu panował taki spokój, że mogli zaprotestować przeciwko stolikowi, który im uprzejmie wskazano, upierając się przy tym w przeciwnym końcu lokalu, gdzie na razie nikt nie siedział.

Czarne blaty prezentowały się efektownie w kontraście z białymi płóciennymi serwetkami, a kieliszki do wina miały idealny kształt i były bez zbędnych ozdób. Wino smakowało wybornie, musiała pochwalić wybór, jakiego dokonał.

- Pan nie ustępuje.

- Rzeczywiście, słyngę z nieustępliwości, szczególnie wobec pięknych kobiet.

Słowa te wypowiedziane przez kogoś innego zabrzmiałyby banalnie, może nawet bezczelnie, ale w ustach Petera Strupa stały się komplementem, a Karen Borg nie bez wyrzutów sumienia uświadomiła sobie, że sprawiły jej przyjemność.

- Nie mogłam odmówić pisemnemu zaproszeniu - powiedziała.

- Lata chyba minęły od czasu, kiedy zetknęłam się z taką formą.

Zaproszenie leżało na samej górze pliku korespondencji, która nadeszła tego dnia. Żółtobrązowa karta ze słynnej papierni Alvøen z nierównymi brzegami i nadrukowanym cieniutkimi literkami nazwiskiem nadawcy w rogu: *Peter Strup, adwokat uprawniony do występowania przed Sądem Najwyższym*.

Sam tekst został napisany ręcznie, męskim, ale starannym i łatwo czytelnym kaligraficznym pismem. Była to pokorna prośba o spotkanie na kolacji w konkretnej restauracji, starannie wybranej, bo położonej zaledwie o dwa kwartały od mieszkania Karen. Porę wyznaczono na wieczór tego samego dnia. A na samym końcu Peter Strup dodał:

To zaproszenie ze szczerego serca. Mając świeżo w pamięci Pani uprzejmą odmowę, przyjęcie zaproszenia pozostawiam Pani decyzji. Nie musi mnie Pani informować, i tak będę czekał o godzinie 19 00. Jeżeli Pani nie przyjdzie, obiecuję, że już więcej się nie odezwę, przynajmniej w tej sprawie!

Podpisał się imieniem, jakby po amerykańsku zapraszał do poufałości. Wydało jej się to nieco natrętne, ale tylko to. List sam w sobie był elegancki i rzeczywiście pozostawiał jej możliwość wyboru. Mogła przyjść, jeśli chciała. A chciała. Zanim jednak podjęła decyzję, zadzwoniła do Håkona.

Minęły ponad dwa tygodnie, odkąd poprosiła, żeby trzymał się od niej z daleka. W tym czasie na przemian walczyła z gwałtowną chęcią zatelefonowania do niego i z paniką na myśl o tym, co się stało. To była najlepsza noc w życiu Karen Borg. Zagroziła jednak wszystkiemu, co miała, i pokazała, że istnieje coś w jej wnętrzu, nad czym nie ma kontroli, co kusi, by porzuciła bezpieczne życie, od którego była tak uzależniona. Nie chciała mieć romansu na boku, a w żadnym razie nie zamierzała się rozwodzić. Jediną więc rozsądną konkluzją było odsunięcie Håkona jak najdalej, tyle że czuła się chora z tęsknoty za nim.

- Mówi Karen - oznajmiła, kiedy wreszcie po trzech próbach zdołała połączyć się z prokuratorem.

Håkon przełknął ślinę tak mocno, że się zakrztusił. Usłyszała, że musiał odłożyć słuchawkę, nie usłyszała na szczęście, że

kaszel i podniecenie jej telefonem wywołały u niego odruch wymiotny. Ledwie zdążył sięgnąć po kosz na śmieci. Zółć wciąż piekła go w gardle, kiedy w końcu był w stanie mówić.

- Przepraszam. - Kaszlnął jeszcze raz. - Zakrztusiłem się. Jak się miewasz?

- Nie chcę teraz o tym mówić, Håkon. Porozmawiamy później. Muszę pomyśleć. Muszę sprawdzić. Jesteś kochanym chłopakiem. Daj mi jeszcze trochę czasu.

- No to po co dzwonicz?

Pomieszanie rozpaczy z odrobiną nadziei sprawiło, że jego głos zabrzmiał niepotrzebnie twardo. Sam to uchwycił, ale liczył, że połączenie telefoniczne nieco złagodzi ton.

- Peter Strup zaprosił mnie na kolację.

Zapadła cisza. Håkon Sand był szczerze zdumiony i bezgranicznie zazdrosny.

- Ach tak.

Co więcej mógł powiedzieć?

- Ach tak - powtórzył. - Zgodziłaś się? Wyjaśnił, dlaczego cię zaprasza?

- W zasadzie nie - odparła. - Ale wydaje mi się, że ma to jakiś związek z tą sprawą. Mam ochotę iść. Uważasz, że powinnam?

- Oczywiście, że nie powinnaś. Zwariowałaś? Przecież on jest podejrzany w poważnej sprawie karnej! Bogowie jedni wiedzą, co może wymyślić! Nie, nie pozwalam ci, słyszysz?

Karen westchnęła, zrozumiawszy, jakie głupstwo popełniła, dzwoniąc do niego.

- On wcale nie jest podejrzany, Håkon. Uspokój się. Przecież w ogóle nic na niego nie macie. A to, że okazuje dziwaczne zainteresowanie moim klientem, nie jest wystarczającym powodem do podjęcia jakichkolwiek kroków. Szczerze mówiąc, jestem trochę ciekawa, skąd się bierze to jego zainteresowanie, a podczas takiej kolacji coś może się wyjaśnić. Dla was chyba też tak będzie lepiej. Obiecuję, że ci przekażę, co wyniknie z tej rozmowy.

- Właśnie że mamy na niego coś więcej! - zawołał Håkon. - Chodzi nie tylko o podkradanie klientów. Ale nic poza tym nie mogę ci powiedzieć. Po prostu musisz mi uwierzyć.

- Wydaje mi się, że jesteś zazdrosny, Håkon.

Uśmiechnęła. Na pewno.

- Nie jestem ani odrobinę zazdrosny - warknął, a do gardła wlała mu się kolejna porcja kwasu żołądkowego. - Jestem tylko i wyłącznie zawodowo przejęty twoim bezpieczeństwem.

-Już dobrze, dobrze - zakończyła. - Jeśli zaginę dzisiejszego wieczoru, to aresztujesz Petera Strupa. Idę. Trzymaj się, cześć!

- Chwileczkę. Gdzie się macie spotkać?

- Nie twój interes, Håkon. Ale skoro już tak koniecznie musisz wiedzieć, to w Restauracji i Winiarni na Markveien. I nie dzwoń do mnie. Sama zatelefonuję. Za jakiś czas. Za kilka dni albo tygodni.

Rozłączyła się.

- Cholera! - wymamrotał Håkon Sand, splunął do kosza na śmieci, zawiązał plastikową torbę na supeł i wyszedł pozbyć się jej cuchnącej zawartości.

Jedzenie było wyśmienite. Karen Borg bardzo cieszył taki smaczny posiłek. Podejmowane przez nią w kuchni próby zawsze były nieudane. Dziesiątki książek kucharskich i innej literatury na tematy kulinarne absolutnie nie pomagały. Nils stopniowo przejmował kuchnię. Potrafił przygotować poczęstunek dla smakosza choćby z zupy w torebce, ona umiała zepsuć nawet polędwicę.

Peter Strup był przystojniejszy, niż go zapamiętała. W gazetach pisano, że ma sześćdziesiąt pięć lat. Na zdjęciach wyglądał o wiele młodziej, prawdopodobnie dlatego, że niewidoczne były drobniutkie zmarszczki. Teraz, gdy siedział w odległości mniejszej niż metr, widziała, że życie nie obeszło się z nim tak łagodnie, jak pierwotnie sądziła. Mimo to oznaki wieku malujące się na twarzy sprawiały, że stawał się bardziej wiarygodny, bardziej doświadczony życiowo. Imponujące szpakowate włosy przypominały stalowy hełm. Prawdziwy wódz wikingów o lodowatych oczach.

-Jak się pani czuje w roli obrońcy? - uśmiechnął się przy port- weinie, po trzech daniach i serniku.

-W porządku - powiedziała, nie mówiąc tym samym ani za

dużo, ani za mało.

- A klient wciąż wykazuje takie same objawy psychozy?

Skąd wiedział o stanie zdrowia Holendra? Pytanie jednak uleciało jej z głowy równie szybko, jak się pojawiło.

- Tak. Bardzo mi go żal. Naprawdę. Nie rozpoczęto jeszcze nawet obserwacji sądowo-psychiatrycznej, jego stan na to nie pozwala. Powinien być w szpitalu. Ale zna pan przecież sytuację... To frustrujące. Niewiele mogę dla niego zrobić.

- Odwiedza go pani?

- Owszem, w każdy piątek. Mam wrażenie, że gdzieś w głębi zamglonego umysłu ceni sobie te wizyty. Dziwne.

- To nie jest ani trochę dziwne - zaprotestował Peter Strup, lekko machając ręką, żeby przegonić dym.

- Przeszkadza to panu? - spytała przejęta, energicznie gasząc papierosa.

- Ależ skąd! - zapewnił, sięgnął po paczkę, wysunął z niej jednego papierosa i podał jej. - Ani trochę mi to nie przeszkadza.

Karen jednak zrezygnowała i schowała papierosy do torebki.

- Nie ma nic dziwnego w tym, że on sobie ceni pani wizyty. Zawsze tak z nimi jest. Pewnie jest pani jedyną osobą, która do niego zagląda. Takie odwiedziny są jak przebłysk światła w mrocznym życiu. Coś, na co się czeka, czego można się uchwycić i karmić się tym aż do kolejnego widzenia. A on, chociaż jest psychotyczny, na pewno rejestruje, co się dzieje. Mówi coś?

W tym kontekście było to całkiem niewinne i naturalne pytanie, wzbudziło jednak w Karen czujność.

- Mamrocze coś bez sensu - zbyła go. - Ale uśmiecha się na mój widok. A przynajmniej robi grymas przypominający uśmiech.

- Więc nie mówi nic - powiedział lekko Peter Strup i spojrzał na nią sponad kieliszka. - A o czym mamrocze?

Karen Borg zacisnęła szczęki. Czowała się przesłuchiwana, a to się jej nie podobało. Do tej pory posiłek sprawiał jej przyjemność, dobrze się czuła w towarzystwie eleganckiego, mądrego i czarującego mężczyzny. Zabawiał ją anegdotami z sali sądowej i z zawodów sportowych, opowiadał wyrefinowane

dowcipy, a wszystko przyprawiał uwagą, która pochlebiłaby nawet bardziej atrakcyjnym kobietom niż Karen Borg. Ona również otworzyła się bardziej, niż to miała w zwyczaju, i zwierzyła mu się ze swoich frustracji prawniczki pracującej z bogatymi i pięknymi.

Ale teraz wyraźnie ją przesłuchiwał, na to nie mogła się zgodzić.

- Nie chcę rozmawiać o żadnej konkretnej sprawie, a już na pewno nie o tej. Mam obowiązek dochowania tajemnicy. Poza tym uważam, że winien mi pan jest wyjaśnienie takiego nagłego zainteresowania.

Założyła ręce na piersi, jak zawsze, kiedy była zła albo czuła się zaatakowana. Teraz zrobiła to z obu tych powodów.

Peter Strup odstawił kieliszek i przybrał taką pozę, jakby był jej męskim lustrzanym odbiciem. Ręce również założył na piersi i przytrzymał Karen spojrzeniem.

- Jestem tym zainteresowany, ponieważ dostrzegam kontury czegoś, co mnie dotyczy. Jako adwokata i jako człowieka. Mam możliwości, by panią ochronić przed czymś, co może być niebezpieczne. Proszę mi pozwolić na przejęcie roli obrońcy tego człowieka.

Opuścił ręce i nachylił się bliżej. Jego twarz znalazła się teraz w odległości zaledwie trzydziestu centymetrów i Karen Borg odruchowo usiłowała się cofnąć. Bez powodzenia, tyłem głowy uderzyła lekko o ścianę.

- Może to pani potraktować jako ostrzeżenie. Albo pozwoli mi pani przejąć tego Holendra, albo sama poniesie konsekwencje. Mogę panią zapewnić o jednym. Zdecydowanie na dobre wyjdzie pani wyplątanie się z tej sprawy. Prawdopodobnie nie jest jeszcze zbyt późno.

W lokalu nagle zrobiło się za gorąco. Karen poczuła rumieniec wypełzający na policzki. Wiedziała też, że lekka alergia na czerwone wino rysuje już czerwone plamy na jej szyi, a fiszbiny biustonosza wbijały się w spoconą skórę pod piersiami. Poderwała się gwałtownie, pragnąc ostatecznie z tym skończyć.

- A ja mogę pana zapewnić o jednym - oświadczyła, sięgając

po torebkę, ale nie spuszczać oczu z Petera Strupa. - Nie zrezygnuję z tego chłopaka za nic na świecie. To mnie poprosił o pomoc. Zostałam powołana przez sąd. Będę mu pomagać. Bez względu na groźby, wszystko jedno, czy wypowiedane przez bandytów, czy adwokatów uprawnionych do występowania przed Sądem Najwyższym!

Chociaż mówiła cicho, scena ściągnęła na nich uwagę innych gości. Nieliczni ludzie siedzący w drugiej części sali w milczeniu z zainteresowaniem przyglądali się parze prawników. Karen zniżyła głos prawie do szeptu:

- Bardzo dziękuję za kolację. Była wyśmienita. Liczę jednak, że więcej się pan nie odezwie. A jeśli usłyszę od pana bodaj jedno słowo w związku z tą sprawą, to złożę o tym zawiadomienie do Związku Adwokatów.

- Nie jestem jego członkiem. - Uśmiechnął się i wytarł usta dużą białą serwetką.

Karen Borg poszła do szatni i energicznie narzuciła płaszcz. Dotarcie do domu zajęło jej minutę i czterdzieści pięć sekund. Była wściekła.

Noc nie wyszła jeszcze z okresu dojrzewania, kiedy Karen Borg się obudziła. Elektroniczne cyfry radia z budzikiem ze złością rzuciły jej w twarz godzinę: 02:11. Nils oddychał równo i powoli, dziwnie pochrapując przy co czwartym zaczerpnięciu powietrza. Próbowwała dostosować się do jego rytmu, podłączyć do spokoju uspiętego mężczyzny, który leżał obok niej, oddychać tak samo, zmusić swoje zdyszane płuca do takiego samego tempa, w jakim poruszały się jego płuca. One jednak zaprotestowały atakiem słabości, ale Karen z doświadczenia wiedziała, że zazwyczaj potem sen powraca.

Tej nocy tak się jednak nie stało. Serce odmówiło spowolnienia, a płuca głośno protestowały przeciwko zmianie rytmu. Co jej się śniło? Nie pamiętała, ale uczucie smutku, bezsilności i niemożliwego do zdefiniowania lęku było tak silne, że sen na pewno nie mógł być przyjemny.

Ostrożnie przesunęła się na brzeg łóżka i wyciągnęła rękę do wtyczki drugiego aparatu telefonicznego stojącego na nocnym

stoliku. Wyjęła ją z gniazdka i ostrożnie, nie budząc Nilsa, wstała z łóżka i wyszła z sypialni. W drzwiach jeszcze się zatrzymała i sięgnęła po szlafrok.

Jedynie mała lampka nad stolikiem umożliwiała dostrzeżenie czegokolwiek w korytarzu. Karen sięgnęła po bezprzewodową słuchawkę, potem prędko przeszła do pokoju, który nazywali gabinetem. Światło było zapalone, a na wielkim blacie z grubej sosny, umocowanym do dwóch kwadratowych kolumn, które zwisały ze skośnego sufitu, leżała literatura psychologiczna. Ściany od podłogi do sufitu pokrywały regały, a mimo to na podłodze leżały wysokie stosy książek. To było najprzytulniejsze pomieszczenie w całym domu. W rogu stał fotel z podnóżkiem i dobrą lampą do czytania. Karen usiadła.

Znała jego numer na pamięć, mimo że korzystała z niego tylko raz w życiu, nieco ponad dwa tygodnie temu. Numer z okresu studiów też jeszcze pamiętała, bo przez sześć lat wykręcała go co najmniej raz dziennie. Z jakiegoś powodu miała większe poczucie zdrady, że dzwoni do Håkona, kiedy Nils śpi trzy pokoje dalej, niż wówczas, gdy kochała się z nim na podłodze w salonie, a Nils był poza miastem. Wpatrywała się w telefon przez kilka minut, zanim palce właściwie same wybrały odpowiednią kombinację cyfr.

Po dwóch i pół dzwonka usłyszała zduszone:

- Halo.

- Cześć, to ja.

Nic bardziej oryginalnego nie wymyśliła.

- Karen? Co się stało?

Natychmiast oprzytomniał.

- Nie mogę spać.

Gwałtowny szelest powiedział jej, że Håkon siada na łóżku.

- Wiem, że nie powinnam cię budzić - tłumaczyła się.

- Ależ tak, wszystko w porządku. Bardzo się cieszę, że dzwonisz. Zawsze do mnie dzwoń, kiedy tylko masz ochotę, wszystko jedno o jakiej porze. Gdzie jesteś?

-W domu.

Cisza.

- Nils śpi - wyjaśniła, uprzedzając jego pytanie. - Wyłączyłam

telefon w sypialni. Poza tym on zawsze o tej porze śpi jak kamień.

Przyzwyczaił się do tego, że ja się budzę i trochę chodzę po mieszkaniu. Przestał się tym przejmować.

-Jak się udała kolacja?

- Było bardzo przyjemnie aż do kawy. Wtedy znów zaczął marudzić. Nie mam pojęcia, czego on chce od tego chłopca. Stał się wręcz bezczelny. Musiałam go usadzić. Przypuszczam, że więcej się nie odezwie.

- Rzeczywiście wyglądałaś na strasznie wściekłą, kiedy stamtąd wychodziłaś.

- Kiedy wychodziłam? A skąd ty to wiesz?

- wyszłaś z restauracji dokładnie o dwudziestej drugiej zero cztery. Ze złości prawie biegną do domu.

Zaśmiał się, trochę przepraszająco.

- Ty draniu! Szpiegowałeś mnie?

Karen to pochlebilo, choć zarazem czuła się trochę urażona.

- Nie, nie szpiegowałem cię, tylko pilnowałem. Dość chłodna przyjemność. Trzy godziny w bramie na Grunerløkka to niezbyt miła rozrywka. - Urwał i dwa razy głośno kichnął. - Niech to diabli, jeszcze się przeziębilem! Powinnaś mi być wdzięczna.

- Dlaczego mnie nie zawołałeś, kiedy wyszłam?

Nie odpowiedział.

- Myślałeś, że się rozzłoszczę?

- Owszem, brałem to pod uwagę, zważywszy, w jaki sposób rozmawiałaś dziś ze mną przez telefon.

-Jesteś słodki. Naprawdę. Na pewno bym się wściekła. Ale teraz się cieszę, kiedy pomyślę o tym, że stałeś tam przez cały czas, pilnując mnie. Byłeś wtedy policjantem czy Håkonem?

W tym pytaniu kryło się zaproszenie do intymności. Gdyby to było za dnia, wyraziłby się okrągło i błyskotliwie, wiedział, że taką odpowiedź najchętniej by usłyszała. Ale była czarna noc, więc powiedział dokładnie to, co myślał:

- Prokurator policji nie stoi na warcie, Karen. Prokurator policji siedzi w gabinecie i gwizdże na wszystko oprócz papierkowej roboty i spraw w sądzie. Na warcie stałem ja. Byłem zazdrosny i martwiłem się o ciebie. Kocham cię, dlatego

tam stałem.

Czuł się zadowolony i spokojny, bez względu na to, jaka będzie jej reakcja. Okazała się zaskakująca i całkowicie wytrąciła go z równowagi.

-Ja się chyba w tobie też trochę zakochałam, Håkonie.

Nagle się rozplakała, a Håkon nie miał pojęcia, co mówić.

- Nie płacz.

-Właśnie, że będę - wyszlochała. - Płacę, bo nie wiem, co mam zrobić.

Teraz szlochała już na całego. Håkon nie rozumiał ani jednego jej słowa, dlatego pozwolił jej się wypłakać.

Potrzebowała na to dziesięć minut.

- Rzeczywiście jest na co marnować impulsy telefoniczne - wydusiła z siebie wreszcie.

- W nocy jeden impuls ciągnie się w nieskończoność. Na pewno jakoś to przeżyjesz.

Była już spokojniejsza.

- Zamierzam wyjechać - oznajmiła. - Do domu letniskowego. Sama. Wezmę tylko psa i trochę książek. Mam wrażenie, że tu, w mieście, nie jestem w stanie myśleć. A przynajmniej nie w mieszkaniu. W biurze mam czas jedynie na próby skupienia się na pracy. To też raczej mi nie wychodzi.

Znów zaczęła coraz mocniej pociągać nosem.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Nie wiem. Obiecuję, że wcześniej dam ci znać. To może potrwać tydzień albo dwa. Przysięgnij, że nie będziesz dzwonił. Bardzo dzielnie sobie z tym radziłeś.

- Przysięgam. Słowo honoru. Ale mogłabyś to powtórzyć jeszcze raz?

Po krótkiej chwili w końcu usłyszał:

- Być może jestem trochę zakochana, Håkon. Być może. Dobranoc.

Wtorek, 10 listopada

- Tyle roboty na marne!

Hanne Wilhelmsen wykazała się rozsądkiem i spięła akta sprawy dwiema grubymi gumkami. Przypominały teraz mało atrakcyjny prezent gwiazdkowy, ale tolerowały rzucanie. Bang!

- Sprawdziliśmy już i Olsena, i Lavika. Zero.

- Nic? Kompletnie nic?

Zdumienie Håkona Sanda nie miało granic. To, że nie znaleźli absolutnie nic interesującego, dziwiło bardziej, niż gdyby znaleźli jeden czy drugi drobiazg. Doprawdy, niewiele osób wytrzymało docieklive badania policji bez wykrycia jednego czy drugiego świństewka, które wyłoniłyby się spośród zarośli i krzaków.

-Jedna rzecz zresztą mnie dziwi - stwierdziła Hanne. - Nie mamy dostępu do kont bankowych Lavika, bo nie postawiliśmy mu zarzutów, ale przyjrzyj się jego zeznaniom podatkowym z ostatnich lat.

Położyła przed Håkonem kartkę z szeregiem niezrozumiałych liczb. Świadczyły jedynie o tym, że facet osiąga roczny dochód w takiej wysokości, że każdy przedstawiciel prokuratury na jego widok pozieleniałby z zazdrości.

- Wygląda na to, że pieniądze się rozplynęły - wyjaśniła Hanne.

- Rozplynęły?.

- Tak. Nie ma żadnej zgodności między tym, co podaje jako dochód, a faktycznym majątkiem. Albo musi potwornie dużo wydawać na co dzień, albo gdzieś tę forszę ukrył.

- Ale dlaczego miałby gdzieś chować uczciwie zarobione pieniądze?

- Istnieje tylko jeden dobry powód. Miganie się od podatku. Ale przy takiej wysokości podatku, jaki mamy w Norwegii, to by było bezsensowne i nieprawdopodobne. Jakoś mi się to nie składa, żeby Lavik miał się dopuścić oszustwa podatkowego dla

kilku nędznych koron. Rachunki ma w porządku, co roku zatwierdzone przez biegłego rewidenta. Czegoś tu nie rozumiem.

Siedzieli, patrząc na siebie, wreszcie Håkon włożył do ust porcję snusu.

- Znów zaczęłaś z tym świństwem? - spytała Hannę z obrzydzeniem..

- Staram się nie wrócić do papierosów, to tylko tymczasowe - tłumaczył, wypływając resztki tytoniu.

- To szkodzi na dziąsła. A poza tym cuchnie.

- Nikt mnie nie będzie wachał - odparował. - Poprzerzucamy trochę piłeczkę. Co by ciebie skłoniło do ukrywania pieniędzy?

- Ukrywałabym czarne, na wskroś nielegalne dochody. Może w Szwajcarii. Piszą o tym w kryminałach. Wobec banków szwajcarskich jesteśmy bezradni. Konto nie musi być nawet założone na nazwisko, wystarczy numer.

- Zarejestrowaliśmy jakieś jego wyjazdy do Szwajcarii?

- Nie. Ale on wcale nie musi tam jeździć. Banki szwajcarskie mają mnóstwo filii w tych krajach, w których bywał. Poza tym nie mogę się uwolnić od przeczucia, że coś musi się kryć za tą jego działalnością na wschodzie. Narkotyki. To pasuje do naszej teorii. Szkoda tylko, że Lavik ma doskonałe wytłumaczenie na te wyjazdy. Te hotele przecież tam stoją!

Rozległo się pukanie do drzwi i jasnowłosy funkcjonariusz uchylił je, nie czekając na odpowiedź. Zirytowało to Håkona, ale nic nie powiedział.

- Tu są te papiery, o które prosiłaś - odezwał się do Hannę i podał jej pięć stron wydruku komputerowego. Wyszedł, nie zamykając za sobą drzwi. Håkon wstał i zrobił to za niego.

- Młodzież w dzisiejszych czasach nie ma za grosz wychowania.

- Posłuchaj, Håkon. Gdybym miała mnóstwo nielegalnie zarobionych pieniędzy, korzystała z konta w Szwajcarii i gdybym na dodatek była skąpa, to czy nie wysłałabym uczciwie zarobionych nadwyżek tą samą drogą?

- Skąpa? No tak, może do Lavika rzeczywiście pasuje to określenie.

- Spójrz, jak on skromnie żyje! Tacy ludzie czują osobliwą radość z gromadzenia pieniędzy na książeczce. A on upchnął wszystko na tym samym koncie!

To nie była zbyt mocna teoria, ale w braku lepszej uchodziła. Żądza pieniądza nawet najlepszych skłania do popełniania głupstw. Chociaż trudno tu mówić o głupstwie, bo nie można nazwać nielegalnym posiadania mniejszej ilości pieniędzy, niż wynika z rachunków.

- Od tej pory zakładamy, że Lavik upchnął forszę w Szwajcarii. Zobaczymy, do czego nas to doprowadzi. Obawiam się, że niezbyt daleko. A co z Peterem Strupem? Zajęłaś się nim od czasu tamtego tajemniczego spotkania w parku Sofienberg?

Hanne podała mu oddzielną cienką teczkę. Prokurator zauważył, że nie wpisano na niej numeru sprawy.

- To moje własne prywatne akta - wyjaśniła. - Te kopie są dla ciebie. Zabierz je do domu i przechowuj w bezpiecznym miejscu.

Håkon przejrzał dokumenty. Historia życia Petera Strupa była doprawdy imponująca. Aktywny działacz ruchu oporu podczas wojny, mimo że ledwie skończył osiemnaście lat. Już wtedy należał do Partii Pracy, ale w jej działalności zaznaczył się dopiero w późniejszych latach. Utrzymywał jednak kontakty z chłopakami z lasu i obecnie mógł się pochwalić kolegami na imponujących stanowiskach. Bliski przyjaciel wielu poprzednich przywódców partii, na przyjacielskiej stopie z królem, z którym zresztą swego czasu żeglował (bogowie jedni wiedzą, skąd miał na to wszystko czas), co tydzień spotykał się z sekretarzem stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości, z którym również współpracował we wcześniejszych latach. Był wolnomularzem dziesiątego stopnia wtajemniczenia, a przez to posiadaczem biletów wstępu do większości korytarzy władzy. W swoim czasie ożenił się z byłą klientką, kobietą, która zabiła pierwszego męża po dwóch latach piekła i odsiedziawszy półtora roku, wyszła na wolność przy wtórce weselnych dzwónów i rozpoczęła życie po słonecznej stronie. Małżeństwo było pozornie szczęśliwe, nikt nigdy jednak nie zarzucił Strupowi żadnego romansu. Zarabiał krocie, mimo że jego honoraria

pokrywał w przeważającej mierze Skarb Państwa. Z radością płacił podatki, co często powtarzał w gazetach, a nie chodziło tu o mało znaczące sumy.

- Nie jest to portret bardzo groźnego przestępcy - stwierdził Håkon, zamykając teczkę.

- Owszem, ale spotkania w ciemnym parku raczej nie świadczą o praworzędności.

- Nocne spotkania z klientami stały się w tej sprawie czymś bardzo zwyczajnym - zauważył Håkon ironicznie.

- Musimy być ostrożni. Peter Strup ma przyjaciół również w służbach bezpieczeństwa.

- Ostrożni? Jesteśmy tak ostrożni, że czasami mi się to myli z niezdolnością do działania.

Był prześliczny i stanowił jedyny luksusowy przedmiot, jaki posiadała Hanne Wilhelmsen. Jak w przypadku większości luksusowych rzeczy, nie przewidywała go też pensja sierżant policji, ale dzięki zastrzykowi gotówki od partnerki-lekarki Hanne mogła przez sześć ciepłych miesięcy w roku cieszyć się wolnością na harleyu-davidsonie z 1972 roku. Był różowy, różowutki. Różowy jak cadillac z gładkim i lśniącym chromem. Teraz jednak stał rozebrany w urządzonym w piwnicy warsztacie, gdzie bez pytania wspólnoty o pozwolenie Hanne przebiła się do komina. Pod ścianą stał regał z Ikei z bogatym wyborem narzędzi, na górnej półce czarno-biały przenośny telewizor.

Cały silnik leżał przed nią w częściach i czyściła go patyczkami do uszu. Dla harleya nic nie jest za dobre. Do marca jeszcze tak daleko, pomyślała i już czuła mrowienie na myśl o pierwszej wiosennej przejażdżce. Będzie przepiękna pogoda i kałuże na drodze. Cecilie usiądzie z tyłu, a silnik będzie ryczał ogłuszająco i równo. Byłoby pięknie, gdyby nie ten cholerny kask. Przed laty Hanne Wilhelmsen przejechała Stany Zjednoczone od wybrzeża do wybrzeża w opasce z napisem *Fuck helmet laws*⁹. W Norwegii jednak była policjantką i jeździła w kasku, a to już nie to samo. Część

9 Pieprzyć przepisy nakazujące noszenie kasku.

poczucia wolności przepadała, część radości, jaką sprawiało stykanie się z niebezpieczeństwem, kontakt z wiatrem i z zapachami.

Wyrwała się z marzeń i włączyła telewizor, żeby obejrzeć wieczorną publicystykę. Program już się zaczął, a nawet zdołał osiągnąć znaczną temperaturę. Jacyś dziennikarze wydali książkę o związkach Partii Pracy z tajnymi służbami i wysuwali, zdaje się, tezy, dla niektórych kompletnie niestrawne. W studiu obecny był jeden z trzech autorów i nieźle mu się dostało. W eter sypały się oskarżenia o spekulacje i zarzuty amatorskiego dziennikarstwa, i jeszcze gorsze inwektywy. Dziennikarz, przystojny szpakowaty czterdziestokilkulatek, odpowiadał z takim spokojem, że Hanne po kilku minutach poczuła się przekonana, że ten człowiek ma rację. Przez kwadrans uważnie oglądała program, po czym wróciła do czyszczenia silnika. Po długim sezonie zawory były bardzo brudne.

Nagle program znów przyciągnął jej uwagę. Prowadzący, który chyba był po stronie autora książki, zadał pytanie jednemu z krytyków. Chciał usłyszeć zapewnienie, że nie wykonano żadnej pracy ani nie zakupiono żadnych materiałów dla służb wywiadowczych za pieniądze nie pochodzące z budżetu państwa. Mężczyzna, na wskroś szary człowiek w antracytowo szarym garniturze, rozłożył ręce i bez najmniejszych obiekcji takich gwarancji udzielił.

- A skąd, na miłość boską, mielibyśmy brać takie środki? - spytał retorycznie.

Na tym debata się zakończyła. Hannę czyściła silnik, dopóki w drzwiach nie stanęła Cecilie. Z uśmiechem powiedziała:

- Bardzo bym już chciała iść spać.

Środa, 11 listopada

Był zły i niezadowolony. Sprawa, jego Wielka Sprawa, ostatnio zaczęła się rozmywać. Od policji nic nie dawało się wyciągnąć. Prawdopodobnie dlatego, że utknęła w miejscu tak jak on. Naczelný się złościł i kazał mu wrócić do zwykłej harówki, a jego nudziło chodzenie do sądu i wyciąganie mało istotnych informacji od małomównych policjantów w sprawach, które kwalifikowały się najwyżej na jedną szpalnę.

Siedział z nogami na stole i miną zagniewaną jak u zbuntowanego trzylatka. Letnia kawa miała kwaśny posmak, nawet papieros mu nie smakował. W notesie nie pojawiły się żadne nowe zapiski.

Nagle poderwał się tak gwałtownie, że aż filiżanka się wyróciła. Fredrick Myhrens przez kilka sekund bez ruchu patrzył na bałagan, po czym postanowił go po prostu zignorować. Złapał kurtkę i pognął przez redakcję, żeby nikt nie zdążył go zatrzymać.

Niewielki warsztat prowadził kolega, z którym w podstawówce chodził do jednej klasy. Myhrens zaglądał do niego od czasu do czasu, żeby mu dorobił kolejny komplet kluczy, zawsze dla jakiejś nowej dziewczyny, bo przecież nigdy ich nie zwracały, albo żeby podbił mu obcasy w sztybletach. Co dorabianie kluczy miało wspólnego z żelowaniem butów, nie mógł pojąć, ale kumpel nie był jedyną osobą w mieście zajmującą się akurat taką kombinacją.

Było „hej” i „cześć” i „*give me five*”. Fredrick miał nieprzyjemne wrażenie, że chłopak z warsztatu jest przesadnie dumny ze znajomości z dziennikarzem ze stołecznej gazety, ale wziął udział w tym rytuale. W małym lokalu nikogo innego nie było, a właściciel siedział zajęty czarnym, znoszonym zimowym butem.

- Znów nowa dziewczyna, Fredrick? Chyba już setny raz dorabiam ci klucze do tego mieszkania - zarechotał ślusarz.

- Nie, dziewczyna ta sama co poprzednio. Przyszedłem cię

prosić o pomoc w wyjątkowej sprawie.

Z obszernej kieszeni dziennikarz wyciągnął nieduże metalowe pudełeczko. Otworzył je i ostrożnie wyjął plastelinowe odciski. Na tyle, na ile potrafił to stwierdzić, formy pozostały nienaruszone. Podał je koledze.

- No, no, Fredrick, zacząłeś być na bakier z prawem? - W głosie ślusarza pojawił się poważniejszy ton. - To numerowany klucz? Nie dorabiam numerowanych kluczy, nawet dla ciebie, starego kumpla.

- Nie, ten nie jest numerowany. Sam możesz się przekonać po odcisku.

- Odcisk nie jest żadną gwarancją. Numer mogłeś usunąć. Ale trzymam cię za słowo.

- To znaczy, że dorobisz mi ten klucz?

- Owszem, ale to trochę potrwa. Nie mam tu odpowiedniego sprzętu. Wykorzystuję surowe klucze i szlifuję je na tym komputerku. - Pieszczotliwie pogłaskał maszynę, prawdziwego potwora z mnóstwem guziczków i przełączników. - Możesz zajrzeć za tydzień, wtedy powinien być gotowy.

Fredrick Myhreng nazwał go aniołem i już wychodził, ale jeszcze odwrócił się w drzwiach.

- Możesz mi powiedzieć, co to za klucz?

Ślusarz się wahał.

- Nieduży. Raczej nie do wielkich drzwi. Może do szafy? A może do skrytki na bagaż? Zastanowię się.

Myhreng wrócił do swojej gazety, odrobinę weselszy i pogodniejszy.

Chłopak przebywający w krainie mgieł mógł mieć ochotę na krótki spacer, Hanne Wilhelmsen w każdym razie postanowiła spróbować jeszcze raz. Wieści z więzienia wskazywały na to, że Holendrowi trochę się poprawiło, ale nie bardzo wiedziała, jak to rozumieć.

- Rozkujcie go - nakazała, w duchu zadając sobie pytanie, czy młodzi policjanci nie są w stanie myśleć samodzielnie. Apatyczny, wychudzony chłopak nie zdołałby zbyt wiele zdziałać z dwoma roslymi funkcjonariuszami. Wątpliwe, czy w

ogóle jest w stanie biegać. Koszula na nim wisiała, szyja wystawała z niej jak u Bośniaka w serbskiej niewoli. Spodnie, kiedyś zapewne dopasowane, teraz musiał podtrzymywać paskiem, w którym ktoś zrobił dodatkową dziurkę, odległą o kilka ładnych centymetrów od poprzedniej. Dziurkę zrobiono krzywo i luźna końcówka paska sterczała ukośnie w górę, po czym opadała pod własnym ciężarem jak w nieudanej erekcji. Holender nie miał skarpet na nogach, był blady, zaniedbany i wyglądał dziesięć lat starzej niż wtedy, gdy widziała go ostatnio. Zaproponowała mu papierosa i pastylkę na kaszel. Uśmiechnął się lekko.

- Jak się czujesz? - spytała życzliwie, właściwie nie licząc na odpowiedź. I rzeczywiście jej nie dostała.

- Mogę ci coś załatwić? Colę? Coś do jedzenia?

- Czekoladę. Stratos.

Głos miał słaby, jakby popękany, prawdopodobnie nie odzywał się od kilku tygodni. Hannę przez interkom zamówiła trzy stratosy. I dwie filiżanki kawy. Nie włożyła papieru do maszyny do pisania, nawet jej nie włączyła.

- Możesz mi w ogóle coś powiedzieć?

- Stratos - powtórzył cicho.

W milczeniu czekali sześć minut. Kawę i czekoladę przyniosła urzędniczka lekko zirytowana swoją nową rolą kelnerki. Słyszając podziękowania Hannę, rozchmurzyła się trochę.

Jedzący czekoladę Holender przedstawiał osobliwy widok. Najpierw ostrożnie rozpakował tabliczkę, rozrywając sklejenie papieru tak, by go nie zniszczyć. Potem połamał tabliczkę dokładnie według zaznaczonych linii, papier rozłożył na biurku i kawałeczki rozsunał, zostawiając między nimi przerwy szerokości dokładnie jednego milimetra. Jadł je w takiej kolejności, jakby grał w kółko i krzyżyk. Zaczął ostrożnie od rogu, potem wziął kawałek leżący na ukos od pierwszego i tak dalej, zygzakiem posuwając się do samej góry. Potem od góry przesuwał się w dół według tego samego wzoru, dopóki cała czekolada nie zniknęła. Zajęło mu to pięć minut. Na koniec do czysta wylizał papierek. Wygładził go palcami i złożył w jakąś

dziwną figurkę.

- Przecież się przyznałem - odezwał się nagle.

Hannę drgnęła wystraszona. Seans jedzenia czekolady całkiem ją pochłonał.

- Nie. Ściśle biorąc, jeszcze się nie przyznałeś - powiedziała i starając się nie wykonywać zbyt gwałtownych ruchów, włożyła do maszyny przygotowaną wcześniej kartkę z wymaganymi danymi personalnymi w prawym górnym rogu. - Nie musisz nic mówić - dodała spokojnie. - A poza tym masz prawo domagać się obecności obrońcy.

Wywiązała się z przepisów. Zauważyła, że na wspomnienie obrońcy chłopak się uśmiechnął. Miłym uśmiechem.

- Lubisz Karen Borg - skonstatowała życzliwie.

- Ona jest dobra.

Zaczął jeść drugą czekoladę, dokładnie tak samo jak pierwszą.

- Chcesz, żeby tu teraz przysłała? Czy możemy porozmawiać sami?

- W porządku.

Nie bardzo wiedziała, czy Holender miał na myśli pierwsze pytanie, czy drugie, ale postanowiła rozstrzygnąć to na własną korzyść.

- A więc to ty zabiłeś Ludviga Sandersena?

- Tak - odparł bardziej zajęty wzorem ułożonym z kawałeczków czekolady; potrącił jeden, co zaburzyło wzór i wyraźnie mu przeszkadzało.

Hanne Wilhelmsen westchnęła w duchu, myśląc, że to przesłuchanie będzie miało mniejszą wartość niż papier, na którym zostanie zapisane. Ale może warto próbować.

- Dlaczego to zrobiłeś, Han?

Nawet na nią nie spojrział.

- Nie chcesz mi powiedzieć dlaczego?

Wciąż nie było żadnej odpowiedzi. Z tabliczki czekolady została mniej więcej połowa.

- A chcesz mi powiedzieć coś innego?

- Roger - odezwał się nagle głośno i wyraźnie, z oczami przez ułamek sekundy przytomnymi.

- Roger? To Roger kazał ci go zabić?

- Roger.

Znów się zapadał, jego głos znów brzmiał jak głos staruszka. Albo dziecka.

- On ma jakieś nazwisko? Coś więcej niż Roger?

Ale to już był koniec rozmowy. Hannę wezwała dwóch potężnych funkcjonariuszy, nie pozwoliła skuć Holendra i dała mu na drogę ostatnią czekoladę. Wychodził z uszczęśliwionym uśmiechem.

Kartka z numerem telefonu wisiała na tablicy korkowej. Połączenie uzyskała od razu, przedstawiła się. Głos Karen Borg brzmiał uprzejmie, ale było w nim też zdziwienie. Rozmawiały chwilę, zanim Hannę doszła do sedna.

- Nie musisz mi odpowiadać na to pytanie, ale i tak je zadam. Czy Han van der Kerch wspominał ci kiedykolwiek o człowieku imieniem Roger?

Trafiony zatopiony. Prawniczka zaniemówiła. Hannę też się nie odzywała.

- Wiem tylko, że jest związany z dzielnicą Sagene - powiedziała w końcu Karen. - Tam go próbuj szukać. Chyba możesz się rozglądać za handlarzem samochodami. Nie powinnam ci tego mówić i nie takiego nie powiedziałam.

Hannę zapewniła, że nic nie słyszała, wylewnie podziękowała, rozłączyła się i zaraz wybrała trzycyfrowy numer wewnętrzny.

-Jest tam Billy T.?

- Ma wolne, ale powinien zajrzeć.

- Przekażcie mu, żeby się skontaktował z Hanną z jedenastki.

- Dobra.

Wiatr jak ołówkiem rysował na oknie samochodu gniewne krzywe bazgroły. Marznąca mżawka lepiała się do szyby mimo wysiłków wycieraczek. Ta jesień była dziwna. Niezwykły jak na tę porę roku mróz i śnieg przeplatał się z deszczem i ośmioma stopniami ciepła. Akurat teraz jednak termometr ze złością zatrzymał się w połowie skali, od kilku dni utrzymywała się temperatura w okolicy zera.

- Odcinasz bardzo wielkie kupony od starej przyjaźni, Hanę.

Nie był zły, ale dawał się prosić.

-Ja pracuję w Zameście, a nie jako chłopiec na posyłki dla jej wysokości Wilhelmsen. Poza tym mam dzisiaj wolne. Innymi słowy, jesteś mi winna wolny dzień. Zapisz to sobie.

Musiał się mocno pochylić, żeby cokolwiek widzieć przez zaparowaną szybę.

- Jestem ci dozgonnie wdzięczna - zapewniła. Drgnęła, gdy Billy T. gwałtownie przyhamował przed cieniem, który pojawił się nagle i okazał nieostrożnym nastolatkiem.

- Cholera, nic nie widzę! - mruknął, próbując zetrzeć parę, która kładła się na wewnętrznej stronie szyby równie szybko, jak ją ścierał.

Hanę kręciła przełącznikiem ogrzewania bez jakiegokolwiek wyczuwalnego efektu.

- Własność państwowa - podsumowała, notując w pamięci numer radiowozu, żeby przy następnych okazjach unikać jazdy nim podczas deszczu. - Znalazłam tylko jednego Rogera działającego w branży samochodowej na Sagene. Przynajmniej nie musimy szukać - powiedziała, próbując pocieszyć kolekę.

Samochód otarł się o krawężnik, Hanę rzuciło na drzwiczki, uderzyła łokciem o klamkę do otwierania okna.

- Au, zabijesz mnie! - mruknęła ze złością, nim zauważyła, że są na miejscu.

Billy T. zaparkował pod szarą betonową ścianą z wielkim namalowanym napisem „Parkowanie wzbronione”. Zgasił silnik, ale dalej siedział z rękami na kolanach.

- Co właściwie zamierzamy?

- Tylko się rozejrzemy. I może trochę go nastraszymy.

-Jestem policjantem czy zbójem?

- Klientem, Billy T., jesteś klientem. Dopóki ewentualnie ci nie powiem, że masz być kimś innym.

- Czego szukamy?

- Wszystko jedno. Interesuje nas każda marka.

Wysiadła, blokując drzwiczki samochodu. Całkiem niepotrzebnie, bo Billy T. trzasnął swoimi bez żadnych

dodatkowych procedur.

- Tego grata i tak nikt nie ukradnie - wyjaśnił, wzruszając ramionami, ale głównie broniąc się tym gestem przed wiatrem, który wypadł mu na spotkanie zza węgła.

Sagene Car Sale. Hanne domyśliła się nazwy, chociaż neonowe litery już dawno powinny zostać wymienione. O szarówce dało się przeczytać jedynie *Sa ene Ca S le*.

- Światowe towarzystwo!

Kiedy otworzyli drzwi, gdzieś daleko rozległ się dźwięk dzwonka. Duszący zapach wydobywał się z najobfitszego zbioru tak zwanych odświeżaczy powietrza, jakie Hanne Wilhelmsen kiedykolwiek w życiu widziała. Cztery kartonowe choinki wysokości pięćdziesięciu-sześćdziesięciu centymetrów stały jedna przy drugiej na pięciometrowej ladzie. Drzewka udekorowano mniejszymi choinkami z połyskliwych drucików i wykonanymi z tego samego materiału figurkami biuściastych komiksowych kobiet. Rolę maleńkich prezentów świątecznych odgrywała armia plastikowych żółwi o zapachu wunderbaum ustawionych wokół pni. Za ich sprawą powietrze wokół lady musiało być najbardziej odświeżone w całym mieście. Żółwiki miały luźne łebki na sprężynach, którymi serdecznie ich powitały.

Oprócz tego w lokalu pełno było wszelkich możliwych rzeczy dających się wykorzystać w czymś, co jeździ na czterech kółkach: rury wydechowe i korki do baku z benzyną, nylonowe pokrycia siedzeń w panterkę, futrzane kostki i świece zapłonowe. Między półkami, gdzie nie dało się wcisnąć kolejnego regału, wisiały stare zdjęcia z kalendarza z rozebranymi dziewczynami. Trzy czwarte każdej z fotografii zajmowały cycki. Sam kalendarz natomiast mieścił się na cienkim, w zasadzie zbytecznym pasku na samym dole.

Nieco ponad minutę po dzwonku z komnat na zapleczu wyłonił się mężczyzna. Hannę musiała wbić paznokiec w dłoń, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

Facet wyglądał jak żywcem wyjęty ze starego filmu. Był niski i kwadratowy, nie mógł mieć więcej niż metr siedemdziesiąt. Nosił brązowe bistorowe spodnie z przesytytym kantem. Gruby

szew pękł, co wyglądało komicznie, bo kończył się nad kolaniem pojedynczą nitką i zaczynał znów piętnaście centymetrów wyżej.

Spodnie musiały mieć ze dwadzieścia lat, chyba wtedy ostatnio widziała przeszyte kanty.

Koszulę miał jasnoniebieską, z długą rękawicą, a krawat nawet bardzo do niej pasował, bo też był jasnoniebieski. Na te wspaniałości mężczyzna włożył marynarkę w pepitkę. Brakowało jednego guzika, ale nie miało to żadnego znaczenia, bo i tak była na niego za mała i z pewnością by się nie zapięła. Na głowie miał jeża.

- Witam, witam, czym mogę służyć? - powiedział głośno i życzliwie, choć niemal z przerażeniem spojrzął na olbrzyma z kolczykiem w uchu. Obecność Hannę musiała go jednak uspokoić, bo z rozjaśnioną twarzą zwrócił się do niej i powtórzył pytanie.

- Chciałabym obejrzeć jakiś używany samochód - wyjaśniła Hannę z wahaniem, zerkając ponad ramieniem niedużego człowieka na drzwi z okienkiem niemytym co najmniej przez ostatnie dwa lata. Domyślała się, że za nimi jest magazyn samochodów.

- Używany samochód, ho, ho. No to trafiliście we właściwe miejsce - zaśmiał się mężczyzna jeszcze życzliwiej, jakby początkowo sądził, że przyszli po świece, ale teraz dostrzegł szansę na uzbicie większego interesu. - Proszę państwa za mną. Za mną.

Poprowadził ich przez brudne drzwi. Billy T. zauważył obok podobne drzwi, prowadzące do czegoś w rodzaju biura.

Po aromacie tego mnóstwa choinek zapach oleju był prawdziwym błogosławieństwem. Przynajmniej prawdziwy zapach samochodów. Sklep najwyraźniej nie miał żadnych ambicji związanych ze specjalizacją. Stały tu łady i peugeoty, ople, a także dwa - przynajmniej z pozoru w dobrym stanie - cztero- lub pięcioletnie mercedesy.

- Proszę, można wybierać i przebierać, wybierać i przebierać. Czy wolno mi spytać, w jakiej grupie cenowej państwo zamierzają się zmieścić? - Uśmiechnął się z nadzieją, zezując

na najbliższej stojącego mercedesa.

- Jakieś trzy-cztery tysiące koron - mruknął Billy T., a mężczyzna, słysząc to, z całej siły zacisnął wilgotne wargi.

- On żartuje - uspokoiła go Hanne. - Mamy około siedemdziesięciu tysięcy. Ale to właściwie też nie jest górna granica. Kochani rodzice mogą coś dorzucić - szepnęła porozumiewawczo, nachylając się do mężczyzny.

Rozjaśniony sprzedawca ujął ją pod rękę.

- Wobec tego powinna pani obejrzeć tego kadeta - oświadczył.

Kadet rzeczywiście prezentował się nieźle.

- Rocznik 1987, zaledwie czterdzieści tysięcy na liczniku. Gwarantowane. I tylko jeden właściciel. Samochodzik jak spod igły. Mogę zaproponować dobrą cenę, dobrą cenę.

- Śliczne auto - pokiwała głową Hanne, posyłając niedwuznaczne spojrzenie swemu fałszywemu małżonkowi. Billy T. złapał się za krocze i spytał mężczyznę w pepitce, czy mógłby skorzystać z toalety.

- Tam, prosto. Tam, prosto - odparł pogodnie sprzedawca, a Hanne zaczęła się zastanawiać, czy nie cierpi on przypadkiem na jakąś wadę wymowy, zmuszającą go do powtarzania wszystkiego dwa razy. Może to taka zaawansowana forma jąkania, pomyślała. Billy T. wyszedł.

- Ma wrażliwy żołądek - wyjaśniła. - Dziś po południu idzie na rozmowę w sprawie nowej pracy. Już czwarty raz musi skorzystać z toalety, biedak.

Sprzedawca okazał wielkie współczucie i zachęcił, by wsiadła do kadeta. Auto było naprawdę ładne.

- Nie znam tych samochodów - powiedziała Hanne. - Mógłby pan usiąść obok mnie i co nieco mi wyjaśnić?

- Ależ oczywiście, oczywiście. - Przekreślił kluczyk i zaczął demonstrować kolejne finezyjne drobiazgi. - To znakomity model - podkreślił z naciskiem. - Fantastyczny. Między nami mówiąc, poprzedni właściciel był okropnym sknerą, ale o auto potrafił zadbać.

Pogłaskał świeżo umytą deskę rozdzielczą, zamrugał światłami, wyregulował oparcie siedzenia, włączył radio, włożył kasetę Tronda

Granlunda i poświęcił niepotrzebnie dużo czasu na zapięcie pasa Hanne.

Odwróciła się do niego.

- A cena?

- Cena, no tak, cena... - Kilka razy cmoknął, przetarł zęby językiem, nim wreszcie posłał jej uśmiech, w zamierzeniu chyba poufały i koleżeński. - Ma pani siedemdziesiąt tysięcy i kochających rodziców. Dla pani powiem siedemdziesiąt pięć. Włącznie z radiem i nowymi oponami zimowymi.

Siedzieli w samochodzie już od ponad pięciu minut i Hanne zaczęła tęsknić za Billym T. Istniały granice targowania się o samochód. Nagle mogłoby się okazać, że go kupiła. Minęły jeszcze trzy minuty, zanim Billy T. zastukał w okno. Opuściła szybę.

- Musimy już iść. Trzeba odebrać dzieci - powiedział.

- Sama je odbiorę. Masz przecież tę rozmowę w sprawie pracy

- poprawiła go. - Zadzwoń do pana w sprawie tego samochodu

- zwróciła się do mężczyzny, który nie zdołał ukryć rozczarowania, bo był już pewien transakcji, Opanował się jednak i dał jej swoją wizytówkę, równie niegustowną jak jej właściciel, granatową, błyszczącą złotymi literami „Roger Strømsjord, dyr. adm.”. Pretensjonalny tytuł.

-Jestem właścicielem - wyjaśnił, skromnie wzruszając ramionami. -Ale musi się pani pospieszyć, te samochody stoją tu zaledwie chwilę. Są ogromnie popularne. Ogromnie popularne. To muszą podkreślić.

Okrążyli budynek, tym razem z wiatrem w plecy. Wsiedli do samochodu i śmiali się przez dwie minuty. W końcu Hanne wytarła łzy ściekające po policzkach.

- Znalazłeś coś ciekawego?

Billy T. pochylił się do przodu, uniósł pośladek i z tylnej kieszeni wyciągnął nieduży notes. Rzucił go Hanne na kolana.

-Jedyna interesująca rzecz, jaka tam była. Tkwił w kieszeni jego kurtki.

Hanne Wilhelmsen już się nie śmiała.

- Niech cię diabli, Billy T.! Nie tego nas uczyli w szkole policyjnej. Poza tym byłoby cholernie głupio, gdyby się okazało, że w środku jest coś naprawdę ciekawego. Nie będziemy mogli wykorzystać tego jako dowodu. Nielegalne zatrzymanie rzeczy, jak to wyjaśnisz?

- Daj spokój! Ten notesik nikogo nie wsadzi za kratki, ale może na coś ci się przyda. Może. Nie mam pojęcia, co w nim jest, ledwie go przejrzałem. Numery telefonów. Okaż trochę wdzięczności.

Ciekawość zwyciężyła i Hannę zaczęła przerzucać kartki notesu. Rzeczywiście zawierał całe mnóstwo numerów telefonicznych. Większość, na pierwszych pięciu czy sześciu stronach, została wpisana z nazwiskami w kolejności alfabetycznej, dalej następowały już bez ładu i składu. Przy ostatnich numerach nie było nazwisk, przy niektórych widniały inicjały i jakieś drobne niezrozumiałe znaczki.

Nagle Hannę drgnęła. Niektóre z numerów zaczynały się od cyfr niewystępujących w rejonie 02, a mimo to nie podano żadnego prefiksu. Przerzucała kartki i zatrzymała się przy trzech inicjałach.

- H.v.d.K. - zawołała. - Han van der Kerch! Ale nie rozpoznaję tego numeru...

- Sprawdź w książce telefonicznej - doradził Billy T. i sam od razu sięgnął do schowka na rękawiczki, uprzedzając Hannę.

- Pod czym może być wpisany van der Kerch? Pod Van, Der czy Kerch?

- Nie mam pojęcia, sprawdź wszystkie możliwości.

Znalazł go pod Kerch. Numer był zupełnie inny niż w notesie.

Hannę była rozczarowana, ale w tych dwóch numerach zaintrygowało ją coś, czego nie potrafiła wyjaśnić. Jakieś podobieństwo. Mimo że przecież kompletnie się różniły. Zrozumienie tego zajęło jej trzydzieści sekund.

- Eureka! - zawołała. - Cyfra w książce to cyfra w notesie minus następna cyfra w szeregu. Pod warunkiem że weźmiesz pod uwagę również liczby ujemne i zapomnisz o minusie.

- Co? - Billy T. nic nie mógł pojąć.

- Nigdy nie miałeś do czynienia z liczbowymi grami towarzyskimi? Pokazują ci szereg liczb, masz się zorientować w systemie i dopisać następną. Niektórzy nazywają to testem na inteligencję, ja uważam, że to gra towarzyska. Popatrz tutaj! Numer w notesie to: 93 24 35. Od 9 odejmij 3, masz 6. 3 minus 2 to 1. 2 minus 4 to minus 2. Minus odrzucamy. 4 minus 3 to 1, a 3 minus 5 to minus 2. Od 5 odejmujemy pierwszą liczbę 9 i mamy minus 4. W książce telefonicznej musi być numer 61 21 24.

- Zgadza się. - Patrzył na nią ze szczerym podziwem. - Skąd, na miłość boską, o tym wiesz?

- Nikomu o tym nie mów, ale był taki czas, kiedy zamierzałam studiować matematykę. Liczby są naprawdę fascynujące. To nie może być przypadek. Sprawdź numer Jørgena Lavika.

Skorzystała z tej samej metody - z powodzeniem. Zaszyfrowany numer został zapisany na ósmej stronie notatnika. Billy T. uruchomił samochód z tak triumfalnym rykiem, jaki dało się wydobyć ze zmęczonego opla corsy, i ruszył w szare popołudnie.

- Albo Jørgen Lavik często kupuje używane samochody, albo to jest najpoważniejszy ślad, jaki mamy w tej sprawie - oświadczyła Hannę z miną zwycięzcy.

- Jesteś geniuszem, Hannę. - Uśmiech Billy'ego T. dzielił jego twarz na pół. - Prawdziwym cholernym geniuszem!

Przez dłuższy czas jechali w milczeniu.

Kiedy wjeżdżali do policyjnego garażu, Hannę mruknęła tylko jeszcze:

- Prawdę mówiąc, nabrałam ochoty na tego kadeta.

Czwartek, 12 listopada

Jørgen Ulf Lavik wykazywał taką samą pewność siebie jak poprzednio. W jego obecności Håkon Sand w swoich sztruksowych spodniach z wypchniętymi kolanami i pięcioletniej bluzie z wycięczonym i pomiętym aligatorem, który niezbyt lubił wodę z proszkiem do prania, czuł się onieśmielony - garnitur adwokata ostro *kontrastował z teorią, że ten facet to sknera.*

- Właściwie dlaczego on jest obecny podczas rozmowy? - spytał Lavik, zwracając się do Hanne. - Sądziłem, że od czarnej roboty są szeregowi funkcjonariusze.

Oboje poczuli się urażeni. Tamtemu prawdopodobnie o to właśnie chodziło.

- Jaki jest dzisiaj mój status? - ciągnął Lavik, nie czekając na wyjaśnienie obecności Håkona Sanda. - Jestem o coś podejrzany, czy w dalszym ciągu jestem po prostu świadkiem?

- Świadkiem - odpowiedzieli chórem.

- Czy mogę wobec tego spytać, czego miałbym być świadkiem? Przychodzę tu już po raz drugi. Jestem dobrze nastawiony do współpracy z policją, ale tym razem muszę się wręcz sprzeciwić kolejnym wizytom, jeśli nie będziecie mieli do mnie żadnych konkretnych pytań.

Hanne Wilhelmsen przyglądała mu się przez kilka sekund, Lavik wreszcie musiał odwrócić głowę. Drwiące spojrzenie skierował na Håkona Sanda.

- Jaki pan ma samochód, Lavik?

Facet nawet nie musiał się namyślać.

- Przecież doskonale to wiecie. Policja obserwowała moje nocne spotkanie z klientem. Volvo, rocznik 1991. Żona ma starszą toyotę.

- Kupił pan te samochody nowe czy używane?

- Volvo było nowe. Standardowe kombi. Toyota, z tego co pamiętam, miała rok, może półtora.

Wciąż sprawiał wrażenie całkowicie spokojnego.

- Volvo pewnie kupił pan w salonie u Isberga - rzuciła policjantka spokojnie.

Zgadła. Toyota natomiast została kupiona prywatnie, od kolegi.

Okno było lekko przymknięte, z zostawioną centymetrową szparą. Na zewnątrz mocno wiało i do środka przedostawał się zawodzący gwizd, niemal wycie, gdy wiatr, wpadając do pokoju, kaleczył się o metalowy kant. Dźwięk działał niemal uspokajająco.

- Zna pan faceta, który handluje samochodami na Sagene?

Natychmiast pożałowała swoich słów. Powinna okazać się bardziej przebiegłą, zastawić bardziej wyrafinowaną pułapkę. A to wcale nie była żadna pułapka. Zachowała się jak początkująca! Czyżby traciła kontrolę nad pracą? Czy to obrażenia głowy pozbawiły ją tej jej słynnej przebiegłości? Ze złości zaczęła obgryzać paznokiec. Adwokat wykorzystał czas, zastanawiał się chyba nawet dłużej, niż powinien.

- Nie mam zwyczaju ujawniania moich klientów. Ale ponieważ pytaacie, odpowiem. Mam starego klienta, któremu na imię Roger. Prowadzi nieduży sklep z samochodami, możliwe, że właśnie na Sagene. Osobiście nigdy tam nie byłem. Więcej nie chciałbym mówić, to kwestia dyskrecji. W mojej branży trzeba być dyskretnym, inaczej nie da się zatrzymać klientów.

Załoczył nogę na nogę i splótł palce wokół kolan. Wygrywał. Wiedzieli o tym wszyscy troje.

- Trochę dziwne, że zapisał sobie pana numer szyfrem - spróbowała Hanne Wilhelmsen jeszcze raz, ale na próżno.

Adwokat Lavik się uśmiechnął.

- Gdyby pani wiedziała, jakimi paranoikami są niektórzy ludzie, ani trochę by to pani nie zdziwiło. Miałem kiedyś klienta, który upierał się przy sprawdzaniu mojego gabinetu detektorem do wykrywania podsłuchu za każdym razem, gdy przychodził do mnie na spotkanie. A ja mu pomagałem sporządzić umowę na wynajem mieszkania. Umowę na wynajem!

Śmiech był mocny i donośny, lecz ani trochę zaraźliwy. Hannę Wilhelmsen nie miała więcej pytań. Skapitulowała.

Adwokat Lavik mógł odejść. Kiedy wkładał płaszcz, poderwała się jednak i stanęła przed nim w odległości trzydziestu centymetrów.

- Wiem, że nie jesteś czysty, Lavik. I ty wiesz, że ja to wiem. Jako adwokat masz świadomość, że my, policja, mamy o wiele większą wiedzę, niż możemy wykorzystać. Ale obiecuję ci jedno, przypnę się do ciebie. Ciągłe mamy nasze źródła, nasze informacje i nasze ukryte fakty. Mamy Hana van der Kercha. Wiesz, że on na razie niewiele mówi, ale ma adwokat, z którą może rozmawiać. Adwokat całkiem innego moralnego kalibru niż żaloszny papuga jak ty. Nie masz pojęcia, ile ona może wiedzieć. I nie masz pojęcia, ile nam powiedziała. Musisz z tym żyć. Zaczynij oglądać się przez ramię, Lavik, bo będę się starała cię dopaść.

Mężczyzna poczerwieniał, tylko u nasady nosa zostały kredowo- białe plamy. Nie odsunął się ani o centymetr od twarzy Hanne, ale oczy jakby mu się zapadły.

- To groźby, pani posterunkowa. Groźby karalne. Wniosę pi-semną skargę. Jeszcze dzisiaj.

- Nie jestem posterunkowa, Lavik. Jestem sierżantem policji. I właśnie ten sierżant policji przyczepi się do ciebie jak cień, dopóki się nie załamiesz. Możesz się skarżyć, ile chcesz.

Mało brakowało, żeby napluł jej w twarz, ale się opanował. Bez słowa opuścił pokój, trzaskając tylko drzwiami. Jeszcze przez kilka sekund powietrze niemal wibrowało. Håkonowi dosłownie opadła szczęka. Bał się odezwać choćby słowem.

- Z tą miną wyglądasz jak mongol.

Wziął się w garść i zamknął usta.

- O co ci chodziło? Chcesz, żeby Karen znalazła się w opałach? Przecież on złoży skargę!

- Niech się skarży.

Mimo że ten wybuch był ewidentną głupotą, Hanne wydawała się zadowolona.

- Na serio go wystraszyłam, Håkon. A ludzie, którzy się boją, popełniają głupstwa. Nie zdziwiłabym się, gdyby w gronie adoratorów twojej przyjaciółki Karen Borg znalazł się jeszcze jeden mecenas. Nieźle by się wtedy wkopał.

- A jeśli on jej coś zrobi?

- Karen Borg nic się nie stanie. Oni nie są aż tacy głupi.

Przez moment poczuła lodowate zwątpienie, lecz równie prędko je odrzuciła. Potarła skroń i dopiła kawę. Z górnej szuflady biurka wyjęła chusteczkę i plastikową torebkę zamykaną na strunowy zacisk. Ostrożnie ujęła za uszko filiżankę, z której adwokat Lavik wypił ledwie łyk.

- Objął całą filiżankę - powiedziała zadowolona, wylewając kawę. - Opłaca się trochę wychłodzić pokój. Chciał sobie ogrzać paluszki.

Filiżanka trafiła do torebki, a chusteczka z powrotem do szuflady.

- Nad czymś się zastanawiasz? - spytała.

- Nie zasługujesz na swoje dobre imię. To nie jest sposób, w jaki należy pobierać odciski palców.

- Paragraf sto sześćdziesiąt kodeksu postępowania karnego - odparowała z miną prymuski. - Nie potrzeba postanowienia sądu, by pobrać odciski palców od osoby podejrzewanej o popełnienie czynu zabronionego. Ja go podejrzewam. Ty też. Wymogi prawa są spełnione.

Håkon Sand pokręcił głową.

- To najbardziej dosłowna interpretacja prawa, z jaką się kiedykolwiek zetknąłem. Facet ma prawo wiedzieć, że mamy jego odciski. Ma nawet prawo żądać, żebyśmy je zniszczyli, kiedy podejrzenia okażą się niesłuszne.

- Tak się na pewno nie stanie - oświadczyła z niewzruszoną pewnością. - Bierz się do roboty.

Zapomnieli o pasku. Przecież nie wolno mu było nic zatrzymywać. Dlaczego więc zapomnieli o pasku? Kiedy miał iść na przesłuchanie do tej policjantki od czekolady, wstał, a wtedy spadły mu spodnie. Próbował je przytrzymać z przodu, ale gdy założono mu kajdanki, bez końca się zsuwały. Dwaj jasnowłosi mężczyźni wysłali więc dyżurnego po jego pasek i nożyczkami zrobili w nim dodatkową dziurkę. Miło z ich strony. Ale dlaczego mu go nie odebrali? To musiała być jakaś pomyłka. Zaraz go zdjął i na noc schował pod materac.

Kilka razy się budził, żeby sprawdzić, czy wciąż tam jest, czy mu się to nie przyśniło.

Pasek stał się jego małym skarbem. Przez ponad dobę Ho-lander nie posiadał się ze szczęścia, myśląc o swojej tajemnicy. To było coś, o czym nikt inny nie wiedział. Miał coś, czego nie powinien mieć. Coś w rodzaju przewagi. Dwa razy w ciągu dnia, tuż po kontroli strażnika zaglądnącego przez drzwi, szybko go wkładał z pominięciem kilku szlufek, bo tak mu się spieszyło, i krążył po celi w spodniach trzymających się na swoim miejscu, szeroko uśmiechnięty. Ale już po kilku minutach zdejmował pasek i chował go z powrotem pod materac. Usiłował przeglądać tygodniki, które mu przyniesiono. „My, mężczyźni”. Czuł się o wiele lepiej, mimo to nie był w stanie się na nich skoncentrować. Myślał jedynie o tym, co zrobi. Najpierw jednak musiał napisać list. Nie zajęło mu to dużo czasu. Może ona się ucieszy. Była taka miła i miała dobre ręce. Podczas jej dwóch ostatnich wizyt udawał, że śpi. Sprawiała mu taką przyjemność, kiedy go gładziła po plecach. Tyle dobroci miał w sobie ten dotyk.

List był gotowy. Han van der Kerch przesunął stołek pod znajdujące się wysoko na ścianie okienko. Kiedy wyciągnął ręce nad głowę, zdołał zahaczyć paskiem o kratę. Zawiązał supeł, licząc, że wytrzyma. Wcześniej przysunął jeden koniec przez klamrę, tak że powstała pętla. Ładna, kształtna pętla, w którą łatwo wsunąć głowę.

Ostatnią myśl posłał swojej matce w Holandii. Przez jedną nanosekundę pożałował tego, co zrobił, ale było już za późno. Stołek pod jego nogami już się poruszał, a pasek błyskawicznie się zacisnął. Po pięciu sekundach chłopak był w stanie stwierdzić, że nie złamał kręgosłupa. W końcu w oczach mu pociemniało, kiedy zaciskający się pasek uniemożliwił krwi dopływającej do głowy przez naczynia szyjne powrót do serca. Po paru minutach język zaczął wystawać mu z ust, wielki i siny, a oczy wyglądały jak u ryby wyrzuconej na ląd. Han van der Kerch umarł w wieku zaledwie dwudziestu trzech lat.

Piątek, 13 listopada

Billy T. nazwał to miejsce mieszkaniem. Określenie niezasłużone. Kamienica musiała mieć zdecydowanie najgorsze położenie w Oslo, wciśnięta między Mosseveien a Ekebergveien, zbudowana w latach dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku i wciąż tam stała, ale ledwie się trzymając, w stanie możliwym do zaakceptowania wyłącznie przez margines społeczeństwa, dla którego alternatywą był kontener w porcie.

Zaduch w środku wywoływał mdłości. Tuż za drzwiami stało wiadro z resztkami starych wymiocin i czymś jeszcze, niemożliwym do zdefiniowania, najprawdopodobniej jednak organicznym. Hanne Wilhelmsen kazała rudemu chłopakowi z zadartym nosem otworzyć kuchenne okno. Męczył się i pchał z całych sił, ale ani drgnęło.

- Od stu lat nikt go nie otwierał - jęknął. W odpowiedzi doczekał się jedynie kiwnięcia głową. Uznał to za zgodę na zaprzestanie kolejnych prób. - Cholera, jak tu strasznie! - westchnął. Wyglądał tak, jakby bał się ruszyć ze strachu, że obleżą go jakieś nieznane, śmiertelnie niebezpieczne bakcyle.

Za młody, pomyślała Hanne Wilhelmsen, która naoglądała się już zbyt wielu podobnych nor, przez niektórych nazywanych domem. W powietrzu poszybowała para gumowych rękawiczek.

- Masz, włóż je - powiedziała i sama wciągnęła podobne.

Kuchnia znajdowała się na lewo z wąskiego korytarza. Wszędzie wały się brudne naczynia, niepozmywane od tygodni. Na podłodze stały dwa czarne worki na śmieci, rozchyliła je czubkiem buta. Buchnął smród, wywołując u rudowłosego policjanta odruch wymiotny.

- Przepraszam - wykrztusił. - Bardzo przepraszam.

Wyminął Hanne i rzucił się do drzwi. Uśmiechnęła się przelotnie i przeszła do pokoju.

Miał nie więcej niż piętnaście metrów kwadratowych, od któ-

rych należało jeszcze odliczyć prowizorycznie urządzoną sypialnię. Był kwadratowy, na środku stał słupek sięgający do sufitu. Zasłonka z taniego brązowego materiału ciągnęła się do ściany, przybita gwoździami do listwy na suficie, umocowanej krzywo, pewnie po pijaku.

Za zasłoną stało domowej roboty łóżko, tej samej długości co szerokości. Pościeli z całą pewnością nie prano w tym roku. Dwoma palcami uniosła kóldrę. Prześcieradło przypominało paletę, na której rozmaite odcienie brązu przechodziły miejscami w czerwień. W nogach łóżkach leżała mała butelka po wódce. Pusta.

Bliżej zasłony stała wąska półka. O dziwo, leżało na niej kilka książek. Po bliższym sprawdzeniu okazało się, że to kieszonkowe wydania duńskiej literatury pornograficznej. Oprócz tego półka służyła do eksponowania pustych i częściowo opróżnionych butelek, kilku pamiętek z ościennych krajów, a także niedużej, niewyraźnej fotografii mniej więcej dziesięcioletniego chłopca. Czyżby Jacob Frøstrup miał syna? Czy istniał gdzieś chłopiec, być może kochający nieszczęsnego heroinistę? Odruchowo starła ze szkła kurz rękawem, zrobiła na półce lepsze miejsce dla fotografii i tam ją odstawiła.

Jedyne okno w pokoju było wciśnięte między zasłonę a ścianę. Dało się otworzyć. Na tylnym podwórzu, trzy piętra niżej, Hanne dostrzegła młodego posterunkowego opierającego się jedną ręką o mur, z twarzą nachyloną ku ziemi. Na dłoniach wciąż miał plastikowe rękawiczki.

- Jak się czujesz?

Nie odpowiedział, ale się wyprostował, spojrzął na nią i uspokoił ją gestem. Wkrótce znów stanął w drzwiach, blady, ale opanowany.

- Musiałam przez to przejść pięć albo sześć razy - uśmiechnęła się pocieszająco Hanne. - Przyzwyczaisz się. Oddychaj przez usta i myśl o malinach. To pomaga.

Przeszukanie mieszkania zajęło im nie więcej niż piętnaście minut. Nie pojawiło się nic interesującego. Hanne Wilhelmsen nie była zdziwiona. Billy T. zapewniał, że nic tu nie ma, że przeszukał wszystko, a przynajmniej to, co widoczne. Musieli

więc zacząć szukać tego, co niewidoczne. Posłała chłopaka do samochodu po narzędzia. Sprawiał wrażenie wdzięcznego za kolejną możliwość zaczerpnięcia świeżego powietrza. Trzy minuty później był z powrotem.

- Od czego baby zacząć?

- Nie musisz oddychać przez usta, kiedy mówisz. Chyba nie mówisz na wdechu?

- Zrzygam się, jeśli nie będę miał zatkabego nosa.

Zaczęli od wyglądającej na najnowszą boazerii na ścianie za kanapą. Łatwo dała się usunąć. Chłopak nieźle sobie radził z łomem i pracował, aż się spocił. Nic tam nie było. Przybili boazerię z powrotem i dosunęli kanapę na miejsce.

- Dywan - nakazała Hannę, nachylając się nad jednym rogim. Zielony dywan z czasem zrobił się ciężki jak ołów od brudu i kurzu. Policjanci musieli się odwracać, ale udało im się zwinąć go aż do kanapy. Podłogowe deski wyglądały na prastare, chociaż po oszlifowaniu mogłyby prezentować się całkiem ładnie.

- Spójrz tutaj. Tu nie jest tak brudno jak gdzie indziej - wymamrotał młody policjant, wskazując na krótki, dwudziestocentymetrowy kawałek deski odchodzący od ściany.

Miał rację. Ten fragment drewna był o wiele jaśniejszy niż pozostała część brudnej podłogi. Poza tym prawie nie było wokół niego brudu, który wyrównywał szpary w podłodze. Hannę sięgnęła po śrubokręt, lekko podważyła i ostrożnie wyciągnęła. Ukazał się otwór wypełniony czymś owiniętym w plastikową torbę. Rudy tak się tym podniecił, że zapomniał o oddychaniu przez usta.

- To pieniądze, Wilhelmsen! Zobacz, to są pieniądze! I to cholernie dużo!

Hannę wstała, zdjęła brudne rękawiczki, rzuciła je w kąt i włożyła czyste. Potem znów przykucnęła i wyjęła paczkę. Chłopak miał rację. To były pieniądze. Gruby plik tysiąckoronowych banknotów. Naprędce oszacowała, że musi ich być co najmniej pięćdziesiąt. Posterunkowy wyciągnął z kieszeni plastikową torebkę i podał jej otwartą. Paczka ledwie się w niej zmieściła.

- Dobra robota, Henriksen. Będą z ciebie ludzie.

Chłopakowi pochwała sprawiła wyraźną przyjemność, a z radości, że już niedługo będzie mógł opuścić tę cuchnącą norę, sam zajął się doprowadzeniem jej do pierwotnego stanu, zamknął drzwi i jak szczeniak merdający ogonem zbiegł po schodach za swoją przełożoną.

Czwartek, 19 listopada

Nikt nie mógł twierdzić, że spodziewał się takiego rezultatu. Prawdę mówiąc, nikt oprócz Hanne Wilhelmsen nie spodziewał się w ogóle żadnego rezultatu. Håkon Sand zapomniał o filizance Lavika zdobytej w zeszły czwartek. Śmierć van der Kercha przesłoniła wszystko. Wybuchła piekielna awantura w związku z przeoczonym paskiem, właściwie kompletnie bez sensu, bo chłopak mógł przecież użyć i koszuli, i spodni. Wszelkie doświadczenia przemawiały za tym, że osób o skłonnościach samobójczych nie dawało się powstrzymać, gdy już raz podjęły decyzję, a Han van der Kerch wyraźnie ją podjął.

- Yes \ - Hanne wychyliła się do przodu z lekko wypiętym biodrem i z dłonią zaciśniętą w pięść, poruszyła ręką z góry w dół, jakby ciągnęła za nieistniejący gwizdek parowy. - Yes \

Powtórzyła ten gest. Obecni w centrum dowodzenia w milczeniu obserwowali tę scenę, lekko zażenowani.

Sierżant Hanne Wilhelmsen rzuciła chudemu komisarzowi jakiś dokument na biurko. Kaldbakken spokojnie wziął go do ręki, demonstrując tym samym łagodne upomnienie dla tak niestosownego wybuchu emocji. Nie spieszył się. Ale kiedy go odkładał, na jego końskiej twarzy dało się dostrzec cień uśmiechu.

- To budujące - chrząknął. - Naprawdę budujące.

- *What an understatement!*¹⁰

Hannę życzyła sobie większego entuzjazmu. Odcisk palca Jørgena Lavika wyraźnie zaznaczony na filizance był identyczny z pięknym pełnym śladem pozostawionym na tysiąckoronowym banknocie, który został znaleziony pod deską w podłodze w cuchnącym mieszkaniu nieżyjącego dilerka na Mosseveien. Wyniki badania laboratoryjnego Kripos, Centrali Policji Kryminalnej, były jednoznaczne i bezdyskusyjne.

10 Cóż za niedopowiedzenie!

- To nie może być prawda! - Prokurator policji Sand szarpnął raport w swoją stronę, rozdzierając go przy tym na pół.

To była prawda.

- No to mamy faceta! - zawołał rudy, niemal spuchnięty z dumy, że przyczynił się do wyjaśnienia sprawy. - Wystarczy, żeby go zamknąć!

Oczywiście nie wystarczało. Odciski palców niczego nie udowadniały, ale były piekielnie mocną poszlaką. Problem polegał na tym, że Lavik z całą pewnością będzie potrafił się z tego wyłgać. Jego związki z Frøstrupem były w pełni legalne. Odciski same w sobie nie wystarczą. Wszyscy w tym pokoju, może z wyjątkiem ogarniętego nadmiernym zapałem młodego posterunkowego, zdawali sobie z tego sprawę. Hanne Wilhelmsen ustawiła tablicę naprzeciwko krzesel i sięgnęła po czerwony i niebieski flamaster. Zaden nie pisał.

- Trzymaj! - Rudy rzucił jej przez cały pokój nowy czarny pi-sak.

- Podsumujmy, co mamy. - Hanne zaczęła pisać. - Po pierwsze, wyjaśnienia Hana van der Kercha, jakich udzielił swojej adwokat.

- Przekazała nam, co powiedział? - Kaldbakken nie krył zdumienia.

- Tak. Możesz zobaczyć w dokumencie numer 11,12. Holender zostawił list. Coś w rodzaju listu pożegnalnego. Serdeczne pozdrowienia dla Karen Borg. Pozwolił jej mówić. Cały wczorajszy dzień przesiedziała na przesłuchaniu. Mieliliśmy rację. Ale cudownie jest uzyskać potwierdzenie. Najważniejsze, że mamy to już na papierze.

Odwróciła się do tablicy i dalej pisała, nic już nie mówiąc:

- 1) Wyjaśnienia H.v.d.K. (Karen B.).
- 2) Zw. Lavik - Roger Sam. (Nr tel. w notesie).
- 3) Odciski palców Lavika na pieniądzech u Frøstrupa (!!!).
- 4) Kartki z zaszyfrowanymi informacjami u J.F., takie same jak u Hansy Olsena.
- 5) Lavik w areszcie tego dnia, kiedy H.v.d.K. zwariował.
- 6) Lavik w więzieniu tego dnia, kiedy Frøstrup przedawko-wał.

- Wyjaśnienia Hana van der Kercha są ważne - oświadczyła, posługując się ułamaną linijką jako wskaźnikiem i stukając nią w tablicę. - Jediną, dość przykrą wadą jest to, że nie usłyszeliśmy ich od niego samego, czyli informacja z drugiej ręki. Z drugiej jednak strony Karen Borg jest superwiarygodnym świadkiem. Potwierdza, że Han był w tę sprawę zamieszany od kilku lat. Poza tym przyznał się do powiązań z Rogerem od samochodów i słyszał plotki o adwokatach krążących gdzieś w tle. Plotki to bardzo cienka podstawa do tymczasowego aresztowania, ale wszystkie lęki Holendra związane z wyborem obrońcy świadczą o tym, że musiał mieć jakieś bardzo konkretne informacje. Dzięki zeznaniom Karen Borg możemy przynajmniej przyskrzynić Rogera. - Wymieniła linijkę na flamaster i grubo podkreśliła imię handlarza samochodami. - A teraz zbliżamy się do naszego przyjaciela Jørgena. - Podkreślenie pod nazwiskiem Lavika. - Tu powiązanie jest bardzo cienkie, chociaż ustaliliśmy, że się znali. Lavik już raz się do tego przyznał i z pewnością to powtórzy. Na pewno znów będzie nam wciskał te bzdury o kliencie, ale w każdym razie nie da się zaprzeczyć, że szyfrowanie numerów telefonicznych jest co najmniej dziwne.

Utrudnia ich odczytanie i na pewno musi być tego jakiś powód. Poza tym - dodała z naciskiem, na wszelki wypadek biorąc w kółko cyfrę trzy na tablicy - poza tym znaleźliśmy odcisk palca Lavika na banknocie u Jacoba Frøstrupa. A to, że był on dilerem narkotykowym, udowodniono szesnaście razy. Przed sądem. No i wydaje mi się, że to adwokaci dostają pieniądze od swoich klientów, a nie odwrotnie. Lavik będzie miał spore problemy z wytłumaczeniem się z tego. Moim zdaniem to nasza najsilniejsza karta. - Znieruchomiała, jakby chciała przeczekać ewentualne protesty, ale nikt się nie odezwał, mówiła więc dalej: - Punkt czwarty popycha nas trochę na bezdroża. Jest bardzo interesujący w całym kontekście i jestem przekonana, że te zaszyfrowane informacje mnóstwo by nam powiedziały, gdyby tylko udało nam się odczytać ten przekłęty szyfr. Ale ponieważ nie zamierzamy oskarżać Lavika o zabójstwo, to mam wątpliwości, czy

powinniśmy z tym występować już teraz. Możliwe, że przyda nam się jakiś as w rękawie na później. Jeśli chodzi o obecność Lavika w krytycznych momentach życia van der Kercha i Frøstrupa, to pewnie i te atuty będą musiały jeszcze chwilę poleżeć. Tym razem. Zostają nam więc punkty jeden - trzy jako podstawa ewentualnego aresztowania. - Znów zrobiła pauzę.

- Czy to wystarczy, Håkon?

Popatrzył na nią i wiedział, że ona wie. Właściwie nie wystarczyło.

- Aresztowanie za co? Za zabójstwo? Nie. Za handel narkotykami? Też nie. Przecież żadnych narkotyków nie udało nam się zatrzymać.

- Właśnie, że tak - zaprotestował Kaldbakken. - Ta ilość u Frøstrupa wcale nie była nieznaczna.

- Uruchom wyobraźnię, Håkon - zaapelowała Hanne, uśmiechając się krzywo. - Chyba zdołasz z tego coś wyciągnąć? Przecież te postanowienia o przedstawieniu zarzutów, które podpisujecie, zawsze są dziurawe i nieprecyzyjne, a mimo to sąd bez zastrzeżeń godzi się na aresztowanie.

- Zapominasz o jednym - powiedział Håkon. - Zapominasz, że ten człowiek sam jest adwokatem. Sąd nie będzie na to gwizdał. To się nie skończy na dwudziestominutowej sprawie. Jeśli chcemy wsadzić tego drania, musimy być pewni, że nam się to uda. A i tak podniesie się krzyk. Jeśli zostanie zwolniony, tylko pogorszymy swoją sytuację.

Mimo sceptycznego nastawienia Håkona, Kaldbakken był przekonany. A nikt nie mógł zdyskredytować cierpiącego na wrzód żołądka autorytarnego komisarza, gdy chodziło o policyjną pracę. Punkt po punkcie raz jeszcze omówili sprawę, oddzielając to, na co brakowało im poparcia, wypisując, czego jeszcze potrzebują, i wreszcie mieli w ręku szkic postanowienia o przedstawieniu zarzutów.

- Narkotyki - podsumował komisarz. - Trzeba go wsadzić za narkotyki. Nie musimy tak od razu gwałtownie dociskać. Może wystarczy nam te dwadzieścia cztery gramy znalezione u Frøstrupa?

- Nie. Trzeba potraktować to szerzej. Jeśli poprzestaniemy

na tej ilości, odetniemy sobie możliwość wykorzystania wszystkiego, co nie jest bezpośrednio związane z tą akurat partią. Jeśli mamy mieć jakieś szanse, musimy wyłożyć wszystkie karty na stół. Na tej liście jest tyle brudów, że sąd powinien zobaczyć je wszystkie.

Håkon wydawał się teraz pewniejszy. Serce łomotało mu na myśl o tym, że wreszcie stoją w obliczu czegoś w rodzaju przełomu w śledztwie.

- Przygotujemy zarzuty charakteru ogólnego, nie określając czasu ani ilości narkotyków. Postawimy wszystko na teorię gangu, opierając się na twierdzeniu Hana van der Kercha o istnieniu takiej organizacji. Wóz albo przewóz.

- Możemy powiedzieć, że mamy informację ze źródła, którego nie chcemy podać. - To chłopak z zadartym nosem nie mógł się powstrzymać. - Słyszałem, że w sprawach narkotykowych to przechodzi.

Zapadła kłopotliwa cisza. Zanim komisarz Kaldbakken zdecydował się udusić chłopaka, interweniowała Hanne.

- Takich rzeczy nie robimy nigdy, Henriksen - powiedziała z naciskiem. - Zakładam, że pomieszało ci się w głowie z radości, i zapiszę to na to samo konto co twoje mdłości. Ale nigdy nie będziesz kimś więcej niż początkującym, dopóki nie nauczysz się myśleć, zanim coś powiesz. Wolno iść na skróty, ale nie wolno oszukiwać. Nigdy. A poza tym się mylisz. Sąd nie znosi powoływania się na anonimowe źródła. Teraz już to wiesz.

Chłopak został odpowiednio skarcony i zebranie zakończono. Hanne i Håkon zostali.

- To trzeba wyjaśnić z komendantką. I z prokuratorem z okręgu też. A żeby mieć całkiem spokojne sumienie, powinienem omówić to chyba jeszcze z samym królem.

Widać było, że niezbyt się cieszy na to, co go czeka. Teraz, kiedy helikopter w jego piersi przestał hałasować, poczuł niepewność. Miał wręcz ochotę spytać, czy Hanne nie zaniósłaby do sądu wniosku o tymczasowe aresztowanie.

Usiadła przy nim na niedużej kanapie i ku jego zdumieniu położyła mu rękę na udzie, poufale przysuwając się do jego ramienia. Lekki powiew nieznanych perfum kazał mu głębiej

odetchnąć.

- To się właśnie teraz zaczyna - powiedziała cicho. - Do tej pory zbieraliśmy tylko kawałeczki. Jeden tu, drugi tam, za małe, żeby był sens brać się do układania puzzli. Teraz wreszcie możemy ruszyć. Wciąż brakuje nam mnóstwa takich kawałków, ale obrazek zaczyna się wyłaniać. Nie widzisz go, Håkon? Musisz być twardy. To my jesteśmy bohaterami, nie zapominaj o tym.

- Nie zawsze na to wygląda - stwierdził Håkon ponuro.

Nakrył ręką jej dłoń; nie cofnęła jej.

- I tak musimy próbować - powiedział słabym głosem, puścił jej rękę i wstał. - Zajmę się wszystkim, czego potrzeba do jego zatrzymania. Przypuszczam, że zechcesz to zrobić osobiście.

- Rzeczywiście, możesz się o to założyć.

Wszyscy tu byli. Komendantka policji w świeżo wyprasowanym mundurze, poważna i sztywna, jakby źle spała. Prokurator okręgowy, nieduży, blade i tłustawy facet o inteligentnych oczkach schowanych za grubymi szklami okularów, ubrany w koszulę pilota. Szef wydziału narkotykowego, a właściwie tylko pełniący jego obowiązki, ponieważ ten prawdziwy pełnił obowiązki komendanta okręgowego policji w Hønefoss, który z kolei pełnił obowiązki prokuratora okręgowego, delegowanego na stanowisko sędziego sądu okręgowego. Szef wydziału narkotykowego również był w mundurze, nieco przymałym zresztą; koszula brzydko rozchodziła się na okrągłym brzuchu. Z okrągłą zaróżowioną twarzą i rzadkimi siwymi lokami wyglądał jednak sympatycznie. Bogini Sprawiedliwości stała na biurku w tej samej pozie co zawsze, z wysoko uniesioną wagą i mieczem gotowym do egzekucji.

Do drzwi zapukała urzędniczka. Bez słowa podała kawę w plastikowych kubkach. Hanne Wilhelmsen i Håkon Sand zostali obsłużeni na końcu. Dostali też niepełne kubki. Ale to nie miało znaczenia. Hannę nawet nie spróbowała kawy, zanim wstała. Omówienie sprawy zajęło jej co najmniej pół godziny, a mówiła to co wcześniej tego dnia, tylko w bardziej uporządkowany sposób. Poza tym zdążyła jeszcze coś zdobyć.

Uśmiechnęła się pierwszy raz, odkąd tu weszła, kiedy mogła dodać:

- Pies tropiący narkotyki wskazał pieniądze!

Szef wydziału narkotykowego znacząco pokiwał głową. Ponieważ jednak zarówno pani komendant, jak i prokurator okręgowy zrobili pytające miny, Hannę wyjaśniła:

- Te pieniądze miały kontakt z narkotykami, a ściślej mówiąc, ktoś wziął je do ręki zaraz po tym, jak trzymał w niej narkotyki. To ten kawałeczek, którego naprawdę potrzebowaliśmy. Niestety, nie dotyczy to banknotu z odciskiem palca Lavika, ale mimo wszystko...

- A propos odcisków palców - przerwał jej prokurator okręgowy. - Formalnie nie macie odcisków palców Lavika, dlatego przy ocenianiu podstawy do aresztowania musimy odsunąć na bok cały ten fragment. Zastanawialiście się nad tym?

Popatrzył na Håkona Sanda, który wstał i poczłapał do stojącej przy tablicy Hannę.

- Oczywiście. Zwiniemy go na podstawie tych innych punktów i natychmiast pobierzemy odciski. Już się umówiliśmy z Kripos, że na poniedziałek rano będziemy mieć oficjalne wyniki badań. To wystarczy. Planujemy zatrzymanie Lavika i Rogera od samochodów na jutro po południu. Nikt nie może od nas wymagać, żebyśmy w tak poważnej sprawie przedstawili wniosek o tymczasowe aresztowanie już w sobotę. Będziemy mieć czas do pierwszej w poniedziałek. Pod tym względem piątek po południu to najlepszy czas na zatrzymanie.

Zapadła cisza. Komendant policji, sprawiająca wrażenie zdenerwowanej i jakby nie na swoim miejscu, siedziała prosto w swoim ogromnym fotelu szefowej, nie dotykając plecami oparcia. Ta sprawa mogła się stać wielkim obciążeniem dla komendy, a wcale tego nie potrzebowali. Życie komendantki policji okazało się o wiele bardziej męczące, niż sobie to wyobrażała. Dzień w dzień krytyka i pomyje. Ta sprawa naprawdę mogła im zaszkodzić. Na chudej szyi nieładnie pulsowało grube naczynie krwionośne.

Z twarzy szefa wydziału narkotykowego nie schodził nieade-

kwatny do sytuacji uśmiech; ze zmrużonymi oczkami wyglądał teraz na mniej inteligentnego. Prokurator okręgowy wstał i podszedł do okna. Mówił, stojąc odwrócony plecami do pozostałych.

- Powinniśmy mieć postanowienie sądu dopuszczające zatrzymanie. Podnieście się ogromny krzyk, jeśli najpierw nie pójdziemy do sądu.

- Przecież nigdy nie chodzimy - zaprotestował Håkon.

- Wiem. - Prokurator okręgowy gwałtownie się odwrócił. - Ale powinniśmy! Ale... w końcu to na ciebie spadnie całe gówno. Jak zamierzasz się bronić?

Zdenerwowanie Håkona, o dziwo, jakby ustępowało. Prokurator okręgowy tak naprawdę trzymał jego stronę.

- No cóż. Nie otrzymamy zezwolenia na zatrzymanie, jeśli nie dodamy odcisków palców. Nie będziemy mieć odcisków, dopóki go nie zatrzymamy. Trzeba mieć nadzieję, że jego obrońca ma już zaplanowany weekend. Jestem gotów narazić się na krytykę. A ponieważ to do nas należy ocena konieczności zwracania się do sądu po zgodę na zatrzymanie, nikt za bardzo nie może nam nic zrobić. Najwyżej na nas nawrzeszczą. Ja to wytrzymam.

Nieduży człowieczek w koszuli pilota uśmiechnął się i przeniósł wzrok na Hanne Wilhelmsen.

- A jak ty się miewasz? Doszłaś już całkiem do siebie po tej napaści?

Hannę poczuła, że wręcz jej pochlebił, a to z kolei ją rozzłościło.

- Wszystko w porządku, dziękuję. Ale wciąż nie wiemy, kto stoi za tą napaścią. Sądźmy, że miała jakiś związek ze sprawą. Może po drodze pojawią się nowe ślady.

Zaczęło się ściemniać. Gęste listopadowe powietrze zdawało się cisnąć do okien na siódmym piętrze. Z głębi budynku dobiegała muzyka instrumentów dętych. To ćwiczyła policyjna orkiestra. Wszyscy z powrotem usiedli na swoich miejscach i Hannę zaczęła już składać gruby plik dokumentów.

-Jeszcze jedno pytanie, Sand. Jak zamierzasz sformułować zarzuty wobec Lavika? Nieznana ilość, nieznane miejsce, nieznany czas. Coś takiego?

- Zrzucimy mu styczność z tą ilością, która została zatrzymana u Frøstrupa. Dwadzieścia gramów heroiny, cztery gramy kokainy. Niezbyt dużo, ale wystarczy na ustęp drugi paragrafu. O wiele więcej niż trzeba na aresztowanie.

- Dodaj punkt dwa do zarzutów - polecił prokurator okręgowy. - Wwiezienie nieznaney ilości narkotyków w ostatnich latach albo coś podobnego.

- Dobrze. - Håkon kiwnął głową.

- A poza wszystkim - prokurator zwrócił się do szefa wydziału narkotykowego - dlaczego to jedenastka prowadzi tę sprawę? Nie powinna się nią zajmować sekcja A.4? To przecież sprawa narkotykowa, chociaż w tle ma zabójstwa.

- Współpracujemy - zapewniła błyskawicznie Hannę, nie czekając na odpowiedź szefa wydziału narkotykowego. - Współpraca bardzo dobrze się układa. Wszystko zaczęło się od zabójstw, o czym na pewno dobrze wiesz.

Zebranie dobiegło końca. Pani komendant prawie się nie odzywała. Odprowadziła prokuratora okręgowego do drzwi i pożegnała go uściskiem ręki, pozostałych zaszczyliła jedynie skinieniem głowy. Håkon wychodził ostatni, w drzwiach odwrócił się jeszcze, żeby po raz ostatni zerknąć na piękną rzeźbę. Pani komendant, widząc to, uśmiechnęła się.

- Powodzenia, Håkon! Naprawdę życzę ci powodzenia.

Powiedziała to takim tonem, jakby rzeczywiście tak myślała.

Piątek, 20 listopada

Nawet gdyby zobaczył małych zielonych Marsjan z czerwonymi oczkami, jego zdumienie nie byłoby większe. Hanne Wilhelmsen przez moment też ogarnęły wątpliwości. Adwokat Jørgen Ulf Lavik raz po raz czytał niebieską kartkę z nakazem zatrzymania, na zmianę podnosząc na nią szeroko otwarte oczy i wydając jakieś ciche piski. Twarz mu się nadeła i spurpurowiała, jakby groził mu zawał. Pod zamkniętymi drzwiami gabinetu stali dwaj policjanci w cywilu, jakby się spodziewali, że adwokat podejmie próbę przedarcia się na wolność. Nawet lampa na suficie trzęsła się, mrugając z podniecenia i wściekłości, kiedy wielka ciężarówka przemknęła przez skrzyżowanie, żeby zdążyć, zanim żółte światło zmieni się na czerwone.

- Co to ma znaczyć? - syknął wreszcie Lavik, przeczytawszy niebieską kartkę co najmniej sześć razy. - Co, u diabła ciężkiego, ma to wszystko znaczyć?

Uderzył pięścią o blat, ale sprawiło mu to wyraźny ból, bo energicznie potrzasał dłonią.

- To jest nakaz zatrzymania. Zostanie pan zatrzymany. Aresztowany, jeśli pan woli. - Hannę wskazała na leżącą na biurku kartkę. - Tu jest napisane dlaczego. Będzie pan miał dużo czasu na przygotowanie sobie obrony. Tyle czasu, ile pan zechce. Ale na razie musi pan iść z nami.

Wściekły adwokat wreszcie się opanował. Mięśnie szczęki poruszały mu się w górę i w dół i nawet policjanci przy drzwiach słyszeli zgrzyt ocierających się o siebie zębów. Lavik nerwowo zamykał i otwierał dłonie, po minucie nieco się uspokoił.

- Muszę zadzwonić do żony. I poszukać sobie obrońcy. Proszę na razie wyjść do recepcji.

Hannę się uśmiechnęła.

- Od tej pory jeszcze przez długi czas nie będzie pan mógł z nikim rozmawiać bez obecności policji. Oczywiście nie dotyczy

to pańskiego obrońcy, ale z tym można zaczekać, aż dojedziemy do komendy. Proszę się ubrać i nie awanturować. Nikomu z nas nic z tego nie przyjdzie.

- Ależ moja żona... - Teraz jego głos zabrzmiał wręcz żałościwie.

- Spodziewa się mnie w domu za godzinę!

Przekazanie takiej informacji nie mogło w niczym zaszkodzić, a mogło oszczędzić im krytyki przynajmniej w tym punkcie. Hannę podniosła słuchawkę i podała ją adwokatowi.

- Może pan podać jakąkolwiek przyczynę, dla której pan nie wróci do domu. Może pan powiedzieć, że został aresztowany, ale ani słowem nie wspomnieć dlaczego. Natychmiast przerwę rozmowę, jeśli usłyszę coś, co mi się nie podoba.

Ostrzegawczo przysunęła palec do widełek i pozwoliła mu wybrać numer. Rozmowa potoczyła się szybko, a Lavik mówił prawdę. Hannę słyszała płaczący głos na drugim końcu linii: „dlaczego, dlaczego?”. Adwokat, o dziwo, zdołał nad sobą panować i zakończył rozmowę z żoną obietnicą, że do wieczora skontaktuje się z nią jego obrońca. W końcu rzucił słuchawkę i wstał.

- Miejmy to przedstawienie już za sobą - oświadczył gniewnie. Narzucił płaszcz na lewą stronę, zaklął, gdy się zorientował, przełożył go i dopiero wtedy spojrzał na policjantów w drzwiach.

- Chcecie mnie też skuć?

Ale nie musiał wychodzić w kajdankach. Piętnaście minut później już stał w areszcie w budynku policji. Bywał w nim wcześniej, lecz wtedy to miejsce wyglądało całkiem, ale to całkiem inaczej.

Wybór adwokata, jakiego dokonał Jørgen Lavik, zdziwił wszystkich. Spodziewali się któregoś z dwóch czy trzech supergwiazd i szykowali się na piekło. Tymczasem około szóstej wieczorem pojawił się opanowany i cichy Christian Bloch-Hansen. Przywitał się zarówno z Hanną, jak i z komisarzem Kaldbakkenem i jeszcze przed spotkaniem ze swoim klientem uprzejmie poprosił o rozmowę z Håkonem

Sandem. Oczywiście wyrażono zgodę. Przyjął cienką teczkę z aktami sprawy, tylko lekko unosząc brwi, po czym bez protestów wysłuchał wyjaśnień Håkona o tym, że to, niestety, jedyne dokumenty, jakie może mu pokazać bez szkody dla śledztwa. Bloch-Hansen nie dał się sprowokować. Pracował w branży od trzydziestu lat, był znany i szanowany w środowisku, chociaż przeciętny czytelnik gazet nie znał jego nazwiska. Nigdy nie szalał na punkcie rozgłosu. Przeciwnie, mogło się wydawać, że stara się unikać szumu wokół własnej osoby, co z kolei umacniało jego sławę w sądach i w ministerstwie, a także zapewniało szereg zleceń i zadań specjalnych, które realizował starannie i solidnie.

Natychmiastowa ulga, jaką Håkon Sand odczuł na widok swojego oponenta, musiała po pewnym czasie ustąpić świadomości, że ma do czynienia z najgorszym możliwym przeciwnikiem. Christian Bloch-Hansen, adwokat uprawniony do występowania przed Sądem Najwyższym, nie miał zamiaru się awanturować. Nie chciał rozdmuchiwać wojennych nagłówek w tabloidach. Nie zamierzał też czepiać się drobnostek. Zamierzał rozebrać wszystko na kawałki. Nic nie mogło ująć jego uwadze. Poza tym był mistrzem w znajomości przepisów postępowania karnego.

Po trzydziestu minutach uzyskał dość informacji. Potem dwie godziny spędził na rozmowie z klientem w cztery oczy, a kiedy ją zakończył, poprosił o odłożenie przesłuchania Lavika do następnego dnia.

- Mój klient jest zmęczony. Wy pewnie też. Sam mam za sobą długi dzień. O której jutro wam odpowiada?

Przytłoczona taką uprzejmością Hanne pozwoliła, by adwokat sam wybrał porę.

- Czy dziesiąta nie będzie za późno? - spytał z uśmiechem. - W weekendy lubię dłuższe śniadanie.

Dla Hanne Wilhelmsen nie było to ani za wcześnie, ani za późno. Przesłuchanie miało się zacząć o dziesiątej.

Sobota, 21 listopada

Hałas był okropny. W pierwszej chwili nie mógł zrozumieć, o co chodzi. Zdezorientowany obrócił się i mrużąc oczy, popatrzył na budzik, staroświecki, mechaniczny, z tarczą ze zwykłymi cyframi i kluczykiem. Trzeba go było co wieczór nakręcać aż do oporu, żeby nie stanął o czwartej. Teraz jednak była za dziesięć siódma, uderzył więc w wielki dzwonek na czubku, usiłując go wyciszyć. Nie pomogło. Otrząsnął się, usiadł w łóżku i wreszcie uświadomił sobie, że to dzwoni telefon. Po omacku sięgnął do słuchawki, ale strącił cały aparat na podłogę. W końcu udało mu się odebrać.

- Håkon Sand. Kto mówi?

- Cześć, Sand. Mówi Myhreng. Przepraszam, że...

- PRZEPRASZASZ? Co ci przyszło do głowy, żeby dzwonić o siódmej, a właściwie przed siódmą w sobotę rano? Kim, twoim zdaniem, jesteś?

Bang. Håkon nie zadowolił się odłożeniem słuchawki. Wściekły wstał z łóżka i wyrwał wtyczkę telefonu z gniazdka. Runął z powrotem w pościel i po dwóch minutach spał równie mocno jak poprzednio. Przez półtorej godziny. Wtedy rozległ się gniewny dzwonek do drzwi.

Wpół do dziewiątej było odpowiednią porą na wstanie, mimo to Håkon się nie spieszył, mając nadzieję, że osoba, która stoi na dole, straci cierpliwość. Kiedy mył zęby, dzwonek znów zabrzmiał, jeszcze głośniejszy. Håkon, nie bacząc na to, umył twarz i w poczuciu wolności demonstracyjnie włożył jeszcze szlafrok i nastawił wodę, zanim podszedł do domofonu.

- Słucham?

- Cześć, to ja, Myhreng. Mogę pogadać?

Chłopak się nie poddawał. Ale Håkon Sand też nie.

- Nie - powiedział i odwiesił słuchawkę.

Nic z tego. Już sekundę później nieprzyjemne bzyczenie zwa-riowanej osy znów wypełniło mieszkanie. Håkon zastanowił się przez kilka sekund, zanim po raz drugi podniósł słuchawkę.

- Kup świeże bułki na rogu. I sok, taki z kawałeczkami owoców. I gazety. Wszystkie trzy.

Miał na myśli „Aftenposten”, „Dagbladet” i „yG”. Myhreng przyniósł „Arbeiderbladet” i dwie ostatnie. Poza tym zapomniał o kawałeczkach owoców.

- Cholernie fajne mieszkanie - stwierdził, zapuszczając zurawia do sypialni.

Równie ciekawski jak policjant, pomyślał Håkon, zamykając drzwi. Zaprosił Myhrenga do pokoju, potem poszedł do łazienki i wyjął zapasową szczoteczkę do zębów oraz bardzo kobiecą butelkę perfum zapomnianą przez jakąś przelotną znajomą sprzed roku. Lepiej nie uchodzić za zbyt nieszczęśliwego.

Ale Fredrick Myhreng nie przyszedł na przyjacielskie pogawędki. Kawa nie zdążyła się jeszcze zaparzyć, kiedy przystąpił do ataku.

- Zwinęliście go, czy co? Nigdzie go nie mogę znaleźć. Sekretarka twierdzi, że jest za granicą, a w domu odbiera tylko chłopiec, który mówi, że tatuś nie może podejść do telefonu. Mama też nie. Już się zastanawiałem, czy nie zadzwonić do jakiegoś ośrodka ochrony praw dziecka, skoro sześć razy z rzędu telefon odbiera pięciolatek.

Håkon pokręcił głową, przyniósł kawę i usiadł.

- Dlaczego molestujesz dziecko? Skoro przyszło ci do głowy, że aresztowaliśmy Lavika, to powinieneś chyba zrozumieć, że ani dla dzieciaka, ani dla reszty rodziny taki telefoniczny terror nie jest przyjemny.

- Dziennikarze nie mogą zważać na takie drobiazgi - oświadczył Myhreng i rzucił się na nieotwartą puszkę makreli w sosie pomidorowym.

- Owszem, w porządku, możesz ją otworzyć - oświadczył Håkon z kwaśną miną, kiedy połowa zawartości konserwy już się znalazła na bułce Myhrenga.

- Makrelburger! Pycha! - Parskając maleńkimi pomidorowymi kropelkami na biały obrus, Myhreng nie przestawał mówić. - No to przyznaj, że zwinęliście Lavika. Widzę to po tobie. Przez cały czas wiedziałem, że z tym facetem

jest coś nie tak. Wszystkiego się domyśliłem, rozumiesz?

Spojrzenie znad za małych okularów było wyzywające, ale brakowało mu pewności. Håkon pozwolił sobie na uśmiech, niespiesznie smarując kanapkę margaryną.

- Daj mi chociaż jeden dobry powód na to, żebym ci cokolwiek powiedział.

- Mogę ci podać kilka. Po pierwsze, dobra informacja to najlepsza ochrona przed złą informacją. Po drugie, jutro w prasie i tak będzie pełno o tej sprawie. Nie ma takiej siły, żeby inne gazety dłużej niż dobie przeoczyły aresztowanie adwokata. A po trzecie... - urwał, palcami starł pomidorowe wąsy i pochylił się ponad stołem. - A po trzecie, już wcześniej dobrze nam się ze sobą współpracowało. I dalsza współpraca posłuży nam obu.

Håkon Sand pozornie pozwolił się przekonać. Fredrick Myh-reng przypisywał sobie większe zasługi, niż miał ku temu powody. I podczas gdy dziennikarz, uzyskawszy obietnicę niezwykle ciekawych informacji, siedział posłusznie jak uczeń i czekał, Håkon Sand wziął długi przyjemny prysznic. Ale teczka z aktami, nad którymi siedział do późna w nocy, musiała razem z nim iść do łazienki.

Prysznic zajął blisko kwadrans, a Håkon w tym czasie naszkicował dla gazety historię, która miała oznaczać solidny ostrzegawczy strzał dla tego lub tych, którzy skryli się gdzieś w listopadowym mroku i szczękali zębami. Bo że ktoś się tam kryje, Håkon był przekonany. Rzecz w tym, by go stamtąd wywabić. A może raczej wystraszyć...

Poniedziałek, 23 listopada

Zrobił się cyrk nie z tego świata. W wielkim holu sądu ustawiono trzy kamery telewizyjne, poza tym tłoczyła się tam gromada fotografów prasowych, co najmniej dwudziestu dziennikarzy i wielka liczba gapiów. Niedzielne gazety prześcigały jedna drugą. Po dokładniejszej analizie okazywało się, że nie przekazywały właściwie nic oprócz tego, że aresztowano trzydziestopięcioletniego adwokata z Oslo, podejrzanego o stworzenie gangu narkotykowego. Więcej dziennikarze nie wiedzieli, ale poświęcili sprawie dostatecznie dużo miejsca. Ugotowali niezwykle treściwą zupę na cieniutkim gwoździu, w czym pomogli im koledzy po fachu Lavika, którzy w ostrych wypowiedziach dobitnie dystansowali się od niesłychanego czynu, jakim było zatrzymanie przez policję drogiego wszystkim i szanowanego kolegi po fachu. Fakt, że zaci koledzy nie mieli kompletnie żadnego pojęcia o sprawie, nie powstrzymywał ich od wyrażenia na wszelkie sposoby oburzenia. Jediną osobą, z której dziennikarze nie zdołali absolutnie nic wyciągnąć, był człowiek, który faktycznie coś wiedział

- Christian Bloch-Hansen, adwokat uprawniony do występowania przed Sądem Najwyższym.

Przez tłum blokujący wejście na salę rozpraw numer siedemnaście trudno się było przedrzeć. Wprawdzie tylko dwóch albo trzech obecnych na miejscu reporterów zdołało go rozpoznać, tłum zareagował jednak jak stado gołębi, gdy jeden z facetów z telewizji podsunął adwokatowi mikrofon. Dziennikarz telewizyjny połączony był kablem mikrofonu z kamerzystą. Gdy redaktor nagle szarpnął za przewód, kamerzysta przez kilka długich sekund starał się zachować równowagę, przez chwilę, ale tylko przez chwilę podtrzymywał go otaczający tłum, w końcu runął na ziemię, porywając za sobą sześć osób. W totalnym chaosie Bloch-Hansen po cichu wsunął się do sali numer siedemnaście.

Håkon Sand i Hanne Wilhelmsen nawet nie próbowali wejść. Siedzieli w radiowozie z przyciemnionymi szybami, dopóki Lavika, jak zwykle w marynarce zarzuconej na głowę, nie wprowadzono przez bramę obok głównego wejścia. Nieszczęsnym Rogerem z Sagene prawie nikt się nie zainteresował i w tej sytuacji beżowa kurtka, którą naciągnął na uszy, wyglądała po prostu komicznie. Kiedy już wszyscy ciekawscy weszli do budynku sądu, Hanne i Håkon mogli przemknąć do środka tylnymi drzwiami przeznaczonymi dla policji. Do sali rozpraw dostali się przez piwnicę.

Słabowity strażnik sądowy z całych sił usiłował zaprowadzić porządek, ale skończyło się wyłącznie na usiłowaniach. Starszy mężczyzna w mundurze nie miał szans w starciu z tłumem. Håkon zauważył jego zrozpaczoną minę i wykorzystał interkom na stole sędziego do wezwania posiłków. Wkrótce czterej funkcjonariusze policji zdołali wyrzucić wszystkich, którzy nie zmieścili się na pojedynczej ławce dla publiczności.

Sędzia się spóźniał. Posiedzenie miało się rozpocząć punktualnie o pierwszej, przyszedł cztery minuty po, nie patrząc na nikogo. Położył akta przed sobą. Teczka była nieco grubsza niż ta, którą trzy dni wcześniej zatkało gębę Blochow-Hansenowi. Håkon wstał i podał adwokatowi dodatkowy plik dokumentów. Spędził siedem godzin na sortowaniu tego, co chciał zaprezentować przed sądem. Sędzia nie mógł dostać więcej dokumentów niż obrońca.

Sędzia zaczął się rozglądać za podejrzanym, cicho pytając o niego Håkona Sanda. Ten skinieniem głowy wskazał na adwokata. Bloch-Hansen wstał.

- Mój klient nie ma nic do ukrycia - powiedział głośno, żeby usłyszeli go wszyscy dziennikarze. - Ale ciężko przeżył to zatrzymanie. To trudne chwile zarówno dla niego, jak i dla jego rodziny. Wnoszę o to, aby posiedzenie odbyło się przy drzwiach zamkniętych.

Od strony publiczności rozległo się westchnienie rozczarowania. Jego powodem nie była próżna nadzieja na otwarte posiedzenie, raczej spodziewano się, że to policja zażąda zamknięcia drzwi, tak jak zazwyczaj bywało. Ten cichy

dyskretny obrońca nie wyglądał obiecująco. Jedyłą osobą, która przyjęła to z uśmiechem, był Fredrick Myhreng. Uważał, że dalsze cedzenie informacji dobrze mu służy. Wczorajsze wydanie „Dagbladet” objętością biło na głowę konkurencję. Godzina przed posiedzeniem sądu była dla Myhrenga prawdziwą przyjemnością. Nie posiadał się z radości, gdy o wiele starsi koledzy cisnęli się do niego z rozbieganymi oczami, jakby od niechcenia zadając pytania, byle tylko nie przyznać się do niewiedzy. Bardzo poprawiło to młodemu człowiekowi samopoczucie.

Sędzia klepnął dłonią w stół i nakazał opróżnić salę na czas rozpatrywania wniosku o zamknięcie drzwi. Strażnik podreptał za ostatnim niechętnym dziennikarzem i wywiesił czarną tabliczkę z białym napisem: *Posiedzenie zamknięte*.

Oczywiście żadnego rozpatrywania wniosku nie było. Z lekkim grymasem na twarzy, mogącym przypominać uśmiech, niewysoki mężczyzna podniósł się z ławy sędziowskiej, przeszedł kilka kroków do przyległego gabinetu i zaraz wrócił z gotowym postanowieniem.

- Właśnie tego się spodziewałem - powiedział i podpisał się na kartce.

Następnie przez parę minut przeglądał teczkę z aktami, po czym znów sięgnął po postanowienie i wyszedł oznajmić tłumowi to, co już i tak było wiadome. Kiedy wrócił, zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu krzesła. Z największą starannością zatemperował trzy ołówki i nachylił się do interkomu.

- Proszę sprowadzić Lavika - nakazał, poluzował krawat i uśmiechnął się do surowej kobiety siedzącej przy komputerze.

- Zapowiada się długi dzień, Else.

Håkon poczuł ucisk w piersi na widok Lavika kryjącego się za plecami obrońcy. Gdyby nie było to fizyczną niemożliwością, dałby sobie głowę uciąć, że Jørgen Lavik przez weekend schudł dziesięć kilo. Sprawiał wrażenie, jakby się zapadł w sobie. Garnitur na nim wisiał, cerę miał przerażająco szarą, a oczy zapuchnięte i czerwone. Wyglądał, jakby szedł na własny pogrzeb, a z tego, co Håkon wiedział, mogło to być bliższe

prawdy, niż ktokolwiek mógłby podejrzewać.

- Czy on nie dostał nic do jedzenia? - szepnął do Hanne, która odpowiedziała zrezygnowanym skinieniem głowy.

- Ale wypił tylko trochę coli. Od piątku nie zjadł ani kęsa. To nie nasza wina, i tak jest specjalnie traktowany.

Również sędzia wydawał się zaniepokojony stanem podejrzanego. Kilkakrotnie mierzył Lavika wzrokiem, nim w końcu nakazał policjantom usunięcie barierki dla świadków i zamiast niej postawienie krzesła. Kobieta przy komputerze wstała i zaproponowała Lavikowi kubek wody i papierową serwetkę.

Kiedy sędzia się upewnił, że Lavik nie jest aż tak bliski śmierci, jak się wydawało, mogli w końcu zaczynać. Udzielił głosu Håkonowi Sandowi, którego Hanne dla dodania otuchy szturchnęła w nogę. Szturchnięcie okazało się mocniejsze, niż zamierzała, a ból sprawił, że Håkon poczuł, że powinien iść do toalety.

Cztery godziny później zarówno oskarżyciel, jak i obrońca poszli za przykładem sędziego i zrzucili marynarki. Hanne Wilhelmsen zdjęła sweter, natomiast Lavik sprawiał wrażenie zziębniętego. Jedyne protokolantka wyglądała na absolutnie nieporuszoną. Godzinę wcześniej zrobili krótką przerwę, ale nikt z obecnych na sali sądowej nie odważył się pokazać wilkom na korytarzu. Za każdym razem, gdy zapadała cisza, słychać było, że na zewnątrz wciąż kłębi się tłum.

Lavik zgodził się wreszcie złożyć wyjaśnienia, ale trwało to niewiarygodnie długo. Każde słowo ważył niczym na aptekarskiej wadze. W opowiedzianej przez jego adwokata historii nie pojawił żaden nowy element: Lavik wszystkiemu zaprzeczył i trzymał się swoich wyjaśnień złożonych na policji. Odciski palców też potrafił wytłumaczyć. Jego klient całkiem po prostu poprosił o niewielką pożyczkę, co, jak twierdził Lavik, nie było wcale przypadkiem odosobnionym. Na kwaśne pytanie Håkona, czy zajmuje się rozdawaniem pieniędzy wszystkim swoim niezamożnym klientom, odparł twierdząco, dodając, że ma na to świadków. Oczywiście nie potrafił wyjaśnić, w jaki sposób legalnie zarobiony banknot

tysiąckoronowy znalazł się w plastikowej torbie razem z pieniędzmi za narkotyki pod deską w podłodze na Mosseveien, ale nie można go przecież obwiniać o dziwaczne zachowanie jego klienta. Swoje powiązanie z Rogerem wyjaśniał już wcześniej. Pomagał mu w kilku drobnych sprawach, przy wypełnianiu zeznania podatkowego i trzech czy czterech wykroczeniach drogowych. Problem Håkona Sanda polegał na tym, że Roger mówił dokładnie to samo.

Ale przynajmniej wyjaśnienia dotyczące tysiąckoronowego banknotu budziły wątpliwości. Wprawdzie z twarzy krępego sędziego nie dało się nic wyczytać, to jednak Håkon akurat o ten zarzut się nie martwił. Czy to wystarczy, miało się okazać za kilka godzin. Teraz mógł już tylko czekać. Znał procedurę.

Pieniądze i odciski palców były najważniejsze. Później omówił tajemniczy związek Rogera z Lavikiem i zaszyfrowane numery telefonów. Pod koniec poświęcił dwadzieścia pięć minut na omówienie tego, co van der Kerch przekazał Karen Borg, i zakończył ponurą tyradą o zacieraniu dowodów i niebezpieczeństwie uniknięcia odpowiedzialności karnej.

Koniec i kropka. Ani słowa o powiązaniach Lavika z Hansem A. Olsenem za pośrednictwem nieżyjącego, pozbawionego twarzy Ludviga Sandersena. Nic o kartkach z zaszyfrowanymi informacjami. Absolutnie nic o związku Lavika z psychozą van der Kercha i śmiertelnym przedawkowaniem Frøstrupa.

A wczoraj jeszcze był taki pewny siebie. Roztrząsali wszystko i dyskutowali, kłócili się i argumentowali. Kaldbakken skłaniał się ku temu, by poruszyć wszystko, co mieli, powołując się na przeświadczenie Håkona sprzed zaledwie kilku dni. W końcu jednak komisarz ustąpił. Teraz Håkon nie był już tak przekonujący. Szukał celnej i mocnej repliki końcowej, którą ćwiczył w nocy, ale gdzieś mu uciekła. W zamian kilka razy przełknął ślinę, nim wreszcie wykrztusił, że policja podtrzymuje wniosek. Zapomniał usiąść. Zapadła nieprzyjemna, trwająca kilka sekund cisza, nim sędzia w końcu chrząknął i powiedział, że prokurator nie musi już stać. Hannę uśmiechnęła się lekko, żeby dodać mu otuchy, i znów szturchnęła go w bok, tym razem ostrożniej.

- Wysoki sędzie - zaczął obrońca, jeszcze zanim całkiem wstał.

- Bez wątpienia stoimy w obliczu niezwykle delikatnej sprawy. Mamy do czynienia z adwokatem, który dopuścił się niewybaczalnego czynu.

Hanne i Håkon drgnęli. Co to, na miłość boską, miało znaczyć? Czyżby Bloch-Hansen zamierzał zdradzić swojego klienta? Spojrzeli na Lavika, żeby sprawdzić jego reakcję, ale zmęczona, poszarzała twarz nawet nie drgnęła.

- Dobrą zasadą jest nie używać zbyt mocnych słów, na które nie ma się pokrycia - ciągnął adwokat, wkładając marynarkę, jak gdyby chciał zaznaczyć oficjalność swojego wystąpienia. Håkon Sand pożałował, że nie zrobił podobnie.

- Wysoce naganne jest jednak... - Bloch-Hansen zrobił dramatyczną pauzę dla podkreślenia wagi słów - wysoce naganne jest to, że adwokat Karen Borg, która, jak wiem, cieszy się bardzo dobrą opinią, nie uświadomiła sobie, że łamie paragraf sto czterdzieści cztery kodeksu karnego.

Kolejna przerwa. Sędzia już szukał przepisu, ale Håkon siedział jak sparaliżowany, czekając na dalszy ciąg.

- Prawo nałożyło na Karen Borg obowiązek dochowania tajemnicy - ciągnął obrońca. - Ona ten nakaz złamała. Z dokumentów wynika, że na popełnienie tego bezprawnego czynu uzyskała coś w rodzaju zezwolenia od swego zmarłego klienta. To zezwolenie jednak nie może być pod żadnym względem uznane za dostateczne. Przede wszystkim pragnę podkreślić, że jej klient znajdował się w stanie psychozy, nie mógł więc ocenić, co będzie dla niego korzystne. Zwracam uwagę sądu na ów tak zwany list pożegnalny. Dokument numer 17,1. - Urwał na chwilę, przerzucając kartki w poszukiwaniu nieszczęsnego listu. - Ze sposobu, w jaki został on sformułowany, wcale nie wynika, iż zawiera takie zwolnienie z obowiązku dochowania tajemnicy. Ja go odczytuję jako pożegnanie, coś w rodzaju miłosnego wyznania skierowanego do adwokat, która najprawdopodobniej okazała mu wielką dobroć i ludzką życzliwość.

- Ależ on przecież nie żyje!

Håkon nie zdołał powstrzymać się od okrzyku. Poderwał się przy tym i gwałtownie zamachał rękami. Usiadł jednak, zanim sędzia zdążył go upomnieć. obrońca się uśmiechnął.

- Orzeczenie zawarte w Norweskim Dzienniku Sądowym z 1973 roku na stronie czterysta trzydzieści - powołał się, podchodząc do sędziego i kładąc mu na stole kopię tamtego wyroku. - Dla pana mam również. - Podał kartkę Håkonowi, który jednak musiał sam się po nią pofatygować.

- Większość składu sędziowskiego uznała, że obowiązek dochowania tajemnicy pod żadnym względem nie ustaje po śmierci klienta. - Bloch-Hansen streścił orzeczenie. - Mniejszość w zasadzie również przeciwko temu nie protestowała, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Wróćmy więc do tego listu. - W wyciągniętej ręce podniósł kartkę na wysokość oczu i zacytował: - „Byłaś dla mnie taka dobra. Możesz zapomnieć o wszystkim, co mówiłem na temat trzymania języka za zębami. Napisz list do mojej matki. Dziękuję za wszystko”.

List trafił z powrotem do teczki. Hannę nie wiedziała, co o tym myśleć, a Håkon miał gęsią skórkę. Czuł, że krocze skurczyło mu się jak w lodowatej wodzie w niedużą i mało męską grudkę.

- To - ciągnął obrońca - to nie jest żadne zwolnienie z obowiązku dochowania tajemnicy. Adwokat Borg nie powinna składać zeznań w tej sprawie. Złamała prawo i ważne jest, aby sąd nie postąpił podobnie. Pragnę się w tym momencie odwołać do paragrafu sto dziewiętnaście kodeksu postępowania karnego i twierdzę, że przyjęcie zeznań adwokat Borg przez sąd będzie sprzeczne z tym przepisem.

Håkon Sand przeglądał leżący przed nim wydruk. Ręce trzęsły mu się tak, że z trudem nad nimi panował. Wreszcie znalazł paragraf. Niech to jasna cholera! Sąd nie może przyjąć zeznań adwokatów dotyczących informacji uzyskanych w trakcie wykonywania czynności służbowych.

Teraz bał się już na poważnie. Przestał go obchodzić handlarz narkotykami, a możliwe, że i zabójca, Jørgen Ulf Lavik. Myślał wyłącznie o Karen Borg. Niewykluczone, że

właśnie znalazła się w poważnych tarapatach. A wszystko to jego wina. To on uparł się, żeby zeznawała. Karen wprawdzie nie protestowała, ale nie powiedziała nic, gdyby nie naciskał. To wszystko jego wina!

Po drugiej stronie sali obrońca pakował już swoje dokumenty. Przesunął się do samego końca ławy, tego bliższego sędziemu, i nachylił się, jedną ręką opierając się o blat.

- W takim razie, wysoki sędzie, prokuratura nie ma nic. Numerom telefonów w notesie Rogera Strømsjorda nie należy przypisywać szczególnego znaczenia. To, że ten człowiek ma skłonność do bawienia się liczbami, niczego nie dowodzi. Nie stanowi nawet żadnej poszlaki, może wskazywać jedynie, że mamy do czynienia z dziwakiem. A odciski palców na banknocie? Wiemy o nich niewiele. Ale, wysoki sędzie, nie ma nic, co wskazywałoby, że mecenas Lavik mówi nieprawdę! Mógł pożyczyć tysiąc koron klientowi, powodowany współczuciem. Oczywiście nie było to zbyt rozsądne posunięcie, Frøstrup nie należał do wiarygodnych dłużników, lecz ta pożyczka to zdecydowanie miły gest. Trudno temu faktowi przypisywać istotne znaczenie.

- Lekki ruch ręką świadczył o tym, że adwokat zaraz zakończy przemowę. - Nie będę się rozwodził nad ogromną niewspółmiernością środka zapobiegawczego, jakim jest aresztowanie, w stosunku do czynu mojego klienta. To nie jest konieczne. Nie ma nic, co budziłoby uzasadnione podejrzenia. Mojego klienta należy po prostu zwolnić. Dziękuję.

Wystąpienie zajęło mu dokładnie osiem minut. Håkon potrzebował siedemdziesięciu. Podczas jego wystąpienia pilnujący Lavika funkcjonariusze policji ziewali, a gdy przemawiał Bloch-Hansen, siedzieli prości jak świece.

Sędzia nie był szczególnie przejęty. Nie robił nic, by ukryć zmęczenie. Kiwał głową z boku na bok i pocierał twarz. Nie zaproponował Håkonowi Sandowi przysługującej mu repliki. To i tak nie miało znaczenia. Pustka dotarła aż do żołądka, bolesna i ciemna, Håkon miał wrażenie, że nie będzie w stanie nic powiedzieć. Sędzia popatrzył na zegarek. Już wpół do

siódmej. Za pół godziny wieczorne wiadomości.

- Uporajmy się od razu ze sprawą Rogera Strømsjorda. To chyba tak długo nie potrwa. Fakty są już sądowi znane - powiedział z nadzieją.

Sprawa trwała niespełna godzinę. Hannę nie mogła pozbyć się wrażenia, że nieszczęśny Roger traktowany jest jak ogon Lavika. Jeśli Lavik padnie, to padnie i Roger. Jeśli Lavik wyjdzie na wolność, Roger będzie mógł się do niego przyłączyć.

- Mam nadzieję, że uda mi się wydać postanowienie jeszcze dzisiaj, ale może to nastąpić dopiero przed północą - oświadczył sędzia, gdy wreszcie mógł zakończyć posiedzenie. - Chcecie zaczekać, czy dacie mi numery faksu?

Podali numery. Roger odbył szeptem rozmowę ze swoim obrońcą i zaprowadzono go z powrotem do piwnicy. Sędzia już przeszedł do przyległego gabinetu, a za nim protokolantka. Adwokat Bloch-Hansen wziął pod pachę swoją zniszczoną teczkę i podszedł do prokuratora policji. Sprawiał wrażenie życzliwszego, niż miał ku temu powody.

- Zatrzymując go w piątek, nie mogliście mieć na niego zbyt wiele - powiedział cicho. - Zastanawiam się, co byście zrobili, gdybyście nie znaleźli tego notesu i nie mieli szczęścia z tymi odciskami palców. A to oznacza, że w momencie zatrzymania tych dwóch byliście o setki kilometrów oddaleni od uzasadnionych powodów podejrzeń.

Håkon był bliski omdlenia. Adwokat chyba to zauważył, bo powiedział uspokajająco:

- Nie będę z tego powodu wszczynał awantury, ale z całą życzliwością powiem: nie porywaj się na rzeczy, z którymi nie jesteś w stanie sobie poradzić. To dobra rada. I dotyczy wszelkich aspektów życia.

Grzecznie kiwnął głową i wyszedł na spotkanie z tymi dziennikarzami, którzy jeszcze nie stracili cierpliwości, a czekało ich całkiem sporo. Policjanci zostali sami.

- Chodźmy coś zjeść - zaproponowała Hannę. - Zaczekam z tobą. Jestem pewna, że to się dobrze skończy.

Było to oczywiście kłamstwo.

Znów zwrócił uwagę na lekki, przyjemny zapach perfum, kiedy Hannę uściskała go na pocieszenie. Nie pomogło. Gdy wyszli z wielkiego, szacownego budynku, skomentowała, że sprytnym posunięciem było odczekanie pół godziny. Wszyscy ciekawscy już dawno wrócili do swoich ciepłych domów, ekipy telewizyjne skapitulowały i pognały do swoich stacji z tym, co udało im się zdobyć wcześniej, dziennikarze z gazet też zniknęli po wysłuchaniu krótkich komentarzy obrońcy. Było już piętnaście po ósmej.

- Nic dzisiaj nie jadłem - stwierdził Håkon zdziwiony, czując, jak głód, który przez ponad dobę przerażony skrywał się gdzieś w zakątku żołądka, zaczyna się ujawniać.

-Ja też - odparła Hannę, chociaż nie było to całkiem zgodne z prawdą. - Mamy dużo czasu. Sędzia potrzebuje co najmniej trzech godzin. Poszukajmy jakiegoś spokojnego miejsca.

Ramię w ramię poszli w dół niewielkiego zbocza, starając się unikać kropli kapiących z dachów. Tuż za rogiem znaleźli wolny stolik we włoskiej restauracji. Piękny, młody chłopak z kruczoczarnymi włosami podprowadził ich tam, rzucił na stół kartę i mechanicznie spytał, czy życzą sobie czegoś do picia. Po chwili wahania zdecydowali się na piwo. Pojawiło się na stoliku z rekordową prędkością. Håkon jednym tchem wypił pół szklanki. Piwo dobrze mu zrobiło. A może to po prostu zapadnięty żołądek nagle się ożywił.

- Wszystko diabli wezmą - oświadczył niemal wesoło i otarł pianę z górnej wargi. - To się nie może dobrze skończyć. Wypuszczą go i dalej będzie działać. Wspomnisz moje słowa. A wszystko przeze mnie.

- Nie martw się na zapas. - Hannę nie bardzo potrafiła ukryć, że podziela jego pesymizm. Popatrzyła na zegarek. - Mamy jeszcze kilka godzin, zanim ewentualnie będziemy musieli przyznać, że przegraliśmy.

Przez długą chwilę siedzieli w milczeniu, zapatrzeni gdzieś daleko przed siebie.

Kiedy przyniesiono jedzenie, szklanki były już puste. Spaghetti. Wyglądało na smaczne i gorące.

- Nawet jeśli przegramy, to nie będzie twoja wina -

powiedziała w końcu Hanne, zmagając się z długimi nitkami makaronu w pomidorowym sosie. Z lekko przepraszającą miną wsunęła serwetkę za dekolt, żeby ochronić sweter przed zabrudzeniem. - Dobrze o tym wiesz - dodała, uważnie patrząc mu w twarz. - Jeśli przegramy, to będzie wina nas wszystkich. Byliśmy zgodni, że należy podjąć próbę wystąpienia o aresztowanie. Nikt nie może czynić ci wyrzutów.

- Wyrzutów? - Łyżka uderzyła o stół tak mocno, że aż sos chlapnęła. - Wyrzutów? To oczywiście, że będą mi czynić wyrzuty. To nie ty, nie Kaldbakken i nie komendant policji, ani żadna inna osoba na świecie wygłupiała się przed sądem, tylko ja. To ja zniosłem to jajo. I powinni mnie o to obwiniać.

Nagle poczuł, że ma już dość jedzenia. Niemal z obrzydzeniem odsunął od siebie ledwie tknięty talerz.

- Chyba nigdy tak się nie zbłąźniłem przed sądem. Uwierź mi, Hanne. - Oddychał ciężko, w końcu skinął na przyznanego chłopaka i poprosił o butelkę wody mineralnej. - Prawdopodobnie poradziłbym sobie lepiej, gdybym natrafił na innego obrońcę. Bloch-Hansen sprawia, że czuję się niepewnie. Ta jego gładka rzeczowość zbija mnie z pantałyku. Może przygotowywałem się do gwałtownej, otwartej bitwy, a gdy przeciwnik zaprosił do eleganckiego fechtunku, stanąłem niezgrabny jak wór ziemniaków.

- Mocno potarł twarz, uśmiechnął się i pokręcił głową. - Obiecuję, że nie będziesz źle mówić o tym przedstawieniu - poprosił.

- Mogę ci to przyrzec na honor i spokój sumienia - oświadczyła, unosząc prawą rękę jak do przysięgi. - Ale naprawdę wcale tak źle ci nie poszło. A tak w ogóle - dodała, żeby zmienić temat. - Dlaczego powiedziałeś temu dziennikarzowi z „Dagbladet” o możliwej trzeciej osobie, która wciąż jest na wolności? Napisał o tym tak, jakbyśmy mieli jakąś bardzo konkretną osobę na oku. No bo przypuszczam, że on to wie od ciebie.

- Pamiętasz, co powiedziałaś, kiedy tak się oburzyłem na sposób, w jaki potraktowałaś Lavika podczas ostatniego przesłuchania przed zatrzymaniem?

Głęboka zmarszczka na czole świadczyła o tym, że Hannę gorączkowo myśli.

- Nie bardzo - przyznała, czekając na odpowiedź.

- Powiedziałaś, że ludzie, którzy się boją, popełniają głupstwa. Dlatego postanowiłaś wystraszyć Lavika. Chciałem zrobić to samo. Możliwe, że to ślepy strzał, ale może jakiś człowiek gdzieś się przestraszył. Bardzo, bardzo przestraszył.

Rachunek znalazł się na stole za ledwie w kilka sekund po dyskretnym skinieniu Håkona. Sięgnęli po niego oboje, ale Håkon był szybszy.

- Nie ma mowy - zaprotestowała Hannę. - Albo ja zapłacę za całość, albo przynajmniej za swoją połowę.

Håkon przysunął rachunek do piersi z błagalnym spojrzeniem.

- Pozwól mi dzisiaj przynajmniej raz poczuć się jak mężczyzna!

- poprosił cienkim głosem.

Nie było to wygórowane żądanie. Zapłacił, dorzucając trzy korony napiwku. Uśmiechnięty chłopak z wypomadowanymi włosami odprowadził ich w ciemność, zapraszając ponownie. Tyle że nie wydawał się całkiem szczerzy.

Zmęczenie ścisnęło czaszkę ciasnym, czarnym kapturem. Oczy same się zamykały za każdym razem, gdy przez kilka minut się nie odzywał. Håkon Sand wyjął z kieszeni marynarki niedużą buteleczkę ze sztucznymi łzami, odchylił się, zsunął okulary na czubek nosa i zapuścił do oczu kilka dużych kropli. Zużył prawie całą butelkę, a rano przecież brał nową.

Przechylał głowę na bok, próbując rozruszać napięte jak struny mięśnie karku. Drgnął, gdy ruch okazał się zbyt gwałtowny i poczuł skurcz zaciskający się z lewej strony.

- Au, au! - krzyknął, gorączkowo rozcierając bolące miejsce.

Hannę sześćdziesiąty siódmy raz spojrziała na zegarek. Pięć minut do północy. Nie umiała ocenić, czy fakt, że wydanie postanowienia zajmuje tyle czasu, to dobry znak, czy zły. Sędzia z pewnością chciał być wyjątkowo staranny, jeśli miał aresztować adwokata. Z drugiej strony przy zwolnieniu też nie chciał zapewne niczego zaniedbać. Zdawał sobie sprawę, że

postanowienie zostanie zaskarżone bez względu na jego treść.

Ziewnęła tak szeroko, że wąską dłonią nie zdołała zasłonić całych ust. Håkon zauważył, że ma piękne, białe zęby.

- Co myślisz o plastikowych plombach? - spytał.

Hannę popatrzyła na niego zdumiona.

- O plastikowych plombach? Co ty wygadujesz?

- Widzę, że nie masz amalgamatu w zębach. Sam się zastanawiam, czy nie wymienić plomb. Czytałem jakiś artykuł o tym, ile gówna jest w tym „srebrze”. Rtęć i różne inne rzeczy. Podobno mogą zmienić człowieka w inwalidę. Ale mój dentysta mi to odradza, twierdzi, że amalgamat jest o wiele trwalszy.

Hannę szeroko otworzyła usta i nachyliła się do niego. Mógł się teraz przekonać, że naprawdę wszystkie zęby ma białe.

- Ani jednej dziury - oświadczyła z uśmiechem i nie bez dumy. - Wprawdzie jestem trochę za stara, żeby należeć do pokolenia „zero dziur”, ale kiedy dorastałam, czerpaliśmy wodę ze studni, która zawierała mnóstwo naturalnego fluoru. Było nas w okolicy szesnaścioro dzieciaków i żadne ani razu nie musiało iść do dentysty.

Zęby. To dopiero temat do rozmowy. Prokurator wstał i kolejny raz sprawdził faks. Tak jak poprzednim razem i wcześniej, wszystko było w porządku. Zielone światelko patrzyło na niego arogancko, ale na wszelki wypadek jeszcze raz zerknął, czy w szufladzie jest papier. Oczywiście był. Z trudem stłumił ziewnięcie. Sięgnął po zużytą talię kart i posłał pytające spojrzenie Hannę. Wzruszyła ramionami.

- Może być, ale zagrajmy już w coś innego. Na przykład w casino.

Zdążyli rozegrać dwie partie, nim faks wydał wreszcie obiecujący pomruk. Zielone światelko zmieniło się na żółte i po kilku sekundach pojawiła się biała kartka ozdobiona nadrukiem Sądu do spraw Przesłuchań.

Poculi, że puls im przyspiesza.

- Będziemy czytać kartka po kartce, czy zaczekamy, aż wszystko przejdzie? - spytał, uśmiechając się blado.

- Chodźmy po kawę. Kiedy wrócimy, będziemy już mieć całość. Tak lepiej niż stać tu i czekać na ostatnią stronę.

W poczuciu strasznego osamotnienia wyszli z pokoju. W sekretariacie kawa się skończyła. Ktoś jeszcze musiał być w wydziale, bo Hannę przed niecałą godziną zaparzyła świeży dzbanek. Håkon poszedł do swojego pokoju, otworzył okno i wciągnął do środka plastikową torbę zawieszoną na gwoździu wbitym w parapet. Wyjął z niej dwie półlitrowe butelki solo.

- „Jedyna oranżada, która nie zaspokaja nic oprócz pragnienia” - z wściekłym humorem zacytował reklamę.

Stuknęli się butelkami w ponurym toaście.

W końcu wrócili do centrum dowodzenia. Bardzo powoli.

Kiedy znaleźli się w pokoju, paskudne zielone oko znów zastąpiło żółtego kolegę. Maszyna zapadła w szumiący, apatyczny sen, a na plastikowej tacce, która kilka minut wcześniej była pusta, leżał plik kartek. Dłonią drżącą bardziej ze zmęczenia niż z napięcia Håkon sięgnął po nie i szybko przerzucił do ostatniej strony. Osunął się na kanapę i przeczytał głośno:

- „Podejrzany Jørgen Ulf Lavik pozostanie w areszcie tymczasowym, dopóki sąd lub prokuratura nie postanowi inaczej, lecz nie dłużej niż do poniedziałku, 6 grudnia. Przez cały okres aresztowania podlegać będzie zakazowi korespondencji i widać”.

- Dwa tygodnie!!!

Solidna porcja adrenaliny natychmiast przegnała zmęczenie.

- Dwa tygodnie dla Lavika! - Håkon poderwał się z kanapy, potknął o stół i rzucił Hannę na szyję. Papiery rozsypały się po podłodze.

- Uspokój się! - śmiała się Hannę. - Dwa tygodnie to dosłownie połowa zwycięstwa, przecież wносиłeś o cztery!

- Wiem, dwa tygodnie to mało, ale przecież możemy pracować na okrągło przez całą dobę. Przysięgam... - Uderzył dłonią w stół.

- Stawiam całą miesięczną pensję na to, że w ciągu tych dwóch tygodni będziemy mieli coś więcej na tego drania!

Dziecinna radość i optymizm nie podziałały zaraźliwie. Hannę pobierała kartki i ułożyła je we właściwej kolejności.

- Zobaczmy, co sędzia ma jeszcze do powiedzenia.

Po dokładniejszym przeczytaniu postanowienia nie dało się go uznać nawet za połowiczne zwycięstwo. Może za jedną ósmą.

W kwestii zeznań Karen Borg sąd przychylił się do opinii adwokata Christiana Blocha-Hansena, nawet jeśli nie całkiem, to przynajmniej w dużej mierze. Podzielił jego zdanie, że pożegnalnego listu Hana van der Kercha w zasadzie nie można traktować jako zwolnienia z obowiązku dochowania tajemnicy. Należałoby przeprowadzić dokładniejszą analizę intencji Holendra, w której najistotniejsza byłaby ocena, czy ujawnienie informacji wyszłoby aresztowanemu na korzyść. Istniały przesłanki wskazujące, że mogło być przeciwnie, ponieważ te wyjaśnienia w istotnym stopniu obciążały jego samego, mogły więc zaszkodzić jego dobremu imieniu po śmierci. W każdym razie zdaniem sądu przesłuchanie Karen Borg było zbyt niepełne, nie wyjaśniało tych problemów. Sąd w chwili obecnej postanowił więc nie brać pod uwagę tych zeznań, gdyż mogły one pozostawać w sprzeczności z przepisami dotyczącymi postępowania karnego.

Sędzia, wprawdzie nie bez wątpliwości, ale uznał, iż mimo wszystko istnieją uzasadnione powody, by podejrzewać Lavika o popełnienie czynu karalnego, ale tylko w odniesieniu do punktu I postanowienia o przedstawieniu zarzutów, czyli tej konkretnej ilości narkotyków znalezionej u Frøstrupa. Zdaniem sądu dalsze podejrzenia nie były uzasadnione, skoro zeznania Karen Borg zostały odrzucone. Natomiast niebezpieczeństwo zatarcia dowodów było na tyle oczywiste, że sędzia poprzestał na skwitowaniu tego jednym zdaniem. Dwutygodniowe aresztowanie nie było zbyt ostrym środkiem zapobiegawczym, zważywszy na poważny charakter sprawy. Dwadzieścia cztery gramy twardych narkotyków to znaczna ilość, która po podzieleniu na porcje mogła mieć wartość blisko dwustu tysięcy koron. Konkluzją były dwa tygodnie za kratkami dla Lavika.

Roger został zwolniony.

- Niech to jasna cholera! - krzyknęli chórem.

Roger był zamieszany w sprawę jedynie przez wyjaśnienia

Hana van der Kercha, a dopóki nie nadawały się one do wykorzystania, sądowi pozostawały jedynie zaszyfrowane numery telefonów. Za mało. Nakazał więc zwolnienie.

Zadzwoił telefon. Podskoczyli do góry, jakby wesoły dzwonek był alarmem przeciwpożarowym.

Telefonał sędzia, który chciał się upewnić, czy przesyłka przeszła gładko.

- Spodziewam się zaskarżenia z obu stron - powiedział zmęczonym głosem, mimo że Håkonowi wydawało się, iż przez telefon wychwytuje w jego głosie cień uśmiechu.

- No tak. Ja w każdym razie na pewno złożę zażalenie na zwolnienie Rogera Strømsjorda i będę wnosił o skutek odraczający. To katastrofa, jeśli zostanie wypuszczony jeszcze dziś w nocy.

- Na skutek odraczający na pewno możesz liczyć - uspokoił go sędzia. - Ale teraz pójdziemy już spać, dobrze?

Z tym przynajmniej mogli się zgodzić. Mieli za sobą bardzo długi dzień. Ubrali się, starannie zamknęli drzwi na klucz, zostawiając w środku dwie niedopite butelki solo. Reklama mówiła prawdę. Oranżada pomogła zaspokoić wyłącznie pragnienie.

Wtorek, 24 listopada

Kiedy się obudziła, czuła się jak na straszliwym kacu. Po powrocie do domu nie mogła zasnąć. Nie pomogło gorące mleko ani masaż karku. Po niespełna czterech godzinach niespokojnego snu przywróciły ją do rzeczywistości napastliwe wiadomości w radiu. Głównym tematem było postanowienie o tymczasowym aresztowaniu Lavika. Prezenterka uważała, że mecz zakończył się remisem, lecz mimo wszystko bardzo krytykowała policję. Oczywiście dziennikarze nie znali uzasadnienia, dlatego mnóstwo czasu poświęcili na spekulacje, a ich domysły graniczyły z szaleństwem.

Hannę przeciągnęła się i zmusiła do wstania. Ze śniadania postanowiła zrezygnować, bo obiecała Håkonowi, że będzie w pracy o ósmej. Dzisiejszy dzień zapowiadał się równie męczący jak poprzedni.

Pod prysznicem usiłowała skupić się na czymś innym. Oparłszy się czołem o gładkie kafelki, pozwalała, by plecy zaczerwieniły jej się od gorącej wody. Ale nie mogła zapomnieć o sprawie. Mózg pracował na wysokich obrotach, ciągnąc ją opornie za sobą. Akurat w tej chwili zamarzyło jej się natychmiastowe przeniesienie. Trzy miesiące w drogówce byłyby ze wszech miar pożądane. Wprawdzie nie zaliczała się do osób uciekających przed trudnymi zadaniami, ale ta sprawa kompletnie ją obezwładniła. Wszystkie luźne wątki kręciły się wokół siebie, bawiły się nowymi rozwiązaniami, nowymi teoriami, nowymi pomysłami. Cecilie wprawdzie się nie skarżyła, ale Hannę dobrze wiedziała, że ostatnio nie jest ani dobrą kochanką, ani przyjaciółką. Na przyjęciach siedziała milcząca, umiarkowanie uprzejma i nie piła. Seks zmienił się w rutynę, w czynność wykonywaną na odczepnego, bez namiętności i bez zaangażowania.

Woda była tak gorąca, że Hannę prawie przestała czuć plecy. Wyprostowała się i odskoczyła, czując nagle wrzątek na piersiach. Gdy przekręcała kurek, żeby się żywcem nie

ugotować, nagle sobie coś uświadomiła.

But. Myśliwskie trofeum Billy'ego T. Musiał przecież gdzieś mieć brata bliźniaka. Znalezienie konkretnego zimowego buta w rozmiarze czterdzieści cztery w Oslo o tej porze roku mogło się wydawać zadaniem beznadziejnym, ale z drugiej strony ewentualnych właścicieli nie było znowu aż tak wielu. No i warto spróbować. Jeśli odnajdą właściciela buta, z całą pewnością będą mieć do czynienia z osobą zamieszaną w sprawę. Przekonają się, do jakiego stopnia facet jest twardy. Lojalność nigdy nie była mocną stroną przestępców związanych z narkotykami.

But. Trzeba go odnaleźć.

Dzień ledwie zaczął się budzić. Słońce wprawdzie nie wyszło jeszcze za horyzont, ale kryło się gdzieś za wzgórzem Ekeberg, obiecując piękny, chłodny listopadowy wtorek. Znów chwycił mróz. Wszystkie lokalne stacje radiowe ostrzegały kierowców i mówiły o przepelnionych i opóźnionych autobusach i tramwajach. Pod redakcją „Dagbladet” co i raz ktoś zatrzymywał się w drodze do roboty i poświęcał chwilę na przeczytanie gazety rozłożonej w witrynie.

Jego sprawa kolejny raz trafiła na czołówkę. Rano ukradkiem odnotował w notesie swoją dwunastą pierwszą kolumnę w ciągu roku. Może to trochę infantylne, ale dobrze mieć taką orientację, pomyślał z dumą. Przecież mimo wszystko pracował tylko na zastępstwie, trochę jak w okresie próbnym.

Klucz palił go w kieszeni. Na wszelki wypadek zrobił trzy kopie i ukrył je w bezpiecznych miejscach. Kolega ślusarz niewiele mu powiedział. Ten klucz mógł otwierać cokolwiek, ale raczej nic większego niż szafkę w przechowalni. Może szafę, ale z całą pewnością nie drzwi. A jeśli tak, to niezwykle małe.

Skrytki na bagaż w najbardziej oczywistych miejscach okazały się nietrafione. Kluczyk nie pasował do tych na Dworcu Centralnym, lotniskach Fornebu i Gardermoen ani w żadnym z dużych hoteli. Ponieważ nie miał numeru, mało prawdopodobne, aby był używany w jakimś miejscu

publicznym.

Czy powinien go przekazać Håkonowi Sandowi? Policja z pewnością jest teraz w wielkim stresie. Dwa tygodnie to niedużo, a były jeszcze zażalenia i brak pewności, czy po ich rozpatrzeniu sąd okręgowy da im choćby te dwa tygodnie.

Wiele przemawiało za tym, żeby pomóc policjantom. Oni w końcu mieli większe możliwości ustalenia, do czego kluczyczek pasuje. Poza tym zaskarbiłyby sobie ich wdzięczność, co do tego nie było wątpliwości. Mógł na tym zbić niezły interes. I w zasadzie po dłuższym namyśle stwierdzał, że niezbyt dobrze się czuje, chodząc z czymś, co mogło być decydującym dowodem w tak poważnej sprawie. Zabójstwa, i w ogóle. Czy to karalne? Nie bardzo wiedział.

Ale z drugiej strony, jak wytłumaczy, że kluczyczek wpadł mu w ręce? Włamanie do Lavika z całą pewnością było przestępstwem. Gdyby dowiedział się o tym jego naczelny, natychmiast by się z nim pożegnał. A on na razie nie potrafił wymyślić żadnej historii, która mogłaby uchodzić za prawdopodobną.

Konkluzja nasuwała się sama. Będzie musiał dalej szukać na własną rękę. Jeśli zdoła odnaleźć tę szafkę, skrytkę czy co to było, zgłosi się z tym do policji. Oczywiście jeżeli w środku będzie coś ważnego. Bo wtedy jego wątpliwy sposób działania prawdopodobnie natychmiast pójdzie w zapomnienie. Tak, tak, rozsądniej będzie na razie zachować ten kluczyczek dla siebie.

Podciągnął spodnie i wszedł do szarego budynku redakcji.

Całe olbrzymie biurko pokrywały gazety. Peter Strup był w kancelarii już od wpół do siódmej. Również jego obudziły wiadomości o aresztowaniu. W drodze do pracy kupił siedem różnych gazet, we wszystkich sprawa znajdowała się na czołówkach. W przeważającej mierze nic konkretnego, ale każda podchodziła do sprawy od innej strony. Lewicowa „Klassekampen” uznała aresztowanie za zwycięstwo sprawiedliwości i we wstępniaku pisała, że można poczuć się spokojniej, kiedy sądy przynajmniej od czasu do czasu udowadniają, że nie uprawiają sprawiedliwości klasowej. Dziw-

ne, pomyślał z ponurą miną. Jak ci sami ludzie, którzy wytaczają ciężką artylerię przeciwko wsadzaniu ludzi do więzień, uważając to za przejaw prymitywnej potrzeby zemsty zgnięłego społeczeństwo, nagle popadają w zachwyt, gdy tylko ten sam system dotknie kogoś, kto żyje po słonecznej stronie? Tabloidy zamieszczały więcej zdjęć niż tekstu, ale za to dawały ogromne tytuły. „Aftenposten”, choć poświęciła sprawie sporo miejsca, wydrukowała trzeźwy referat w raczej umiarkowanym tonie. Może redaktorzy bali się oskarżeń o zniesławienie? Wyrok dla Lavika wydawał się niesłychanie odległy. Rozsądek przemawiał za ostrożnością, gdyby adwokat nie został ostatecznie skazany, zapewne okrutnie by się mścił.

Staroświeckie wieczne pióro skrobało po papierze, gdy Peter Strup w pośpiechu robił notatki. Z artykułów w gazetach zawsze trudno było uzyskać orientację w problemach prawnych, dziennikarze mieszały pojęcia i błędzili w prawniczym pejzażu jak wypuszczone z klatek kury. Jedynie „Aftenposten” i „Klassekampen” posiadały odpowiednie kompetencje, by wiedzieć, że chodzi o postanowienie sądu, a nie o wyrok, i że złożono zażalenie, a nie apelację.

W końcu zebrał gazety, z których powycinał to, co uznał za najważniejsze. Gruby plik wcisnął do kosza na śmieci, wycinki natomiast spiął razem z odręcznymi notatkami, włożył do plastikowej koszulki i schował do zamykanej na klucz szuflady. Wcisnął guzik łączący go z sekretarką i kazał odwołać wszystkie spotkania, zarówno w dniu dzisiejszym, jak i nazajutrz. Wyraźnie zdziwiona zaczęła protestować, ale potem zamilkła.

- Dobrze. Czy mam umówić nowe terminy tych spotkań?

- Tak, bardzo cię o to proszę. Powiedz, że wydarzyło się coś nieprzewidzianego. Muszę załatwić kilka ważnych telefonów. Nie chcę, żeby ktokolwiek mi przeszkadzał, dobrze?

Wstał i zamknął drzwi na korytarz. Potem wyjął z kieszeni nieduży telefon komórkowy i podszedł do okna. Po paru dzwonekach uzyskał połączenie.

- Cześć, Christian, mówi Peter.

- Dzień dobry.

Głos zabrzmiał ponuro, raczej nie harmonizował ze słowami.

- No cóż, dobry akurat nie jest dla żadnego z nas. Chyba powinienem ci pogratulować, jeśli choć trochę właściwie zrozumiałem nagłówki w gazetach. Jeden zwolniony, drugi aresztowany na połowę wnioskowanego czasu, to chyba należy nazwać dobrym wynikiem.

Głos był płaski i bezbarwny.

- To cholerny pasztet, Peter. Naprawdę cholerny pasztet.

- Nie wątpię.

Przez chwilę żaden się nie odzywał.

- Halo, jesteś tam jeszcze? - Peter Strup już myślał, że połączenie zostało zerwane.

-Jestem, jestem. Szczerze mówiąc, nie wiem, co jest lepsze. Czy to, że będzie siedział, czy to, że go wypuszczą. Zobaczymy. Postanowienie komisji do spraw odwołań zostanie wydane pewnie dopiero pod koniec dnia albo nawet jutro. Ci chłopcy nie są przyzwyczajeni do siedzenia po godzinach.

Peter Strup przygryzł dolną wargę. Przełożył telefon do drugiej ręki i stanął odwrócony plecami do okna.

- Czy istnieje jakaś szansa na zahamowanie tej lawiny w jakikolwiek honorowy sposób?

- Kto wie? Na razie przygotowuję się na najgorsze. Jeśli huknie, będzie to największy kryzys w czasach powojennych. Mam nadzieję, że nie będę musiał stać w pobliżu. Dziś szczerze żałuję, że mnie w to wciągnąłeś.

- Nie mogłem postąpić inaczej, Christian. To, że Lavik wybrał akurat ciebie, było fantastycznym szczęściem w całym tym nieszczęściu. Że wybrał kogoś, komu mogę ufać. Komu naprawdę mogę ufać.

W żadnym razie nie miało to zabrzmieć jak groźba, a mimo to głos Christiana Blocha-Hansena stał się ostrzejszy.

-Jedno musi być między nami najzupełniej jasne - oświadczył z mocą. - Moja dobra wola nie jest studnią bez dna. Jest pewna granica. Powiedziałem ci to wyraźnie już w niedzielę. Nie zapominaj.

- Na pewno nie będę miał ku temu okazji - odparł cierpko Peter Strup i zakończył rozmowę.

To nie był żaden cholerny pasztet, to było straszliwe dno.

Odbył jeszcze drugą rozmowę telefoniczną, ale uporał się z nią w ciągu trzech-czterech minut, potem poszedł na śniadanie. Bez cienia apetytu.

Przy kuchennym sosnowym stole stojącym pod oknem siedziała Karen Borg i jadła z apetytem. Pochłaniała już trzecią kanapkę, a bokser leżał z łbem na łapach i nie odrywał od swojej pani żałośnie błagalnego spojrzenia.

- Żebrak! - złażała go i znów zatopiła się w leżącej przed nią książce. Poranna audycja drugiego programu radia dotrzymywała jej towarzystwa.

Domek stał na kawałku płaskiej skały, z której rozciągał się niezwykle widok. W jej dziecięcych wyobrażeniach dostrzec stąd można było nawet Danię. Jako ośmiolatka wyczarowywała obrazy tamtego płaskiego kraju na południu i naprawdę to widziała. Tamtą ziemię porośniętą bukowym lasem, pełną pogodnych ludzi. Tych fantazji nie dała sobie odebrać, nie zniszczyły ich ani drwiące uwagi starszego brata, ani naukowe wyjaśnienia ojca, że to wszystko jest wyłącznie przywidzeniem. Kiedy Karen miała dwanaście lat, obraz wyblakł, a latem tego roku, gdy miała zacząć chodzić do gimnazjum, cała Dania zapadła się w morze. Było to jedno z najbardziej bolesnych przeżyć w okresie dorastania. Poczucie, że nie wszystko jest takie, jak sądziła.

Nie miała większych problemów z nagraniem w domku. Był dobrze izolowany na zimę, miał też doprowadzony prąd. Bała się włączać elektryczną pompę do wody z obawy, że rury mogą zamarznąć, ale nawet to jej nie przeszkadzało, bo studnia znajdowała się o rzut kamieniem.

Po dwóch dobach napłynął spokój, jakiego nie czuła już od wielu tygodni. Komórkę wprawdzie miała na wszelki wypadek włączoną, ale numer znali tylko Nils i kancelaria. Mąż zostawił ją w spokoju, bo ostatnie tygodnie były trudne dla nich obojga. Karen aż kulila się na wspomnienie jego urażonego spojrzenia i wszystkich bezradnych prób zbliżenia się do niej. Odrzucenie stało się zwyczajem. Uprzejmie rozmawiali ze sobą o pracy, najnowszych wydarzeniach i o koniecznych codziennych

sprawach. Ale nie było między nimi ani cienia intymności, całkowicie brakowało porozumienia. Nils chyba z ulgą przyjął wiadomość, że postanowiła wyjechać, chociaż ze łzami w oczach próbował protestować. W każdym razie nie odezwał się od tamtej rozmowy, kiedy to zapewniła go, że bezpiecznie dotarła na miejsce. Chociaż się cieszyła, że uszanował życzenie zostawienia jej w spokoju, leciutko kłuiła ją myśl, że naprawdę mu się to udało.

Wstrząsnął nią dreszcz, wylała trochę herbaty na spodek. Bokser, widząc ten gwałtowny ruch, poderwał łeb. Rzuciła mu kawałek sera, schwycił go w powietrzu.

- Apetyt rośnie w miarę jedzenia - burknęła, kiedy pies nie tracił nadziei na to, że kolejny kęs trafi do jego zaślinionego pyska.

Nagle Karen drgnęła i podkreśliła radio. Musiało mieć uszkodzony potencjometr, bo gdy kręciła gałką, nieprzyjemnie trzeszczało.

Lavika aresztowano! Ojej, to oznaczało zwycięstwo Håkona. Jakiś inny pięćdziesięciodwuletni mężczyzna został zwolniony, ale oba postanowienia zaskarżono. To musiał być Roger. Dlaczego zwolnili jednego, a zatrzymali drugiego? Była pewna, że albo obaj pójdą siedzieć, albo obaj wyjdą na wolność.

Z dalszych wypowiedzi niewiele się dowiedziała.

Nie wiadomo skąd nadciągnęły wyrzuty sumienia. Obiecała Håkonowi, że przed ewentualnym wyjazdem zadzwoni. Nie zrobiła tego. Nie miała siły. Może zatelefonuje wieczorem. Ale tylko może.

Śniadanie zostało zjedzone, bokser dostał jeszcze dwa kawałeczki sera. Zdecydowała, że pozmywa, zanim wybierze się na dwu- kilometrowy spacer do sklepu po gazety. Powinna się orientować w bieżących wydarzeniach.

- Gdzie ona, u diabła, się podziewa? - rzucił słuchawką o biurko. Plastik pękł. - O cholera! - powiedział lekko przerażony, patrząc na zniszczony telefon. Na próbę przyłożył słuchawkę do ucha, wciąż słyhać było sygnał. Gumka musiała posłużyć jako tymczasowy środek zaradczy.

- Nie pojmuję - ciągnął już spokojniej. - W kancelarii mówią, że przez jakiś czas będzie nieuchwytna. W domu też nie odbiera.

A do Nilsa definitywnie nie będę dzwonił, dodał w myślach. Gdzie była Karen Borg?

- Musimy ją znaleźć - oświadczyła Hannę, zupełnie niepotrzebnie. - Trzeba się pospieszyć z kolejnym przesłuchaniem. Najlepiej by było załatwić to jeszcze dzisiaj. Jeśli będziemy mieć szczęście, komisja do spraw odwołań zajmie się sprawą dopiero jutro. Wtedy moglibyśmy podsunąć im nowe zeznania, prawda?

- Może i tak - mruknął Håkon.

Nie wiedział, co o tym myśleć. Karen obiecała zawiadomić go o swoim ewentualnym wyjeździe. Od niego dotrzymanie umowy wymagało wielkiej ofiary. Nie dzwonić, nie nachodzić. Dziwne, że ona nie dotzymała swojej. Jeśli oczywiście naprawdę wyjechała. Możliwości było wiele. Z tego, co wiedział, mogła być na jakimś wymagającym niezwykle dyskrecji spotkaniu z klientem. A jednak od niedzieli nie opuszczał go niepokój. Pocięcha, że jest przynajmniej w tym samym mieście co Karen, zbladła i w końcu zniknęła.

- Ona ma komórkę z zastrzeżonym numerem. Wykorzystaj całą policyjną moc, żeby go zdobyć. Operator, kancelaria, wszystko jedno co. Tylko zdobądź dla mnie ten numer. To nie powinno być aż tak trudne.

- Dobrze. A poza tym będę dalej szukać tego mężczyzny bez buta. Bez względu na to, co ty o tym sądzisz - oświadczyła Hannę Wilhelmsen i wróciła do swojego pokoju.

Starszy siwowłosy mężczyzna się bał. Strach był nieznanym mu wrogiem, dlatego starał się z nim walczyć z całych sił. Chociaż bardzo dokładnie przeczytał gazety, trudno było stwierdzić, co policja tak naprawdę wie. Niedzielny artykuł w „Dagbladet” był dość przerażający, ale to nie mogła być prawda. Jørgen Lavik zapewnił o swojej niewinności, przynajmniej tyle dało się wyczytać z gazet. Nie mógł więc sypnąć. Nikt inny o nim nie wiedział. Nie mogło, naprawdę

więc nie mogło grozić mu żadne niebezpieczeństwo.

Ale piekący strach nie dawał się opanować. Krwawymi szponami wczepił się w serce, sprawiając ostry ból. Męczyzna przez chwilę oddychał płytko, starając się odzyskać kontrolę. Rozgorączkowany odszukał w wewnętrznej kieszonce pudełeczko z tabletkami, wyjął jedną i włożył pod język. Pomogło. Odzyskał oddech, postarał się zapanować nad najbardziej zdesperowaną częścią siebie.

- Na Boga, co się z panem dzieje? - Przerazona sekretarka stanęła w drzwiach. - Wszystko w porządku? Tak pan poszarzał na twarzy.

Jej zatroskanie wydawało się szczere i takie też było. Ubóstwiała swego szefa, a poza tym widok lepkiej, szarej skóry budził przykre wspomnienia - pięć lat temu zmarł jej mąż, leżąc obok niej w łóżku.

-Już mi lepiej - zapewnił mężczyzna, odsuwając jej rękę z czoła. - Naprawdę. O wiele lepiej.

Kobieta pobiegła po szklankę wody, ale zanim wróciła, odzyskał już nieco naturalnego koloru twarzy. Chciwie wypił wodę i ze słabym uśmiechem poprosił o jeszcze. Sekretarka znów wybiegła, kolejna szklanka została opróżniona równie szybko.

Po solennych zapewnieniach o tym, że wszystko już w porządku, sekretarka niechętnie wycofała się do siebie. Marszcząc czoło ze zmartwienia, zostawiła drzwi uchylone, jakby się spodziewała, że szef przynajmniej wyda jakiś odgłos, zanim ewentualnie umrze. Siwowłosey mężczyzna podniósł się z trudem i zamknął drzwi.

Musiał się opanować. Może powinien wziąć sobie kilka dni wolnego. Najważniejsze to zachowywać całkowitą neutralność wobec tego, co się stało. Jego nie mogli złapać. Najrozsądniej będzie utrzymać maskę. Dopóki to w ogóle możliwe. Ale musiał, musiał koniecznie dowiedzieć się, co wie policja.

- Ile pieniędzy jest właściwie w narkotykach?

Pytanie zabrzmiało dziwnie, ponieważ zadała je policjantka od kilku tygodni prowadząca śledztwo w sprawie

narkotykowej. Ale Hanne Wilhelmsen nigdy nie miała oporów przed zadawaniem banalnych pytań. Skoro szanowani obywatele osiągający dochody znacznie wyższe od tych, które osobiście uznałyby za świetne, byli skłonni ryzykować wszystko dla dodatkowych pieniędzy, musiało chodzić o znaczne sumy.

Billy'ego T. pytanie wcale nie zdziwiło. Narkotyki pozostawały niejasną i mglistą sprawą dla większości ludzi, również w policji, dla niego natomiast było to pojęcie niezwykle konkretne. Oznaczało pieniądze, śmierć i nędzę.

- Tej jesieni policja z krajów skandynawskich w ciągu sześciu tygodni zatrzymała jedenaście kilogramów heroiny - odparł. - Aresztowaliśmy trzydziestu kurierów w całej Skandynawii, a wszystko to w wyniku norweskiego śledztwa. - Wydawał się dumny, widać miał do tego prawo. - Jeden gram to co najmniej trzydzieści pięć działek. Na ulicy jedna działka kosztuje dwieście pięćdziesiąt koron. Możesz więc sobie policzyć, o jakich kwotach mówimy.

Hannę zapisała liczby na serwetce, którą zaraz podarła.

- Około ośmiu tysięcy siedmuset koron za gram, to daje... - Z zamkniętymi oczami liczyła w pamięci. - Osiem koma siedem miliona za kilogram, czyli za jedenaście kilo prawie sto milionów. Za jedenaście kilogramów! Przecież tyle zmieści się w wiadrze! Jest rynek na takie pieniądze?

- Gdyby nie było rynku, toby tego nie przemycano - zauważył cierpko Billy T. - Samo wwiezienie jest rozpaczliwie proste, przy takich granicach, jakie mamy, przy tylu miejscach, do których można zawinąć łodzią, z transportem samolotowym i jeszcze z samochodami, które bez przerwy mijają przejścia graniczne. To się samo przez się rozumie, że skuteczna kontrola jest w zasadzie niemożliwa. Na szczęście sam handel jest bardziej kłopotliwy, trzeba wejść do tego zgniętego środowiska. I właśnie to wykorzystujemy. W śledztwach dotyczących narkotyków jesteśmy całkowicie uzależnieni od donosicieli, a tych dzięki Bogu jest sporo.

- Ale skąd się to wszystko bierze?

- Heroina? Głównie z Azji. Na przykład z Pakistanu. Sześćdziesiąt, może nawet siedemdziesiąt procent norweskiej

heroiny pochodzi właśnie stamtąd. Z reguły narkotyki najpierw podróżują do Afryki, dopiero później do Europy.

- Do Afryki? To chyba okrężna droga?

- Owszem, pod względem geograficznym, ale za to jest tam mnóstwo chętnych do współpracy. Czysty wyzysk biednych jak myszy kościelne Afrykanów, którzy mają niewiele do stracenia. W Gambii istnieje specjalna szkoła połykania. *Gambian swallow school*. Ci chłopcy potrafią połknąć naprawdę imponujące ilości. Najpierw robią z narkotyku małe kuleczki, mniej więcej dziesięcio-gramowe, i owijają je w folię, potem to podgrzewają, żeby plastik się skleił. Później takimi kulkami napychają prezerwatywy, smarują je czymś i połykają. Fenomenalne, ile są w stanie pochłoniąć. Po dobie do trzech narkotyki wyskakują drugim końcem. Wystarczy trochę pogrzebać w kupie i pstryk! Bogactwo.

Billy T. opowiadał z obrzydzeniem pomieszanim z zachwytem, pochłaniając równocześnie ogromny stos grubych kromek chleba. W kantynie kupił sobie tylko dwie półlitrowe szklanki mleka i filiżankę kawy. Całość zniknęła w rekordowym tempie.

-Jak mówił mistrz Galen, kto je powoli, je mądrze.

Billy T. na moment przestał żuć i spojrzał na nią zdziwiony.

-Już w antyku - wyjaśniła Hannę.

- W antyku? Phi...

Dalej jadł w tym samym tempie.

Hannę rano nie miała czasu na śniadanie, a tym bardziej na przygotowanie kanapek do pracy. Na jej talerzyku leżała resztkę bułki z krewetkami. Billy T. skomentował, że krewetki raczej się nie tłoczą. Majonez był stary, ale najgorszy głód zaspokoila. Reszta mogła poczekać..

- Natomiast kokaina z reguły przychodzi z Ameryki Południowej. Mój Boże, tam całe rządy utrzymują się dzięki temu, że w naszym społeczeństwie tak wielu ludzi odczuwa potrzebę odurzenia się. Na płaszczyźnie światowej narkotyki to multimiliardowy przemysł. Tylko u nas w kraju sprzedaje się ich za wiele miliardów. Tak sądzimy. Z siedmioma tysiącami narkomanów, którzy w ciągu dnia potrzebują narkotyków za

dwa tysiące koron, już masz ogromne sumy. To oczywiste, że nie wiemy dokładnie, o jakie pieniądze chodzi, ale że o duże, to pewne. Gdyby to nie było nielegalne, sam bym się tym zajął. Natychmiast.

Hannę nie wątpiła, dobrze wiedząc o obowiązkach alimentacyjnych Billy'ego T. Z drugiej jednak strony ktoś taki jak on nigdy nie przeszedłby swobodnie przez kontrolę celną. W każdym razie byłby pierwszą osobą, którą ona by zatrzymała.

W kantynie przybywało ludzi, zbliżała się pora lunchu. Gdy kilka osób dało znak, że chętnie przysiedliby się do ich stolika, Hannę uznała, że nadszedł czas wracać do pracy. Przed wyjściem zmusiła jeszcze Billy'ego T., żeby dał jej słowo honoru, że będzie szukać brakującego buta.

- Jesteśmy czujni - roześmiał się. - Przekazałem zdjęcie zatrzymanego przedmiotu wszystkim właściwym jednostkom. Wielki pościg za butem już się rozpoczął.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej i pożegnał ją harcerskim pozdrowieniem, przykładając dwa palce do łysej czaszki.

Hannę odpowiedziała mu uśmiechem. Naprawdę niezły z niego policjant.

Pokój był z całą pewnością wolny od podsłuchu. To naturalne. Znajdował się w głębi korytarza na trzecim piętrze na Platous gate 16. Dom z zewnątrz wyglądał na wskroś nudno i anonimowo, a wrażenie to u nielicznych, których tu wpuszczano, jeszcze się pogłębiało po wejściu do środka. Budynek od roku 1965 stanowił główną kwaterę służb wywiadowczych. Niewielki i ciasny, ale spełniał swój cel. Zapewniał też odpowiednią dyskrecję.

Gabinet również nie imponował wielkością, poza tym był prawie pusty, nie licząc kwadratowego stołu i czterech krzeseł z aluminiowych rurek. Oprócz tego w kącie na podłodze stał telefon. Ściany były nagie, brudnożółte i szczerze odbijały dźwięk, rzucając go z powrotem ku trzem mężczyznom siedzącym przy stole.

- Czy istnieje jakakolwiek możliwość, żebyście wy przejęli sprawę? - zapytał czterdziestokilkuletni blondyn.

Pracował w wywiadzie, podobnie jak czarnowłosy facet w dżinsach i w swetrze. Trzeci, starszy od tamtych, ubrany w szary, flanelowy garnitur, był związany z Policyjną Służbą Bezpieczeństwa. Siedział z łokciami na stole i rytmicznie stukał koniuszkami palców o siebie.

- Za późno - stwierdził krótko. - Miesiąc temu może by jeszcze się dało, zanim sprawa nabrała takich wymiarów. Teraz jest już zdecydowanie za późno. To by wzbudziło nieznośny rozgłos.

- Czy w ogóle cokolwiek da się zrobić?

- Raczej nie. Dopóki sami nie mamy pewności co do pełnego zasięgu sprawy, mogę wam tylko zalecić, żebyście uważali na Petera Strupa, mieli oko na naszego przyjaciela, a poza tym starali się wyprzedzić wszystkich innych. Ale w jaki sposób - o to mnie nie pytajcie.

Nic więcej nie było do powiedzenia. Nogi krzesel zazgrzytały, gdy trzech mężczyźni jednocześnie wstali. Zanim podeszli do drzwi, gość z ponurą miną podał rękę dwóm swoim gospodarzom, jakby właśnie wrócili z pogrzebu.

- Nie jest dobrze. Naprawdę nie jest dobrze. Modlę się, abyście się mylili. Powodzenia!

Dziesięć minut później był już z powrotem na niewidzialnych górnych piętrach budynku policji. Szef słuchał go przez pół godziny. Później przez ponad minutę w milczeniu patrzył na swego doświadczonego pracownika.

- Niech to jasna cholera! - powiedział. Z naciskiem.

Pani komendant policji czuła się odrobinę urażona tym, że sekretarz stanu nie ustępował. Z drugiej jednak strony może tak naprawdę wykorzystywał tę sprawę do nawiązania kontaktu. Ta myśl jej pochlebiła. Spojrzała w lustro i ściągnęła usta w brzydki grymas. Przygnębiona. Im bardziej była chuda, tym starsza się wydawała. W ostatnich miesiącach stawała się coraz bardziej nerwowa, aż do kolejnej menstruacji, która nie pojawiała się równie regularnie jak kiedyś. Jakby trochę się wahała, przychodziła wtedy, kiedy jej to pasowało, a czterodniowy wodospad zmienił się w dwudniowe kapanie.

Towarzyszący jej ból minął. Teraz za nim tęskniła. W lustrze widziała kobietę, którą natura bezlitośnie przesunęła do kategorii babć. Z dwudziestotrzyletnią córką taka możliwość wcale nie była tylko teoretyczna. Na tę myśl przeszedł ją dreszcz. Niech mała tylko spróbuje!

Z szuflady biurka wyjęła słoiczek drogiego kremu nawilżającego, *Visible difference*. Widoczna różnica. Niewidoczna, skomentował jej mąż kilka tygodni wcześniej, napinając usta pod maszynką do golenia. Szturchnęła go wtedy tak mocno, że zaciął się w górną wargę.

Wróciła do lustra i powoli wmasowała krem w skórę. Nie pomógł.

Sekretarz stanu był, zdaje się, wciąż żonaty, w każdym razie kolorowa prasa nie donosiła, by coś w jego życiu się zmieniło. Mimo wszystko wciąż pozostawiała furtkę otwartą.

Jeszcze raz zerknęła na faks i zadzwoniła. Był podpisany przez samego ministra sprawiedliwości, ale proszono, by zatelefonowała do sekretarza stanu.

Miał głęboki, przyjemny głos. Pochodził z Oslo, ale specyficznie akcentował poszczególne słowa, przez co jego głos stawał się wyjątkowy i łatwo rozpoznawalny, niemal śpiewny.

Nie zaproponował kolacji ani nawet nędznego lunchu. Mówił krótko i bez zaangażowania. Przepraszał za kłopot. To minister nie daje mu spokoju. Czy możliwa byłaby krótka orientacja? Prasa zaczęła naciskać. Chętnie widziałby spotkanie z nią, ewentualnie z szefem wydziału. Ale nie kolację.

No cóż. Skoro był tak odpychający, nie będzie mu dłużna.

- Mogę przefaksować postanowienie o przedstawieniu zarzutów.

- W porządku - odparł i ku jej rozczarowaniu nawet nie wdał się w dyskusję. - Mnie, powiem szczerze, mało to obchodzi. Ale nie przychodź do mnie po pomoc, kiedy minister naprawdę się uprze. Umywam ręce. Do widzenia.

W milczeniu wpatrywała się w słuchawkę. Całkowita klęska. Wobec tego nie dostanie ani jednej informacji. Ani jednej pie-przonej informacji!

Środa, 25 listopada

Odgłos był tak nieoczekiwany, że zaskoczona prawie spadła z łóżka. Wciąż czytała, chociaż dochodziła już druga w nocy. Nie dlatego, by książka aż tak ją wciągnęła, tylko dlatego, że przespała jak kamień trzy godziny po obiedzie. Na nocnym stoliku, który wieki temu sama własnoręcznie zbiła, stały świeca i kieliszek z czerwonym winem. Butelka była w połowie opróżniona. Karen Borg była w połowie pijana.

Wstała i uderzyła głową o ukośny sufit nad łóżkiem. Nie zabolalo ją zbyt mocno. Komórka łądowała się w gniazdku przy drzwiach, podniosła ją i dopiero wróciwszy pod kołdrę, odebrała połączenie.

- Cześć, Håkon - powiedziała, zanim usłyszała, kto dzwoni. Trochę ryzykowała, bo mógł też telefonować Nils, ale instynkt jej nie zawiódł.

- Cześć - usłyszała niepewny głos na drugim końcu. - Jak się miewasz?

- A ty? - odparowała. - Co powiedzieli w sądzie okręgowym?

A więc wiedziała.

- Nie skończyli dzisiaj, a raczej wczoraj. Ciągłe jest nadzieja. Za kilka godzin znów będzie dzień pracy, a wtedy postanowienie najpewniej wydadzą bardzo szybko. Całkiem po prostu nie mogę spać.

Pół godziny zajęło mu wyjaśnienie, co się wydarzyło. Nie ukrywał też swojego marnego wkładu pracy.

- Na pewno nie było aż tak źle - odparła Karen bez przekonania. - Przecież mimo wszystko udało ci się przekonać sędziego do aresztowania Lavika.

- No tak, przynajmniej na chwilę - mruknął. - Jutro wszystko pójdzie w diabły. Na pewno. A co wtedy zrobimy, nie mam pojęcia. Poza tym wplątałem cię w złamanie przepisów prawa.

- O to możesz być spokojny - oświadczyła. - Przemysślałam to sobie z góry i nawet długo na ten temat dyskutowałam z moim najbardziej doświadczoneym i najmądrzejszym kolegą z kance-

larii.

Håkon miał ochotę wspomnieć, że sędziemu w zasadzie też nie brakowało doświadczenia, a i Christian Bloch-Hansen również nie był nowicjuszem w dziedzinie prawa karnego, natomiast jeśli chodziło o kompetencje Greveruda i jego partnerów w tej dziedzinie, miał o wiele większe wątpliwości. Ugryzł się jednak w język. Skoro ona się nie martwi, to tylko lepiej.

- Dlaczego nie uprzedziłaś, że wyjeżdżasz? - spytał nagle z wyrzutem.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Sama nie bardzo to rozumiała. Ani dlaczego nie dała znać, ani dlaczego nie umie teraz nic powiedzieć. Dlatego milczała.

- Czego ty właściwie ode mnie chcesz? - pytał dalej Håkon, sprowokowany jej milczeniem. - Czuję się jak jo-jo. Wydajesz mi nakazy i zakazy, a ja staram się jak najlepiej im sprostać. Ale ty sama tego nie robisz. Co ja mam o tym myśleć?

Nie było żadnych jasnych odpowiedzi. Karen wpatrywała się w niewielką litografię zawieszoną nad łóżkiem, jak gdyby rozwiązanie zagadki ukryło się w szaroniebieskim krajobrazie. Ale tak nie było. Nie potrafiła sobie z tym poradzić. Nie miała siły dłużej z nim rozmawiać. Zamiast mu o tym powiedzieć, wcisnęła przycisk kończący rozmowę. Kiedy go puściła, wszystkie oskarżenia zniknęły.

Został tylko uspokajający lekki szum, który mieszał się z ciężkim oddechem boksera leżącego na szmacianym chodniku.

Telefon odezwał się żalonym dźwiękiem. Zadzwonił co najmniej dziesięć razy, nim w końcu odebrała.

- No dobrze - oświadczył głos z bardzo daleka. - Nie musimy rozmawiać o nas. Po prostu mnie informuj, kiedy będziesz miała ochotę. W każdej chwili.

Sarkazm nie przedarł się przez cienką ochronną warstwę spowijającego ją alkoholu.

- Rzecz w tym, że potrzebne nam jest jeszcze jedno przesłuchanie. Mogłabyś wybrać się do miasta?

-Nie, nie chcę. Nie mogę. To znaczy... Po prostu nie mam siły. Wzięłam dwutygodniowy urlop i nie zamierzam spotykać

się z nikim oprócz staruszka z wiejskiego sklepiku. Bardzo cię proszę, oszczędź mi tego.

Pełne rezygnacji westchnienie nie zniknęło, przemieszczając się przez sto dwadzieścia kilometrów niewidzialnych kabli. Karen nie miała siły ustosunkowywać się również do niego. I tak zrobiła w tej okropnej sprawie więcej, niż do niej należało. Teraz pragnęła o tym wszystkim zapomnieć. Zapomnieć o nieszczęsnym Holendrze, o straszliwie zmasakrowanych zwłokach, o narkotykach, zabójstwach i wszelkiej marności świata. Pragnęła myśleć wyłącznie o sobie i swoim życiu. To i tak aż za dużo. O wiele za dużo.

Po chwili zastanowienia Håkon zaproponował inne rozwiązanie.

- Wobec tego przyślę do ciebie Hanne Wilhelmsen. W piątek. Odpowiada ci to?

Piątek absolutnie jej nie odpowiadał. Ani czwartek, ani sobota. Ale skoro alternatywą miał być wyjazd do Oslo, musiała się zgodzić.

- No dobrze - powiedziała. - Drogę znasz. Powiedz, że zaznaczę zjazd norweską flagą, dzięki temu nie zabłądzi.

Oczywiście że znał tę drogę. Był tam ze cztery czy pięć razy, razem z różnymi chłopakami Karen. Niejedną noc musiał przespać z zatyczkami w uszach, żeby uwolnić się od sprawiających mu ból odgłosów dochodzących z sąsiedniego pokoju, od miłosnych westchnień i trzeszczenia łóżka. Cierpliwy jak pies kulił się na wąskim materacu, wpychając wosk w uszy tak głęboko, że następnego dnia rano miał kłopoty z jego wyciągnięciem. Nigdy za dobrze się nie wyspał w domku rodziców Karen Borg. Ale wiele razy za to jadł tam samotne śniadanie.

-Wobec tego poproszę, żeby była u ciebie koło dwunastej. Życzę ci dobrej nocy.

To nie była dobra noc. Dlatego nie mogła nią być nadal. Ale dla Håkona stała się lepsza, kiedy Karen zakończyła rozmowę słowami:

- Nie rezygnuj ze mnie, Håkon. Dobranoc.

Piątek, 27 listopada

Nie było sensu nawet próbować starać się o zwrot kosztów podróży. Dwieście czterdzieści kilometrów w niewygodnym służbowym samochodzie bez radia i ogrzewania stanowiło perspektywę tak mało kuszącą, że postanowiła wziąć własne auto. Wniosek o zwrot za benzynę musiałby przejść przez milion instancji, i to najprawdopodobniej z negatywnym skutkiem.

Tina Turner nieco za głośno wrzeszczała „*We don't need another hero*”¹¹. No i dobrze. Nie czuła się zbyt bohatersko. Sprawa utknęła w miejscu. W sądzie okręgowym przyklepano zwolnienie Rogera, a okres aresztowania Lavika skrócono do marnego tygodnia. Pierwsza radość wywołana tym, że również sąd okręgowy dostrzegł powody, by Lavika uważać za łotra, ustąpiła po kilku godzinach. Pesymizm paskudnie zachichotał z kąta i w krótkim czasie zdołał ovladnąć wszystkimi. Z tego choćby powodu wyrwanie się na jeden dzień było cudowne. Kiedy w żłobie pusto, konie się gryzą; wszyscy w wydziale kąsali się nawzajem. Wyznaczony termin poniedziałkowego przedpołudnia wyrastał przed wszystkimi jak ściana, na którą nikt nie miał sił się wspiąć. Na porannej odprawie

- Hannę wzięła w niej udział, zanim wsiadła do samochodu - jedynie Kaldbakken i Håkon przejawiali wiarę, że wciąż mają jakąś szansę. Ze strony Kaldbakkena było to dość szczere. On się nigdy nie poddawał, dopóki nie usłyszał gwizdka. Optymizm Håkona przypominał raczej grę pod publiczność. Prokurator miał czerwone oczy i ściągniętą twarz, wyraźnie też schudł. Z tym akurat było mu do twarzy

Sprawą zajmowało się teraz łącznie czternastu śledczych, w tym pięciu z wydziału narkotykowego. Równie dobrze mogło ich być stu. Zegar i tak nieubłaganie cykał, zbliżając się do poniedziałku, bezlitosnego terminu wyznaczonego przez trzech

11 Nie potrzebujemy kolejnego bohatera.

staruszków z sądu okręgowego. Postanowienie było brutalne. Jeśli policja do tego czasu nie zdobędzie nic nowego, Lavik znów stanie się wolnym człowiekiem. Badania dowodów rzeczowych, protokoły z sekcji zwłok, wykazy wyjazdów zagranicznych, zniszczony zimowy but, niezrozumiałe szyfrowane informacje, wyniki analizy narkotyków znalezionych u Frøstrupa - wszystkie te dokumenty leżały w centrum dowodzenia niczym fragmenty rzeczywistości, o której wyglądzie mieli pojęcie aż za dobre, lecz których nie dało się poskładać w taki sposób, by przekonać do nich kogoś jeszcze. Analiza pisma złowieszczej groźby przeznaczonej dla van der Kercha również nie przyniosła jednoznacznej odpowiedzi. Do porównania mieli kilka notatek z kancelarii Lavika, a także kartkę, na której musiał napisać to samo zdanie. Adwokat, pozornie zdezorientowany i błądzący, zgodził się na to pisanie bez protestów. Tymczasem biegły grafolog miał wątpliwości. Uważał, że tu i ówdzie dostrzega podobieństwa, skonkludował jednak, że nie jest możliwe stwierdzenie tego z całą pewnością. Jednocześnie podkreślił, że nie wyklucza, że to Lavik napisał tę krótką notkę. Mógł zachować czujność i specjalnie zmienić charakter pisma. Wskazywał na to maleńki haczyk na górze „t” i dziwaczny zawijas przy „m”. Ale czy to miało jakąkolwiek wartość dowodową? Ależ skąd.

Jechała szosą europejską przez Sandefjord. W listopadowej mgle letni kurort nie wydawał się równie atrakcyjny. Miasto jakby zapadło w śpiączkę, jedynie z rzadka pojawiał się jakiś po jesiennemu ubrany uparciuch, wędrujący na przekór wiatrowi i deszczowi. Wiało tak mocno, że Hannę kilka razy musiała solidnie trzymać kierownicę, bo podmuchy szarpały samochodem, grożąc zepchnięciem go do rowu.

Po piętnastu minutach jazdy krętą drogą, od której można było dostać mdłości, dojrzała małą flagę. Niczym uparty hołd dla ojczyzny gniewnie uderzała czerwienią, bielą i błękitem o pień drzewa, który pozostawał niewzruszony. To dopiero sposób na oznakowanie leśnej ścieżki! Z jakiegoś powodu Hannę uznała wystawienie barw narodowych na siły natury za ich zbezczeszczenie, dlatego zatrzymała się, żeby

zdjąć flagę i zabrać ją do ciepłego wnętrza.

Prawie jej nie poznała. Karen Borg miała na sobie stary dres, niebieski z białymi pasami, które zaczynały się na ramionach i stykały na piersi, kończąc ostrym szpicem. Hanne Wilhelmsen na ten widok nie mogła powstrzymać uśmiechu. Jako dziewczynka miała identyczny. Służył jej jako strój do zabawy, do ćwiczeń i jako piżama, dopóki nie rozpadł się ze starości, a drugiego takiego nigdzie nie dało się znaleźć.

Na nogi Karen Borg włożyła znoszone wełniane kapcie z dziurami na piętach. Sprawiała wrażenie nieuczesanej, nie miała też makijażu. Piękna wypielęgowana prawniczka gdzieś się schowała. Hannę przyłapała się na tym, że rozgląda się po pokoju, szukając tamtej kobiety.

- Przepraszam za ten strój - uśmiechnęła się Karen. - Ale swoboda polega między innymi na tym, że można tak wyglądać.

Zaproponowała Hannę kawę, ale ta odmówiła. Może trochę wody z sokiem. Przez pół godziny siedziały, rozmawiając tak o niczym. Policjantka obejrzała domek i wyraziła głośno wielki podziw. Sama nigdy nie była związana z żadnym miejscem na wsi, rodzice woleli spędzać wakacje za granicą. Inne dzieci jej tego zazdrościły, ale ona sama chętnie zamieniłaby się na dwa miesiące spędzane na wsi u babci. Hannę miała jednak tylko jedną babcię, zgasiła gwiazdę sceny, alkoholicką mieszkającą w Kopenhadze.

W końcu zasiadły przy kuchennym stole. Hannę wyciągnęła z szarego pudła przenośną maszynę do pisania i przygotowała się do przesłuchania. Trwało cztery godziny. Na trzech stronach Karen Borg zeznawała na temat stanu psychicznego swojego klienta, jego stosunku do niej, mówiła też, jak rozumiała życzenia chłopaka. Dalej następowało pięć stron opisu konkretnych sytuacji, ogólnie zbieżnego z poprzednimi zeznaniami. Wszystkie kartki zostały starannie podpisane na marginesie i na samym dole ostatniej strony.

Było już popołudnie. Hannę z wahaniem spojrzała na zegarek, nim po chwili namysłu przyjęła propozycję zjedzenia obiadu. Była głodna jak wilk i szybko policzyła, że zdąży zjeść, a

jednocześnie wróci do miasta przed ósmą.

Jedzenie nie było szczególnie wyrafinowane. Klopsiki z renifera w sosie z puszki z ziemniakami i sałatką z ogórków, która zdaniem Hannej ani trochę do tego nie pasowała. Ale przynajmniej się najadła.

Karen włożyła olbrzymi żółty sztormiak i wysokie zielone kalosze, żeby odprowadzić policjantkę do samochodu. Przez chwilę stały, rozmawiając o okolicy, zanim Karen Borg impulsywnie uściskała Hannej, życząc jej szczęśliwej podróży. Policjantka odpowiedziała uśmiechem i życzeniami dalszego udanego urlopu.

Potem uruchomiła samochód, włączyła ogrzewanie, Bruce'a Springsteena na pełne gardło i ruszyła wyboistą drogą. Karen Borg długo stała, machając. W lusterku Hannej widziała, jak żółta postać robi się coraz mniejsza, aż w końcu po ostrzejszym zakręcie zniknęła. A więc, pomyślała z szerokim uśmiechem, to jest ta wielka miłość Håkona Sanda. Świetnie go rozumiała.

Sobota, 28 listopada

- A słyszeliście o tym facecie, który przyszedł do burdelu bez pieniędzy i którego w końcu zaprowadzono do starej Olgi, żeby zobaczyć pingwina?

- Taaak - jęknęli pozostali, więc dowcipniś z powrotem opadł na krzesło i niechętnie dopił resztę czerwonego wina. Był to już czwarty nieprzyzwoity kawał, który próbował opowiedzieć. Cisza nie trwała jednak długo. Dolał sobie wina, wysunął pierś i spróbował jeszcze raz:

- A wiecie, co mówią dziewczyny, kiedy dostają dużego, pięknego...

- Wiemy - zawołali chórem i mężczyzna znów musiał zamknąć usta.

Hannę wychyliła się przez stół i pocałowała go w policzek.

- Daj sobie spokój z tymi dowcipami, Gunnar. One naprawdę nie są aż tak zabawne, kiedy się je słyszało już kilka razy.

Z uśmiechem pogładziła mężczyznę po włosach. Znali się od trzynastu lat. Gunnar był łagodny jak jagnię, głupszy, niż przewidywała ustawa, i najbardziej troskliwy ze wszystkich ludzi, jakich знаła. Nie dorównywał intelektem innym przyjaciółom Hanne i Cecilie, ale mimo wszystko był serdecznie kochany przez gospodynię i zawsze obecny, niemal jak mebel. Spośród wszystkich właśnie on najbardziej zasługiwał na określenie „stary przyjaciel domu”. Był ich sąsiadem przez ścianę, a jego mieszkanie wyglądało strasznie. Kompletnie nie miał gustu, porządkami domowymi za bardzo się nie przejmował i uważał, że o wiele przyjemniej jest zapaść się w głębokim fotelu u sąsiadek, niż spędzać wieczór we własnym brudnym gnieździe.

Zaglądał do nich co najmniej dwa razy w tygodniu i był oczywiście wistym gościem na każdym przyjęciu.

Mimo męczącego Gunnara i jego dowcipów wieczór zapowiadał się znakomicie. Po raz pierwszy od znalezienia zmaltretowanych zwłok bez twarzy nad rzeką Aker Hannę się odprężyła. Dochodziło już wpół do dwunastej, a sprawa od

dwóch godzin była bladym, zapomnianym duchem. Może to alkohol działał tak miłosiernie. Po blisko dwóch miesiącach całkowitej abstynencji pięć kieliszków czerwonego wina wystarczyło, by przyjemnie zaszumiło jej w głowie i żeby stała się czarująco uwodzicielska. Porozumiewawczy dotyk nóg Cecilie kazał jej się zastanawiać, czy nie zakończyć imprezy. Prawdopodobnie jednak nic by z tego nie wyszło, bo wszyscy goście bawili się świetnie, a poza tym sama czuła się tak przyjemnie.

Wtedy zadzwonił telefon.

- To do ciebie! - krzyknęła Cecilie z korytarza.

Hannę wstała i potykając się o własne nogi, z chichotem poszła się dowiedzieć, kto ośmiela się dzwonić o północy w sobotę. Zamknęła za sobą drzwi do salonu, wciąż dostatecznie trzeźwa, by zauważyć wyraz rezygnacji na twarzy partnerki. Cecilie lewą ręką zakrywała słuchawkę.

- Dzwonią z pracy. Naprawdę się pogniewam, jeśli teraz wyjdiesz. - Z wyrzutem podała Hannę słuchawkę.

- Nie uwierzysz, ale mamy tego faceta, Hannę.

To był Billy T. Hannę potarła nos, żeby trochę rozjaśniło jej się w głowie, ale bez specjalnego efektu.

-Jakiego faceta? Kogo złapałeś?

- No, tego od buta. Wszystko się zgadza. Omal nie pękł ze strachu jak przejrzały pomidor.

To nie mogła być prawda. Hannę nie chciała w to wierzyć. Przecież już uznali, że cała ta sprawa nadaje się do wrzucenia do kibla i spuszczenia po niej wody. Tymczasem wydarzyło się coś takiego. Może przełom? Żywa, zatrzymana, zamieszana osoba. Ktoś, kto będzie mógł powiedzieć coś konkretnego. Kogo będą mogli przycisnąć. Kto może pchnąć Lavika w to samo błoto, w którym pływali się policja w ostatnich dniach. Donosiciel. Dokładnie ktoś taki, kogo potrzebowali.

Kręcąc głową, spytała, czy Billy T. mógłby po nią przyjechać. Prowadzenie samochodu nie wchodziło przecież w grę.

- Będę u ciebie za pięć minut.

- Za kwadrans. Muszę najpierw wziąć prysznic.

Czternaście minut później całowała przyjaciół na

pożegnanie,

przykazując im, żeby nie wychodzili przed jej powrotem. Cecilie odprowadziła ją do drzwi. Odsunęła się, kiedy Hannę chciała ją objąć.

- Czasami nienawidzę tej twojej pracy - powiedziała z powagą.

- Nie za często, ale czasami tak.

-A kto siedział sam jak palec przez tyle wieczorów w jakiejś zapomnianej przez Boga dziurze w Nordfjorcl, kiedy byłaś na stażu? Kto miał piętnaście ton cierpliwości, gdy przez cztery lata miałaś wieczorne i nocne dyżury w szpitalu Ullevål?

- Ty - odparła Cecilie niechętnie, ale uśmiechnęła się łagodząco. Mimo wszystko pozwoliła się uściskać.

- On jest czysty jak noworodek. Nie ma nawet jednego cholernego mandatu za przekroczenie prędkości. - Brudne palce tańczyły po kartce, która mogłaby być wyciągiem z kartoteki karnej samego premiera. - Kompletnie nic. A w takim razie - Billy T. uśmiechał się od ucha do ucha - przy takiej czystej kartotece będzie musiał wymyślić jakąś cholernie dobrą wymówkę na to, dlaczego groził bronią palną policjantowi na ulicy. I dlaczego teraz trzęsie się jak galareta.

Miał rację. Z reakcji na zatrzymanie dało się wiele wyczytać. Niewinni, rzecz jasna, też się bali, ale to był zawsze lęk, nad którym dawało się zapanować. Emocje wyciszała informacja, że jeśli cała sprawa jest nieporozumieniem, wkrótce się zakończy. Uspokojenie osoby niewinnej nie trwało nigdy dłużej niż kwadrans, a według Billy'ego T. zatrzymany był śmiertelnie przerażony już od dwóch godzin.

Rozpoczynanie przesłuchania natychmiast w nocy nie miało sensu. Hannę nie była trzeźwa, a i więźniowi poczekanie mogło dobrze zrobić. Prokurator zarzucił mu groźenie bronią policjantowi, to wystarczyło, by zatrzymać go do poniedziałku.

-Jak go znalazłeś?

- Nie ja, tylko Leif i Ole. Trudno o więcej szczęścia. Nie uwierzysz.

- Spróbuj.

-Jest taki facet, którego od dawna obserwujemy. Nigdy nie na niego nie mieliśmy, student medycyny z eleganckimi zwyczajami. Mieszka ładnie i elegancko na Røa, w ładnym i eleganckim niskim bloku, jeździ trochę zbyt ładnym i eleganckim samochodem i otacza się niezbyt eleganckimi, za to ładnymi kobietami. Chłopcy dowiedzieli się, że powinien mieć u siebie w mieszkaniu całkiem niemałą partię narkotyków, więc postanowiliśmy to sprawdzić. Trafienie w sam środek tarczy. Cztery gramy, a na dodatek spora partia haszyszu. Ole zrozumiał, że nie zdąży do domu, tak jak się umówił z żoną, bo przeszukanie całego mieszkania wymagało i ludzi, i czasu. Facet, o dziwo, nie miał jednak telefonu, więc Ole poszedł do sąsiada, mniej więcej trzydziestolatka, a dokładnie rzecz ujmując, urodzonego w 1961 roku. - Palce znów zatańczyły na wydruku ze Strasak, policyjnego archiwum spraw karnych. - Oczywiście, że to nieprzyjemne, kiedy policja dzwoni do drzwi o wpół do dziesiątej wieczorem, ale nie na tyle straszne, żeby cię sparaliżowało i żebyś zatrzasnęła drzwi przed funkcjonariuszem.

Hanne Wilhelmsen ani trochę nie dziwiło, że ktoś zatrzasnął drzwi przed Olem Andresenem. Facet miał włosy do pasa i chwalił się, że myje je co dwa tygodnie, „choć wcale nie są brudne”. Uczesane z przedziałkiem jak u hippisa, któremu udało się przeżyć do tej pory, a zza zasłony włosów sterczał niewiarygodnie wielki przyszczaty nos i broda, której pozazdrościłby mu Karol Marks. Przestraszyć się go można, uznała w myślach, ale mądrze to przemilczała.

-I to była najgłupsza rzecz, jaką mógł zrobić. Ole zadzwonił jeszcze raz i facet po prostu musiał otworzyć. Miał jednak kilka chwil tylko dla siebie w mieszkaniu, a fantastyczne jest to, że kiedy otworzył drugi raz...

Billy T. wybuchnął śmiechem. Zanosił się coraz głośniejszym i głośniejszym śmiechem. Hannę w końcu też zaczęła się śmiać, chociaż nie miała pojęcia, co może być aż tak komiczne. Billy T. wreszcie się opamiętał.

- Kiedy facet otworzył drzwi, trzymał ręce podniesione do góry!

I znów wybuchnął śmiechem. Teraz Hannę już szczerze mu

wtórowała.

- Ręce do góry, jak na filmie! I zanim Ole zdążył cokolwiek powiedzieć, facet stanął na szeroko rozstawionych nogach z rękami opartymi o ścianę. Ole nic z tego nie rozumiał, ale przecież jest w branży dostatecznie długo, żeby pojąć, że coś nie gra. A na półce na buty stał nasz zaginiony but. Ole miał przy sobie kopię zdjęcia i porównał, wszystko się idealnie zgadzało. Facet stał pod ścianą i płakał z rękami przyklepionymi do tapety.

Oboje zaśmiewali się do łez.

-A Ole chciał jedynie skorzystać z telefonu!

Właściwie nie mieli z czego aż tak się zaśmiewać, ale była noc, a oni czuli ulgę. Ogromną ulgę.

- A oto co jeszcze znaleźli w tym mieszkaniu - powiedział Billy T. i schylił się do torby.

Rzucił na biurko pistolet małego kalibru, a zaraz za nim znoszony zimowy but w rozmiarze czterdzieści cztery.

- To nie jest powód, żeby tak się roztrząść - orzekła Hanne.

- On na pewno może nam pomóc jeszcze w inny sposób.

- Zaserwuj mu jutro specjalność Hanne Wilhelmsen. A teraz wracaj do domu i baw się dalej.

I właśnie to zrobiła.

Niedziela, 29 listopada

- Galareta, liście osiki, co sobie życzysz. Trzęsiesz się tak cholernie, że jeżeli nie przedstawiś zaświadczenia lekarskiego, że cierpisz na chorobę Parkinsona w zaawansowanym stadium, będę twierdzić, że jesteś bliski zsikania się ze strachu.

Być może nie powinna tego mówić, bo w tej właśnie chwili pod siedzeniem pojawiła się kałuża, która powoli rosła, aż objęła w końcu wszystkie cztery nogi krzesła. Hannę głośno westchnęła, otworzyła okno, postanawiając, że facet przez jakiś czas posiedzi w mokrych spodniach. Zaczął też popłakiwać. Żalotne łkanie nie wywołało w niej żadnego współczucia, przeciwnie, mocno ją zirytowało.

- Przestań się mazać! Nie mam zamiaru cię zabić.

Zapewnienie w niczym nie pomogło. Dalej szlochał bez łez, prowokująco, jak zagniewany zbuntowany trzylatek.

- Mam szerokie uprawnienia - skłamała Hannę. - Bardzo szerokie. Nieźle wpadłeś. Ale przy odrobinie dobrej woli z twojej strony możesz poprawić swoją sytuację. Trochę elastyczności, trochę informacji. Jakie związki utrzymujesz z adwokatem Jørgenem Lavikiem?

Pytała go o to już po raz dwunasty i tym razem też nie miała szczęścia. Z rezygnacją przekazała go Kaldbakkenowi, który do tej pory milczący siedział w kącie. Może jemu uda się coś z niego wyciągnąć. Chociaż, prawdę mówiąc, nie bardzo w to wierzyła.

Håkon, tak jak się spodziewała, popadł w przygnębienie, kiedy zdała mu relację. Mogło się wydawać, że facet z Røa woli narazić się na piekielne męki niż na represje ze strony Lavika i jego organizacji, a w takiej sytuacji policja nie miała już tej przewagi, z której Hannę i Billy T. tak bardzo cieszyli się w nocy. Ale bitwa nie była jeszcze przegrana.

Pięć godzin później już była. Kaldbakken tupnął nogą. Zostawił popłakującego więźnia i wyciągnął Hannę na korytarz.

- To nie może dłużej trwać - powiedział cicho, z jedną ręką na klawisze, jakby chciał mieć pewność, że nikt jej nie ukradnie.

- On jest śmiertelnie zmęczony, powinien odpocząć. Poza tym musi obejrzeć go lekarz. To drżenie nie jest naturalne. Spróbujemy jutro.

-Jutro może być za późno.

Sierżant Wilhelmsen była zrozpaczona, ale to niczego nie zmieniło. Kiedy Kaldbakken już raz podjął decyzję, nic go nie wzruszało.

To Hannę musiała przekazać złe wieści Håkonowi. Przyjął je bez słowa. Hannę nie bardzo wiedziała, co robić, w końcu uznała, że najlepiej będzie, jeśli zostawi go samego.

- A tak w ogóle to włożyłam zeznania Karen do twojej teczki z aktami - powiedziała na odchodne. - W piątek nie zdążyłam zrobić kopii. Możesz się tym zająć przed wyjściem? Ja już idę. Dzisiaj pierwsza niedziela adwentu.

Ta ostatnia uwaga miała być wytłumaczeniem, ale Håkon zbył ją machnięciem ręki. Kiedy drzwi zamknęły się za Hannę, opadł na biurko, wspierając głowę na rękach.

Był śmiertelnie zmęczony. Chciał wracać do domu.

Głupio się stało, że zapomniał skopiować protokół z przesłuchania. Przypomniał sobie o tym dopiero w samochodzie, w połowie drogi do domu. Trudno, to mogło poczekać do jutra.

Mimo że zbliżał się do wieku emerytalnego, poruszał się zwinnie jak sportowiec. Była czwarta w nocy z niedzieli na poniedziałek, pora, gdy dziewięćdziesiąt pięć procent społeczeństwa śpi. W holu olbrzymia choinka mrugała światłkami, pewnie żeby nie zasnąć. Zza szklanej ściany Dyżuru Kryminalnego lekko biła niebieskawa poświata, oprócz tego było ciemno. Gumowe podeszwy nie wydawały żadnego odgłosu, kiedy biegł korytarzem, ściskając imponujący pęk kluczy. Pod drzwiami pokoju Håkona Sanda szybko odnalazł właściwy klucz, sekundę później już zamykał za sobą drzwi i wyjmował ciężką latarkę w gumowej oprawce. Strumień światła był wyjątkowo mocny, na moment wręcz go oślepił.

Wszystko szło aż zbyt gładko. Teczka leżała na biurku, a pro-

tokół z przesłuchania, o który mu chodziło, znalazł na samym wierzchu. Prędko przejrzał pozostałe dokumenty, ale najwyraźniej więcej kopii nie sporządzono. Przynajmniej nie do tych akt. Oświetlił latarką kartki. To był oryginał! Prędko je złożył i wsunął do głębokiej wewnętrznej kieszeni obszernej tweedowej marynarki. Rozejrzał się pospiesznie, sprawdzając, czy wszystko wygląda tak jak wtedy, gdy przyszedł, po czym skierował się do wyjścia, zgasił latarkę, wymknął się na korytarz i zamknął drzwi na klucz. Nieco bardziej w głębi korytarza otworzył kolejne drzwi. Także na tym biurku akta sprawy leżały na wierzchu, otwarte, rozłożone na dwie nieporządne kupki, jakby zasnęły, wycieńczone powagą sprawy. Szukanie zajęło więcej czasu. Protokołu z przesłuchania nie było w miejscu, w którym powinien być. Szukał więc dalej. Ponieważ jednak nigdzie nie znalazł tego ośmiostronicowego dokumentu, zaczął systematycznie sprawdzać w innych miejscach.

Po piętnastu minutach zrezygnował. Nie mogła istnieć żadna kopia. Według otrzymanych relacji Hanne Wilhelmsen wróciła do pracy dopiero około wpół do ósmej w piątek. Możliwe, że nie miała ochoty czekać dwadzieścia minut, jakich ta sieczkarnia uchodząca za kopiarkę potrzebowała na to, żeby się nagrzać.

Teorię wzmocniło przeszukanie trzeciego, ostatniego pokoju, gabinetu Kaldbakkena. Skoro ani Wilhelmsen, ani komisarz nie mieli kopii, to najprawdopodobniej dokument istniał jedynie w oryginale. A ten znajdował się teraz w jego kieszeni.

Kilka minut później już go tam nie było. Najpierw trafił do niszcarki, skąd wyszedł w postaci suchego poszarpanego pęku spaghetti. Później przez chwilę poleżał na miseczce, ale zaraz płomienie unicestwiły go całkowicie. Szczątki zostały zebrane w kawałek papieru toaletowego i spuszczone w ubikacji. Toaleta znajdowała się w głębi najmniej widocznego korytarza w budynku policji. Mężczyzna z Policyjnych Służb Bezpieczeństwa usunął z sedesu ostatnie drobniutkie fragmenty sadzy.

I tak oto deszczowa wyprawa Hanne Wilhelmsen do Vestfold odbyła się kompletnie na próżno.

Wróciwszy do swojego biura, mężczyzna wyjął komórkę i wybrał numer jednego z dwóch mężczyzn, z którymi kilka dni wcześniej spotkał się na Platous gate.

- Zrobiłem, co mogłem - powiedział cicho, jakby z szacunku dla uśpionego budynku. - Zeznanie Karen Borg zostało usunięte z akt sprawy. Parszywe jest robić coś takiego kolegom. Dalej radźcie sobie sami.

I nie czekając na odpowiedź, przerwał rozmowę. Podeszedł do okna i przez chwilę stał wpatrzony w Oslo. Miasto rozciągało się ociężałe i zmęczone, jak stary, śpiący wieloryb upstrzony błędnymi ognikami. On sam też był stary i zmęczony. Od lat tak się nie czuł. Po chwili oczy wypełniły mu się piaskiem i musiał je zmrużyć, by powstrzymać światełka mrugające daleko, daleko w dole. Westchnął. Położył się na dość niewygodnej kanapie w oczekiwaniu na kolejny dzień pracy. Zanim zasnął, jeszcze raz powtórzył w myślach: parszywe jest robić coś takiego kolegom.

Poniedziałek, 30 listopada

- Nic dziwnego, że tak długo uchodziło im to na sucho. Trzymają swoich ludzi w szachu. Jeszcze nigdy się z czymś takim nie zetknąłem. Naprawdę niesłychane. Nadal nic nie chce powiedzieć?

Kaldbakken był szczerze zdumiony. Wcześniej przez sześć lat pracował w wydziale narkotyków, wiedział, o czym mówi.

- Tak naprawdę to nie mamy na niego nic poważnego - stwierdziła Hanne Wilhelmsen. - Grożenie bronią funkcjonariuszowi publicznemu na służbie kwalifikuje się jedynie na krótkie ferie w celi. Pod tym względem facet może więcej zyskać, trzymając gębę na kłódkę. Wprawdzie wydaje się do obłędu wystraszony, ale nie na tyle, żeby nie umieć trzeźwo kalkulować. Wykazał sporo sprytu, przyznając się, że to on celował do Billy'ego T. Będziemy musieli go dzisiaj wypuścić. Nie ma podstaw, żeby go zatrzymać. Trudno mówić o zacieraniu dowodów, skoro się przyznał.

Oczywiście mogli go śledzić, mieć na oku przez kilka dni. Ale jak długo? Obserwacja Rogera z Sagene już i tak pochłaniała ludzi i środki. Gdyby Lavik dzisiaj wyszedł, całkiem po prostu mogliby mieć problemy z obsadą. Przez krótki czas dałoby się jakoś to rozwiązywać, ale ci chłopcy z pewnością nie zrobią nic złego przez najbliższe dni czy nawet tygodnie. Prawdopodobnie upłyną miesiące, zanim podejmą jakieś interesujące dla policji działania. Ale wtedy policja nie będzie nic o nich wiedzieć. Nie z braku zainteresowania, po prostu budżet nie pozwoli na taką ekstrawagancję. Nawet w sprawie o takich rozmiarach. Cholerny los, jak zawsze.

Håkon nic nie mówił. Popadł w apatię. Bał się, było mu przykro i czuł się rozczarowany. Siwe skronie jeszcze bardziej posiwiały, kwaśne odbicia stały się jeszcze kwaśniejsze, a lepkie dłonie jeszcze bardziej się kleiły. Teraz miał tylko zeznanie Karen. Wątpliwe, by wystarczyło. Z rezygnacją wstał i bez słowa wyszedł z zebrania. Została po nim dławiąca cisza.

Protokołu z przesłuchania nie było tam, gdzie go położył. W roztargnieniu zaczął wyciągać szuflady. Czyżby wetknął go do którejś? Nie, w szufladach leżały jedynie jakieś sprawy bez znaczenia, które tak się zestarzały, że usiłował wyrzucić je z sumienia, usuwając z zasięgu wzroku.

Protokołu nie było. Dziwne, dobrze wiedział, że właśnie tu go zostawił - na wierzchu całego pliku dokumentów. Z głęboką zmarszczką między oczami wrócił myślą do poprzedniego dnia. Miał zrobić kopię. Zapomniał o tym. A może jednak poszedł do pomieszczenia, w którym stała kopiarka?

Postanowił sprawdzić.

Maszyna pracowała, a krępa urzędniczka w wieku około sześćdziesięciu lat zapewniła go, że kiedy przyszła, niczego nie znalazła. Dla pewności zajrzał za kopiarkę i pod nią, ale protokół nigdzie nie leżał.

Hannę także go nie zabrała. Kaldbakken już pytał o swój egzemplarz i wzruszając ramionami, przysięgał, że nie widział go na oczy.

Håkon zdenerwował się nie na żarty. Dokument jako jedyny dawał nadzieję na przedłużenie aresztu Lavika. Wczoraj przed pójściem do domu czerwonymi ze zmęczenia oczami przebiegł go wzrokiem. Zeznania były dokładnie takie, jakich pragnął. Przekonujące i dobrze napisane. Ale gdzie się, u diabła, podziały?

Najwyższa pora wszcząć alarm. Było wpół do dziesiątej, do dwunastej wniosek o przedłużenie tymczasowego aresztowania powinien być gotowy i przekazany do sądu. Właściwie posiedzenie sądu powinno się odbyć wpół do dziewiątej rano, ale Christian Bloch-Hansen już w piątek poprosił o kilkugodzinne przesunięcie. Adwokat miał przed południem rozprawę, a nie chciał na tak ważne posiedzenie wysyłać aplikanta.

Policji bardzo to odpowiadało. Zostało im jeszcze dwie i pół godziny. W zasadzie tylko tyle, ile potrzeba, by przedyskutować wniosek i dostarczyć go do sądu. Na żadne poszukiwania nie było już czasu. Ale bez tych zeznań nie będzie aresztowania.

O wpół do jedenastej poszukiwania zostały odgwizdane. Pro-

tokół z przesłuchania zapadł się pod ziemię. Przygnębiona Hanne wzięła całą winę na siebie, ale jej oświadczenie w niczym Håkonowi nie pomogło. Wszyscy wiedzieli, że to on jako ostatni miał w ręku te papiery.

Karen mogła jednak ponownie zeznawać. Dałoby się przesunąć posiedzenie o godzinę, tak by zdążyła przyjechać do miasta.

Ale Karen nie odbierała telefonu. Håkon dzwonił już pięć razy. Niech to diabli! Prokurator czuł, jak ogarnia go panika, jak jej cienkie, ostre pazury pełzną coraz wyżej po kręgosłupie. Spróbował to zwalczyć. Gwałtownie potrząsał głową, jakby to miało mu w czymś pomóc.

- Dzwonście do Sandefjord albo do Larvik. Niech ją sprowadzą. Natychmiast.

Ton rozkazu nie zdołał zatrzeć lęku. To nic. Hanne Wilhelmsen bała się tak samo. Po rozmowie z komendą policji w Larvik, najbliższą, jak jej się wydawało, pobiegła z powrotem do Håkona. Prokurator był zły i nieprzyjemny, zajęty kleczeniem budowli, która miała przypominać coś solidnego. Nie było to łatwe, skoro dysponował jedynie wybrakowanymi materiałami trzeciej próby.

Przekłęty facet od buta! Håkon miał ochotę wpaść do aresztu i zaproponować mu sto tysięcy, żeby tylko zaczął sypać. A gdyby to nie pomogło, sprać go na kwaśne jabłko. Może nawet zabić. Z czystej, nieopanowanej złości. Z drugiej strony zarówno Frøstrup, jak i van der Kerch sami zapłacili za swoje bilety na tamten świat, więc kto wie, może policja już niedługo będzie miała trzecie samobójstwo na karku. Niech Bóg broni. Poza tym faceta trzeba będzie wypuścić w ciągu dnia, ale postarają się z tym zwlekać jak najdłużej.

Po godzinie nie było już nic więcej do zrobienia. Sekretarka potrzebowała dwunastu minut na przepisanie podyktowanego wniosku. Håkon przeczytał go, a z każdą linijką jego niepewność wzrastała. Urzędniczka posłała mu współczujące spojrzenie, ale nic nie powiedziała. I chyba dobrze się stało.

- Karen nie ma w domku. - W drzwiach pojawiła się Hanne Wilhelmsen. - Samochód stoi, a w kuchni pali się światło. Ni-

gdzie jednak nie widać ani psa, ani człowieka. Musiała iść gdzieś na spacer.

Na spacer! Jego ukochana Karen. Ostatnia deska ratunku i jedyna nadzieja. Kobieta, która mogła go ocalić przed totalną kompromitacją, uratować policję od nagłówków krzyczących o skandalu, a kraj od mordercy i gangstera handlującego narkotykami. Poszła na spacer. Może akurat w tej chwili chodzi po plażach Ula, rzuca psu patyki i wdycha świeże morskie powietrze, odległe o kilometry i lata świetlne od dusznego wilgotnego pokoju w komendzie policji, w którym ściany zaczęły się poruszać i przybliżać, grożąc, że go zmiażdżą. Wyobraził ją sobie w starym żółtym sztormiaku, z mokrymi włosami i nieumalowaną twarzą, tak jak wyglądała zawsze w deszczowe dni na wsi. Poszła na spacer. Na jakiś przekłety, cholerny spacer w pieprzonym deszczu!

- To niech ci policjanci też wybiorą się na spacer. Tamta okolica wcale nie jest aż tak strasznie rozległa.

Niesprawiedliwie wyżył się na Hanne i zaraz tego pożałował. Błady uśmiech i bezradne poruszenie głową miało złagodzić gniewny wybuch.

Hanne powiedziała cicho, że już ich o to prosiła. Wciąż jeszcze było trochę czasu i wciąż mogli mieć nadzieję. Przelotne zerknięcie na zegarek zmusiło ją do zadania pytania, czy dał znać o opóźnieniu.

- Prosiłem o przełożenie posiedzenia do trzeciej. Zgodzili się na drugą. Mamy jeszcze godzinę. Pewnie zgodzą się to jeszcze raz przesunąć, jeśli obiecuję, że ona na pewno przyjedzie. Jeśli nie, posiedzenie sądu zacznie się o drugiej.

Gdzieś bardzo, bardzo daleko żółta postać szła wzdłuż rozszalałego zimowego morza, rzucając w fale kamienie. Bokser rzucał się do niespokojnej, zimnej wody, bo instynkt nakazywał mu biec za każdym rzuconym przedmiotem. Nigdy dotychczas się nie przeziębiał, ale teraz cały się trząsał. Karen Borg w końcu zatrzymała się, wyciągnęła z plecaka stary sweter i ubrała weń psa. W różowym moherowym swetrze płaczącym się wokół łap wyglądał śmiesznie, ale przynajmniej przestał

dygotać.

Dotarła do ostatnich cypli w Sør i Ommane i zaczęła się rozglądać za przytulnym, osłoniętym od wiatru zakątkiem, w którym tyle razy szukała schronienia w podobne dni, a który zawsze trudno było dojrzeć. Wreszcie usiadła na piankowej podkładce, którą zabrała ze sobą, i wyjęła termos. Kakao miało wyraźny posmak parzonej w nim przez lata kawy, ale jej to nie przeszkadzało. Siedziała długo, zamyślona, wsłuchując się w hałasujące morze i zawrodozenie wiatru. Bokser zwinął się u jej stóp. Z jakiegoś powodu czuła się niespokojna. Przyszła tu po spokój, ale on gdzieś zniknął. Dziwne. Akurat tutaj zawsze był gotów się z nią spotkać. Może spodobał mu się ktoś inny. Cóż za zdrada!

Policjanci jej nie znaleźli. Nie przyjechała tego dnia do Oslo. Nie wiedziała nawet, że jest tam potrzebna.

To się musiało źle skończyć. Nie mieli choćby jednego nowego, malusieńkiego elementu. Nie było co przedstawiać sądowi. Tym razem Christian Bloch-Hansen potrzebował tylko dwudziestu minut na przekonanie sądu, że dalsze tymczasowe aresztowanie będzie oznaczało zastosowanie zbyt ostrego środka zapobiegawczego. Cóż, praca adwokata Lavika oczywiście ogromnie cierpiała w okresie jego pobytu w areszcie - tracił trzydzieści tysięcy koron tygodniowo. Ale cierpiał nie tylko on. Miał przecież dwoje pracowników, których miejsca pracy pod jego nieobecność również były zagrożone. Dla człowieka na jego stanowisku i z jego rangą społeczną aresztowanie stanowiło większe obciążenie niż w przypadku kogoś innego, a ogromne zainteresowanie prasy nie poprawiało sytuacji. Jeżeli sąd wbrew przypuszczeniom wciąż uważał, że istnieją w stosunku do adwokata uzasadnione podejrzenia, powinien przynajmniej wziąć pod uwagę, jak ogromnym obciążeniem dla Lavika było aresztowanie. W ciągu tygodnia policja powinna posunąć śledztwo naprzód, nie przedstawiła jednak nic nowego, mecenasa należy więc zwolnić.

I musi to nastąpić, zanim stanie się nieodwracalna krzywda. Lavik ryzykował w końcu też zdrowie, co sąd sam chyba widzi.

Rzeczywiście, sąd widział. Już poprzednio Lavik wyglądał bardzo źle, a jego stan wcale się nie poprawił. Ubrania blakły w równym tempie co i ich właściciel. Młody, elegancki zawsze prawnik wyglądał teraz tak, jakby został zgarnięty prosto z ulicy ze spotkania bożonarodzeniowego zorganizowanego przez gminę dla najuboższych.

Sąd zgodził się z obrońcą i wydał postanowienie od ręki. Głęboka depresja Håkona napotkała pewien opór, gdy sędzia dotarł do punktu dotyczącego uzasadnionych powodów podejrzeń. A więc one nadal istniały. Serce jednak znów opadło mu w piersi, gdy sędzia w ostrych słowach opisał nieudolność policji, szczególną wagę przykładając do braku bliższych wyjaśnień kwestii zeznań Karen Borg.

Niebezpieczeństwo zatarcia dowodów również pozostawało oczywiste, niestety jednak dla sądu było jasne, że aresztowanie będzie zastosowaniem zbyt surowego środka zapobiegawczego. Adwokata należy zwolnić. Będzie miał jedynie obowiązek zgłaszania się na policję w każdy piątek.

Zgłaszanie się raz w tygodniu! To dopiero im się przyda! Håkon na miejscu zaskarżył postanowienie, wnosząc o skutek odraczający. To im przynajmniej da jeszcze jeden dzień. Jeden dzień to zawsze coś. Nawet jeśli Rzymu nie zbudowano w tak krótkim czasie, to w wielu sprawach w takim czasie zdołano dokonać przełomu.

Prokurator policji Håkon Sand nie wierzył własnym uszom, kiedy sędzia oznajmił, że do tego wniosku również się nie przychyła. Usiłował protestować, lecz najzwyczajniej w świecie został po prostu zgaszony: policja już dostała jedną szansę, wykorzystyła ją fatalnie, dalej muszą sobie radzić bez pomocy sądu. Håkon demonstracyjnie oświadczył, że w takim razie wnoszenie zażalenia nie ma najmniejszego sensu, i w złości je wycofał. Sędzia nie dał na siebie wpłynąć i przed zakończeniem posiedzenia jeszcze sucho skomentował:

- Będziecie mieć wielkie szczęście, jeśli uda wam się uniknąć procesu o odszkodowanie. Naprawdę wielkie szczęście.

Adwokata Jørgena Ulfa Lavika zwolniono z aresztu jeszcze

tego samego wieczoru. Można było odnieść wrażenie, że natychmiast urósł o kilka centymetrów i odzyskał przynajmniej część utraconych kilogramów. Budynek policji opuszczał ze śmiechem. A śmiał się po raz pierwszy od dziesięciu dni.

Nie śmiali się natomiast ani Hanne Wilhelmsen, ani Håkon Sand. Ani nikt inny w wielkim, łukowato wygiętym budynku na Grønlandsleiret 44.

Poszło dobrze. Naprawdę poszło dobrze. Koszmar się skończył. Niczego nie znaleźli. Gdyby znaleźli, przecież wciąż by siedział. Ale co mieliby znaleźć? Zrządzeniem losu zaledwie na dwa dni przed zatrzymaniem usunął kluczyk spod szafy i znalazł dla niego bezpieczniejsze miejsce. Może stary miał rację, może rzeczywiście wszystkie dobre moce stały po ich stronie? Bóg jeden wie dlaczego.

Mimo wszystko jednej rzeczy nie rozumiał. Wybierając na swojego obrońcę Christiana Blocha-Hansena, adwokata uprawnionego do występowania przed Sądem Najwyższym, podjął decyzję w przekonaniu, że jest on najlepszy. Winny potrzebuje najlepszego. Niewinnemu wystarczy byle kto. Bloch-Hansen spełnił jego oczekiwania, a nawet więcej. On sam chyba by nie wpadł na ciążący na Karen Borg obowiązek dochowania tajemnicy. Obrońca wykonał ogromną pracę i cały czas zachowywał się wobec niego grzecznie i uprzejmie, ale nigdy nie okazał mu ciepła, wyrozumiałości czy serdeczności, najzwyczajniej mówiąc, nie angażował się. Poza tym w jego bystrych oczach błyskało coś, co momentami można było uznać za nienawiść, a może nawet pogardę. Czyżby uważał go za winnego? Nie wierzył w jego historie, tak pracowicie składane, że prawie zaczął wierzyć w nie sam?

Adwokat Lavik postanowił jednak o tym zapomnieć. To już nie miało znaczenia. Był wolnym człowiekiem i uważał, że sprawa wkrótce zostanie po prostu umorzona. Bloch-Hansen już o to zadba. Ogromna wpadka z tym tysiącokoronowym banknotem, ale z tego, co wiedział, był to jedyny błąd, jaki kiedykolwiek popełnił. Nigdy, przenigdy już się tak nie narazi. Pozostawało mu jeszcze tylko jedno zadanie, ale na jego

zaplanowanie miał dużo czasu. Parę dni. Wprawdzie musiał dokonać kilku korekt i pod tym względem prawdziwym prezentem dla niego była informacja udzielona sądowi przez Håkona Sanda, kiedy tłumaczył brak nowych zeznań Karen Borg. Sędzia zirytował się, że policja nie jest w stanie skontaktować się z osobą przebywającą w Vestfold, jakby to dotyczyło miejsca po drugiej stronie kuli ziemskiej. Dzięki temu Lavik wiedział teraz, gdzie jest Karen. Dziewięć lat temu urządzili wycieczkę dla zasiadających w radzie wydziału przedstawicieli studentów z różnych opcji politycznych. Odnosił wtedy nawet wrażenie, że dziewczyna trochę się w nim podkochuje, ale dzieląca ich polityczna otchłań uniemożliwiła wszelkie zbliżenie. Tyle że wówczas mowa była o zamknięciu wydziału i wszyscy zakopali polityczne topory, jednocząc się w walce przeciwko wyrzucaniu ludzi. Karen Borg zaproponowała, że będzie gospodynią owego historycznego zebrania. Skończyło się na ogromnych ilościach wina z lekką domieszką polityki. Ale z tego, co pamiętał, był to całkiem przyjemny weekend.

Spieszyło mu się. Wiedział, że będzie miał problemy z pozbyciem się ogonów, które, jak się domyślał, przyczepią się do niego na długi czas. Ale jakoś mu się to uda. Musi się udać. Jeśli pozbędzie się Karen Borg, nikt nigdy go nie złapie. To ona jest przeszkodą oddzielającą go od prawdziwej wolności.

Granatowe volvo dojechało do garażu, poślizgnęło się lekko na gładkim podjeździe, ale prędko odnalazło swoje miejsce, niczym stary koń w stajni po ciężkim dniu pracy. Lavik pochylił się do bladej żony siedzącej za kierownicą, pocałował ją z czułością i podziękował za wsparcie.

- Teraz już wszystko będzie dobrze, kotku - powiedział.

Chyba nie bardzo uwierzyła.

Powinien zadzwonić czy nie? Powinien pojechać, czy zostawić ją w spokoju? Niespokojnie krążył po swoim małym mieszkaniu, po którym widać już było, że od dłuższego czasu przychodził tu wyłącznie po czyste ubranie i trochę snu. Czyste rzeczy już się skończyły, a snu też nigdzie nie mógł już znaleźć.

Zakręciło mu się w głowie i musiał przytrzymać się regału,

żeby nie upaść. Na szczęście w kącie kuchennej szafki stała zakurzona butelka czerwonego wina. Pół godziny później odstawił ją pustą.

Sprawa była przegrana. Karen prawdopodobnie również. Nawiązywanie z nią kontaktu nie miało sensu. Wszystko się skończyło.

Czuł się okropnie. Rzucił się więc na pół butelki akevitt, która stała w zamrażarce od ostatnich świąt Bożego Narodzenia. Wreszcie alkohol zadziałał tak jak powinien. Udało mu się zasnąć. Zapadł w okropny, zły sen, w koszmar, w którym prześladowali go diabliczni adwokaci, a małeńka żółta postać wzywała go z chmury na horyzoncie. Próbował ku niej biec, ale nogi miał jak sklezione melasą i nie mógł ruszyć do przodu. W końcu postać całkiem zniknęła. On został na ziemi, żółta sylwetka uniosła się w powietrze, a sępy w togach rzuciły się wydziobywać oczy małeńkiemu prokuratorowi policji.

Wtorek, 1 grudnia

Wreszcie cały ten bałagan, migotanie i jarzące się plastikowe latarnie nabrały pewnego sensu. Przynajmniej był już grudzień. Śnieg wrócił, a stan kupiecki z zapalem odnotowywał, że średnia kwota wydawana przez Norwegów na konsumpcję wzrosła w ciągu minionego roku o kilka procent. Było to powodem wielkich oczekiwań i podstawą urządzania krzykliwych dekoracji w witrynach sklepowych. Lipy na Karl Johan wcieliły się w rolę swoich iglastych kuzynów i trochę zawstydzone nagością ubrały się w gwiazdkowe lampki. Dwa dni wcześniej odbyło się uroczyste zapalenie świec na ogromnym świerku na placu Uniwersyteckim. Dziś jednak tylko zziębnięty oficer Armii Zbawienia znajdował w drzewku pewną radość; stojąc i przytupując, z wyczekiwaniem spoglądał na wszystkich ludzi pospiesznie mijających o poranku jego kociołek na datki i niemających nawet minuty na zatrzymanie się i podziwianie wielkiego drzewa.

Jørgen Lavik wiedział, że jest śledzony. Kilkakrotnie gwałtownie przystawał i oglądał się za siebie. Trudno byłoby mu wskazać, kto konkretnie za nim szedł, wszyscy ludzie bowiem mieli te same puste spojrzenia, tylko od czasu do czasu ktoś z ciekawością zerkał, jakby go poznawał. Gdzie też mógł go zobaczyć wcześniej? Na szczęście w codziennej prasie zamieszczono zdjęcia tak stare i tak marnej jakości, że raczej nikt nie byłby w stanie go rozpoznać.

Nie miał wątpliwości jednak, że za nim chodzą. Trochę mu to utrudniało życie, lecz jednocześnie zapewniało doskonałe alibi. Mógł jeszcze to wszystko obrócić na swoją korzyść. Oddychał głęboko i czuł w głowie krystaliczną jasność.

Wizyta w kancelarii była krótka. Sekretarce z czystego zachwytu na jego widok o mało nie wyleciała sztuczna szczeka, potem obdarzyła go uściskiem pachnącym starą kobietą i lawendą. Doprawdy można się było wzruszyć. Spędziwszy kilka godzin nad najpilniejszymi sprawami, zapowiedział, że do

końca tygodnia będzie w domku letniskowym, dostępny pod telefonem. Zabrał ze sobą plik spraw, przenośny faks i komputer. Dodał, że może zajrzy w piątek, miał przecież obowiązek zgłosić się na policję.

-A przez ten czas ty dopilnujesz interesu, Caroline. Tak jak do tej pory, świetnie sobie radziłaś - powiedział z uznaniem.

Usta kobiety znów rozsunały się w szarym uśmiechu, a radość z pochwały namalowała na jej policzkach czerwone słoneczka. Kokieteryjnie ugięła kolana, ale wyprostowała się, zanim jej dygnięcie stało się zbyt głębokie. O tak, wszystkim się zajmie, a on musi mieć udany urlop, zasłużył na to.

Sam też tak uważał. Przed wyjściem poszedł jeszcze do toalety i wyjął komórkę kolegi, którą zabrał z jego przegródki na pocztę. Numer znał na pamięć.

- Wyszedłem. Możesz być spokojny. - Jego szept ledwie się przebijał przez szum zepsutej spłuczki.

- Nie dzwoń do mnie. A już na pewno nie teraz - syknął tamten drugi, ale się nie rozłączał.

-Jesteś całkowicie bezpieczny, możesz być spokojny - powtórzył Lavik.

- Ty tak mówisz!

- Karen Borg jest w swoim domku w Ula. Nie zostanie tam długo. Możesz spać spokojnie. Jedynie ona może mnie wsypać. A ciebie mogę wsypać tylko ja. Jeśli ze mną wszystko będzie dobrze, to i z tobą.

Protesty starego już do niego nie dotarły. Połączenie zostało przerwane. Jørgen Ulf Lavik wysikał się, umył ręce i wyszedł do swoich niewidzialnych strażników.

Wkrótce powinien coś zrobić z sercem. Leki, które mu przepisano, już nie działały, a przynajmniej niezbyt dobrze. Już dwa razy prawie poczuł śmiertelny cios, taki jak ten, który przed niespełna trzema laty powalił go na ziemię. Do tej pory z pewnością pomagały mu regularny trening i ograniczenie tłuszczu, ale na sytuację ostatnich tygodni nie mogły zaradzić bieganie i marchewka.

Byli blisko. W pewnym sensie spodziewał się tego, odkąd

śniegowa kula zaczęła się toczyć. To mogło być jedynie kwestią czasu. Wprawdzie zamieszczony w „Dagbladet” opis prawdopodobnego głównego sprawcy był bardzo ogólnikowy i z pewnością pasowałby do kilkuset ludzi, to jednak dla chłopaków z Platous gate obraz stał się nieco zbyt wyraźny. Pewnego popołudnia szedł piechotą z pracy do domu, gdy nagle przed nim stanęli. Równie anonimowi jak praca, którą wykonywali. Dwaj identyczni mężczyźni, tego samego wzrostu, tak samo ubrani. Życzliwie, ale stanowczo zaprosili go do samochodu. Przejazdka trwała pół godziny i zakończyła się na podjeździe pod jego własnym domem. Wyparł się wszystkiego. Nie uwierzyli. Mieli jednak świadomość, że on wie, iż wszystkim wyjdzie na dobre, jeśli jemu nic się nie stanie. Pod tym względem czuł się nieco uspokojony. Gdyby wyszło na jaw, że te pieniądze wykorzystywano w taki właśnie sposób, wir wciągnąłby ich wszystkich. Co prawda jedynie on wiedział, skąd pochodzą, ale w końcu tamci je przyjmowali. I wydawali. Nigdy nie pytając, nigdy nie sprawdzając, nigdy nie badając czegokolwiek. To stawiało ich w niezwykle trudnej sytuacji.

Wielkim problemem był teraz Lavik. Kompletnie oszalał. Oczywiście było, że postanowił uśmiercić adwokat Borg. Tak jakby jej śmierć cokolwiek rozwiązywała. Przecież natychmiast stałby się podejrzanym numer jeden. Natychmiast. A poza tym skąd mógł wiedzieć, że nie poinformowała kogoś albo nie napisała czegoś, co na razie jeszcze nie wpadło w ręce policji? Zabicie Karen Borg niczego nie rozwiązywało.

Natomiast zabicie Jørgena Lavika rozwiązywało większość problemów. W momencie gdy zrodziła się w nim ta myśl, od razu wydała się jedynym wyjściem. Udane zabójstwo Hansa A. Olsena również skutecznie położyło kres wszelkim problemom, jakie miała ta gałąź organizacji. Lavik coraz bardziej wszystko komplikował, i sobie, i staremu. Należało go powstrzymać.

Pomysł wcale go nie przeraził, raczej uspokoił. Po raz pierwszy od kilku dni jego puls znów zaczął bić wolno i regularnie, mózg wydawał się czysty, a zdolność koncentracji wracała z długiego urlopu.

Najlepiej, gdyby zdołał dopaść Lavika, zanim ten zdąży

posłać Karen Borg do wątpliwego nieba adwokatów. Zabójstwo pięknej, młodej i w tym kontekście najzupełniej niewinnej prawniczki mogło wywołać zbyt wielką burzę. Śmierć podejrzanego w sprawie narkotykowej zdesperowanego adwokata również wzbudzi pewną wrzawę, ale mimo wszystko... Jedno zabójstwo jest lepsze niż dwa. Tylko jak?

Jørgen Lavik mówił o Ula. O domku letniskowym. To musiało oznaczać, że zamierza się tam wybrać. W jaki sposób zdoła urwać się tajnikom, którzy z całą pewnością za nim chodzą, tego stary nie rozumiał. Ale to kłopot Lavika. Jego problemem było odnalezienie adwokata i to tak, by nie zostać zauważonym przez tych samych tajników. Najchętniej zanim tamten dotrze do Karen Borg. Alibi nie potrzebował. Policja się nim nie interesowała i nigdy interesować się nie będzie. Pod warunkiem że wszystko pójdzie jak trzeba.

Odnalezienie dokładnego adresu domku letniskowego Karen Borg nie powinno zająć mu więcej niż godzinę. Mógłby zadzwonić do jej kancelarii albo prezesa miejscowego sądu, ale to się mogło okazać zbyt ryzykowne. Po kilku minutach podjął decyzję. Z tego, co pamiętał, do Ula prowadziła tylko jedna droga odchodząca od biegnącej brzegiem szosy między Sandefjord a Larvik. Po prostu będzie musiał tam czekać.

Z ulgą towarzyszącą podjęciu decyzji rzucił się na najpilniejszą pracę. Ręce się nie trzęsły, serce się ustabilizowało. Może mimo wszystko nie potrzebował nowych leków.

Trudno to było nazwać domkiem letniskowym. Solidny drewniany dom z lat trzydziestych został poddany całkowitej renowacji i nawet w grudniowym mroku dawało się zauważyć, jak tu pięknie. Stał w miejscu bardzo wystawionym na wiatr i wprawdzie na pod- jeździe leżało trochę śniegu, to skały za domem były wymiecione do czysta przez nieustające podmuchy od morza. Uparty świerk kołysał się w odległości zaledwie dwóch metrów od zachodniej ściany. Wicher wykrzywił pień, ale nie zdołał zabić drzewa. Chyliło się w głąb łądu, jakby tęskniło za rodziną rosnącą trochę dalej, ale nie

mogło się oderwać od swego miejsca. Między płatami śniegu leżącego w miejscu osłoniętym przez ścianę domu dawało się dostrzec kontury letnich rabat. Wszystko było tu zadbane. Domek nie stanowił własności adwokata Lavika, tylko jego starego, sklerotycznego i bezdzietnego wuja. Kiedy starsuszek jeszcze cokolwiek czuł, Jørgen był jego ulubionym siostrzeńcem. Jako chłopiec wiernie się tu zjawiał każdego lata, razem łowili ryby, smołowali łódź i jedli smażony boczek z fasolą. Jørgen stał się tym dzieckiem, którego wuj nigdy się nie doczekał, a piękne letnisko też jemu miało przypaść kiedyś, prawdopodobnie już niedługo, kiedy alzheimer da się pokonać swemu jedynemu pogromcy, czyli śmierci.

Jørgen Ulf Lavik sporo wydał na to miejsce. Wuj nie był człowiekiem ubogim i przeważającą część kosztów pokrywał sam, ale to Jørgen urządził tu łazienkę z wanną z hydromasażem, niedużą saunę i doprowadził telefon. Poza tym na siedemdziesiąte urodziny podarował wujowi niewielką zwinną łódkę, najzupełniej pewien, że i tak w rzeczywistości będzie należeć do niego.

W drodze do najdalej wysuniętej części półwyspu Hurumlandet ani *razu* nie dostrzegł swoich prześladowców. Co prawda stale jechały za nim jakieś samochody, ale żaden nie przykleił się do niego na podejrzenie długo. Wiedział jednak, że są tam. Cieszył się z tego. Niespiesznie zaparkował samochód i zademonstrował swój zamiar długiego pobytu, przenosząc bagaż w kilku rundach. Powoli przechodził z pokoju do pokoju i zapalał światła. Pomógł też elektrycznemu ogrzewaniu, zapalając w salonie piecyk na naftę.

Po obiedzie wybrał się na krótki spacer. Krążył po znanym terenie, lecz również tu nie dostrzegł nic podejrzanego. Przez chwilę się zaniepokoił. Czyżby ich nie było? Czyżby całkiem zrezygnowali? To niemożliwe! Serce biło szybko, nerwowo. Nie, muszą być gdzieś w pobliżu, po prostu muszą. Uspokoił się. Może są wyjątkowo sprawni. Pewnie właśnie tak.

Miał sporo rzeczy do zrobienia. Powinien zaczynać. Ale nie spieszył się. Na progu zatrzymał się, przeciągnął, długo i niepotrzebnie otrzepywał śnieg z butów. W końcu wszedł do środka,

żeby wszystko przygotować.

Najgorsze było to, że wszyscy tak się starali go pocieszyć. Poklepywali po plecach i powtarzali: „Kto nie ryzykuje, ten nie jedzie”. Uśmiechali się z uznaniem i miło wyrażali wsparcie. Nawet pani komendant pofatygowała się, żeby zatelefonować do prokuratora Sanda i wyrazić swoje zadowolenie, bez względu na żaloszny wynik. Wspomniał jej o możliwości procesu o odszkodowanie, ale w odpowiedzi tylko prychnęła. Nie wierzyła, by Lavik poważał się na coś podobnego. Przecież mimo wszystko był winny. Teraz najpewniej po prostu napawa się wolnością i będzie chciał jak najszybciej zapomnieć o całej sprawie. Håkon zgodził się, że akurat na to mogło wyglądać, bo według wywiadowców adwokat Lavik przebywał obecnie w domu letniskowym na Hurumlandet.

Całe to wsparcie niewiele pomagało. Czuł się jak przepuszczony przez automatyczną pralkę, z odwirowywaniem i całą resztą programów. Skurczył się od tego. Kilka innych spraw z nagłymi terminami leżało przed nim na biurku, ale Håkon był kompletnie sparaliżowany i postanowił dać sobie spokój przynajmniej do jutra.

Jedynie Hanne rozumiała, jak naprawdę się czuł. Po południu zajrzała do niego z dwoma kubkami gorącej herbaty; Håkon zaczął kaszleć i pluć, kiedy jej spróbował. Spodziewał się kawy.

- Co teraz robimy, panie prokuratorze? - spytała Hanne, kładąc nogi na stół. Bardzo ładne nogi, odnotował w umyśle po raz kolejny.

- Skoro ty pytasz mnie, to ja pytam ciebie.

Jeszcze raz spróbował herbaty, tym razem już ostrożniej, w gruncie rzeczy okazała się całkiem niezła.

- W każdym razie się nie poddajemy. Musimy się z nim rozprawić. On na razie wygrał tylko małą nieważną bitwę, a nie wojnę.

Niewiarygodne, że mogła mieć w sobie tyle optymizmu. Ale chyba rzeczywiście tak myślała. Może na tym polegała różnica między funkcjonariuszem policji a prokuratorem. On miał wiele możliwości odwrotu. W każdej chwili mógł sobie znaleźć inne

zajęcie, na przykład zostać trzecim sekretarzem w Ministerstwie Rybołówstwa. Natomiast Hanne Wilhelmsen była z wykształcenia policjantką i dla niej istniał tylko jeden pracodawca - policja. Dlatego nie mogła się poddawać.

- Posłuchaj mnie, człowieku! - powiedziała, opuszczając nogi na podłogę. - Naprawdę mamy mnóstwo rzeczy, nad którymi możemy dalej pracować. Nie możesz teraz tracić odwagi. To w chwili klęski masz szansę pokazać, ile jesteś wart.

Banalne. Ale może prawdziwe. W takim razie był nieudacznikiem. Zdecydowanie nie potrafił sobie z tym poradzić. Musiał wyjść z pracy. Może sprawdzi się przynajmniej w pracach domowych...

- Dzwon do mnie do domu, jeśli będzie coś nowego - oświadczył, zostawiając prawie nietkniętą herbatę i zrezygnowaną Hanne.

- *You win some, you lose some*¹² — już na korytarzu usłyszał jej wołanie.

Wywiadowcy, łącznie sześciu, zrozumieli, że czeka ich długi wieczór i zimna noc. Jeden z nich, sprytny facet o bystrych oczach i wąskich barkach, sprawdził tyły pomalowanego na czerwono domku. Zaledwie trzy metry od ściany po stronie morza zaczynało się urwiste zbocze, które na dole schodziło do niedużej zatoczki z piaszczystą plażą. Zatoczka miała nie więcej niż piętnaście, może dwadzieścia metrów szerokości i z obu stron ograniczał ją siatkowy płot z drutem kolczastym rozciągniętym między słupkami wbitymi w skałę. Prywatne prawo własności nigdzie nie działa tak mocno jak nad morzem, pomyślał wywiadowca, uśmiechając się pod nosem. Za płotem, u sąsiadów, wznosiła się stroma pięć - może sześciometrowa skalna ściana. Z pewnością można by się na nią wspiąć, ale z dużym trudem. Tak czy owak, Lavik musiałby przedostać się do drogi tuż przy domu, odcinającej cypel od lądu.

Dwóch wywiadowców zajęło pozycje po obu stronach drogi, a jeszcze jeden stanął na posterunku między nimi. Lavik nie mógł się tędy przedrzeć niezauważony. Trzej pozostali rozstawili się w

12 Raz na wozie, raz pod wozem.

terenie i wzrokiem obejmowali cały dwustumetrowy odcinek.

Lavik bawił się myślą, że ci, którzy go śledzą, wszystko jedno ilu ich jest, odmrażają sobie teraz tyłki. Jemu było ciepło i przyjemnie, czuł się pełen energii, podniecony tym, co robił. Przed nim stał staroświecki budzik, bez szkła chroniącego wskazówki. Trochę czasu zajęło mu przymocowanie patyczka do krótszej. Podłączył faks do sieci, włożył kartkę i przeprowadził próbę. Ustawił wskazówkę na kilka minut przed trzecią, przedłużony patyczek podsunął nad przycisk „start”, wstukał numer własnej kancelarii, a potem siedział i czekał. Minął kwadrans i nic się nie zdarzyło. Po kilku kolejnych minutach zaczął się denerwować, że cały jego plan spełnie na niczym. Nagle jednak, w momencie, gdy mała wskazówka wskoczyła na trójkę, wszystko zadziało. Patyczek ledwie musnął elektroniczny włącznik, ale to wystarczyło. Maszyna usłuchała. Wciągnęła kartkę i posłała w świat informację.

Zachęcony sukcesem prędko obszedł dom i rozmieścił małe automatyczne wyłączniki prądu, które przywiózł z domu. Korzystali z nich, by oszczędzać prąd, bo wyłączały piece panelowe o północy i włączały je znów o szóstej, tak żeby w domu się nagrzało, nim wstaną rano.

Nie zajęło mu to dużo czasu, był dobrze obeznany z tymi aparacikami. Teraz pozostało najważniejsze. Coś musiało stworzyć wrażenie ruchu, kiedy jego nie będzie. Nie wystarczy zapalane i gaszone światło. Przemyślał wszystko z góry, ale nigdy tego nie próbował. Nie wiedział, czy uda mu się zrealizować w praktyce ten pomysł. Chroniony zasuniętymi zasłonami, rozciągnął przez pokój trzy cienkie sznurki. Jeden koniec każdego przywiązał do klamki w drzwiach do kuchni, przeciwległe umocował w różnych miejscach po drugiej stronie pokoju. Następnie powiesił na oddzielnych sznurkach ścierkę kuchenną, stare kąpielówki i serwetkę. Trochę czasu zajęło mu właściwe ustawienie świec. Musiały stać bardzo blisko sznurków, tak blisko, żeby sznurek się przepalił, kiedy płomień świecy osiągnie odpowiednią wysokość. Przygotował świece różnej wysokości i umocował je na porcelanowych spodkach za

pomocą stearyny. Świeczka przy sznurku z serwetką była najkrótsza, wystawała zaledwie o kilka milimetrów ponad sznurek.

Udało się. Po kilku minutach płomień znalazł się tak nisko, że zaczął lizać sznurek, który pękł, a serwetka spadła na podłogę, rzucając cienie na zasłony w oknie wychodzącym na drogę. Idealnie.

W to miejsce umocował kolejny sznurek i poszukał wyższej świecy. Potem nastawił zegarek tak, by mała wskazówka znalazła się tuż za jedynką. Za niespełna dwie godziny Jørgen Ulf Lavik „wyśle” faks do pewnego adwokata z Tønsberg. Rzecz dotyczyła pilnej sprawy, w której, niestety, nastąpiły opóźnienia z przyczyn od niego niezależnych. Przeprasza i wyraża nadzieję, że opóźnienie nie spowoduje zbyt wielkich problemów.

Potem się ubrał. Strój maskujący był przewidziany na polowanie. Bardzo mu to odpowiadało. Ostrożnie pozapalał świece, jeszcze raz upewnił się, czy stoją stabilnie. Potem zszedł do piwnicy i wymknął się na tyły domu.

Kiedy zszedł na plażę, przystanął i przez chwilę czekał. Przyklepił się do skały pewien, że zlewa się z otoczeniem. Gdy zdołał wyrównać oddech, przemknął do miejsca, w którym wiele lat temu wyciął dziurę w płocie, aby łatwiej przedostać się do sąsiadów, u których mieszkał chłopiec w jego wieku.

Zaczął pełznąć w stronę drogi. Z pewnością pilnowali całego odcinka. Na skraju lasu zatrzymał się i leżąc, nasłuchiwał. Nic. A przecież musieli tam być. Dalej czołgał się wzdłuż drogi, pięć metrów w głębi lasu, ukryty między drzewami. Jest. Wielka betonowa rura, którą maleńki strumyk z lasu rozciągającego się po drugiej stronie drogi spływał prosto do morza. Lavik przeczołgiwał się przez tę rurę niezliczoną ilość razy, ale to było wiele kilogramów i dwadzieścia centymetrów w pasie temu. Mimo to nie pomylił się, licząc, że wciąż będzie w stanie się w niej zmieścić. Trochę się wprawdzie zmoczył, ale strumyk był płytki, po zimowemu osłabiony; najpewniej leśne jezioro, z którego wypływał, skuł już lód. Rura wychodziła trzy metry dalej za drogą. Przy jej instalowaniu przewidziano obiecywane poszerzenie drogi, którego jednak nie zrealizowano.

Wystawiwszy głowę z rury, przez chwilę nasłuchiwał. Wciąż nic. Ciężko dyszał. Poczł teraz, jak bardzo te dni w areszcie pozbawiły go sił. Do pewnego stopnia rekompensowała to adrenalina. Bezszelestnie poderwał się i wbiegł w zarośla.

Nie musiał biec długo. Po sześciu czy siedmiu minutach dotarł na miejsce. Spojrzał na zegarek. Wpół do ósmej. Idealnie. Lekko zatrzeszczało drewno, gdy otwierał drzwi niewielkiej szopy, ale policjanci z pewnością byli za daleko, by to usłyszeć. Wemknął się do środka akurat w chwili, gdy jakiś samochód przejeżdżał drogą dwadzieścia metrów dalej. Zaraz potem nadjechał jeszcze jeden. On wtedy siedział już w ciemnozielonej ładzie i mógł stwierdzić, że akumulator wciąż zachował siły na to, by z kaszlem poderwać się nawet po dwóch miesiącach bezczynności. Wprawdzie wuj kompletnie postradał zmysły i ledwie poznawał Jørgena, gdy ten odwiedzał go w szpitalu, to jednak przejażdżki starą ładą sprawiały mu wyraźną przyjemność. Siostrzeniec utrzymywał więc samochód w należytych stanie, był to jego gest wobec staruszka. Teraz okazało się to prawdziwym darem dla niego. Parę razy przygazował silnik i wytoczył się z garażu. Ruszył w stronę Vestfold.

Było zimno jak w psiarni. Wywiadowca stał i zabijał ręce, starając się jednocześnie być bezszelestny i niewidzialny. Nie było to łatwe. Żeby spojrzeć przez lornetkę, musiał zdjąć rękawiczki, dlatego rzadko to robił. Klnąc pod nosem, zazdrościł temu zasranemu adwokatowi, który siedział sobie teraz w ciepłku, zmuszając ich do obserwowania go z pozycji pod gołym niebem. Przed chwilą facet zgasił światło w pokoju na piętrze, ale niemożliwe, żeby zamierzał się kłaść tak wcześnie. Dopiero dochodziła ósma. Cholera, jeszcze cztery godziny do zmiany. Nadgarstek mu zlodowaciał, kiedy sprawdzał godzinę na zegarku, czym prędzej więc opuścił rękaw kurtki.

Mógł spróbować popatrzeć przez lornetkę trzymaną w rękach w rękawiczkach. I tak niewiele było do oglądania. Lavik oczywiście zasunął wszystkie zasłony, co wywiadowca nawet rozumiał. Z pewnością nie był na tyle głupi, żeby nie wiedzieć, że tu stoją. Pod tym względem to idiotyczne, że tak się starali być

niewidzialni. Westchnął. Ależ nudna robota! Lavik na pewno będzie siedział w spokoju przez kilka dni, zważywszy, że wnosił całe torby żywności, przenośny komputer i faks.

Nagle się spał. Zamrugął szybko, żeby pozbyć się łez, które próbował mu wycisnąć z oczu zimny wiatr. Moment później już zerwał rękawiczki, rzucił je na ziemię i wyregulował lornetkę.

Co, na miłość boską, rzuca takie tańczące cienie? Czyżby facet napalił w kominku? Wywiadowca na chwilę opuścił lornetkę i spojrział na komin rysujący się czarno na tle ciemnoszarego nieba. Nie, nie ma dymu. Ale co to takiego? Znow przyłożył lornetkę do oczu i teraz widział już wyraźnie. Coś się paliło. W dodatku mocno. Nagle w płomieniach stanęły zasłony.

Odrzucił lornetkę i pognął w stronę domu.

- Pali się! - krzyknął do krótkofalówki. - Ta cholerna chałupa się pali!

Krótkofalówka była zbędna. Tamci i bez niej go usłyszeli. Przybiegli. Pierwszy ruszył do drzwi, błyskawicznie zauważył, że przepisowa gaśnica stoi tuż za nimi, i wbiegł do salonu. Od dymu i żaru natychmiast zaczęły go piec oczy, ale prędko odkrył źródło ognia. Wymachując gaśnicą niczym mieczem, dotarł na środek pokoju. Fragmenty płonących zasłon unosiły się w powietrzu, jeden upadł mu na ramię. Kurtka zaczęła się palić. Zdusił płomień dłońmi, jedną rękę paskudnie oparzył, mimo to nie rezygnował. Do środka wpadło jeszcze dwóch mężczyzn, jeden złapał koc z kanapy, drugi bez szacunku zerwał ze ściany przepiękny lapoński gobelin. Po dwóch minutach pożar był ugaszony. Nawet prąd nie poszedł. Poszedł za to adwokat Lavik.

Trzej policjanci w zdumieniu rozglądali się po pokoju. Dostrzegli dwa pozostałe sznurki, prędko też odkryli mechanizm, który jeszcze nie zdążył wysłać faksu.

- Niech to piekło pochłonie! - zaklął pierwszy, potrząsając poparzoną dłonią. - Ten pieprzony adwokat nas zwiódł! Całkowicie wystawił nas do wiatru!

- Nie mógł wyjść przed siódmą. Wywiadowcy widzieli, jak wy-

glądał przez okno za pięć siódma. Z całą pewnością. Innymi słowy nie może mieć więcej niż godzinę przewagi, miejmy nadzieję, że mniej. Nie wiadomo. Mógł uciec zaledwie kilka minut przed odkryciem tego wszystkiego.

Hanne Wilhelmsen próbowała uspokoić wzburzonego prokuratora, ale bez powodzenia.

- Musisz powiadomić wszystkie miejscowe komendy. Niech go za wszelką cenę zatrzymają.

Mówił zdyszany, a ślinę przełykał często i głośno.

- Posłuchaj, Håkon. Nie mamy pojęcia, gdzie on jest. Mógł wrócić do domu na Grefsen, gdzie się śmieje z głupich gliniarzy i pije z żoną powitalnego drinka. Albo wyprawił się na miasto. Ale najważniejsze ze wszystkiego: nie mamy nic nowego, co by usprawiedliwiało kolejne zatrzymanie. To, że wywiódł w pole naszych wywiadowców, to oczywiście problem, ale nasz problem, nie jego. Możemy go śledzić, ale on nie popełnił przestępstwa, oszukując nas w ten sposób.

Håkon Sand ze strachu odchodził od zmysłów, musiał jednak przyznać Hanne Wilhelmsen rację.

- Dobrze, dobrze - przerwał jej kolejną tyradę. - Masz rację w tym, co mówisz. Ale uwierz mi, on chce ją dopaść. Wszystko się zgadza. Twoja skradziona podczas napadu notatka o Karen, jej zaginione zeznania. On musiał za tym stać.

Hannę westchnęła. To już naprawdę przesada.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że to Jørgen Lavik na mnie napadł? Że to on wymknął się z celi w areszcie, zakradł do twojego gabinetu, a potem znów wrócił do aresztu i zamknął za sobą drzwi na klucz? Nie myślisz tak chyba naprawdę?

- Nie musiał tego zrobić osobiście. Może mieć pomocników. Hannę, tak cię proszę! Wiem, że jemu chodzi o Karen!

Håkon był naprawdę zrozpaczony.

- Uspokoisz się, jeśli wsiądziemy do samochodu i pojedziemy tam?

- Już myślałem, że nigdy tego nie zaproponujesz. Przyjedź po mnie pod ujeżdżalnię na Skøyen za kwadrans.

Może to wszystko było jedynie wymówką, żeby zobaczyć się z

Karen. Nie przysięgłby, że jest inaczej. Z drugiej strony lęk tkwił w nim pod postacią bolesnej grudki pod żebrami i wcale mu się nie przywidyał.

- Możesz to nazwać męską intuicją - oświadczył z ironią i bardziej się domyślił, niż zobaczył, że Hannę się uśmiecha.

- Pocałuj mnie w nos ze swoją intuicją! - prychnęła. - Robię to dla ciebie. Wcale nie uważam, że masz rację.

Nie była to do końca prawda. Od tamtej rozmowy z Håkonem dwadzieścia minut wcześniej powoli nabierała przekonania, że lęk kolegi może być słuszny. Nie bardzo wiedziała, dlaczego zmieniła zdanie. Może przez tę jego pewność. Żyła już dostatecznie długo, by nie kpić z cudzych przeczuć i obaw. Poza tym Lavik, kiedy widziała go ostatnio, wyglądał na tak zdesperowanego, że wszystko mogło mu przyjść do głowy. Jej też się nie podobało, że Karen Borg przez cały wieczór nie odbiera telefonu. Oczywiście nie musiało to nic oznaczać, może po prostu nie miała ochoty z nikim rozmawiać.

- Spróbuj zadzwonić jeszcze raz - poprosiła, zmieniając kasetę w magnetofonie.

Karen Borg nadal nie odbierała. Hannę zerknęła na Håkona, położyła mu rękę na udzie i lekko poklepała.

- Uspokój się. To tylko lepiej, że jej tam nie ma. Poza tym - spojrzała na zegarek świecący na desce rozdzielczej - poza tym on jeszcze nie mógł dotrzeć na miejsce, w żadnym wypadku. Najpierw musi zdobyć gdzieś samochód. I nawet jeśli miał jakieś auto czekające w pobliżu domku, to mógł wyjechać dopiero po siódmej. Prawdopodobnie później. Teraz jest dwadzieścia po ósmej. Uspokój się.

Łatwiej to było powiedzieć, niż zrobić. Håkon pociągnął za drążek z prawej strony siedzenia i opuścił oparcie fotela jak najniżej.

- Postaram się - mruknął z rezygnacją.

Dwadzieścia po ósmej. Poczul głód. Nie jadł przecież przez cały dzień. Przygotowania odebrały mu apetyt, a poza tym po dziesięciu dniach niemal pełnego postu żołądek prawie odzwyczyił się od jedzenia. Teraz jednak domagał się swoich

praw głośnym burzeniem. Lavik włączył migacz i powoli zjechał na oświetlony parking. Miał dość czasu, by coś przekąsić. Pozostały mu zaledwie trzy kwadranse jazdy i kwadrans na odnalezienie właściwego domku. No, może pół godziny. Tamto studenckie spotkanie odbyło się już tak dawno.

Samochód zmieścił się między dwoma mercedesami, ale nie wyglądał wcale na zawstydzonego tak dobrym towarzystwem. Adwokat Jørgen Lavik uśmiechnął się, po przyjacielsku pogładził ładę po pokrywie bagażnika i wszedł do kawiarni. Budynek był dziwny, wyglądał jak UFO, które wrosło w teren. Lavik zamówił dużą porcję grochówki, wziął gazetę i podszedł do stolika pod oknem. Siedział przy nim dość długo.

Minęli Holmestrand i kasetą przełączyła się na drugą stronę. Håkon miał już dość country. Zaczął szukać czegoś innego. Nie wiele się do siebie odzywali. Nie było to zresztą potrzebne. Håkon zaproponował, że to on będzie prowadził, ale Hannę odmówiła. Właściwie się z tego cieszył. Mniej mu się jednak podobało to, że odpałała jednego papierosa od drugiego. Było za zimno na to, żeby uchylić okno, i wkrótce zrobiło mu się niedobrze. Snus nie poprawił mu samopoczucia. Użył papierowej chusteczki, żeby się go pozbyć, ale resztki i tak połknął.

- Mogłabyś się trochę wstrzymać od palenia?

Hannę przeprosiła i natychmiast zgasiła papierosa, którego ledwie zaczęła.

- Dlaczego nie powiedziałaś wcześniej? - spytała z łagodnym wyrzutem i rzuciła całą paczkę papierosów za siebie.

- To przecież twój samochód - odparł cicho, wyglądając przez okno.

Rozległe pola pokrywała cienka warstwa śniegu. Tu i ówdzie leżały długie rzędy kokonów ze słomą owinięte białym plastikiem.

- Wyglądają jak ogromne klopsiki rybne - skomentował Håkon i zrobiło mu się jeszcze bardziej niedobrze.

-Co?

- Te plastikowe tobołki. Siano czy co tam jest w środku.

- Pewnie raczej słoma.

Zauważył co najmniej dwadzieścia wielkich zwojów sto metrów od drogi po lewej stronie. Dla odmiany w czarnym plastiku.

- Klopsiki rybne z lukrecją - mruknął, czując coraz większe mdłości. - Będziemy musieli się zatrzymać. Mam chorobę lokomocyjną.

- Jeszcze dwadzieścia minut jazdy. Nie możesz poczekać?

Nie była zirytowana, po prostu chciała już dotrzeć na miejsce.

- Nie. Szczerze mówiąc, to nie może poczekać - oświadczył, zasłaniając usta dłonią, żeby podkreślić nagłość sytuacji.

Po czterech czy pięciu minutach Hannę znalazła odpowiednie miejsce, żeby zjechać z drogi, zatoczkę autobusową tuż przed podjazdem do niedużego białego domu, pogrążonego w ciemności. Miejsce zdawało się tak opustoszałe, jak tylko mogło być przy głównej drodze przez Vestfold. Wprawdzie regularnie mijały ich samochody, ale to były jedyne ślady życia.

Na świeżym chłodnym powietrzu od razu poczuł się lepiej. Hannę została w samochodzie, podczas gdy on przeszedł się w górę niewielkiego podjazdu. Przez kilka minut głęboko oddychał. Pomogło. Zawrócił do samochodu.

- Niebezpieczeństwo minęło - oświadczył, zapinając pas.

Kiedy Hannę przekręciła kluczyk, samochód kaszlnął ze złością, a potem zamilkł. Kręciła i kręciła, bez żadnej reakcji. Silnik był martwy. Stało się to tak niespodziewanie, że żadne z nich się nie odezwało. Spróbowała jeszcze raz. Wciąż nic.

- Woda w kopułce rozdzielacza - powiedziała przez zaciśnięte zęby. - A może coś innego. Może cały ten pieprzony samochód jest do niczego.

Håkon dalej się nie odzywał, i chyba słusznie. Hannę z ponurą miną wysiadła i otworzyła maskę. Wkrótce znów zajęła miejsce obok Håkona, trzymając w ręku coś, co prawdopodobnie było kopułką rozdzielacza. Ze schowka wyjęła kawałek papierowego ręcznika i zaczęła ją czyścić i pocierać. W końcu obejrzała ją od środka i wysiadła zamontować z powrotem. Szybko się z tym uporała.

Wysiłki okazały się daremne. Samochód wciąż był równie niechętny do współpracy. Po dwóch kolejnych próbach zapalenia silnika gniewnie uderzyła w kierownicę.

- Właśnie teraz! Chodził jak w zegarku, odkąd go kupiłam trzy lata temu, był miły i grzeczny, ale zawiódł akurat w takim momencie. Znasz się cokolwiek na silnikach?

Spojrzenie, które mu posłała, było bardzo krytyczne. Domyślał się, że Hannę zna odpowiedź. Wolno pokręcił głową.

- Nie bardzo.

Prawda była taka, że o samochodach wiedział jedno - że muszą mieć benzynę.

Mimo wszystko wysiadł razem z nią, żeby zajrzeć do silnika. Może zadziała jego moralne wsparcie? Może samochód da się przekonać, jeśli będzie ich dwoje?

Sądząc po rzucanych przez zęby przekleństwach, Hannę nie posunęła się dalej w poszukiwaniu usterki. Håkon delikatnie się wycofał. Znów czuł narastający niepokój. Było zimno. Podskakiwał, patrząc na mijające ich samochody. Żaden nie wyraził chęci zatrzymania się przy nich, wszyscy pewnie wracali do domów i nie mieli ochoty na okazywanie miłości bliźniemu w tak nieprzyjemny wieczór. Kierowcy bez wątpienia musieli ich widzieć, bo przy wiacie na przystanku autobusowym stała samotna latarnia. Nagle zapadła cisza. Niewielki, ale regularny ruch jakby zamarł, chociaż z daleka już było widać światła zbliżającego się samochodu. Najwyraźniej trzymał się dozwolonej prędkości, siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, w przeciwieństwie do wszystkich innych. Za nim już tłoczyły się cztery inne samochody.

Håkon Sand przeżył prawdziwy szok. Światło latarni na moment oświetliło twarz kierowcy. Przyglądał mu się akurat uważnie, bo w duchu sam ze sobą się założył, że będzie to kobieta, skoro jedzie tak wolno. Ale to nie była kobieta. To był Peter Strup.

Minęła chwila, zanim konsekwencje tego, co zauważył, dotarły do właściwego obszaru mózgu. Ale ta chwila była krótka. Otrząsnął się i pognął do samochodu, który stał z rozdziawioną paszczą jak szczupak w trzcinach.

- Peter Strup! - krzyknął Håkon. - Właśnie przejechał tędy Peter Strup!

Hanne gwałtownie się wyprostowała, głową uderzyła w otwartą maskę, ale w ogóle na to nie zareagowała.

- Co ty wygadujesz?

- Peter Strup! Przejechał tędy! Teraz, przed chwilą!

Wszystkie klocki znalazły się nagle na właściwych miejscach z prędkością, która uniemożliwiła zrozumienie sytuacji, chociaż obraz był już wyraźny jak w chłodny, słoneczny, wiosenny dzień. Hanne wściekła się na siebie. Przecież ten człowiek przez cały czas znajdował się w kręgu podejrzeń. Był najbardziej oczywistą alternatywą. W zasadzie jedyną. Dlaczego nie chciała tego zauważyć? Czy to przez jego czystą kartotekę, elegancką otoczkę, zdjęcia w tygodnikach, długoletnie małżeństwo i zdolne dzieci? Czy właśnie to sprawiło, że jej intuicja oparła się logicznym podejrzaniom? Mózg mówił jej, że to on, ale policyjny instynkt, ten przeklęty, wychwalany szeroko instynkt, protestował.

- *Shit* - powiedziała cicho, zatrzasnąwszy maskę. - Niech cholera weźmie tę moją intuicję!

Nie wezwała nawet faceta na przesłuchanie. Niech to wszystko piekło pochłonie!

- Zatrzymaj jakiś samochód! - wrzasnęła do Håkona, który zaraz stanął na skraju drogi i zaczął gwałtownie wymachiwać rękami. Zabrała z unieruchomionego samochodu kurtkę, papierosy i portfel, potem jeszcze się upewniła, czy jest zamknięty, i natychmiast stanęła obok przerażonego prokuratora.

Żaden samochód nie miał zamiaru się zatrzymać. Albo ich mijały, nie zwracając uwagi na dwie wymachujące rękami i podskakujące postacie, albo gniewnie trąbiły, przywołując do porządku intruzów zakłócających ruch, i omijały ich szerokim łukiem.

Håkon był na granicy załamania nerwowego, Hanne natomiast rozumiała, że trzeba zrobić coś innego. Ustawienie się na środku drogi równało się ze śmiertelnym niebezpieczeństwem, nie wchodziło więc w rachubę. Gdyby

zadzwonili po pomoc, mogła się zjawić zbyt późno. Spojrzała na pogrążony w ciemności dom. Stał skulony i skromny, z zamkniętymi oczami. Jak gdyby próbował przeproszać za swoje marne położenie w odległości zaledwie dwudziestu metrów od E18. Nie parkował przy nim żaden samochód.

Hannę pobiegła w jego stronę. Ledwie widoczna z drogi niewielka szopa po drugiej stronie mogła być garażem. Håkon nie wiedział, czy ma kontynuować próby zatrzymania jakiegoś auta. Zaryzykował i pobiegł za Hannę. Nie usłyszał żadnych protestów.

- Zadzwoń do drzwi, sprawdź, może ktoś jest w domu! - krzyknęła, szarpiąc za drzwi szopy.

Na szczęście nikt nie zamknął ich na klucz.

W środku nie było samochodu, stał za to motocykl. Yamaha FJ 1200 centymetrów. Tegoroczny model. Z ABS-em.

Według Hanne Wilhelmsen na określenie „motocykl” zasługiwał wyłącznie harley. Wszystkie inne były jedynie środkami do przemieszczania się na dwóch kołach. No, może z wyjątkiem Moto Guzzi, mimo że to europejska marka. W głębi ducha jednak zawsze czuła lekki pociąg do bardziej nadających się do wyścigów ulicznych japońskich motorów. Szczególnie do FJ.

Motocykl wydawał się w stanie gotowym do jazdy, oprócz tego, że miał wyjęty akumulator. Był grudzień. Prawdopodobnie stał już od trzech miesięcy. Akumulator za to leżał na rozłożonej gazecie. Ładny i czysty, przepisowo zabezpieczony na zimę. Hannę znalazła śrubokręt i połączyła bieguny. Sypnęły się iskry, po kilku sekundach cienka metalowa końcówka zaczęła się lekko żarzyć. Wystarczająca ilość prądu.

- Nikogo nie ma - wydyszał Håkon od drzwi.

Na półce leżało mnóstwo narzędzi, mniej więcej takich samych, jakie Hannę miała u siebie w piwnicy. Szybko znalazła to, czego potrzebowała, i w rekordowym czasie zamontowała akumulator. Potem przez moment się zawahała.

- To chyba podpada pod zabór pojazdu w celu krótkotrwałego użycia?

- Nie. To wyższa konieczność.

- Obrona konieczna?

Nie bardzo to rozumiała. Doszła do wniosku, że Håkon w zdenerwowaniu źle się wyraził.

- Nie, wyższa konieczność. Później ci to wyjaśnię.

Jeśli kiedykolwiek będę miał okazję, dodał w duchu.

Wprawdzie serce ją bolało, że musi uszkodzić nowy motocykl,

ale uruchomienie go zajęło jej zaledwie trzydzieści sekund. Mocnym szarpnięciem wyłamała blokadę kierownicy, maszyna warknęła równo i obiecująco. Zaczęła się rozglądać za kaskiem. Nigdzie go nie było. Oczywiście. Para drogich kasków bmw albo shoei przypuszczalnie leżała gdzieś w zamkniętym domu. Czy powinni się tam włamać? Mieli na to czas?

Nie. Muszą sobie radzić bez tego. Przy nartach wiszących na ścianie dostrzegła gogle. To musi wystarczyć. Usiadła okrakiem na siodelku i wyprowadziła yamahę na zewnątrz.

- Siedziałeś kiedyś na motocyklu?

Håkon w odpowiedzi tylko gwałtownie pokręcił głową.

- No to posłuchaj! Obejmij mnie w pasie i rób dokładnie to co ja. Bez względu na to, co ci się wydaje, nie wychylaj się w przeciwną stronę. Zrozumiałeś?

Tym razem pokiwał głową. Hannę wkładała okulary, a on usiadł za nią i objął ją rękami tak mocno, jak tylko się dało. Musiała wręcz poluzować jego uścisk, nim z rykiem wyjechała na drogę.

Håkon był przerażony do szaleństwa i nic nie widział, ale zachowywał się tak, jak mu przykazała. Żeby stłumić strach, usiłował myśleć o czymś innym. Niezbyt mu to się udawało. Motocykl potwornie hałasował, a Håkon marzył jak przemoczony kociak.

Hanne Wilhelmsen także. Rękawiczki, jej zwykle wełniane rękawiczki, już były przemoczone i lodowate. Mimo to lepiej było ich nie zdejmować, zapewniały jako taką ochronę. Gogle też nieco pomagały, chociaż niewiele. Stale musiała przecierać je lewą ręką. Spojrzała na cyfrowy zegar przed sobą. Nie miała czasu nastawić go przed wyjazdem, ale powiedział jej, że od

momentu gdy ruszyli z podjazdu, minął kwadrans. Wtedy była za dwadzieścia pięć dziesiąta.

Możliwe, że mieli bardzo mało czasu.

Stary z zadowoleniem skonstatował, że dobrze pamiętał drogę. Do Ula prowadziła tylko jedna. Była wprawdzie wyasfaltowana, ale wąska i nie zachęcała do szybkiej jazdy. Przy ostrym zakręcie zobaczył nieduży zjazd otoczony gęstymi zaroślami. Samochód, podskakując, potoczył się kilka metrów w głąb drogi, ale na niewielkiej polanie było dość miejsca, żeby zawrócić. Wkrótce samochód stał przodem do drogi, niewidoczny z niej, a jednocześnie kierowca przez nieduży prześwit mógł obserwować ewentualne przejeżdżające drogą samochody. Radio grało cicho i zważywszy na okoliczności, mężczyźnie było całkiem wygodnie. Z pewnością zdoła rozpoznać volvo Lavika. Pozostawało mu jedynie czekać.

Karen Borg także słuchała radia. Program przeznaczony był dla kierowców ciężarówek, ale muzyka w porządku. Szósty raz zaczynała czytać książkę. „Ulissesa” Jamesa Joyce’a. Nigdy nie dotarła dalej niż do strony pięćdziesiątej. Teraz postanowiła ją zmęczyć.

W dużym pokoju było ciepło, wręcz za gorąco. Bokser pisnął i Karen otworzyła drzwi na werandę, żeby go wypuścić. Pies nie chciał jednak wyjść i dalej niespokojnie krążył po pokoju. Kazała mu się położyć. Niechętnie zwałił się w kącie, ale łeb miał podniesiony, a uszy nastawione. Pewnie zwęszył jakieś zwierzę, może nawet losia.

Ale w krzakach koło domu nie czaił się ani zając, ani łos, tylko mężczyzna. Leżał tak już od dłuższego czasu, mimo to nie czuł zimna. Był podniecony i dobrze ubrany. Znalezienie domku okazało się łatwe. Tylko raz skręcił w niewłaściwą leśną drogę, ale szybko się zorientował w pomyłce. Domek Karen Borg był jedynym używanym o tej porze roku. Udało mu się też znaleźć dobre miejsce na ukrycie samochodu, odległe zaledwie o pięć minut marszu. Oświecony domek wskazywał drogę niczym niewielka latarnia morska.

Głowę i ręce opierał na dziesięciolitrowym kanistrze z benzyną. Chociaż bardzo uważał przy jego napełnianiu, zapach paliwa kręcił w nosie. W końcu wstał, nieco odrętwiały, ujął kanister i pochyłony ruszył w stronę budynku. Taka ostrożność prawdopodobnie była zbędna, domek miał widok na morze. Na tyły wychodziły jedynie okna dwóch pograżonych w ciemności sypialni i toalety na parterze. Poklepał się po piersi, upewniając się, że klucz francuski jest na swoim miejscu, chociaż wiedział, że nie może być inaczej. W końcu postukiwał go w mostek przy każdym kroku.

Drzwi nie były zamknięte. Jedna przeszkoda mniej. Z uśmiechem bardzo powoli nacisnął kłamkę. Zawiasy okazały się dobrze nasmarowane i drzwi uchyliły się bezszelestnie, wpuszczając go do środka.

Stary spojrzął na zegarek. Siedział tu już długo, a nie przejechało żadne volvo. Ruch był minimalny. Usiłował się rozprostować, ale w samochodzie się nie dawało, a nie chciał ryzykować wysiadania.

Szałeństwo! Z hałasem i prędkością zdecydowanie zbyt dużą jak na tę marną drogę przemknął motocyklista z pasażerem. Nie mieli nawet kasków ani kombinezonów. O tej porze roku! Przeszedł go dreszcz. Tamtym musiało być niewiarygodnie zimno. Na zakręcie motocykl gwałtownie się przechylił, przez chwilę nawet stary przestraszył się, że wpadnie na jego samochód. Kierowca zdołał jednak w ostatniej chwili wyprostować pojazd, przyspieszył i zniknął mu z oczu. Szałeńcy! Stary ziewnęła i jeszcze raz spojrzął na zegarek.

Karen Borg dotarła do strony piątej. Ziewnęła. Książka była dobra. Wiedziała o tym, bo tak pisano. Osobiście wydawała jej się nieznośnie nudna. Podjęła jednak decyzję, że ją przeczyta. Tyle że stale wymyślała jakieś drobne czynności, żeby samej sobie przeszkadzać. Teraz postanowiła napić się jeszcze kawy.

Pies wciąż był niespokojny. Lepiej w ogóle go nie wypuszczać, już dwa razy przepadł na ponad dobę, kiedy ruszył w pościg za zającem. Dziwne, przecież to nie jest myśliwski

pies. Ale pewnie wszystkie mają taki instynkt.

Nagle coś usłyszała. Spojrzała na boksera. Znieruchomiał, przestał popiskiwać, ale głowę miał przekrzywioną, a uszy podniesione. Lekko drżał. Karen wiedziała, że i on też coś usłyszał. Jakiś odgłos z dołu.

Podeszła do schodów.

- Kto tam?

To śmieszne. Oczywiście, że nikogo tu nie ma. Kilka sekund stała cicho jak myszka, po czym wzruszyła ramionami i odwróciła się.

- Połóż się! - przykazała ostro, widząc, że pies wstaje.

I nagle usłyszała za plecami kroki. Natychmiast się odwróciła. Z niedowierzaniem wpatrywała się w postać biegiem pokonującą piętnaście stopni. Wprawdzie mężczyzna miał czapkę mocno naciągniętą na uszy, ale od razu go rozpoznała.

-Jørgen La...

Więcej powiedzieć nie zdążyła. Klucz francuski trafił ją tuż nad okiem. Osunęła się na podłogę, nie wyrządzając sobie jednak przy tym żadnej innej krzywdy. Zresztą nawet by tego nie poczuła. Straciła przytomność.

Pies oszalał. Rzucił się na intruza, wściekle warcząc i szczekając. Skakał na wysokość piersi mężczyzny. Uczepił się zębami obszernej kurtki, wbił się w przedramię napastnika. Adwokat nie mógł się uwolnić. Czuł obłędny ból, który tylko dodał mu sił. Uniósł potężnego psa, lecz i to nie pomogło go oderwać od ramienia. Klucz francuski wypadł mu na podłogę, zaryzykował więc i się schylił. Nie powinien jednak tego robić. Bokser na moment puścił rękę, lecz jedynie po to, by jeszcze mocniej wbić zęby trochę wyżej. Ból stał się jeszcze dotkliwszy. Zaczęło mu się od niego kręcić w głowie, zrozumiał, że musi się spieszyć. Wreszcie zdołał dosięgnąć klucza. Jednym ciosem rozłupał czaszkę szalonemu zwierzakowi, który i tak go nie puścił; bezwładny dalej zwisał mu z ręki. Niemal minutę zajęło Lavikowi rozwarcie zaciśniętych szczęk. Krwawił teraz jak zarzynana Świnia. Ze łzami w oczach rozejrzał się po pokoju i w otwartej kuchni zauważył zieloną ścierkę. Szybko zrobił z niej

pro wizoryczny opatrunek. Ból przez chwilę przestał być aż tak dokuczliwy. Adwokat wiedział jednak, że z czasem powróci z jeszcze większą siłą. Niech to wszyscy diabli!

Zbiegł na parter i otworzył kanister z benzyną. Systematycznie zaczął rozlewać zawartość po całym domku. Zdumiało go, ile powierzchni można zmoczyć dziesięcioma litrami. Wkrótce cuchnęło już jak na starej stacji benzynowej. Kanister był pusty.

Musi coś ukraść! Upozorować rabunek! Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał? Nie zabrał ze sobą nic do pakowania, ale gdzieś tu z pewnością znajdzie się jakiś plecak. Na dole. Na dole. Na pewno jest gdzieś na dole. Zauważył tam komórkę. Znow zbiegł na dół.

Nie mogła się zorientować, co ma taki dziwny smak. Lekko cmoknęła. Chyba krew. Na pewno jej własna. Chciało jej się spać. Ale nie, musi otworzyć oczy. Dlaczego? Tak strasznie boli ją głowa. Spać, spać dalej. Jakiś okropny zapach. To krew tak pachnie? Nie, to benzyna, uświadomiła sobie zadowolona, że rozpoznała. Benzyna. Znow spróbowała otworzyć oczy. Nie dawało się. Może jeszcze jedna próba. Może łatwiej będzie, kiedy zmieni pozycję. Przy ruchu poczuła ból, a jednak prawie zdołała obrócić się na brzuch. Dalej coś przeszkadzało. Coś ciepłego, miękkiego. Cento. Powoli pogłaskała psa. Natychmiast zrozumiała, że Cento nie żyje. Gwałtownie otworzyła oczy. Łeb psa leżał tuż przy jej głowie. Zmiażdżony. Rozpaczliwie usiłowała się podnieść. Przez zakrwawione rzęsy dostrzegła za oknem postać mężczyzny. Stał, przyciskając twarz do szyby i osłaniając ją dłońmi z obu stron, żeby lepiej widzieć.

Co tu robi Peter Strup? - zdążyła jeszcze pomyśleć, nim znow zemdląa i miękko osunęła się na ciało psa.

W domku nie było żadnych wartościowych przedmiotów. Kilka ozdób i trzy srebrne świeczniki musiały wystarczyć. Sztućce w kuchni okazały się stalowe. Ale przecież i tak nie wiadomo, czy ktokolwiek zauważy jakąś stratę. Jeśli będzie miał szczęście, chałupa spłonie aż po fundamenty. Zasznurował

szary plecak, wyjął z kieszeni zapalnik i skierował się do drzwi na werandę.

I wtedy zobaczył Petera Strupa.

Motocykl nie nadawał się do crossu. W dodatku Hannę zeszywniała z zimna i czuła, że zdolność koordynacji i siły na ten wieczór już się wyczerpała. Wjechawszy zaledwie kilka metrów na leśną drogę, zatrzymała się i zdrętwiała zsiadła z motoru. Håkon nie odezwał się ani słowem. Hannę spróbowała ostrożnie położyć ciężki motocykl na boku. Jakieś trzydzieści centymetrów nad ziemią po prostu wypuściła go z rąk. Właściciel, gdyby to widział, z całą pewnością by się wściekł. Ona sama gotowa byłaby zabić.

Pobiegli ścieżką najszybciej jak mogli, co wcale nie oznaczało, że szybko. Za zakrętem stanęli jak wmurowani. Dwieście metrów dalej spomiędzy drzew przebijało przerażające pomarańczowe światło. A ponad nagimi drzewami żółte płomienie usiłowały dosięgnąć nieba.

Trzy sekundy później znów biegli. Tym razem o wiele szybciej.

Jørgen Ulf Lavik nie bardzo wiedział, co ma zrobić, ale ta niepewność trwała zaledwie moment. Rzucił trzy zapalone zapalnik, wszystkie trafiły w cel. Buchnął ogień. Zorientował się, że Peter Strup szarpie za drzwi werandy, na szczęście zamknięte na klucz. Z pewnością nie ucieknie. Spojrzał na Karen Borg leżącą na podłodze. Poruszyła się? Był pewien, że wcześniej leżała na plecach.

Nie wiadomo, czy Strup go rozpoznał. Nie mógł jednak ryzykować. Pytanie tylko, co Peter Strup uzna za ważniejsze, pojmanie go czy ratowanie Karen Borg. Prawdopodobnie to drugie.

Prędko podjął decyzję. Podniósł z podłogi klucz francuski i pobiegł do drzwi werandy. Peter Strup najwyraźniej był tym zaskoczony, bo zrobił trzy chwiejne kroki do tyłu. Musiał jednak potknąć się o jakiś kamień albo pień, bo zatoczył się i runął do tyłu. To była ta szansa, jakiej potrzebował Lavik. Otworzył

drzwi, a płomień, które już pochwyliły w swe objęcia ściany i niektóre meble, rozgorzały jeszcze mocniej.

Rzucił się na leżącego mężczyznę z kluczem uniesionym do zadania ciosu. Na ułamek sekundy przed ciosem Strup zdołał się odsunąć. Klucz uderzył o ziemię, wypadając Lavikowi z ręki.

Zaskoczony nie zachował dostatecznej czujności. Kiedy schylił się po klucz, Strup zdołał się poruszyć i wbił kolano prosto w jego genitalia. Wprawdzie niezbyt mocno, ale Lavik z bólu zgiął się wzdłuż. Wpadł w szal. Mocno złapał tamtego za nogi akurat w momencie, gdy się podnosił. Strup znów runął na ziemię. Miał teraz jednak swobodne ręce i próbując uwolnić nogi kopniakami, wsunął dłoń pod kurtkę. Kopniaki też odniosły skutek, czuł, że co najmniej jeden trafił Lavika w twarz. Nagle zdołał uwolnić obie nogi. Wstał i chwiejnie ruszył w stronę skraju lasu odległego o dwadzieścia metrów.

Za sobą usłyszał ryk. Odwrócił się przerażony.

Prokurator policji Håkon Sand i sierżant Hanne Wilhelmsen dotarli do płonącego domku akurat w chwili, gdy ubrany w strój myśliwski mężczyzna z ogromnym kluczem francuskim w rękę mierzył w innego, ubranego bardziej po miejsku. Stanęli bez sił, z trudem łapiąc oddech.

- Stać! - krzyknęła w końcu Hanne Wilhelmsen, próbując zapobiec katastrofie. Brak reakcji.

Nagle rozległ się huk. Niezbyt głośny, ale krótki, gwałtowny i bardzo, ale to bardzo jednoznaczny. Mężczyzna w stroju myśliwego zrobił dziwną minę, widać to było wyraźnie w jasnym świetle ognia. Wyglądał na rozbawionego dziecinnym psikusem, w którego efekt tak do końca nie wierzył. Usta, szeroko otwarte podczas biegu, zamknęły się w ostrożnym uśmiechu. Klucz wypadł mu z ręki. Opuścił ramiona, z ciekawością spojrzął na własną pierś i zaczął osuwać się na ziemię.

Peter Strup odwrócił się do policjantów i odrzucił pistolet daleko.

- Ona jest w środku! - krzyknął, wskazując na płonący domek.

Håkon bez namysłu pognął ku szarpanym wiatrem drzwiom werandy. Nie słyszał ostrzegawczych okrzyków tamtych dwojga, kiedy wpadał do płonącego pokoju. Pędził tak, że zatrzymał się

dopiero na środku, gdzie palił się jedynie skrawek chodnika. Żar jednak był tak intensywny, że poczuł, jak skóra na twarzy mu się ściera.

Karen była lekka jak piórko. A może to on był silny jak tur. Wystarczyły sekundy, żeby przerzucił ją sobie przez ramię prawdziwym strażackim chwytem. Kiedy się odwracał, żeby wybiec z płonącego domu, huknęło. Grzmot ogłuszył go niczym olbrzymia eksplozja. Panoramiczne okna starały się z całych sił oprzeć gorącu, lecz w końcu musiały ulec. Gwałtowny powiew z zewnątrz sprawił, że ryk płomieni stał się nieznośny. Nie było już możliwości wyjścia tą samą drogą. Obrócił się powoli. Wśród gorąca i dymu trudno było cokolwiek dojrzeć. Schody także stały w ogniu.

Nie miał wyboru. Odetchnął głęboko, co wywołało jedynie ostry atak kaszlu. Płomienie lizały już jego nogawki. Krzycząc z bólu, zbiegł po schodach do piwnicy. Słyszał, jak głowa Karen przy każdym kroku uderza o ścianę.

Pożar gościnnie otworzył drzwi piwnicy na zewnątrz. Håkon dopadł do nich ostatnim wysiłkiem. Świeże powietrze dało mu siły na pokonanie jeszcze sześciu, może siedmiu metrów. Karen zsunęła mu się z ramienia na ziemię i zdążył jeszcze tylko stwierdzić, że nogawka jego spodni ciągle się pali, a potem i on zemdlął.

Ekspedycja się nie powiodła. Lavik mógł przyjechać przed nim, choć to mało prawdopodobne, bo zabójstwa lepiej dokonać nocą. Poza tym po zapadnięciu ciemności łatwiej mógł się pozbyć śledzących go tajniaków.

Siedząc tak, straszliwie się nudził. Zaryzykował krótkie wyjście z samochodu, bo od czasu tamtych szalonych motocyklistów nie przejechało żadne auto. Było okropnie zimno, ale nie padało. Szron trzeszczał mu pod stopami.

Lekka różowawa poświata odbijała się od niskiej pokrywy chmur mniej więcej tam, gdzie jego zdaniem musiało leżeć Sandefjord. Odwrócił się w stronę Larvik i ujrzał to samo. Nad Ula natomiast poświata miała bardziej pomarańczowy odcień i była znacznie wyraźniejsza. Poza tym wydawało mu się, że dostrzega

dym. Zmrużył oczy. Pali się!

Niech to wszyscy diabli! Lavik musiał jednak go wyprzedzić. A może nie przyjechał swoim volvo? Mógł zmienić samochód, żeby zmylić policję. Próbował przypomnieć sobie, jakie auta go mijaly. Dwa ople. I renault. A może to był peugeot. Wszystko jedno. Ten pożar nie mógł być przypadkowy. To dopiero sposób uśmiercenia kogoś! Ten człowiek najwyraźniej oszalał.

Prawdopodobnie było już za późno. Lavika trudno będzie teraz złapać. Pożar rozgorzał na tyle, że ktoś na pewno go zauważy i wezwie straż. Za kilka minut pełno tu będzie czerwonych wozów i strażaków

Nie mógł się jednak powstrzymać. Wrócił do samochodu, wrzucił bieg i ruszył w stronę wielkiego ogniska.

- Najważniejsza jest karetka. Naprawdę bardzo ważna.

Hannę oddała komórkę Peterowi Strupowi, który schował ją do kieszeni.

- Najgorzej jest z Karen Borg - stwierdził. - Ale te poparzenia u prokuratora też nie wyglądają najlepiej. Poza tym na pewno niezdrowo nawdychać się tyle dymu.

Wspólnie zdołali przenieść nieprzytomnych na parking, gdzie stał samochód Karen Borg. Hannę bez wahania kamieniem wybiła szybę od strony kierowcy. W samochodzie znalazła wełniany koc i dwie nieduże poduszki, a poza tym auto było nakryte brezentem, który ściągnęli i podłożyli rannym. Najpierw oderwali spory jego kawał, który napełniali lodowatą wodą z niedużego strumyka płynącego poniżej parkingu. Wprawdzie woda dość szybko wyciekała, lecz mimo wszystko zdołała choć trochę schłodzić poparzoną nogę Håkona. Żar docierał aż na ten niewielki placyk i Hannę wreszcie przestała marznąć. Miała nadzieję, że obojgu nieprzytomnym też nie jest zbyt zimno. Rana nad okiem Karen nie wyglądała gorzej niż ta kilka długich tygodni temu. Hannę miała nadzieję, że to może również świadczyć o sile zadanego ciosu. Puls Karen był regularny, choć nieco przyspieszony. W samochodowej apteczce znalazła jakąś maść na oparzenia i posmarowała nią nogi Håkona, nim owinęła je mokrym brezentem. Z rezygnacją myślała, że to pewnie tak

jak leczenie gruźlicy syropem na kaszel, ale mimo wszystko zrobiła to. Oboje wciąż byli nieprzytomni. Może i lepiej.

W końcu stanęła obok Petera Strupa, przyglądając się płomieniom. Wyglądały tak, jakby już wkrótce miały się najeść do syta. Widok był fascynujący. Całe piętro zniknęło. Dolny poziom okazał się bardziej ciężkostrawny, składał się w dużej mierze z kamienia i betonu. Mimo to i tam musiało być sporo drewna, bo płomienie, chociaż nie sięgały już do nieba, wciąż miały coś do roboty. Wreszcie z daleka dobiegł odgłos syreny. Nieco drwiący, jakby czerwone samochody drażniły się z umierającym domkiem, pokazując, że jada, chociaż jest już za późno.

- Chyba musiałeś go zabić - stwierdziła Hannę, nie patrząc na stojącego obok niej mężczyznę.

Westchnął ciężko i czubkiem buta uderzył w zmarzniętą trawę.

- Sama widziałaś. Albo ja, albo on. Pod tym względem los mi sprzyjał, mam świadków.

To prawda. Lavik umarł, nim Hannę do niego doskoczyła. Kula trafiła go prosto w pierś. O dziwo, wiele nie krwawił. Odciągnęła go nieco dalej od domku. Nie było sensu godzić się na natychmiastową kremację.

- Dlaczego tu jesteś?

- Akurat w tej chwili jestem tu, ponieważ mnie aresztowałaś. Dość nieuprzejmie byłoby uciekać w takiej sytuacji.

Zbyt dużo wydarzyło się tego dnia, by Hannę miała siłę się uśmiechać. Spróbowała, ale efektem był jedynie nieładny grymas. Zamiast dalej pytać, uniosła lekko brwi.

- Nie muszę wyjaśniać, dlaczego tu przyjechałem - powiedział spokojnie Peter Strup. - Nie mam nic przeciwko temu, że mnie teraz zatrzymasz. Zabiłem człowieka i powinienem zostać przesłuchany. Powiem wszystko, co przeżyłem dziś wieczorem. Ale nic więcej. Nie mogę i nie chcę. Prawdopodobnie sądziłaś, że mam jakiś związek z tym słynnym gangiem narkotykowym. Może nawet wciąż tak uważasz.

Spojrzała na nią, żeby uzyskać potwierdzenie lub zaprzeczenie swoich przypuszczeń, ale Hannę zachowała kamienną twarz.

- Mogę jedynie powiedzieć, że w takim razie się mylisz. Zaczęłam się jednak domyślać, co się dzieje. Jako dawny pryncypał Jørgena Lavika i osoba, która poczuwa się do odpowiedzialności za całą advokaturę i...

Urwał, jakby doszedł do wniosku, że i tak powiedział za dużo. Któraś z rannych za ich plecami cicho jęknęła, każąc im się natychmiast odwrócić. To Håkon odzyskiwał przytomność. Hannę kucnęła tuż przy nim.

- Bardzo boli?

Lekki ruch głową i skrzywienie wystarczyły za odpowiedź. Pogłaskała go delikatnie po włosach, zwęglonych i cuchnących spalenizną. Syrenę karetki słyszeć już było wyraźniej. Potem wycie gwałtownie się urwało i czerwono-biały samochód się zatrzymał. Za nim nadciągnęły dwa wozy strażackie, za wielkie jednak, żeby podjechać pod sam domek.

- Wszystko będzie dobrze - obiecała, gdy dwaj silni mężczyźni delikatnie przenosili Håkona na nosze i ładowali do karetki. - Teraz już wszystko będzie dobrze.

Siwowłosa mężczyzna zobaczył już dość. Lavik najwyraźniej nie żył, bo inaczej nie zostawiliby go leżącego bez dozoru na trawniku. Większą niepewność budziło tych dwoje na parkingu. Ale trudno, wszystko jedno. Jego problem był rozwiązany. Wycofał się głębiej w las i zatrzymał, żeby zapalić papierosa. Dym szarpnął płuca; właściwie już wiele lat temu rzucił palenie, ale to była wyjątkowa okazja.

Powinienem mieć cygaro, pomyślał, podchodząc do samochodu. Starannie wgniótł niedopałek w zbrązowiałe liście. Grubą Ha- vanę! Uśmiechnął się szeroko i wziął kurs na Oslo.

Wtorek, 8 grudnia

Skończyło się dobrze dla obojga. U Karen Borg stwierdzono zatrucie dymem, małe pęknięcie kości czołowej i silny wstrząs mózgu. Wciąż leżała w szpitalu, ale planowano ją wypisać pod koniec tygodnia. Håkon Sand już był na nogach, choć może nie dosłownie. Poparzenia okazały się nie tak groźne, jak się obawiano, ale jeszcze przez dość długi czas musiał chodzić o kulach. Dostał zwolnienie na cztery tygodnie. Noga bolała go okropnie i stale ziewał po tygodniu niespania i dużych dawkach środków przeciwbólowych. Poza tym jeszcze przez wiele dni po pożarze pluł małymi kawałeczkami sadzy. I drgał wystraszony, ilekroć ktoś zapalał zapałkę.

Mimo to był prawie zadowolony, niemal wesoły. Może i nie rozwiązali tej sprawy, ale w pewnym sensie zdołali ją zakończyć. Jørgen Lavik nie żył, Hans A. Olsen nie żył, Han van der Kerch nie żył i Jacob Frøstrup nie żył. Nie mówiąc już o nieszczęsnym, mało znaczącym Ludvigu Sandersenie, któremu przypadł wątpliwy zaszczyt otwarcia tego balu. Zabójcy Sandersena i Lavika byli znani policji, a van der Kerch i Frøstrup samodzielnie wybrali się na tamten świat.

Jedynie nieprzyjemne spotkanie Olsena z ołowianą kulą wciąż pozostawało tajemnicą. Oficjalnie uważali, że stał za tym Lavik. Przy tej wersji upierali się zarówno Kaldbakken, komendantka, jak i prokurator okręgowy. Lepiej mieć martwego znanego mordercę niż nieustalonego zabójcę na wolności. Håkon musiał przyznać, że podstawa teorii o istnieniu trzeciej osoby upadła. Źródłem tego pomysłu było dziwaczne zachowanie Petera Strupa, a teraz gwiazda palestry została wykluczona. Adwokat zachował się wzorowo. Bez najmniejszego zająknięcia zgodził się na dwa dni aresztu tymczasowego, dopóki prokuratura nie postawiła kropki przy sprawie zabójstwa Jørgena Lavika i nie umorzyła jej, uznając, że nie popełniono czynu karalnego. Zabójstwo w obronie koniecznej. Nawet prokurator okręgowy, który pryncypialnie uważał, że wszystkie sprawy zabójstw

powinny trafić pod sąd, szybko zgodził się na umorzenie. Strup posiadał broń legalnie, należał do klubu strzeleckiego.

Nie było żadnej trzeciej osoby, tak twierdziła większość, oddychając z ulgą. Håkon jednak nie wiedział, co o tym myśleć. Kusiło go, by przyłączyć się do logicznych wniosków zwierzchników. Ale Hanne Wilhelmsen protestowała. Upierała się, że musiał istnieć jeszcze ktoś, kto zaatakował ją w tamtą feralną niedzielę, i że nie mógł to być Lavik. Szefowie się z nią nie zgadzali. Napadł na nią Lavik albo jakiś chłopak na posyłki z dolnych szeregów organizacji. W każdym razie nie mogli pozwolić, by taki drobiazg bruździł w tak pięknie rozwiązanej sprawie. Wszyscy to kupili. Wszyscy, z wyjątkiem Hanne Wilhelmsen.

Strike. Trzeci z rzędu, niestety o tak wczesnej porze zajęty był tylko jeden z pozostałych torów. Grało na nim czterech hałaśliwych chłopców, którzy nawet nie zerkali na dwóch starszych mężczyzn. Przynajmniej od chwili, gdy krytycznie i ze śmiechem zmierzyli ich spojrzeniem, kiedy tylko tamci się pojawili. Dlatego nie było żadnego innego świadka tego kręglarskiego wyczynu z wyjątkiem przeciwnika, a jemu trudno było zaimponować.

Ekran komputera zwisający z sufitu nad ich głowami pokazywał, że obaj mieli udaną serię. Wszystko powyżej stu pięćdziesięciu punktów było dobre, zważywszy na ich wiek.

-Jeszcze jedna runda? - zapytał Peter Strup.

Christian Bloch-Hansen zawahał się przez moment. W końcu uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Ale tylko jedna. Przynies jeszcze jakąś wodę mineralną.

Usiedli z ciężkimi kulami na kolanach i z butelką wody na spółkę. Peter Strup nie przestawał głaskać gładkiej powierzchni kuli. Wyglądał na starszego i chudszego niż podczas ich ostatniego spotkania. Palce miał szczupłe i suche, a skórę na kostkach popękaną.

- Miałeś rację, Peter?

- Niestety, tak.

Dłoń zatrzymała się na środku kuli. Odłożył ją na podłogę i

oparł przedramiona o kolana.

- A tak wierzyłem w tego chłopaka - powiedział ze smutnym uśmiechem jak klaun nieco zbyt długo pracujący w zawodzie. Christianowi Blochowi-Hansenowi wydało się, że w oczach przyjaciela dostrzega łzy. Niezgrabnie poklepał go po plecach i zażenowany odwrócił wzrok na dziesięć kregli, które grzecznie stały już wyprostowane w oczekiwaniu na swój los. Nie miał nic do powiedzenia.

- Może nie traktowałem go dosłownie jak syna, ale przez pewien okres był mi bardzo bliski. Kiedy odszedł z mojej kancelarii, żeby działać na własną rękę, byłem rozczarowany, może nawet urażony. Ale utrzymywaliśmy kontakt. Na tyle, na ile to możliwe, staraliśmy się jeść razem lunch w każdy czwartek. To było miłe i wiele nam dawało. Obu nam, jak przypuszczam. Ale w ciągu ostatniego półrocza te nasze lunchy zdarzały się już tylko od przypadku do przypadku. On dużo jeździł za granicę. Pomyślałem, że przestałem już być dla niego ważny. - Peter Strup spróbował usiąść wygodniej na twardym plastikowym krzeselku, wziął głęboki oddech i mówił dalej: - Głupi byłem. Sądziłem, że to jakieś damskie historie. Kiedy się rozwodził, okazałem mu ojcowską surowość, i gdy teraz zaczął się wycofywać, sądziłem, że znów kuleje jego małżeństwo, a on nie życzy sobie moich wyrzutów.

- A kiedy zrozumiałeś, że dzieje się coś złego? Coś naprawdę złego?

- Nie bardzo wiem. Pod koniec września zacząłem się domyślać, że ktoś z naszej branży robi coś na boku. Zaczęło się od tego, że jeden z moich klientów się załamał. Nieszczęsny drań, którego bronilem już od lat. Płakał i szlochał. W końcu okazało się, że najbardziej mu zależy na tym, żebym zajął się sprawą jego przyjaciela, młodego Holendra, Hana van der Kercha.

- Tego, który popełnił samobójstwo w więzieniu? Z czego się zrobiła taka wrzawa?

- No właśnie. Sam wiesz, że ci chłopcy przyprowadzają swoich kumpli, żeby i im też pomóc. W tym nie było nic niezwykłego. Ale po trzech godzinach szlochów wydusił z siebie wreszcie, że wie o istnieniu gangu narkotykowego czy wręcz mafii, na której

czele stoi jeden albo kilku adwokatów. Nie chciałem w to wierzyć. Postanowiłem jednak sprawdzić to dokładniej. Przed wszystkim chciałem porozmawiać z tym Holendrem. Zaproponowałem swoje usługi, ale Karen Borg była niewzruszona. - Zaśmiał się cierpko.

- Tej odmowy o mało nie przyplącała życiem. Ale ponieważ zostałem odcięty od głównego źródła informacji, musiałem iść okrężną drogą. Chwilami czułem się jak tani amerykański detektyw. Rozmawiałem z ludźmi w najdziwniejszych miejscach, o najbardziej idiotycznych porach, chociaż w pewnym sensie to było nawet ciekawe.

- Ale dlaczego - spytał Bloch-Hansen cicho - dlaczego nie poszedłeś z tym na policję, Peter?

- Na policję? - Spojrzał na kolegę tak urażony, jakby tamten zaproponował mu masowe ludobójstwo przed obiadem. - Az czym, na miłość boską, miałbym do nich iść? Brakowało mi konkretów.

Pod tym względem - jak podejrzewam - i ja, i policja mieliśmy wspólny problem. Domyślaliśmy się, sądziliśmy i przypuszczaliśmy. Ale do diabła, nie byliśmy w stanie nic udowodnić. Wiesz, w jaki sposób udało mi się skonkretyzować rosnące podejrzenia w stosunku do Jørgena?

Bloch-Hansen lekko pokręcił głową.

- Przyparłem jedno z moich źródeł do muru, to znaczy posadziłem gościa na krześle, nie oddzielając go od siebie stołem. Stałem przed nim i sztywno patrzyłem mu w oczy. Bał się. Nie mnie, tylko tego niepokoju na rynku, pod którego wpływem byli wszyscy. Powoli zacząłem wymieniać nazwiska adwokatów z Oslo. Kiedy doszedłem do Jørgena Ulfa Lavika, wyraźnie się przestraszył, spuścił wzrok i poprosił o coś do picia.

Hałasujący chłopcy wychodzili. Trzech z nich śmiało się głośno, podając sobie z rąk do rąk kurtkę, natomiast czwarty, najmniejszy, głośno przeklinając, próbował ją złapać. Adwokaci milczeli, dopóki za młodymi ludźmi nie zamknęły się szklane drzwi.

- To by dopiero było coś! Miałem iść na policję i powiedzieć, że przy zastosowaniu amatorskiego wykrywacza kłamstw zmusi-

łem dziewiętnastoletniego narkomana do wyznania, że Jørgen Ulf Lavik to gangster, i spytać, czy mogliby być tak mili, żeby go dla mnie aresztować? Nie, nie miałem im nic do powiedzenia. Poza tym już wtedy zacząłem dostrzegać fragmenty większej prawdy. A jeśli się nie myliłem, to i tak nie miało sensu biec z tym do młodziutkiego prokuratora policji z trzeciego piętra. Skontaktowałem się z dawnymi przyjaciółmi z tajnych służb. Obraz, jaki wspólnym wysiłkiem udało nam się poskładać, nie był piękny, a prawdę mówiąc, paskudny. Cholernie paskudny.

- Jak oni to przyjęli?

- Oczywiście zrobiło się straszliwe zamieszanie. Myślę, że jeszcze nie ustało. Najgorsze, że nie mogą tknąć Harry'ego Lime'a.

- Harry'ego Lime'a?

- Trzeciego człowieka. Pamiętasz chyba ten film? Dość mają na starego, żeby urządzić mu piekło, ale się boją, bo wtedy i im się zrobi za gorąco.

- To znaczy, że pozwolą mu pozostać na stanowisku?

- Próbuja naciskać, żeby sam zrezygnował, i dalej będą to robić. On ma problemy z sercem, dość poważne. Nie byłoby nic podejrzanego, gdyby chciał ustąpić z przyczyn zdrowotnych. Ale ty przecież znasz naszego byłego kolegę. Nie podda się, dopóki nie padnie. Nie widzi powodu, żeby odchodzić.

- Czy jego zwierzchnik jest poinformowany?

- A jak myślisz?

- Nie, pewnie nie.

- Nawet premier nic nie wie. To okropne. A policja nigdy nie zdoła go złapać. Nawet go nie podejrzewają.

Ostatnia seria nie poszła tak dobrze. Peter Strup z żalem musiał przyjąć, że przyjaciel pokonał go o prawie czterdzieści punktów. Zaczynał się naprawdę starzeć.

- Możesz mi wyjaśnić jedną rzecz, Håkon?

- Zaczekaj chwilę!

Wciągnięcie sztywnej nogi do samochodu nie było proste. Po trzech próbach się poddał i w końcu poprosił Hannę o maksymalne cofnięcie siedzenia. Kulę wcisnął między siedzenie a drzwiczki. Ciężka brama policyjnego podwórza otworzyła się

powoli, jakby nie była pewna, czy słusznie robi, wypuszczając ich. W końcu podjęła decyzję i mogli przejechać.

- Co ci miałem wyjaśnić?.

- Czy naprawdę dla Jørgena Lavika aż tak ważne było uśmiercenie Karen Borg? Czy jego los rzeczywiście zależał wyłącznie od niej?

- Nie.

- Nie? Po prostu nie?

-Tak.

Rozmowa o Karen sprawiała mu ból. Dwa razy pokuśtykał do niej do szpitala. Leżała słaba i bezradna. Za każdym razem był jednak przy niej Nils. Wrogim spojrzeniem i demonstracyjnym ściskaniem dłoni Karen udaremnił wszelkie próby wyduszenia z siebie tego, co Håkon chciał przekazać. Karen była daleka i nieprzystępna, a Håkon, chociaż nie spodziewał się żadnych podziękowań za uratowanie jej życia, jednak poczuł się głęboko urażony tym, że nawet o tym nie wspomniała. Nils także. Zamienili więc kilka nic nieznaczących zdań i Håkon po paru minutach odszedł. Po tych drugich odwiedzinach nie miał siły na następne. Od tamtej pory nie minęła nawet sekunda, by o niej nie myślał. Mimo to umiał się cieszyć, że sprawa została jako tako rozwiązana. Po prostu nie mógł mówić o Karen. Ale teraz spróbował wziąć się w garść.

- Żaden sąd by go nie skazał, nawet gdybyśmy mieli zeznania Karen. Mogły nam pomóc jedynie w przedłużeniu tymczasowego aresztowania. Po jego zwolnieniu Karen nie miałyby już żadnego znaczenia. Chyba że znaleźlibyśmy coś jeszcze. Ale Lavik nie był do końca obliczalny.

- Uważasz, że zwariował?

-Ależ nie, skąd. Ale pamiętaj, że im wyżej siedzisz, tym niżej spadasz. Musiał być naprawdę zdesperowany. Wbił sobie do głowy, że Karen jest niebezpieczna. Pod tym względem to nawet się składa z tym, co twierdzą szefowie, że to on napadł na ciebie. Ta twoja notatka mogła stanowić źródło takiego pomysłu.

- Uważasz, że Karen Borg o mało nie zginęła z mojej winy? - spytała Hanne z kwaśną miną, chociaż wiedziała, że Håkon wcale nie to miał na myśli.

Opuściła szybę, wcisnęła guzik i pozbawionemu płci głosowi, który z trzaskiem wydobywał się z dziurkowanej metalowej płytki, wyjaśniła, z jaką sprawą przybywa. Niewidzialny lokaj podniósł barierkę i Hannę mogła szukać wskazanego jej wolnego miejsca w garażu pod budynkiem rządu.

- Kaldbakken miał przyjść bezpośrednio - powiedziała i pomogła koledze wsiąść z samochodu.

Trudno było uwierzyć, że minister sprawiedliwości zgodził się na takie warunki pracy. Mimo że w pokoju przeprowadzano remont, wyraźnie było widać, że młody minister wcale się stąd nie wyniósł. Dał krok nad zwojami tektury, zwinnie ominął składaną drabinę, na której szczycie chwiała się bliskie utraty równowagi wiadro z farbą, i z szerokim uśmiechem wyciągnął rękę na powitanie.

Był niezwykle przystojny i uderzająco młody. W chwili objęcia stanowiska miał zaledwie trzydzieści dwa lata, złocistoblond włosy, a oczy wielkie, niebieskie, z bardzo długimi, pięknie wygiętymi rzęsami. Gęste brwi stanowiły męski kontrast do całej jego jasności, były czarne i zrosnięte nad nosem.

- Wspaniale, że mogliście przyjść - oświadczył z zachwytem.

- Po tym wszystkim, co ostatnio wypisywały gazety, nie wiadomo już, w co wierzyć. Chciałbym, żebyście dokładnie mi o tym opowiedzieli. Naprawdę niewiarygodna historia, i taka nieprzyjemna dla nas, strażników prawa! Przecież to ja mam utrzymywać porządek wśród adwokatów i doprawdy nie jest przyjemnie, kiedy dzieje się coś takiego.

Grymas miał prawdopodobnie wyrażać koleżeńską dezaprobatę dla adwokatury. Minister sam przez dwa lata pracował w policji, po czym z rekordową prędkością został prokuratorem w prokuraturze okręgowej. Miał wtedy zaledwie dwadzieścia osiem lat. Życzliwie pomógł Håkonowi Sandowi podnieść kulę, która upadła na podłogę podczas wymiany uścisków rąk.

- Prawdziwie bohaterski czyn z tego, co rozumiem - dodał, wskazując na nogę Håkona. - Jak się czujesz?

Håkon zapewnił, że doskonale. Trochę go boli, ale tak naprawdę wszystko w porządku.

- Musimy przejść tutaj. - Minister przeprowadził ich do sąsiedniego gabinetu, z którego nie było widoku na olbrzymi plac budowy, gdzie kompleks budynków nazywany Dittenkvartalet usiłowano wreszcie przerobić na lądowisko helikopterów na dachu Ministerstwa Gospodarki.

Gabinet nie był wcale większy, ale panował w nim porządek. Na podłodze leżały dwa wspaniałe orientalne dywany, jeden miał więcej niż dwa na dwa metry. Niemożliwe, by stanowiły własność państwa. Państwo nie było też właścicielem obrazów na ścianach, a nawet gdyby, to powinny się znaleźć w Galerii Narodowej.

Sekretarz stanu zjawił się zaraz po nich. Ponieważ gabinet należał właśnie do niego, to on zaproponował krzesła i wodę mineralną. Był dwa razy starszy od swojego szefa, ale równie życzliwie nastawiony. Garnitur od krawca podkreślał, że mężczyzna nie zrezygnował ze swych drogich przyzwyczajęń sprzed ponad trzydziestu lat, kiedy to pracował jako adwokat. Pensja sekretarza stanu była przypuszczalnie kieszonkowym w porównaniu z tym, co zarabiał jako starszy partner w średniej wielkości, lecz odnoszącej daleko powyżej średniej sukcesy kancelarii adwokackiej.

Sprawozdanie zajęło pół godziny, a głos zabierał głównie Kaldbakken. Håkon w końcu zaczął przysypiać. Idiotyczne. Potrząsnął głową i wypił łyk wody mineralnej, żeby się ożywić.

Utrzymane w czerwonej tonacji wzorzyste dywany były piękne. Regały na ścianach stanowiły zapewne stałe wyposażenie gabinetu, ciemnobrązowe półki zapełniała literatura fachowa. Håkon uśmiechnął się lekko, widząc, że sekretarz stanu nie stracił sympatii do starych książek dla chłopców. Przypomniawszy sobie, że ktoś jeszcze też je lubił, ale silne lekarstwa osłabiły zdolność koncentracji. Kto to był?

- Sand?

Drgnął, tłumacząc się bólem. Jakie było pytanie?

- Ty też uważasz, że sprawa jest już rozwiązana? To Lavik zabił Hansa A. Olsena?

Hanne Wilhelmsen siedziała z twarzą bez wyrazu, nie patrząc na niego. Kaldbakken natomiast, spoglądając mu prosto w oczy, zdecydowanie kiwnął głową.

- Hm. Pewnie tak. Przypuszczalnie. Kaldbakken tak uważa. I zapewne ma rację.

Właściwa odpowiedź. Pozostali już zaczęli się pakować. I tak siedzieli dłużej, niż zaplanowano. Håkon podniósł się na nogi i pokuśtykał do półki z książkami. Wtedy sobie przypomniał.

Zakręciło mu się w głowie i za mocno oparł się na jednej kuli. Poślizgnęła się na gładkiej podłodze, sekretarz stanu podskoczył, żeby mu pomóc.

- Ostrożnie, ostrożnie, chłopcze - powiedział, wyciągając rękę.

Ale Håkon jej nie ujął, tylko wpatrywał się w mężczyznę z ogromnym zdumieniem na tyle długo, że Hannę zdążyła podejść i od tyłu mocno objąć go w pasie. Zdołał się jakoś podnieść.

- Wszystko w porządku - mruknął, licząc, że wszyscy przypiszą jego wzburzenie bolesnemu upadkowi.

Po jeszcze kilku słowach uznania mogli już naprawdę wyjść. Kaldbakken miał swój samochód. Kiedy Hanne i Håkon znaleźli się wreszcie poza zasięgiem innych uszu, prokurator wczepił się w kurtkę Hanne.

- Przywieź natychmiast te trzy kartki z szyfrem. Spotkamy się w Bibliotece Deichmana. Najszybciej, jak się da.

Nie mówiąc nic więcej, pokuśtykał po asfalcie z imponującą prędkością.

- Przecież mogę cię tam podrzucić! - zawołała Hanne, ale on jej nie słyszał. Już był w połowie drogi.

Była bardzo zniszczona, ale obrazek na okładce wciąż wyraźny. Młody, przystojny pilot leżał bezradnie na ziemi w niebieskim kombinezonie lotniczym i staroświeckim skórzanym kasku. Otaczała go horda niesympatycznych dzikich Murzynów. Książka nosiła tytuł *Biggies na skrzydłach*. Håkon podał ją zdyszanej Hanne. Zrozumiała natychmiast.

- Skrzydła - powiedziała cicho. - Napis na kartce z zaszyfrowanymi informacjami, którą znaleźliśmy w kasecie z pornoem

u Hansy Olsena.

Nachyliła się ponad ramieniem Håkona. Przed nim leżały dalsze tomy serii o bohaterskim brytyjskim pilocie. Podniosła *Bigglesa w Afryce* i *Bigglesa na Borneo*.

-Afryka i Borneo. Zabezpieczenie Jacoba Frøstrupa. Jak na to wpadłeś? I dlaczego akurat teraz?

- Musimy dziękować losowi za całą nudną rutynową robotę. Czytałem długie spisy przedmiotów znajdujących się w kancelarii Lavika i zauważyłem, że wśród literatury fachowej jest seria o Bigglesie. Trochę się z tego pośmiałem, sam będąc chłopcem, pochłaniałem te książki. Gdyby podano każdy tytuł oddzielnie, może już wtedy bym na to wpadł. Ale na liście napisano jedynie „Seria o Bigglesie”.

Pogładził dłonią wystrzępiony jasnoniebieski grzbiet książki. Noga przestała boleć. Karen Borg zmieniła się w daleki cichutki pomruk gdzieś z tyłu głowy. To on złamał szyfr. Przez dwa i pół miesiąca nie mógł dotrzymać kroku Hanne Wilhelmsen, teraz wreszcie przyszła kolej na niego.

- Sekretarz stanu miał te same książki. Całą serię w komplecie.

To była prawdziwa bomba. Leżała teraz przed nimi w postaci trzech zniszczonych książek dla chłopców. Książek, które z jakiegoś powodu znajdowały się i w gabinecie sekretarza stanu, i w kancelarii podejrzanego nieżyjącego adwokata. To nie mógł być przypadek.

Czterdzieści minut później zaszyfrowane wiadomości zostały odczytane. Trzy kartki zapisane rządkami niezrozumiałych liczb przekształciły się w trzy siedmiolinijkowe wiadomości, mówiące prawie wszystko. Potwierdzające to, co przez cały czas podejrzewali. Chodziło o duże ilości. Trzy dostawy po sto gramów każda.

Heroina. Tak jak się spodziewali. Litery, duże i krzywe, bo i Hanne, i Håkon byli leworęczni, mówiły, gdzie narkotyki należy odebrać i dokąd je dostarczyć. Podawały cenę, ilość i jakość. Każdą wiadomość kończyło określenie wysokości honorarium dla kuriera.

Ale nie było ani jednego cholernego nazwiska. Żadnego adresu. Miejsca zostały określone najwyraźniej precyzyjnie, ale

oczywiście w sposób zaszyfrowany. Trzy miejsca odbioru podano jako B-c, A-r i S-x. Miejsca przeznaczenia FM, LS i FT. Bezsensowne. Dla policji. Ale najwyraźniej nie dla tych, dla których zamówienia były przeznaczone.

Siedzieli sami w wielkiej sali. Ze wszystkich czterech ścian w milczeniu spoglądały na nich książki. Tłumiły akustykę i zabijały wszelkie próby hałasowania w zacnym budynku. Nawet klasie dzieciaków z podstawówki w sąsiednim pomieszczeniu nie udało się zakłócić spokoju tkwiącego w tych ścianach.

Hannę puknęła się w czoło, z przesadą podkreślając własną głupotę, a potem jeszcze uderzyła głową o blat stołu.

- Sekretarz stanu był w budynku policji tamtego dnia, kiedy mnie napadnięto, nie pamiętasz? Minister sprawiedliwości zwiedzał areszt i miał dyskutować o niesprowokowanej przemocy! Sekretarz stanu mu towarzyszył. Pamiętam, słyszałam ich na podwórzu!

-Ale jak mógł się odłączyć od całego tego orszaku? Przecież ciągnął się za nimi ogon dziennikarzy?

- Klucz do toalety. Może dali mu cały pęk kluczy, żeby mógł skorzystać z ubikacji. Albo zdobył go w jakiś inny sposób. Skąd mogę wiedzieć? Ale na pewno tam był. To nie mógł być przypadek. Po prostu nie mógł.

Złożyli rozszyfrowane kartki, oddali książki o Bigglesie kobiecie za wielkim kontuarem i wyszli na schody. Håkon zaczął ugniatać kulkę snusu. Powoli nabierał wprawy. Wystarczyło parę pchnięć językiem, żeby ulokować ją na właściwym miejscu.

- Nie możemy aresztować faceta za to, że ma na półce książki!

Popatrzyli na siebie i wybuchnęli śmiechem. Zabrzmiał ogłuszająco i bezczelnie między surowymi kolumnami, które sprawiały wrażenie, jakby jeszcze bardziej cisnęły się do ściany, oburzone takim hałasem. W mroźnym powietrzu para z oddechów układała się w białe obłoczki.

- Fantastyczne! Wiemy, że istnieje trzecia osoba. Wiemy, kim jest. Skandal ogromnych rozmiarów, a nie możemy nic zrobić. Nic, do jasnej cholery!

Nie było się z czego śmiać, a mimo to z chichotem dotarli do samochodu, który Hannę arogancko zostawiła na chodniku tuż

przed wejściem do biblioteki. Policyjny identyfikator za szybą zalegalizował niedozwolone parkowanie.

- Przynajmniej mieliśmy rację, Håkon - podsumowała. - To naprawdę cudowne. Trzeci człowiek istniał, tak jak twierdziliśmy.

Roześmiała się jeszcze raz, ale już z większą rezygnacją.

Mieszkanie było takie jak przedtem, ale w całej swojej znajomości wydawało się obce. To pewnie on się zmienił. Po trzech godzinach sprzątanego zakończonego odkurzaniem wykładziny w salonie zdołał odzyskać spokój. W przeciwieństwie do duszy nodze taka aktywność nie zrobiła dobrze.

Może źle postąpili, nie mówiąc o tym nikomu innemu, ale znów Hanne Wilhelmsen przejęła dowodzenie. Znaleźli się w posiadaniu informacji, które mogły obalić rząd, ale równie dobrze jedynie gwizdnąć jak zepsuta petarda. W obu wypadkach i tak zrobiłoby się ogromne zamieszanie. Nikt nie mógł im zarzucić, że postanowili jeszcze trochę poczekać, jeszcze się wstrzymać. Sekretarz stanu przecież się nie rozplynie.

Håkon trzy razy telefonował do Karen Borg. Za każdym razem słuchawkę podnosił Nils. Głupio się zachowywał, przecież wiedział, że wciąż jest w szpitalu.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Håkon spojrział na zegarek. Kto mógł wybrać się z wizytą we wtorek o wpół do dziesiątej wieczorem? Przez chwilę zastanawiał się, czy może nie otwierać. To zapewne ktoś, kto ma do zaoferowania fantastyczną zniżkę na „Aftenposten” przez kwartał. Albo chce zbawić jego nieśmiertelną duszę. Ale z drugiej strony to mogła być Karen. Oczywiście, że to nie ona, ale może, może jednak? Mocno zacisnął powieki, pomodlił się w duchu i podniósł słuchawkę domofonu.

Ale to był Fredrick Myhreng.

- Przyniosłem butelkę wina - oświadczył wesoło i chociaż Håkon nie miał najmniejszej ochoty na wieczór z natrętnym dziennikarzem, wcisnął guzik i wpuścił go na klatkę. Chwilę później Fredrick stanął w drzwiach z wystygłą pizzą od Peppe w jednej ręce i butelką włoskiego słodkiego białego wina w drugiej.

- Białe wino i pizza!

Håkon się skrzywił.

- Lubię pizzę i lubię białe wino. Dlaczego ich nie połączyć? - Fredrick nie tracił humoru. - Naprawdę dobre. Wyjmij kieliszki i korkociąg. Serwetki mam.

Piwo wydawało się o wiele bardziej atrakcyjne, w lodówce stały dwie smukłe półlitrowe butelki. Fredrick jednak podziękował i zaczął pochłaniać słodki trunek, jakby to był sok.

Upłynęły długie chwile, zanim Håkon wreszcie zrozumiał, o co może chodzić dziennikarzowi, bo w końcu usłyszał coś innego niż przechwałki.

- Posłuchaj, Sand - zaczął Fredrick, długo wycierając usta czerwoną serwetką. - Gdyby ktoś zrobił coś trochę złego, nic poważnego, tylko trochę, troszeczkę niedozwolonego, ale odkrył przy tym coś o wiele, wiele gorszego, coś, co zrobił ktoś inny. Albo znalazł na przykład coś, co mogłoby się przydać policji. Na przykład. W sprawie o wiele poważniejszej. To jak byście wtedy postąpili? Spojrzelibyście na to przez palce? Na to, co było niedozwolone, ale nie tak bardzo złe jak przewinienie tamtego i co może mogłoby pomóc w rozwiązaniu sprawy.

Zrobiło się tak cicho, że Håkon słyszał lekki syk świec. Jedną ręką strącił ze stołu karton po pizzy, w którym zostały już tylko marne skrawki pieczarek.

- Coś ty takiego zrobił, Fredrick? I coś ty, do cholery, znalazł?

Zakłopotany dziennikarz spuścił wzrok, a Håkon mocno walnął

pięścią w stół.

- Fredrick! Co ty masz?

Stołeczny dziennikarz gdzieś zniknął i został tylko wystraszony chłopak, który miał się przyznać do przewinienia przed rozgniewanym opiekunem. Zawstydzony wsunął rękę do kieszeni spodni i wyjął nieduży lśniący kluczyk.

- Należał do Jørgena Lavika - powiedział cicho. - Był przyklejony taśmą do spodu jego sejfu czy do szafki z archiwum, nie bardzo już pamiętam.

- Nie bardzo już pamiętasz? - Håkonowi nozdrza pobieleły z wściekłości. - Aha, nie bardzo pamiętasz. Zabrałeś istotny do-

wód z miejsca należącego do podejrzanego w sprawie karnej i nie bardzo pamiętasz, gdzie go znalazłeś. No tak. - Biel rozlała mu się teraz wokół całego nosa. Twarz przypominała odwróconą japońską flagę. - A mogę spytać, kiedy „znalazłeś” ten klucz?

- Jakiś czas temu - odparł chłopak wymijająco. - To zresztą nie jest oryginał, tylko kopia. Zrobiłem odcisk, a tamten klucz zostawiłem na miejscu.

Prokurator ciężko oddychał przez nos jak rozgniewany byk.

-Jeszcze do tego wróć, Fredrick, możesz mi wierzyć. Wróć do tego. A teraz zabieraj tę swoją butelkę i spadaj.

Wcisnął Fredrickowi opróżnioną do połowy butelkę do ręki i wyprawił wysłannika „Dagbladet” w nieprzyjemną mroźną przed- gwiazdkową noc. Ale dziennikarz tuż za drzwiami jeszcze się zatrzymał, wciskając nogę między drzwi a futrynę, by choć na chwilę uniemożliwić całkowite zerwanie kontaktu.

- Posłuchaj, Sand - spróbował. - Chyba mi się za to coś należy. Dasz mi wyłączność?

Ale całą nagrodą był jedynie obolały wielki palec u nogi.

Czwartek, 10 grudnia

Po mniej niż dwóch dniach pracy ograniczyli możliwości do bardzo łatwej do sprawdzenia liczby miejsc. Konkretnie do dwóch. Jednym była zacna i poważna siłownia w samym centrum miasta, drugim mniej szacowne, droższe i oferujące bardziej urozmaicone usługi studio na St. Hanshaugen. Oba te miejsca były przeznaczone na aktywność fizyczną. Podczas gdy to pierwsze funkcjonowało legalnie, drugie prowadziło działalność z wykorzystaniem specjalnie importowanych pań z Tajlandii. Odnalezienie wytwórcy kluczyka zajęło trochę czasu, lecz kiedy policja już raz dotarła do właściwej firmy, w ciągu kilku godzin zdołano wyjaśnić, o jakie szafki może chodzić. Mając w pamięci mocno nadszarpniętą sławę Lavika, wszyscy byli przekonani, że właściwym miejscem będzie burdel na Ullevålsveien, a jednak był to błąd. Lavik regularnie dwa razy w tygodniu podnosił ciężary, co po uważniejszym przejrzeniu akt sprawy powinni wiedzieć już wcześniej.

Szafka była tak niewielka, że czarna teczka z dokumentami le-dwie się w niej mieściła. Miała szyfrowy zamek. Leżała teraz wciąż nieotwarta na biurku Kaldbakkena na trzecim piętrze budynku policji w niebieskiej strefie. Håkon Sand i Hanne Wilhelmsen już świętowali i nie mogli się doczekać, kiedy wreszcie twarda jak kamień aktówka zostanie otwarta.

Szyfr nie oparł się śrubokrętowi Kaldbakkena. Dla porządku uprzednio pobawili się trochę sześcioma kółeczkami z cyframi, ale prędko zrezygnowali. Właścicielowi teczka już i tak nie była potrzebna, chociaż wyglądała na całkiem nową.

Żadne z nich nie było w stanie zrozumieć, dlaczego Lavik to zrobił. Niepojęte, że mógł aż tak ryzykować. Nasuwało się tylko jedno logiczne wytłumaczenie - chciał w razie upadku pociągnąć za sobą i innych. Za życia ten gruby plik dokumentów do niczego nie mógł mu się przydać. Przechowywanie go w siłowni musiało stanowić ogromne ryzyko. Lavik nie miał przecież gwarancji, że właściciele po zamknięciu z ciekawości nie

przeglądają szafek zamożnych członków. A jednak ukrył tu dokładny i pełny opis organizacji, o jakiej żadnemu z trzech czytelników nawet się nie śniło. Nigdy nie przypuszczali, że będą czytać o czymś takim w sytuacji innej niż w powieści kryminalnej.

- On nie wspomina o tej napaści na mnie - zauważyła Hanne.
- A to musi oznaczać, że miałam rację. To na pewno sekretarz stanu.

Ani komisarz Kaldbakken, ani prokurator policji Håkon Sand nie zareagowali. Nawet gdyby sam papież wybrał się na chwilę na północ, by użyć przemocy wobec bezbronnej kobiety, nie oderwaliby się od tych zapisków.

Na przejrzenie wszystkiego potrzebowali blisko dwóch godzin. Pochłaniali dokumenty. Niektóre jednocześnie, inne po kolei. Krótkie komentarze kazały im na chwilę wychylać się ponad ramieniem drugiego, po pewnym czasie już nic ich nie dziwiło.

- Trzeba to natychmiast zanieść tam - oświadczyła Hanne, kiedy przeczytali już wszystkie papiery i porządnie schowali je z powrotem do zniszczonej aktówki. Wskazała przy tym palcem na sufit. Nie miała jednak na myśli Pana Boga.

Minister sprawiedliwości uparł się na konferencję prasową jeszcze tego samego wieczoru. Policyjne Służby Bezpieczeństwa i wywiad gorąco protestowały. W niczym to nie pomogło. Skandal byłby pełen, gdyby prasa dowiedziała się, że sprawa jest znana dłużej niż od kilku godzin. A sytuacja i tak już była poważna.

Wspaniały wygląd ministra w ciągu dnia doznał poważnego uszczerbku. Skóra zbladła, włosy straciły złocisty blask. Za drzwiami już słyszał wycie wilków z prasy. Z jakiegoś powodu uparł się, by konferencja prasowa odbyła się w budynku policji.

-Jedynie wy, do diabła, wychodzicie czysti z całej tej historii
- wyjaśnił sarkastycznie, kiedy pani komendant wyraziła swoje zdanie, że powinni przyjąć prasę w budynku rządowym. - Konferencja odbędzie się u was.

Nie wyjaśnił natomiast, że w kwartale rządowym zapanował stan wyjątkowy. Premier nakazał potrójną ochronę, a w ciągu

dnia rozwinął się u niego paranoiczny strach przed prasą. Pod tym względem budynek policji był bezpieczniejszy.

Minister wziął trzy czy cztery głębokie oddechy i wszedł do wielkiej sali konferencyjnej. Dobrze, że miał trochę tlenu w zapasie, bo zaraz za podwójnymi drzwiami stracił oddech. Przynajmniej na chwilę.

Prokurator policji Håkon Sand i sierżant Hanne Wilhelmsen stali oparci o ścianę na samym końcu sali. Kompletnie nic już ich nie łączyło ze sprawą, która w ciągu dnia z rekordową prędkością mknęła w górę po kolejnych piętrach. Oni usłyszeli jedynie krótką informację, że sprawę uważa się za rozwiązaną i śledztwo jest zamknięte. Bardzo im to odpowiadało.

- Zabawne będzie się przekonać, jak oni z tego wybrną - powiedziała Hanne cicho.

- Nie wybrną. - Håkon pokręcił głową. - Z tego nikt nie wyjdzie bez szwanku, z wyjątkiem nas dwojga, bohaterów w białych stetsonach.

- *The good guys!*

Uśmiechali się od ucha do ucha. Håkon mocno objął koleżankę, a ona się nie odsunęła. Paru umundurowanych funkcjonariuszy zerknęło na nich ukradkiem, ale plotki krążyły już od pewnego czasu i przestały być równie emocjonujące.

Stali prawie niewidoczni dla gromady w głębi sali. Technicy ze stacji telewizyjnych błyskawicznie zamontowali pięć silnych reflektorów, co pograżyło tyły w ciemności. Światła padały wyłącznie na stół, przy którym siedzieli wszyscy ważni. Państwowa telewizja NRK miała przekaz na żywo. Była za cztery siódma. Komunikat prasowy nadany przez agencję NTB trzy godziny wcześniej mówił wszystko i nic. Nie zawierał żadnych szczegółów, sucho stwierdzał jedynie, że sekretarz stanu został aresztowany pod zarzutem poważnych przestępstw i premier zwołał nadzwyczajne posiedzenie rządu. Akurat dość, by wszyscy, którzy w jakikolwiek sposób mogli wytłumaczyć swoją obecność, plus jeszcze kilkoro innych osób, stawili się w komendzie z odpowiednim wyprzedzeniem. Konferencję otworzyła komendant okręgowa policji. Gdyby nie trzask migawek w aparatach fotograficznych, dałoby się usłyszeć

brzęczenie komara.

Pani komendant wydawała się zdenerwowana, ale zdołała się opanować. Przygotowała sobie notatki, kilka kartek formatu A4, które od czasu do czasu przewracała, bez logicznego porządku, tam i z powrotem, tam i z powrotem.

W końcu oświadczyła, że policja miała powody, by uważać, że sekretarz stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości jest zamieszany w działalność grupy osób podejrzewanych o nielegalny import narkotyków, a być może stał na jej czele.

- Niezły sposób na przekazanie, że facet był szefem gangu - szepnął Håkon do ucha Hanne. - Oto i mamy piękną prawniczką wersję.

Szum wzburzenia ucichł, gdy pani komendant podjęła:

- W chwili obecnej uważamy - powiedziała i dyskretnie chrząknęła w zaciśniętą pięść - to znaczy mamy powody, by uważać, że organizacja składała się z dwóch grup. Nieżyjący adwokat Hans A. Olsen był odpowiedzialny za działalność jednej grupy, nieżyjący adwokat Jørgen Ulf Lavik drugiej. Są podstawy, by przypuszczać, że sekretarz stanu był zwierzchnikiem ich obydwu. Został aresztowany pod zarzutem przemytu i rozprowadzania nieznannej ilości substancji narkotykowych.

Znów chrząknęła, jakby się wahała, czy ma mówić dalej.

-Jakiej ilości? - próbował się dowiedzieć jeden z dziennikarzy, ale nie doczekał się odpowiedzi.

- Poza tym podejrzewamy go o zabójstwo Hansa A. Olsena.

Teraz pojawić się mógł cały rój komarów, a nikt by tego nie zauważył. Posypały się pytania.

- Przyznał się do winy?

- Na czym opieracie podejrzenia?

- O jakich sumach mówimy?

- Czy doszło do zatrzymania jakichś przedmiotów?

Zaprowadzenie spokoju wśród zebranych zajęło blisko dziesięć minut. Naczelnik Biura Kryminalnego walił pięścią w stół, komendant policji z powrotem usiadła z zaciśniętymi ustami, odmawiając odpowiedzi na jakiegokolwiek pytanie, dopóki na sali nie zapanuje spokój. Wyglądała starzej niż zwykle.

- Nie bardzo rozumiem, dlaczego jest taka spięta - cicho powiedziała Hanne do Håkona. - Powinna być, do diabła, bardzo zadowolona. Większym triumfem od dawna już nikt u nas nie mógł się pochwalić.

Szef Biura Kryminalnego zdołał wreszcie zaprowadzić porządek.

- Po relacji wszystkich stron będzie możliwość zadawania pytań, wcześniej nie. Proszę o wyrozumiałość.

Czy szum i mamrotanie dziennikarzy oznaczały zgodę, trudno było stwierdzić. W każdym razie pani komendant mówiła dalej:

- Wygląda na to, że działalność ta trwała od kilku lat. Podejrzewamy, że od 1986 roku. O łącznej ilości nie możemy się na razie wypowiadać.

Znów zakasłała.

- Ten kaszel pojawia się za każdym razem, kiedy ona kłamie albo się boi - szepnął Håkon. - Na podstawie tych informacji z aktówki doszedłem do czternastu kilo, i to wyłącznie na konto Lavika!

-Ja do piętnastu - zaśmiała się Hanne.

Pani komendant znów zebrała się w sobie.

- A jeśli chodzi o szczególne okoliczności związane z wykorzystaniem... - Teraz kaszel stał się wręcz komiczny - ...z wykorzystaniem... hm... środków z tej nielegalnej działalności, to oddaję głos ministrowi sprawiedliwości.

Odetchnęła z ulgą, gdy oczy wszystkich skierowały się na młodego członka rządu. Wyglądał tak, jakby przed chwilą otrzymał wiadomość o śmierci matki, chorobie ojca i bankructwie własnej firmy.

- Wstępnie, powtarzam, wstępnie, wygląda na to, że część tych... część tych... hm... środków została, można powiedzieć, przeznaczona... na niezgodne z prawem wykorzystanie w służbach naszego wywiadu wojskowego.

Nagle wszyscy zrozumieli, dlaczego na konferencji obecny jest również minister obrony. Niektórzy już wcześniej się dziwili, że tu siedzi, na samym końcu z lewej strony ważnych osób. Nie mieścił się już przy stole, jakby był zbędnym

dodatkiem. Ale nikt nie miał czasu głębiej się nad tym zastanawiać.

Teraz powstrzymywanie pytań na nic się już nie zdało. Szef Biura Kryminalnego znów próbował walić pięścią w stół, ale wyglądał coraz bardziej komicznie. Komendantka policji jeszcze bardziej się spięła i głosem, o jaki trudno by podejrzewać tak drobną osobę, przejęła prowadzenie.

- Po jednym pytaniu - zażądała. - Będziemy do państwa dyspozycji przez godzinę. Od państwa zależy jak najlepsze wykorzystanie tego czasu.

Kwadrans później większość miała już jako tako wyraźny obraz sytuacji. Banda czy mafia, jak wszyscy łącznie z VIP-ami za stołem zaczęli już nazywać organizację, opierała się na bardzo surowej zasadzie *need to know*. Chodziło o to, by nikt nie znał nikogo oprócz bezpośredniego zwierzchnika, więc dla sekretarza stanu zagrożenie stanowić mogli jedynie Olsen i Lavik. Ci dwaj z czasem poczuli się jednak zbyt pewnie, posunęli się zbyt daleko i zaczęli angażować zbyt aktywnie. Prawdopodobnie na dużą skalę wykorzystywali swoje wyjątkowe możliwości przemycania narkotyków do więzień. Było to najbardziej skuteczną zapłatą na świecie i świetnym wabikiem.

Fredrick Myhreng na dobrą chwilę zamknął gębę wszystkim innym.

- Czy mamy tu do czynienia z nielegalną inwigilacją środowisk politycznych? - krzyknął z trzeciego rzędu.

Siedzący za stołem uczestnicy konferencji popatrzyli na siebie, ale nikt nie chciał zabrać głosu. Nie mieli też na to czasu, bo podniecony dziennikarz ciągnął:

- Z moich informacji wynika, że mowa jest o blisko trzydziestu kilogramach twardych narkotyków. To przecież ogromny majątek. Czy wszystko to spożytkował wywiad?

Chłopak nie był głupi. Komendantka policji również. Przez krótką chwilę wpatrywała się w młodego człowieka.

- Mamy powody, by przypuszczać, że znaczne środki zostały spożytkowane przez siły prowadzące w pewnym sensie działalność inwigilacyjną. Owszem - odparła powoli.

Najprzypadliwiejsi reporterzy kryminalni natychmiast sięgnęli

po swoje zgrabne komórki i z ustami wciśniętymi głęboko w wewnętrzne kieszonki kontaktowali się z redakcjami, by natychmiast wezwać komentatorów politycznych. Sprawa mogła się okazać bardzo interesująca również dla nich, bo przecież gdy człowiek na tak ważnym stanowisku okazywał się przestępcą, mogło to również mieć istotne implikacje polityczne. Od ujawnienia informacji o wykorzystaniu nielegalnych środków minęła zaledwie minuta, gdy pierwszy z reporterów kryminalnych wymknął się z sali i szeptem wprowadzał kolegę z redakcji w sprawę. Po paru chwilach miał już towarzystwo czterestu czy piętnastu komentatorów politycznych. Ci od przestępczości zamilkli, a niektórzy, przekazawszy pałeczkę, po prostu wyszli.

Śmieszny facet z telewizyjnych wiadomości z twarzą czterdziestolatka, a fryzurą i strojem bardziej odpowiednim dla dwudziestolatka, podsunął ministrowi obrony ogromny mikrofon w zimowym futrze.

- Kto z wywiadu o tym wiedział? Na jakim szczeblu zostało to wyjaśnione?

Minister zaczął się wiercić na krześle i posłał błagalne spojrzenie koledze z resortu sprawiedliwości. Nie mógł jednak liczyć u niego na żadną pomoc.

- No cóż. Wygląda na to, że... Wydaje się... Obraz, jaki teraz mamy... Nikt nie wiedział, skąd pochodziły te pieniądze. Bardzo niewiele osób w ogóle wiedziało o ich istnieniu. Wszystko należy dokładnie zbadać.

Dziennikarz się nie poddawał.

- Czy minister obrony chce powiedzieć, że wywiad spożytkował na coś wiele milionów i nikt o tym nie wiedział?

Minister obrony to właśnie chciał powiedzieć. Rozłożył ręce i dodał podniesionym głosem:

- Należy podkreślić, że to nie była działalność oficjalna. Nie ma powodów, by sądzić, że zamieszanych w to było wiele osób. Dlatego błędem jest mówienie w tym kontekście o wywiadzie ogólnie. Stały za tym pojedyncze osoby i to pojedyncze osoby poniosą karę.

Dziennikarzowi nie mieściło się to w głowie.

- Chce pan powiedzieć, że to nie będzie miało konsekwencji dla służby jako takiej?

Ponieważ nie otrzymał odpowiedzi natychmiast, podsunął mikrofon ministrowi sprawiedliwości tak blisko, że tamten musiał się odchylić, by sztuczne futro nie weszło mu do ust.

- Czy minister sprawiedliwości nie powinien ustąpić ze stanowiska, skoro jego najbliższy współpracownik jest podejrzany o tak poważne przestępstwo?

Minister był teraz całkiem spokojny. Delikatnie odsunął mikrofon o dziesięć centymetrów, przyglądał włosy i spojrzał wprost na dziennikarza.

- Owszem, powinien - powiedział powoli, ale głośno.

Efekt był natychmiastowy, nawet kamery przestały szumieć.

- Składam rezygnację ze skutkiem natychmiastowym - dodał minister i najwyraźniej mówił dosłownie. Chociaż nikt nie dał znaku, że konferencja prasowa dobiegła końca, on złożył swoje papiery, potem wstał, mrużąc oczy, spojrzał po zebranych, wyprostował się i wyszedł.

Dwoje policjantów na drugim końcu sali szczerze współczuło młodemu politykowi.

- Przecież on nie zrobił nic złego - mruknął Håkon. - Po prostu wybrał sobie łajdaka na współpracownika.

- *Good help is hard to get these days*¹³ - pokiwała głową Hanne. - Pod tym względem ty jesteś szczęściarzem. Masz przecież mnie.

Pocałowała go w policzek i szeptem powiedziała „do widzenia”. Sierżant Hanne Wilhelmsen wybierała się na wieczorne zakupy. Najwyższa pora załatwić sprawę prezentów gwiazdkowych.

13 W dzisiejszych czasach trudno o dobrych pomocników.

Poniedziałek, 14 grudnia

Do Bożego Narodzenia zostało zaledwie dziesięć dni. Bogowie pogody się radowali i szósty raz w ciągu dwóch miesięcy usiłowali ozdobić miasto na święta. Tym razem wyglądało na to, że im się powiedzie. Na wielkich trawnikach otaczających szary budynek policji na Grønlandsleiret 44 leżało już dwadzieścia centymetrów śniegu. Bruk prowadzący do wejścia był śliski jak mydło i zaledwie dziesięć metrów przed drzwiami boląca noga prokuratora policji Håkona Sanda się poddała. Taksówkarz odmówił wjeżdżania na nieposypany podjazd i Håkon pocił się z wysiłku, próbując sforsować go pieszo. Ten pagórek najpewniej usypano tu celowo.

Podniósł się i wreszcie znalazł się w ciepłe. W holu jak zwykle było pełno i jak zwykle ciemnoskórzy siedzieli po lewej stronie, skuleni i spoceni w swoich jaskrawych, niemodnych zimowych kurtkach. Håkon przez chwilę postął, wodząc wzrokiem po piętrach. Budynek wciąż się trzymał. Gorzej było z wywiadem.

Wrzawa wcale nie ucichła. Gazety wciąż wypuszczały kilka wydań specjalnych dziennie, podobnie jak redakcja wiadomości NRK. Natychmiastowa rezygnacja ministra sprawiedliwości była próbą ratowania rządu, wciąż jednak daleko było do pewności, czy się powiedzie. Sytuacja pozostawała niejasna. Służbom wywiadowczym wsiadła na kark rozwścieczona komisja specjalna parlamentu i już mówiono głośno o radykalnej reorganizacji. Wydana zaledwie przed paroma miesiącami książka traktująca o stosunkach łączących partię rządzącą z tajnymi służbami nabrała nowej przerażającej aktualności. Kolejny olbrzymi nakład już się szykował w drukarni. Pewien konserwatywny polityk, który od pewnego czasu twierdził, że jest inwigilowany, a do tej pory nigdzie nie mógł doprosić się odzewu, nagle zaczął być traktowany poważnie.

Håkon nie dbał o to, że odsunięto go od sprawy. Nie przejmował się także kompletnym brakiem słów uznania ze strony swoich zwierzchników. Jedyne koledzy na jego szczelbu

gratulowali mu osiągnięć. Robota została wykonana, sprawa zakończona. W ten weekend miał wolną i sobotę, i niedzielę. Poprzednio taka sytuacja miała miejsce całe wieki temu.

Pod drzwiami z pozrywanymi postaciami z filmów Disneya stanął i zaczął walczyć z pękiem kluczy. W końcu wszedł do pokoju i stanął jak wryty na widok stojącej na biurku figurki.

To była Bogini Sprawiedliwości. Przez krótką chwilę wydawało mu się, że to ta sama rzeźba, która stała na biurku komendantki policji, i nic nie mógł z tego pojąć. W końcu jednak zorientował się, że posążek jest większy i bardziej błyszczący, prawdopodobnie całkiem nowy, a poza tym bardziej stylizowany. Kobieta była smuklejsza, rzeźbiarz pozwolił sobie też na pewną swobodę w zakresie anatomii. Korpus był zbyt długi w stosunku do głowy, a miecz nie spoczywał równoległe do fałd spódnicy, tylko był lekko uniesiony. Jak do zadania ciosu.

Håkon podszedł do biurka i wziął figurkę do ręki. Ciężka. Czerwonawy metal błyszczał. Nie zdążył jeszcze pokryć się patyną. Na podłogę sfrunęła kartka. Håkon delikatnie odstawił figurkę, nachylił się, odsuwając chorą nogę sztywno na bok, i podniósł niewielką kopertę.

Niecierpliwie ją otworzył.

List od Karen.

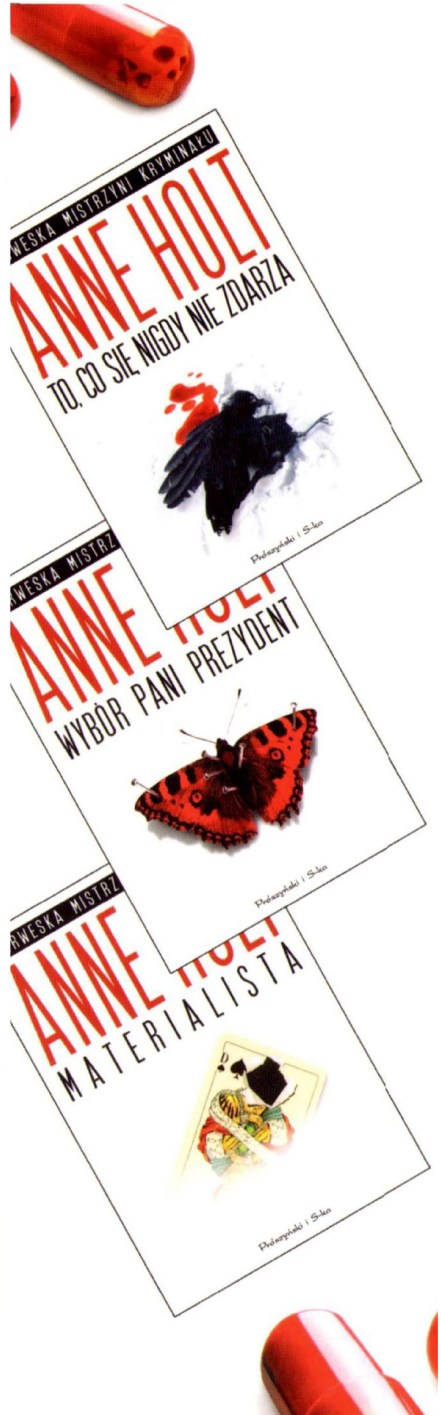
Najdroższy Håkonie! Dziękuję Ci za wszystko tysiącem czułych pocałunków. Jesteś moim bohaterem. Wydaje mi się, że Cię kocham. Nie zrezygnuj ze mnie. Nie dzwoń. To ja do Ciebie niedługo zadzwonię. Twoja (możesz w to wierzyć albo nie) Karen. PS Gratuluję.

Czytał list raz po raz. Ręce mu się trzęsły, gdy dotykał promiennej figurki. Była taka chłodna i gładka. Taka przyjemna w dotyku. W pewnej chwili znieruchomiał i dwa razy zamknął oczy. Wydawało mu się, że dostrzegł to wyraźnie: Bogini Sprawiedliwości na moment opuściła przepaskę i zerknęła na niego jednym okiem. Gotów był przysiąc, że mrugnęła i na ułamek sekundy tajemniczo się uśmiechnęła.

© Hi Michal



Anne Holt (ur. 1958) ukończyła prawo na Uniwersytecie w Oslo. Pracowała jako dziennikarka w telewizji, młodszy prokurator policji w Oslo, a następnie prowadziła własną praktykę adwokacką. W latach 1996–1997 była ministrem sprawiedliwości w Norwegii. Jako pisarka zadebiutowała w roku 1993. W swoim dorobku ma 15 książek, a jej powieści kryminalne cieszą się ogromną popularnością wśród czytelników na całym świecie.





ANNE HOLT

ŚLEPA BOGINI

W Oslo, nad rzeką Aker, policja znajduje martwego narkomana z raną postrzałową. Jego śmierć nie trafia na nagłówki gazet. Dopiero gdy kilka dni później adwokat ofiary zostaje zamordowany we własnym mieszkaniu, sprawa wzbudza większe zainteresowanie. Powoli zaczyna wyłaniać się obraz brutalnej mafii narkotykowej, której rozpracowanie prowadzi do odkrycia mrocznych sił działających w społeczeństwie. Pierwszy tom cyklu o Hanne Wilhelmsen, śledczej z Komendy Okręgowej Policji w Oslo, „obdarzonej intuicją, jaką posiada tylko jeden na stu policjantów”.

Anne Holt pisze znakomite historie, które są czymś pomiędzy powieściami detektywistycznymi a politycznymi kryminałami [...]. Ta świetna powieść ukazuje nam, do jakiego stopnia społeczeństwo może nie być idealne...

„La Repubblica”

Patronat medialny



Zbrodnia
w Bibliotece



lesiojot

Cena 35 zł (w tym 5% VAT)

ISBN 978-83-7648-581-2



9 788376 485812

www.proszynski.pl